

Paweł
•RZEWUSKI•



„SYN BAGIEN”



Powieść kryminalna
autora rewelacyjnych
GRZECHÓW „PARYŻA PÓŁNOCY”

Paweł
•RZEWUSKI•

**"SYN
BAGIEN"**

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Prolog. Poleskie drogi

Rozdział I. Korytarze ministerstwa

Rozdział II. Perła Polesia

Rozdział III. Na zapleczu restauracji

Rozdział IV. Wycieczka krajoznawcza

Rozdział V. Syn Bagien

Rozdział VI. U wrót wojewody

Rozdział VII. Pan na Olmanach

Rozdział VIII. Powrót na bagna

Rozdział IX. Na granicy świata

Rozdział X. Kiedy rzeka wyrzuca ciała

Rozdział XI. Jarmark w mieście Dawidgródek

Rozdział XII. Wśród poleskich bagien

Rozdział XIII. Na rynku w Dawidgródku

Rozdział XIV. Dwór na wesołych bagniskach

Rozdział XV. Starzec

Rozdział XVI. Dom Syna Bagien

Epilog. Poleskie drogi

Świat „Syna Bagien”

Przypisy

Opieka redakcyjna: ANDRZEJ STAŃCZYK
Redakcja: MAŁGORZATA GADOMSKA
Korekta: MARIA ROLA, JOLANTA STAL, KRYSZYNA ZALESKA
Projekt okładki i stron tytułowych: ROBERT KLEEMANN
Redakcja techniczna: ROBERT GĘBUŚ

© Copyright by Wydawnictwo Literackie, 2022

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07725-2

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

*Nad uczniem jest nauczyciel
Nad nauczycielem – dyrektor
Nad dyrektorem – minister
Nad ministrem – premier
Nad premierem – prezydent
Nad prezydentem – marszałek Piłsudski
Nad marszałkiem Piłsudskim – Bóg
Nad Bugiem – Brześć
A nad Brześciem – Kostek-Biernacki*

Popularna przedwojenna wyliczanka

Martwo i cicho wokoło. Nie widać tu żerującego ptaka, nie ma na tych nagich, bezdrzewnych przestrzeniach zwierza... Bo głodno tu, bo państwo to jest państwem śmierci, która się tarza przy świetle księżyca po zielonym, wilgotnym kobiercu, zakrytym od świata olbrzymim, przezroczystym kloszem nieba.

Sergiusz Piasecki, *Piąty etap*

Polska po swoim odrodzeniu znalazła na Polesiu ruinę, nędzę i nienawiść – tępą, nierozumną i trującą. (...) Dziki to kraj!

Antoni Ferdynand Ossendowski, *Nasze polskie dżungle*

PROLOG

Poleskie drogi

29 kwietnia 1937

Telepiący się po wertepach poleskich fiat trzęsie się niemiłosiernie. Jest upalny kwietniowy dzień i sam nie dowierzam, co w tak piękny dzień robię tutaj, pośrodku niczego, jadąc donikąd. Dobrze, że przynajmniej samochód, choć rozklekotany, ale sprawny, w Pińsku dali, a nie jak zwykłego szeregowca starą ciężarówką lub wręcz chłopską furmanką puścili, tak abym tłukł się jakimś gruchotem, gdzie tylko bór, bagna i bolszewicy. Omega na moim przegubie wskazuje za dwie dwunasta. Przeklinam awarię na linii kolejowej Drebsk–Sienkiewicze, klnę na cholerne roboty drogowe na szosie między Stolinem a Dawidgródkiem, przez które musimy jechać tą nieszczęsną boczną drogą. Przeklinam prowincję naszej Rzeczypospolitej, nasze bieda-kolonie, i przeklinam fakt, że musiałem opuścić ukochane miasto.

Maurycy Jakubowski jest bowiem człowiekiem miasta.

– Niech no pan oficer uważa i zdrowaśkę odmówi – z siedzenia przede mną rozlega się nagle tubalny głos Stefanka, szofera. – Do trupiego drzewa zajedziem zaraz.

– No i?

– Przeklęte to miejsce! – Zerka przez ramię, przez ułamek chwili świdrują mnie oczy czarne niczym smoła tutejszych smolarzy. – Licho czai się w tych gałęziach. *Sancte Michael Archangele, defende nos in prelio...*^[1] – Żegna się zamasyście i miele wyuczone na szkolnej katechezie słowa modlitwy zaklęcia.

– Zabobony... – burczę pod nosem. Drażnią mnie te religijne dyrdymały.

Podkreścam wąsa rudego, dumę i chlubę, patrząc na rozjazd przed nami. Bujny zagajnik, wszystko skąpane w zieleni wściekle żywej, nieco bliżej kępa traw. Droga piaszczysta, rozjeżdżona, typowo polska. Gdzieś przed nami drzewo wielkie i rozłożyste, o grubych konarach. Drzewo jak drzewo,

kamień jak kamień, droga jak droga. Dookoła mokradła, w oddali las się zaczyna, z naprzeciwka chłop jedzie wozem, koń człapie niemal poboczem.

Mijamy drzewo, dąb rozłożysty. Koń rży, wyrywa się chłopu, iść nie chce. Stefanek zatrzymuje się gwałtownie – niech go szlag! Promienie słońca przez liście delikatnie padają na moją twarz. Wychylam się zza kierowcy i rugam chłopą, i kierowcę na dokładkę.

– Isusie, ośka poszła! – krzyczy chłop. – Nic nie zrobim.

Zapalam egipskiego, czekając, aż Stefanek przestanie narzekać wespół z woźnicą, gdy próbują coś zaradzić. Bębnię palcem po skórzanym oparciu fotela i podejmuję decyzję, że przestanę się rozckliwiać nad sobą, nie będę narzekać, choćby było upiornie.

– Zamiast narzekać, szeregowy mógłby pomóc chłopu. – Wskazuję papierosem. Nie jest mi śpieszno, miło zaś będzie chwilę odpocząć od tych przeklętych wertepów.

Stefanek wzrusza ramionami i podwija rękawy, ja zaś koję wzrok zielenią Polesia. Wracam myślami do innych tematów, do tego, że niedługo trzeba będzie przygotowywać się do ślubu i wydać odpowiedni obiad, albo nawet zaprosić gdzieś, do porządnego lokalu. I kogo by tutaj zaprosić na ten obiad i ślub, i wesele. Komar wybija mnie z zamyślenia i każe zwrócić uwagę na otaczającą przyrodę. Nawet ładnie, jak okiem sięgnąć zieleni. Mój kierowca z chłopem biedzą się właśnie nad zdjęciem płoński, gdy naraz słońce za chmurami znika, chłód jakiś nieprzyjemny nagły, mgła, znikąd niemal, od mokradeł idzie. Kurtkę zapinam, czapkę wkładam, pod nosem klnę. Opary podnoszą się coraz wyżej, dziwnie jakoś się robi. Ptaki, które do tej pory świergoliły, przestają śpiewać, siedzą na drzewie nastroszone. Robi się cicho. Chłop się żegna, Stefanek się żegna, ja na tylnym siedzeniu szukam kolejnego papierosa po kieszeniach kurtki, chyba z nerwów, bo sytuacja zaczyna i mnie niepokoić. A co najmniej dziwić. Nagle wycie, dziwne, zwierzęce, rozrywa ciszę. Po plecach przechodzą mi ciarki. Słyszę, że chłop coś pod nosem mamrocze zdjęty strachem, Stefanek jest już przy drugim *qui ad perdonem anima pervagantur in mundo*^[2]. Nie podoba mi się to. Chcę spytać, o co chodzi, ale tak zdradzę, że się boję. Jest coraz zimniej, coraz bardziej obco. Mgła biała niczym dym coraz wyżej, koń niespokojny przebiera kopytami, papieros żarzy mi się w dłoni. Otwieram drzwiczki i wychodzę zaniepokojony. Machinalnie

sięgam po karabin, który wcześniej Stefanek przełożył na tylne siedzenie. Stary dobry mauzer, dłonie same podążają gdzie trzeba. Pocisk, komora, lewa ręka zaciśnięta na łożu, prawa luźna, gotowa, palec przy kabłąku, nieco spokojniej. Nagle zapada cisza, jakby wszystkie dźwięki zostały wysane ze świata. Cisza przeraźliwa, ani ptaka, ani owada. Gdzieś pod drzewami, od zachodu, od rzeki czy też bagien, ktoś idzie. Niby to biegnie, niby człapie. Jakby próbował z czegoś się wyrwać. Po karku przechodzą ciarki, włosy dęba już stają. Pot zimny skropił czoło.

– *...deteribus nostris et ne nos inducas in tentatione, sed libera nos a malo*^[3] – szepcze Stefanek.

– Ktoś ty?!

Cisza. Idzie na nas. Koń, jakby ktoś mu szaleju podał, znów wierzga i rży. Coś idzie i idzie.

– Ktoś ty?!

Znów nic. Jakby niemowa, sunie coraz szybciej. Widzę coraz wyraźniej kontury tego rogatego czegoś, mrużę oczy z niewiarą, wielkości człowieka i takiej postury, ale czarne całe, z głowy wyrastają rogi, ale nie jak u diabła, ale raczej u jelenia. Jelenia? Co, do cholery? Niemożliwe, że zwierzę. Strach jakiś dziwny, nieznany, lęgnie się. Mgła gęstnieje, jakby śmietaną była. Ciszę przerywają jedynie odległe dźwięki, człapanie, sapanie może, łamane gałęzie, plusk wody.

Podnoszę do oka mauzera, celuję, ale raz jeszcze pytam się „Ktoś ty?”. Naraz stwór pierwszy raz ciszę przerywa, zatrzymuje się, mgłę szarpie ryk jego straszny, zwierzęcy, ryk tylko w odpowiedzi. Palec pociąga spust, huk wystrzału przerywa ryk.

Stwór pada. Krzyczy coś, jakby po ludzku, a jakby po zwierzęcemu. Chociaż chcę zrozumieć, nie mogę. W końcu milknie, na powrót zapada cisza. Nagle, niczym eksplozja, wybucha gwar dźwięków, ptaków, zwierząt, ludzi. Na nowo słyszę wszystko to, co wcześniej. Patrząc z niedowierzaniem w miejsce, w które strzeliłem, na Stefanka, wreszcie w niebo. Po chwili słońce wychodzi, mgła się rozwiewa, ciepło nawet się robi. Ale ja się wzdrygam.

– *Pachwalon wo imia Otca i Syna, i Swiataho Ducha!* – Chłop raz jeszcze żegna się. Widać, że ciężko oddycha. – Ale nas mamidło zwieść chciało...

– Jakie mamidło, pleciecie bzdury! – oburza się Stefanek. – Czort po prostu się na nas zasadził. – Też ciężko oddycha, jakby jeszcze przed chwilą się dusił. Łapczywie chwyta każdy haust powietrza.

– Wiła albo lichy – z miną znawcy odpowiada chłop. – Pewno *dustasta hodina*^[4], a my przy trupim drzewie. – Znowu się żegna.

– Nie wyglądaliście wtedy na takich chojraków. – Odkładam karabin na tylne siedzenie. Chłop to może się spił, ale Stefanek? Nie rozumiem tego, co się tutaj wydarzyło. Ale idę zobaczyć, co ustrzeliłem. Sarna albo jelen, ani chybi. Bo co innego? Brnę trzydzieści metrów w wysokiej trawie, nogi się zapadają w miękkiej ziemi. Jeszcze trochę i będę. Nic nie ma. Pusto, ani śladu po stworze. Niby stoi trochę wody, ale aby tam wpadł i zatonął, to niemożliwe raczej. Więc przywidzenie, fatamorgana. Ale przecież widziałem wyraźnie i rogi, i jakby szpony. No i na dwóch łapach stało. Jak szpony, to chyba nie jelen, prawda, chociaż na tym Polesiu to wszystko możliwe...

– Panu się coś przyśniło? – dobiega zza przedniego siedzenia.

– Co? – pytam półprzytomnie. Wizja znika i orientuję się, że jeszcze przed chwilą drzemałem.

– Krzyczał pan przez sen.

– A co krzyczałem? – Rozespany jestem, takie rzeczy mi się nie zdarzają.

– Nie wiem, coś o zmorach. Ale to się zdarza, jak ktoś przyśnie przy drzewie trupim.

– Drzewie trupim?

– A tak, minęliśmy właśnie, na rozwidleniu jest. Wieszali tam w dawnych czasach skazańców. To jak ktoś nieszczęśliwie sobie przyśnie, przejeżdżając obok niego, to mu się dziwne rzeczy śnią. A panu co się śniło? Mnie raz takie dziwne harpie, a raz to nawet takie piękne kobiety.

– Postać z rogami, czarna.

– O, to nie wiem, co to. Miejscowi mogą wiedzieć. Ja nietutejszy, ja z Wielkopolski. – Wypina dumnie pierś. – Poznaniak.

Telepie jak telepało. Drogi poleskie nierówne, nieliczne, a jak już, to i tak ledwie przejezdne. I ja znowu tutaj, na Polesiu. Na tylnym siedzeniu fiata

na numerach Korpusu Ochrony Pogranicza jadę przez ten kraj mokradł i wyziewów. Patrę raz jeszcze na podchodzące wodą pola. Jeszcze miesiąc temu w spokoju katalogowałem doniesienia znad granicy, skupiałem pół swojej uwagi na szyfrze zawartym w raportach pewnego urzędnika kolejowego, który nazbyt ciepłym uczuciem darzył bolszewię, a pół na pięknej pannie Agacie, córce kupca korzennego z ulicy Poznańskiej. Mojej Agacie, z którą szykuję się do podjęcia jednej z najważniejszych decyzji w życiu. Nic nie zapowiadało, że z ciepłego gabinetu w MSW rzuca żołnierską lotkę wprost w bagna Polesia, z jego mokradłami, komarami i z szalonym wojewodą, z którym podobno nie można się spotkać. Do tego skrawka Rzeczypospolitej Polskiej i nie-Polskiej, gdzie cywilizacja i postęp nie wygrały jeszcze swej wojny. Do Arkadii niedojrzałych bohemistów krakowskich i stetryczałych od absyntu młodopolan. Jak to się stało, że ja, człowiek o zdecydowanie miejskich upodobaniach, znalazłem się w środku totalnej antytezy miasta. Cofam się do dwóch rozmów, które odbyłem nie tak dawno temu. Zastanawiam się, jak ta groteska się zaczęła.

ROZDZIAŁ I

Korytarze ministerstwa

24 kwietnia 1937

Modernistyczne wnętrze, ciężkie dębowe biurko polerowane. Okno na park Saski i drugie, wychodzące na pustkę placu, tam gdzie cerkiew dekadę temu wzbijała się w niebo złotem kopuł. Jak w każdym polskim urzędzie marszałkowie godłem przedzieleni: z lewej Piłsudski, jak zawsze zamyślony, z prawej Rydz, jak zawsze nadęty. Przed biurkiem z popiersiem wąsatym cztery fotele, dwa z nich zajęte. W jednym, o zgrozo, sam premier, władza najwyższa, pierwszy między decydującymi, Felicjan Sławoj-Składkowski. Wąs sumiasty, brew krzaczasta, wzrok marsowy. W drugim major Stefan Mayer. Ostatni obecny, generał Pełczyński, ręką wskazuje fotel i sam siada na trzecim, widać sprawa z tych grubszych, skoro z taką estymą traktuje.

– Oto, panie ministrze, człowiek, o którym panu mówiłem. Kapitan Maurycy Jakubowski.

– Powiedźcie, kapitanie Jakubowski – mówi spokojnie Pełczyński. Nazbyt spokojnie, zauważam w myślach. Jego zwykła lekka nerwowość ulotniła się gdzieś. Raczej nic dobrego to nie wróży – co o Polesiu wiecie?

Nazwa przywołuje kalejdoskop wspomnień. Rok dwudziesty. Sztab, Leśniewski z fajką w zębach ołówkiem kreśli rządki liczb, potem krótki frontowy epizod i bałachowcy, i mordy. Poleskie bagna i ofensywa bolszewicka. Bestialstwa. Koko z tabaką. Potem rajd po chamskich karkach, aż po Łuniniec i dalej na wschód. Czekiści bez oczu, czekiści z wyrzniętymi bagnetem gwiazdami na czole, czekiści końmi rozerwani. Wspomnienia przerywa mój własny, mechaniczny głos...

– Mógłbym streścić tutaj encyklopedyczne informacje, ale domniemywam, że chodzi o problem z wojewodą Biernackim.

– Słusznie domniemywacie. – Mayer kiwa głową. – Proszę posłuchać. Mamy dla pana niezwykle ważną misję. Musi pan pojechać na Polesie.

Wygląda na to, że mamy tam poważny problem. – Szybki rzut oka na ministra i kontynuuje: – Zna pan teren, zna pan realia. – Znów pauza. Urywane zdania nie są w stylu Pełczyńskiego, co potęguje mój niepokój. – Wreszcie, ma pan doświadczenie śledcze.

Spotyka mój pytający wzrok.

– Czy dotyczy to wojewody Biernackiego?

– I tak, i nie.

Przez głowę przechodzą hasła klucze. Kostia-Wieszatiel, Brześć, Bereza i niechęć. Niechęć środowiska warszawskiej sanacji do Biernackiego, która nie jest żadną tajemnicą. Wreszcie komunistyczna hydra zacieśniająca coraz silniej swoje macki.

– Na pewno stanowi on połowę naszych zmartwień. Problem w tym, że od kilku miesięcy praktycznie nie mamy z nim kontaktu. I co więcej, na terenie jego województwa dzieją się... dziwne rzeczy. – Łypie na mnie nerwowo. – W kontekście władzy, jaką ma, i w kontekście miejsca odosobnienia, Berezy Kartuskiej, jest to bardzo niepokojące.

– Ale przecież w Berezie dowodzi – szukam w głowie nazwiska – Józef Kamala.

– Józef Kamala-Kurhański – poprawia mnie Mayer. – On jest mu fanatycznie oddany. Wpuszcza wizytatorów, ale ci raportują, że wiele przed nimi ukrywa.

– Czy to oznacza, że nie ma wpływu również na całe więzienie?

– Tak. Nie wiem dokładnie, kogo tam trzyma poza ludźmi, których sami tam wysłaliśmy. Podobno łowi komunistów i ich tam trzyma.

Milczę, skinieniem głowy dając znać, że rozumiem i czekam na więcej informacji.

– Od śmierci Marszałka z Biernackim był utrudniony kontakt. Telegrafu nie odbiera, telefonów nie podnosi, na korespondencję nie odpowiada, kurierów nie przyjmuje, trudno jest porozumieć się z wojewodą. Normalnie składa raz na miesiąc sprawozdanie. Od grudnia zeszłego roku przestał w ogóle przysyłać raporty. W lutym wysłaliśmy na Polesie Jerzego Albina de Tramecourta, który miał przejąć jego obowiązki i wy badać, jak się sprawy mają. Udało mu się przejąć część obowiązków, ale współpraca z urzędnikami Biernackiego nie należała do najłatwiejszych. Urzędnicy

Biernackiego stali na stanowisku, że bez decyzji wojewody nie mogą o niczym informować de Tramecourta, Biernacki natomiast milczał. I tak w koło Macieju. Udało mu się ustalić, że ostatnio rezydował w swojej terenowej, jak sam to określał, siedzibie, w powiecie stolińskim, w Makroci, na północ od Sienkiewicz. Ale ilekroć de Tramecourt tam pojechał, całował klamkę – kontynuuje Mayer.

– Ale to chyba nie jest sprawa dla nas?

– Panie kapitanie – przerywa mi Pełczyński – proszę o cierpliwość, zaraz się pan wszystkiego dowie.

– Dwudziestego siódmego marca na Polesie wybrał się pracownik samodzielnego referatu studiów ogólnych, kapitan Adam Staff.

Informacja ta mnie mrozi, choć staram się to ukryć. Nieudolnie, sądząc po reakcji wyższych szarż.

– Pan znał kapitana, nieprawdaż? – Mayer trzaska zapalniczką, zaciąga się.

– Tak – mówię krótko, ucinając temat moich relacji z Adamem.

– Dobrze, dobrze. To nawet bardzo dobrze. Powiem, jak się sprawy mają. Staff wybrał się na Polesie w celach turystycznych, a raczej taki cel zadeklarował. Był podobno historykiem amatorem, tam zaś były jakieś interesujące go ruiny. Przez sześć dni tułał się po okolicy Dawidgródka – przerywa na łyk kawy – siódmego dnia miał pojechać do krewnych na Litwie. Jak się okazało, nigdy tam nie dotarł. Trzy dni temu miał wrócić do ministerstwa, ale nie wrócił. Dlatego dopiero teraz zainteresowaliśmy się całą sprawą. Nie wiemy, gdzie dokładnie ślad się urywa. Ustaliliśmy, że miał wsiąść do pociągu w Pińsku, ale wszystko wskazuje na to, że nigdy się tam nie pojawił. Nie wiemy, co się z nim stało, i chcemy, aby pan, kapitanie, pojechał tam i to wyjaśnił oraz ustalił, czy może mieć to jakiś związek z Biernackim. Czy na razie wszystko jasne?

– Tak – kiwam głową, choć nasuwają się pierwsze pytania.

– Dobrze, bardzo dobrze. Po pierwsze, ma pan znaleźć Staffa i o tym oficjalnym celu pana podróży będzie wiedziała miejscowa administracja. Po drugie, ma pan wy badać Biernackiego, a to jest misja tajna. Dostanie pan oczywiście konieczne pełnomocnictwa.

– Muszę zadać to pytanie... – czuję się nieswojo – ...czy kapitan Staff pracował nad czymś, co... – wcale mi się to nie podoba, ale profesjonalizm każe mi się zapytać – ...co mogło mieć założenie...

– Zadał pan szalenie istotne pytanie. Adam Staff pracował nad rzeczami rutynowymi, nic, co byłoby objęte klauzulą „ściśle tajne”.

– A czy wcześniej miał dostęp do tego typu rzeczy?

– Tak, miał dostęp do analiz, do prac nad maskami przeciwigazowymi. Konsultował część technicznych zagadnień. Rozumie pan, że to istotne zagadnienia wagi państwowej.

– Czy to oznacza, że był na bieżąco ze stanem naszych badań?

– Tak.

– Muszę spytać jeszcze: dlaczego ja? – pytam nie tyle przez skromność, ile przez faktyczną chęć poznania powodów takiego wyboru. Do tej pory przecież zajmowałem się innymi sprawami, nie mniej ważnymi, ale ukierunkowanymi na inne kwestie. Więc o co tu chodzi?

– Po pierwsze – zaczyna Mayer – zna pan, kapitanie, specyfikę tego terenu, walczył pan tam szesnaście lat temu. – Prostuje pierwszy palec, a ja zastanawiam się, czy ktokolwiek pamięta, że cała ta „walka” to ledwo parę tygodni waleśania się z bałachowcami. – Po drugie, zna pan gwarę Poleszuków. – „Tyle znam, co się jej nasłuchałem” – poprawiam w myślach, a on prostuje drugi palec. – Po trzecie, z czasów służby w Policji Państwowej wyniósł pan doświadczenie w pracy kryminalistycznej. – Kolejny palec zgięty celuje w sufit.

– Rozumiem, ale czemu nie wyślemy ludzi z lwowskiej ekspozytury albo z Łunińca, albo z Saren. Przecież znają teren, znają też język, stosunki...

– Tak, to prawda. Ale znają ich też co poniektórzy oficerowie, zna ich też Biernacki. Do tego są skupieni na walce z komunistami i nacjonalistami. My potrzebujemy śledczego, którego nikt na Polesiu nie będzie kojarzył i który zna Staffa. A pan przecież jest śledczym. I to bardzo dobrym, świadczą o tym dokumenty. Musi pan wiedzieć, że kapitan Staff nie był jedynym, który zaginął. Zgodnie z naszymi informacjami na liście są i inne osoby.

– Kto jeszcze?

– Dwóch żołnierzy KOP-u, jeden ksiądz, pop, dwóch kupców. – Mayer podnosi słuchawkę stojącego na biurku telefonu, mówi coś półgłosem. Wyłapuję „aha, już czeka”.

– Kapitanie, gościmy dziś księdza Ambrożego de Levittoux, osobistego sekretarza arcybiskupa Sapiehy. Wprowadzi nas w pewne zagadnienia związane z tą sprawą.

Do pokoju wpływa tyczkowata postać w czarnej jak smoła szacie.

– Szczęść Boże! – Kapłan unosi rękę w geście pozdrowienia. Z nabożnością siada w wolnym fotelu i długim spojrzeniem omiata pokój, jakby liczył nasze grzechy, nabiera powietrza. – Jego ekscelencja arcybiskup Sapieha, mając na względzie dobro Rzeczypospolitej... – zaczyna perorę – zdecydował się posłać z misją duszpasterską dwoje sług Pańskich na wschodnie rubieże naszego kraju, aby tam mogli *ad maiorem Dei gloriam*^[5] pracować. Niestety... – de Levittoux załamuje dłonie, dźwiczą pierścienie – Szatan, ten nasz wróg przedwieczny, nigdy nie śpi. Jeden z naszych duszpasterzy, Teodor Pastuszkiewicz, pojechał do parafii Świętego Michała Archaniola w Dawidgródku, aby pomóc naszemu słudze, proboszczowi Alojzemu Konewce w posłudze na tym trudnym pogańskim froncie walki ze złem. Niestety, niestety... – znowu załamuje ręce, ja zaś liczę „sługi” w jego przemowie – aniołowie z niebios swój wzrok cieszyli jego posługą ledwie trzy tygodnie, bowiem pewnego dnia wyszedł do mieszkańców niedalekiej wsi Strugi... i zniknął. Nie znaleziono ani wozu, ani chłopca, który z nim jechał... – przerywa i milczy, jakby tą dramatyczną pauzą chciał wyrzucić na zebranych nacisk. – Drugi przypadek to nieszczęsny sługa Pański, ksiądz Jerzy Marwicki. Posłany został do parafii w Dawidgródku. Miesiąc dane mu było posługę sprawować. Z wieczora piętnastego marca tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego wyszedł i zniknął...

– Przecież była mowa o jednym księdzu, który zaginął – przerywam tyradę posłańcowi Sapiehowemu.

– Tak. – Ksiądz Ambroży kręci głową, zażenowany, ja zaś już widzę, że ma jakąś żabę do przełknięcia. – Znalazł się bowiem następnego dnia, następnego dnia...

– W lokalnym bajzlu – kończy absolutnie niedyplomatycznie minister, ujawniając swój gorący i szczery stosunek do jasnogórskich głądziarzy.

Nawet teraz, w samochodzie trzęsącym się na poleskich wertepach, nie dało się nie uśmiechnąć na wspomnienie miny klechy, wyrażającej ból, zdegustowanie, a może i cień tęsknoty za takimi rozrywkami.

– Boży wysłannik został znaleziony w przybytku rozkoszy za karczmą Mojsze Labbajma w objęciach niejakiej Racheli Zurkman, lokalnej ulicznicy. Być może sprawę dałoby się ładnie zatuszować, tak jak to wcześniej robiono – z wyraźną przyjemnością dodaje Mayer – ale ksiądz zaczął miotać w przodowników przedmiotami z dosyć ubogo urządzonego pokoiku, a potem rzucił się na nich, bełkocąc, krzycząc, że to wszystko diabeł Biernacki. Czciiciel diabła i demon wcielony, że on mu podesłał dziewczkę i winem upoił.

– Czegoście się spodziewali, jak wojewodą jest jawny czciiciel Szatana, władcy piekła i wielkiego zwodziciela, największego przeciwnika Boga, wiary katolickiej i Polski?! – prycha ksiądz de Levittoux. – Twierdzi, że diabeł będzie zwycięzcą! To jest bluźnierstwo! Czytali panowie tę jego ohydłą książkę?!

Unoszę brwi zdziwiony. Może i nie lubię Kościoła, ale jednak myślałem, że prymas Sapięha ma mniej afektowanych pomocników.

– Rachela Zurkman zeznała, że ksiądz Marwicki zaszedł do niej już pierwszego wieczora, jak przyjechał na plebanię, i że bywał u niej przynajmniej co drugi dzień – dodaje pod nosem Mayer, niezbyt przejęty tyradą księdza.

– No dobrze, ale co się z nim stało? – przerywam potencjalną sprzeczkę, choć mina rozsierzonego klechy bawi mnie setnie.

– Początkowo myślano, że dojdzie do siebie, ale po tym, jak wytrzeźwiał, wpadł w apatię. Co jakiś czas krzyczy, że to wszystko gusta wojewody. De Tramecourt miał za zadanie zapytać się o przebieg wydarzeń Biernackiego, ale ten wyjechał w teren i nie dało się go od tamtej pory zastać. Księdza Marwickiego w asyście policji przetransportowano najpierw do Brześcia, a teraz znajduje się niestety... w Tworkach. Zanim pojedziesz do Dawidgródka, kapitanie, odwiedź go w tymczasowym miejscu pobytu.

– Rozumiem.

To znaczy nie rozumiem. Dlaczego wojewoda ma się tłumaczyć z majaków słabującego na umyśle księdza?

– Bardzo księdzu dziękujemy. Księdza opowieść bardzo dużo wniosła do sprawy. – Głos zdradza jednak, że najchętniej pozbyłby się już dużo wcześniej gościa przyodzianego w sutannę.

Śledzę wzrokiem opuszczającego gabinet duchownego. Ciekawe, po co była ta manifestacja, bo że to była manifestacja, nie mam wątpliwości. Ksiądz nie powiedział niczego, czego nie można było zawrzeć w raporcie. Zamiast tego pytam:

– A jak w przypadku pozostałych ofiar?

– Trzeciego kwietnia na patrol wyszło dwóch żołnierzy z oddziału KOP ze strażnicy w Malesznie. Starszy szeregowy Jan Topola i szeregowy Tytus Pajdak. Mieli wrócić o osiemnastej, ale słuch po nich zaginął.

– Dezercja?

– Na tę chwilę nie możemy jej wykluczyć, obaj byli skierowani do Korpusu za pewne przewinienia. Zaznaczam jednak, że nie mamy niczego, co by to potwierdziło.

– A ten pop?

– Pop Iwan Siemon. Zniknął cztery dni temu.

– Świadczenie, ślady, cokolwiek?

– Nic. Nie wiadomo. Po prostu wyszedł w nocy i zaginął.

– A pozostali?

– Pozostało dwóch kupców, Iwan Pszasznik i jego wspólnik w interesach, Juda Brzeski. Ci z kolei zniknęli na południu, w Rokitnie, pod nosem oddziału KOP. Przyjechali, zatrzymali się w zajeździe, mieli kupić smołę od smolarzy, ale słuch po nich zaginął. Marszczy pan czoło, kapitanie, jakieś pytania?

– Tak. Po pierwsze, à propos zaginionych żołnierzy, czy zostawili w jednostce swoje rzeczy?

– Tak nam zameldowano, wszystko zostało na miejscu.

– Rozumiem. A wiadomo, czy mieli kontakt z przemytnikami albo z białoruskimi komunistami?

Mayer przegląda papiery.

– Tak. Eskortowali trzech przemytników z bolszewii. Śledztwo wykazało, że jeden z nich był członkiem kapezetbe^[6]. Zresztą powieszono go dwa dni później.

– Co do księdza. Jaki był stosunek ludności miejscowej do Kościoła rzymskiego na terenie Dawidgródka?

– Negatywny. Kuria liczy na to, że będzie sprawowała rząd dusz, ale dusze za bardzo tego nie chcą.

– A jak wyglądały stosunki popa z miejscowymi władzami?

– Bardzo dobrze. Wiadomo, że bywał u Biernackiego, a i Biernacki wizytował jego parafię. Podobno raz tylko się pokłócili, na trzy dni przed zaginięciem popa.

– A pozostałych zaginionych? Też dobre?

– Urzędnicy państwowi przeważnie boją się Biernackiego. Co do kupców, to nic więcej nie wiadomo. Będziecie musieli, kapitanie, dowiedzieć się wszystkiego już na miejscu.

Spotkanie trwa jeszcze parę chwil, podczas których dopytuję o kilka detali, ustalamy kwestie techniczne, na koniec salutuję, strzelając obcasami, i wychodzę na ministerialny korytarz. Zimne światło lamp, oświetlające pozbawione okien korytarze, tnie niczym brzytwa marmurową przestrzeń. Podchodzi do mnie Mayer i ruchem ręki zaprasza do swojego gabinetu. Wchodzimy do ciemnego pomieszczenia pospiesznie, niczym para uczniów, i tam, pod Piłsudskim, każe mi usiąść.

– Słuchaj, Maurycy – zaczyna. Nigdy do mnie nie mówił po imieniu, przechodzi mi przez myśl. Przez skórę wyczuwam nadchodzący chłód. – Pełczyński i Sławoj-Składkowski nie powiedzieli ci wszystkiego. W rzeczywistości to wygląda znacznie gorzej. Nie mówimy o sześciu osobach, ale o jedenastu c o n a j m n i e j – ostatnie słowo wypowiada z naciskiem. – Zaginęło jeszcze przynajmniej trzech Poleszuków. Mam informacje z jednostki w Dawidgródku. Pełczyński uznał, że to bzdura i że pewnie się w bagnie potopili, ale ponoć tych dwóch żołnierzy, co zaginęło, zniknęło w tym samym miejscu co chłopci. No i są jeszcze te doniesienia... –

urywa, oddycha ciężko. Przepelniony nikotyną kwaśny oddech majora owiewa mi twarz.

– Jakie?

– Że Biernacki naprawdę czci diabła. Że porywa ludzi na ofiarę, że i tego popa złożył w ofierze podczas święta przesilenia wiosny. Mówią też, że czci starych bogów, wszystkie te Pieruny i inne pogańskie stwory. Nie ma z nim w ogóle kontaktu. Jesteś człowiekiem czytany, wiesz, jak to wygląda. Biernacki to Kurtz, a ty dostałeś rolę Marlowa. Prawda jest taka, że do jego dworu nie ma dostępu, a połowa urzędników milczy jak mogiła. Jest jeszcze coś.

– Tak?

– Staff jest bliskim znajomym Jana Stachniuka.

Unoszę brwi w zdziwieniu.

– Nazwisko powinno mi coś mówić?

– Nacjonalista, filozof, wariat. Wierzy w kulturalizm, blisko mu do nazizmu. Na pewno wpadła ci w ręce jego *Heroiczna wspólnota narodu*. Pisze tam o kapitalizmie i polskim imperializmie, czy jakoś tak.

– Coś kojarzę – bąkam niepewnie. W zakamarkach pamięci szukam wzmianek. – To ci poganie od pisma „Zadruga”, tak?

– Tak – Mayer uśmiecha się, jakby był ze mnie niezwykle dumny.

– Czemu pan mi o tym mówi?

– Bo to zbyt ohydnie pachnie. Jak kawał zgniłego, kilkudniowego mięsa. Biernacki to cholerny niepodzielny władca, a ty będziesz tam za ciało obce. A do tego w tym wszystkim są jakieś polityczne kwestie. Wiesz, Biernacki nie cieszył się nigdy popularnością. Szczególnie wśród belwederczyków, ale zbyt się go boją, by zdecydować się na jakieś mocniejsze działania. Być może szczywany lis coś zwąchał i teraz knuje. Stąd ten cyrk, że Sławoj-Składkowski przyszedł. Pan ma się czuć bezpiecznie, że stoi za panem sama góra. Do tego ten Stachniuk, to mi pachnie brunatnymi, od naszego sąsiada Hitlera, a to z kolei pachnie dodatkowo masonami, Adamem Kocem i jego planami. I dlatego kler tak mieszał. Oni też coś wiedzą, ale nie chcą się wygadać. Może sami na własną rękę coś kombinują. Ja jestem stary legun i nie chcę tutaj takich rzeczy. Są jeszcze inne sprawy, od pół roku dostaję bardzo alarmujące informacje

o wzmożonej działalności sowieciarzy na Polesiu i jeszcze gwałtowniejszych reakcjach Biernackiego.

– A dokładnie?

– Tam jest napięcie, jakiego dawno nie było. Wielu agentów próbuje się przedrzeć, a dowództwo KOP-u tuszuje zagrożenie. Aby nie być gołosłownym, ja sam wiem o co najmniej trzynastu incydentach: ostrzelanych strażnicach, atakach na patrole, próbach przekroczenia granicy. Dodam, że co jakiś czas dostajemy informacje o rannych kopistach, których jednak nie uwzględnia się w raportach.

– Ale dlaczego chcą to ukryć?

– Nie mam pojęcia. Mogę tylko podejrzewać, że sytuacja jest znacznie grosza, niż ją przedstawiają, pewnie nie chcą się przyznać, bo nad tym nie panują. Ja osobiście dostaję przecieki z naszych komórek, ale one też nie wiedzą wszystkiego, a kopiści strzegą swoich tajemnic. A do tego te przepychanki teraz... Dwójka na poważnie podejrzewa, że gdzieś w rządzie jest zdrajca, który pracuje dla Sowietów, i że to on miesza na Polesiu.

– No dobrze, ale co ma do tego Sławoj...

– Tak, tak, wiem. To może być rozgrywka Sławoja z Belwederem. Może chce, aby pan znalazł Biernackiego, zanim zrobi to nasz miłościwy marszałek ze swoją świtą. Musi pan uważać. Może chce go rozegrać na swoją stronę. Proszę o tym pamiętać. Obyś się, kapitanie, jednak urodził pod szczęśliwą gwiazdą, bo jak na razie wpadłeś jak śliwka w... – reflektuje się, że nie wypada mu rzucać wulgaryzmami przy podwładnym.

– Rozumiem.

– Jeszcze niewiele rozumiesz, kapitanie. To wszystko ma drugie, trzecie i czwarte dno. Nie chcę, aby kolejny człowiek mi tam zaginął! Spróbuję zorganizować panu jakieś wsparcie, kogoś zaufanego tam na miejscu, bo, niech mi pan wierzy, nie chcę pana wysłać na pożarcie.

– No dobra. To czego mi tam jeszcze nie powiedziano? – Głową wskazuję na gabinet Pełczyńskiego.

– Po pierwsze, Staff zaginął jako pracownik biblioteki Wydziału Ogólnego.

– Słucham? Przecież on był uzdolnionym chemikiem. – Chyba nie zdawałem sobie sprawy, jak niewiele wiem o Staffie.

– Ano właśnie. Ale to nie wszystko. Otóż tak, nie mam pewności, ale wydaje mi się, że Staff był człowiekiem Sławoja, on chciał coś ugrać, ale nie wiem jeszcze co. Pamiętacie „Sierp”?

Krzywię się mimowolnie. Trudno zapomnieć o tym cholernym „Sierpie”. Akcji zakończonej kompromitacją, mającej na celu stworzenie siatki wywiadowczej w Czechosłowacji.

– No właśnie, a przecież między innymi Staff był za ten obszar odpowiedzialny – ciągnie Mayer.

Faktycznie, to było zaledwie pół roku wcześniej i właśnie od tego czasu Adam jakby zniknął z pola widzenia. Przy czym wiele wskazuje, że nie było tam jego winy.

– A jednak został odsunięty...

– Owszem. I to pomimo interwencji podpułkownika Puszczyńskiego.

– Sam Konrad Wawberga go nie wybronił?

– No właśnie... a pisał, że dla Referatu Technicznego Staff jest bezcenny... Staff się jednak nie poddał i poszedł do samego Sławoja. A raczej podejrzewam, że poszedł, bo Sławoj był dzisiaj z nami. – Mayer zaciska usta. – Za to wiem, czyj podpis był na papierach przesuwających Staffa z technicznego do studiów ogólnych. – Podstawia mi pod nos kartkę.

– O, kurwa! – nie jestem w stanie się powstrzymać.

* * *

Patrzę na słońce odbijające się od zroszonych traw poleskich. Umysł łączy to z innym doświadczeniem, z innym słońcem, które chciwie obłapiało żoliborski bruk, kiedy jechałem do domu zaginionego Staffa. Może inaczej bym traktował całą tę misję, jako zwykłe śledztwo, powrót do dawnej profesji policyjnej, gdyby nie jeden fakt. Wyciągam z kieszeni złożoną na pół kartkę. List, na który natrafiłem już po skierowaniu na misję od samego ministra. Miał przyjść wcześniej, ale z niewyjaśnionych względów dotarł do mnie dopiero teraz.

Maurycy,

Musisz mi pomóc! Dawidgródek.

Adam

Parę słów, które znaczą więcej niż wszystkie odprawy w ministerstwie i rozmowa z Mayerem. Zapalam papierosa i zastanawiam się. Po pierwsze, niemożliwe, aby Staff działał na niekorzyść Rzeczypospolitej. Adam jest kryształowy. Po drugie, o czym nawet Mayer nie do końca wie, przyjaźnimy się ze Staffem od wielu lat i, odkąd pamiętam, możemy na sobie polegać. Nasza relacja nigdy nie była typowo towarzyska, na co dzień rzadko się spotykaliśmy, bardzo rzadko piliśmy. To raczej męski pakt, tym poważniejszy, że zaciągnięty jeszcze w okopach wojny polsko-bolszewickiej. Moim obowiązkiem jest więc wyjaśnienie całej tej sprawy. Nie tylko wobec mnie, ale wobec Agaty. Moja narzeczona traktowała Staffa w przedziwny sposób, trochę jak młodszego brata, trochę jak przyjaciela. Kogoś, kim trzeba się zaopiekować. Kiedy zobaczyła skierowany do mnie list, spojrzała na mnie i jej oczy wyrażały tylko jedno: proszę, znajdź go.

Zamykam powieki i wracam pamięcią do mieszkania Staffa. Nigdy tam nie byłem, ani sam, ani z Agatą. Staff nie miał w zwyczaju zapraszać kogokolwiek do siebie. Teraz jednak miałem nadzieję, że powie mi ono coś więcej o zaginionym, ale po prawdzie, jakby patrzeć na samo biurko z pałacu Saskiego, wyszłoby, że Staff jest śmiertelnym nudziarzem. Schludne, uporządkowane do granic, bez żadnego osobistego akcentu. A przecież w moich wspomnieniach zapisał się jako człowiek intrygujący, błyskotliwy i niestroniący od zabawy.

Jadąc na ulicę Tucholską, przeglądam dossier Staffa. Okazał się człowiekiem równie skrytym, jak niezwykłym. Mieszkanie na kolonii dziennikarskiej odziedziczył po przyrodnim bracie samobójcy, redaktorze „Kuriera Warszawskiego”, Antonim Staffie, publikującym jako Stanisław Wichrowski. Trzy pokoje na pierwszym piętrze w pięknym, modnym miejscu na mapie Warszawy. Nie miałby tego, gdyby Antoni alias Stanisław nie rzucił się z okna na bruk Marszałkowskiej. Życzliwi pisali, że w grę wchodziła miłość. Ale dołączona notatka policyjna precyzowała, że była to miłość do rulety. Nieodwzajemniona przez fortunę. Mieszkania z jakiegoś powodu nie zdążył lub nie chciał przegrać.

Adam podobno nie był z nim w zażyłości, ale że Wichrowski nie miał własnej rodziny, to jego mieszkanie dostało się pracowitemu bratu. Co do Adama, urodził się w 1885 roku we Lwowie, w rodzinie austriackiego urzędnika. Ukończył biologię, chemię i archeologię na Uniwersytecie Lwowskim. Doktoryzował się z religii Rusinów. Jak tylko się obronił, wybuchła niepodległa Polska, walki o granice, w których brał udział, nie na pierwszej linii, ale w oddziałach propagandowych, z których od razu przeszedł do ministerstwa. Poza tym standardowa kariera – pochwały, przeplatane regularnymi awansami i penami: „Adam Staff jest wzorcowym pracownikiem, który przestrzega dyscypliny, pracuje rzetelnie, a w swoich działaniach potrafi korzystać z szerokich perspektyw”. Do tego mogłem dodać garść osobistych doświadczeń. Że lubił kokainę, no ale kto jej nie lubi, że nie uganiał się za dziewczynami, wręcz przeciwnie – nawet ich unikał. A przecież jedno magiczne zaklęcie, „pracuję dla wywiadu”, wypowiedziane na uszko w „Zodiaku” otwierało niejeden niewieści sejf.

Adam żył na poziomie. Najlepiej wyrażały to meble, drogie i dobrze zaprojektowane, lekkie i jasne, wybrane starannie, tak aby podkreślić ascetyczny charakter właściciela. Rozglądałem się po saloniku, zlustrowałem i resztę mieszkania, ale tak naprawdę ważny był dla mnie tylko jego gabinet i znajdująca się w nim biblioteka.

Na mahoniowym biurku znajduję sporo prac o naturze filozoficznej Zoriana Dołęgi-Chodakowskiego, *Śpiewy sławiańskie pod strzechą wiejską zebrane*, *Zmierzch Zachodu* Oswalda, tom 52 dzieł Oskara Kolberga *Białoruś – Polesie* oraz, tak jak uprzedzał Mayer, pisma Stachniuka, w tym i *Heroiczna wspólnota narodu*. Z zaciekawieniem przerzucam strony książki tego poganina nacjonalisty i natrafiam na podkreślony fragment. „Przyszłość gospodarcza, kulturalna i polityczna naszej cywilizacji rysuje się w coraz czarniejszych kolorach. Coraz liczniejsze grono badaczy współczesności wypowiada sądy o potężnych likwidacjach w każdej dziedzinie życia, które są nieuniknione. Jednolite jest natomiast zdanie, iż przyczyny, składające się na wywołanie tak olbrzymich przeobrażeń, wprawdzie dadzą się sprowadzić ogólnie do kilku, jednak ich działanie w różnych rzeczywistościach różnych narodów sprowadza odmienne wyniki, a co za tym idzie – i innymi środkami ich działanie łagodzone być musi. Dla Polski

jest to problem szczególnie ważki. Czy kryzys, w którego kleszczach dławi się nasz naród, swymi źródłami tkwi poza granicami Polski, czy też znajdują się one w kraju, i czy na ich oddziaływanie posiadamy takie lub inne środki reagowania?”.

Dziwne lektury masz, Adamie... Przeczesałem dalej biurko. Wzrok pada na mały, niepozorny przedmiot i wzbudza nagłą emocję. Otwarta szkatułka, a w niej przestrzelona czerwona gwiazda, która znaczy dla mnie tak wiele. Zaciskam zęby z wściekłości. Wyciągnę cię z tego, Staffie, przez wzgląd na naszą przyjaźń i mój dozgonny dług. Patrę raz jeszcze na gwiazdę, przed oczami staje mi rok dwudziesty i ciemne niebo nad wykrzywioną gębą bolszewika, który chce zatopić mi w szyi bagnet, ale niespodziewanie pada. A mnie, przywiązanego do drzewa i poranionego, biorą jakieś silne ręce, zarzucają sobie na plecy i wyciągają z niebezpieczeństwa.

Wracam do rzeczywistości. Wszystkie książki Adama noszą ślady częstego używania i posiadają dosyć specyficzny ekslibris – gwiazdę ze swastyką w środku. Próbuję bezskutecznie przypomnieć sobie, skąd znam ten układ, aż na półce napotykam egzemplarz *Nietoty* Micińskiego. Widać cichy Adam Staff nie na żarty fascynuje się mistycyzmem. Zlustrowawszy biurko i leżące na nim książki oraz okazałą biblioteczkę, zdaję sobie sprawę, że Staff musiał zabrać ze sobą kilka pozycji na wyjazd. Pewność zyskuję chwilę później, gdy w moje ręce wpada katalog wszystkich pozycji, jakie posiadał. Czasu dano mi pod dostatkiem, jestem w końcu w pracy, mogę mozolnie przeszperać księgozbiór. Odkrywam, że prócz przewodnika po Dawidgródku i książki o Polesiu zabrał ze sobą *O Sławiańszczyźnie przed chrześcijaństwem* Zadrugi oraz, co wydaje mi się już zupełnie kuriozalne, *Kazania polskie* Jana Hempla, a także *Zielnik czyli atlas roślin leczniczych* i *Chemję organiczną* Stanisława Tolłoczki. Ostatnia pozycja nie ma autora, ostał się jedynie tytuł – *Demiurg*. Zapalam papierosa i rozglądam się za popielniczką. Zgubny podobno nałóg wyświadcza mi przysługę: w głębokiej, mosiężnej muszli znajduję resztki spalonego papieru. Ocalały cztery wyrazy: „twoich długów... Nigdy... sam”. Czyżby zatem Staff miał jeszcze dodatkowo problemy finansowe? Potwierdzałaby to również wykorzystana książeczka czekowa i niemało wypisanych

weksli... Jest jeszcze jedna rzecz: położony do góry nogami portret wojewody Biernackiego.

* * *

Jeszcze tego samego dnia, tyle że późnym popołudniem, udaję się w kolejne miejsce. Warszawska Lecznica dla Obląkanych nie należała, mimo wręcz rozpaczliwych starań ze strony personelu, do miejsc wyglądających przyjaźnie. Pseudogotycki budynek na drodze warszawskiej kolei dojazdowej zawsze straszył swoją niedostępnością jak jakiś zamek z powieści dla służących. Do przesłuchania księdza podchodzę z rezerwą, ale i z pewną dozą nadziei, może wyjaśni kilka niewiadomych. Idę przez budzący się do życia ogród ku ceglanemu gmachowi. W drzwiach wita mnie doktor Jan Mazurkiewicz, z którym byłem umówiony.

– Proszę mi powiedzieć coś o chorym – zaczynam, idąc alejką w stronę ogrodu, gdzie popołudniowego odpoczynku zażywa właśnie ksiądz Marwicki.

Doktor Mazurkiewicz, człowiek o ponurym usposobieniu i orlich rysach, patrzy na świat z niezwykłą przenikliwością, wydającą się wręcz zwieńczeniem jego chłodnej i pełnej profesjonalizmu postawy. Przygląda mi się w milczeniu i wyraźnie waży, co chce i co może powiedzieć przysłanemu przez ministerstwo natrętowi.

– Skłamałbym – zaczyna w końcu z wyczuwalnym w głosie wahaniem – gdybym powiedział, że medycyna nie zna takich przypadków. Skłamałbym też, gdybym powiedział, że sam nie znam tego typu przypadków, w mojej praktyce kilkakrotnie już się z nimi spotkałem. Ale skłamałbym też, mówiąc, że w przypadku Marwickiego sprawa jest oczywista. Nie, oczywista nie jest, niestety.

– Dlaczego?

– Ponieważ nic w historii pacjenta i nic w jego osobowości nie wskazuje na podatność na paranoję. Marwicki był zawsze człowiekiem niezwykle silnym psychicznie, typem ascety i resztki tej siły są cały czas widoczne. Typem pyknika, według klasyfikacji Kretschmera.

– A co mu właściwie dolega?

– Ma coś na kształt zaburzeń maniakałnych, zresztą może lepiej niech pan sam zobaczy, łatwiej będzie panu to zrozumieć. Proszę za mną.

Ksiądz Jerzy siedzi na ławce pod jednym z rozłożystych drzew i wertuje w skupieniu książkę. Modlitewnik albo książeczkę do nabożeństwa, wnioskuje po wielkości i charakterystycznej okładce. Nie pasuje mi to do obrazu, jaki stworzyłem sobie w głowie, obleśnego klechy, śliniącego się na widok poleskiej dziwki. Wysoki, przygarbiony. Twarz zdradza surowość, ale tę specyficzną surowość, która nie tylko dotyczy innych ludzi, ale skupia się na wymaganiu wobec siebie. Kiedy podchodzimy, Marwicki cały czas wpatruje się w książeczkę.

– Niech pan dokładnie obserwuje – szepcze jeszcze do mnie Mazurkiewicz, po czym przywołuje na twarz profesjonalny uśmiech i pełnym głosem zwraca się do księdza: – Szczęść Boże...

– Szczęść Boże, panie doktorze – głos Marwickiego wydaje się nad wyraz opanowany i trzeźwy – przepraszam, zamyśliłem się i nie dane mi było zauważyć pana. Czy może są jakieś wiadomości w sprawie mojego wypisu? Pragnę wrócić do posługi.

– Jeszcze niestety musimy poczekać, wciąż mamy do przeprowadzenia kilka koniecznych badań. Tymczasem pragnę przedstawić ojcu kapitana Jakubowskiego, chciałby z ojcem chwilę porozmawiać.

– Oczywiście, służę... – Kapłan spogląda wyczekująco na doktora.

– Chciałbym zadać kilka pytań. – Mazurkiewicz cały czas rzuca mi jakby mimochodem spojrzenia. – Proszę mi opowiedzieć o księdza posłudze duszpasterskiej w Dawidgródku.

Twarz księdza niczego nie zdradza. On zaś wzdycha ciężko, jak osoba, która musi po raz kolejny powtarzać tę samą opowieść, zmęczona swoim losem.

– Do Dawidgródka przybyłem pół roku temu. Początkowo parafia wydawała się typową kresową parafią, to znaczy taką, która ma własne problemy, ale żaden z nich nie jest przytłaczający. Działalność duszpasterska skupiała się na ludności polskiej, urzędnikach i ich rodzinach, oraz żołnierzach Korpusu Ochrony Pogranicza, grupie zawsze niezbyt licznej i raczej obojętnie nastawionej do spraw wiary. Nie było to bardzo trudne, szczególnie że pomagał mi proboszcz, ksiądz Konewka,

który znał doskonale swoich parafian i potrafił wsłuchać się w ich potrzeby. Dodatkowym zadaniem miało być apostołstwo ewangelii wśród rdzennej ludności, jednak zawsze należy to do zadań niełatwych ze względu na specyfikę regionu, tu silne przywiązanie do prawosławia.

– Czy coś zastanowiło księdza, kiedy przybył do parafii?

– Początkowo nie, dopiero potem zacząłem się dziwnie czuć.

– To znaczy?

– Dopadały mnie koszmary. Najpierw myślałem, że to problemy natury medycznej... od lat choruję na serce.

– Czy pamiętał ksiądz treść snów?

– Nie... wiem jedynie, że były przerażające. Budziłem się złany potem, cały się trząsałem.

– Kiedy te koszmary się zaczęły?

– W drugim albo trzecim tygodniu po moim przybyciu – ciągnie monotonnym tonem, jakby referował szkolną lekcję. – Nie wiem, kiedy dokładnie, pamiętam, że wybrałem się na wycieczkę wokół Dawidgródka, zwiedziłem przyległe ruiny, jakąś basztę, jakiś kurhan i pozostałości po zameczku któregoś z kniaziów, potem jeszcze zawadziłem o las, tam chodziłem dobrą godzinę, aż nagle poczułem się bardzo zmęczony. Kiedy wróciłem na plebanię, musiałem się położyć, a potem zaczęły się koszmary. W końcu znalazłem się w tym – twarz księdza poszarzała, kiedy popatrzył na zakład – w tym miejscu...

– Proszę księdza, a co to jest *hobjynrec*? – pyta lekarz.

Ksiądz milknie. Spokojną do tej pory twarz wykrzywia przeraźliwy wręcz grymas. Zaciska dłonie w pięści tak, że aż bieleją knykcie, i przykładając je do twarzy, po czym zaczyna łkać przeraźliwie niczym katowane dziecko. Lekarz przywołuje sanitariuszy, ci zaraz przybiegają, duchowny krzyczy, cały czas drapie paznokciami po twarzy, aż doskakują do niego dwaj krzepcy pielęgniarze i robią zastrzyk. Wtedy rozluźnia się, twarz zaś wypogadza mu się niemal do wyrazu bezmyślności.

– Co tu się wydarzyło? – pytam oszołomiony.

– Ciekawe, ciekawe. – Mazurkiewicz drapie się po brodzie.

– Czy on już kiedyś tak reagował? – dopytuję, odprowadzając wzrokiem pielęgniarki ciągnących ogłupiałego pacjenta.

– Tak, tak, ale nigdy w taki sposób na to słowo. Kiedy do nas przyjechał, nawet je powtarzał.

– A co się dzieje podczas takiego ataku?

– Różne rzeczy, teraz atakował sam siebie. Za pierwszym razem rzucał się na innych, chciał nawet zranić innego pacjenta. Ale ostatnio się uspokoił. Liczyłem, że problem został rozwiązany...

– A czy coś krzyczał w trakcie tych ataków?

– Tak, właśnie *hobjynrec*...

ROZDZIAŁ II

Perła Polesia

29 kwietnia 1937

– No i dojechalim – wyrywa mnie ze wspomnień wesoły Stefanek, odwracając się w moją stronę. – Dawidgródek. Za chwilę będziemy na jednostce.

Faktycznie, już wjeżdżamy do miasta, miasteczka, powiedzieć trudno... Ostatniej dużej placówki cywilizacyjnej przed wielkim Sowietem, forpocztą Rzeczypospolitej. Dalej tylko barbaria wieczna, kres nieskończony i człowiek sowiecki. Ostatnie centrum polskości to drewniane chaty, gdzieniegdzie drogi żwirem wysypane albo bite, baby w czarnych strojach. Jedziemy przedmieściami pełnymi małych drewnianych domeczków. Działwa na widok samochodu zrywa się, szturmując gromadnie płoty, wbija wzrok w szofera, w fiata i we mnie, brudnymi chudymi rękami wskazuje na nas, a przejęte głosiki szepczą niczym dzieciarnia w praskiej bramie. Pojawiają się ceglane budynki, więc ani chybi do miasta dojeżdżamy. W oddali majaczy już Dawidgródek, a tam pewnie jest urząd i cerkiew, są i jakieś sklepy. Chaty proste, pomalowane na zielono albo na niebiesko, gdzieniegdzie pokryte pnączem, droga zaś typowo polska, ni to ubita, ni to żwirowa, pewnie podczas deszczów przemienia się w bagnisko. Zajeżdżamy pod koszary na ulicy, a jakże, Koszarowej. Dwa typowe gmachy polskiej władzy i polskiego porządku, polskiego panowania na tych terenach, w połowie drewniane, w połowie murowane, czyli w połowie Zachód, a w połowie Azja. Pomiędzy dwoma wybudowanymi z desek skrzydłami wzbija się w niebo barokowy przyczółek z eliptycznym okienkiem, nad nim zaś płaskorzeźba orła, co strzec ma i od Sowietów bronić. Stefanek podaje dokumenty wartownikowi, ten skinieniem głowy aprobuje, salutuje leniwie i puszcza nas dalej. Po chwili przechodzę przez bramę i jestem na dziedzińcu. Tam rozstawione stoły, żołnierze uderzają sztucami w talerze, słysząc gwar cichych rozmów, panuje ogólna atmosfera rozluźnienia, która ledwie

dostrzegalnie znika, kiedy wzrok pada na mnie. W roześmianych twarzach kopistów widać wcale wyraźne znaki zapytania, pewnie boją się, czy nie jestem przypadkiem inspektorem.

* * *

Gabinet dowódcy Batalionu KOP Dawidgródek, pułkownika Stanisława Kuli, okazuje się miejscem ciemnym i zatechłym. Przy starym dębowym biurku siedzi starszy pan o wyglądzie dobrotliwego oficera c.k. Armii Franciszka Józefa. Siwa głowa, siwe wąsy, tyczkowata sylwetka, co gryzie się z typowym obrazem c.k. oficera, zwykle raczej otyłego. Widać nie miał szansy doczekać się szarży generalskiej. Krzywię się w duchu, wygląda na to, że pułkownik Kula należy do tych, którzy powinni pozostać w poprzedniej epoce i się z niej nie wychylać dla dobra swojego i Rzeczypospolitej. Strzelam obcasami, kiwam głową.

– Kapitan Maurycy Jakubowski! Prowadzę śledztwo w sprawie zaginięcia Adama Staffa – zaczynam bez ogródek.

– A z jakiej służby? – pyta spokojnym, afektowanym i raczej nienawykłym do gniewu głosem pułkownik Kula. Tak jakby ta sprawa go zupełnie nie interesowała.

Zamiast odpowiedzi podaję mu list z adnotacją ministra, pieczęcią ministerstwa i legitymację zawierającą wszystkie stosowne formułki. Pułkownik Kula gwizdże cicho pod nosem, przelatuje wzrokiem treść.

– Oddział drugi, pełne pełnomocnictwo... w sprawie zaginięć... tak... ściśle... aha. O...

Oczy pełne iskierki wbijają się we mnie.

– Ten list znaczy, że jednak listy z Polesia są w stanie trafić do Warszawy. Oczywiście, kapitanie, z mojej strony uzyska pan pełną pomoc. Proszę mnie zatem pytać o wszystko, co jest dla pana istotne... Wiem również, kto będzie panu w stanie udzielić najdokładniejszych informacji. Tak, tak, to mi przypomina pewną historię. Otóż przed laty, a działo się to w czasach panowania Franciszka Józefa, pan oczywiście pewno ledwie go pamięta, tak młody człowiek z pana. Otóż, widzi pan, stacjonowałem wtedy, byłem wtedy chyba w pana wieku zresztą, nad Dunajem, w pięknej miejscowości Dunaszekcső, a był to rok, niech ja policzę... – Zamyśla się,

a ja czuję, że mnie zaraz szlag i cholera trafi. Ale trzeba się ostrożnie poruszać, aby starego nie zrazić. Zaciskam więc zęby i staram się nie pokazać po sobie zniecierpliwienia.

* * *

Trzy kwadranse później więcej wiem, niż sobie początkowo wyobrażałem. Przy czym wszystkiego mogłem się wywiedzieć w ciągu niespełna dziesięciu minut. Anegdota o oberlejtncie Estechraze, który podpadł oberlejtntantowi Kray nijak nie miała się do sytuacji, z którą przyszło mi się zmierzyć. Niemniej udaje mi się w końcu, w potoku anegdotycznych historii i idiotycznych pytań w rodzaju „czy wie pan kapitan, co to takiego taczanka?“, wyłuskać istotę problemu. Sprawa wygląda nieciekawie i utwierdzam się w przekonaniu, że rzeczywiście zrobiono ze mnie ofiarę jakiejś politycznej rozgrywki. Nie mam zamiaru dać się w nią wmanewrować, ktokolwiek by ją prowadził. Być może oś intrygi była nie tu, ale w Warszawie, z której ktoś chciał się mnie pozbyć. Ale po co? Nie brałem przecież udziału w tych salonowych rozgrywkach. Co jak co, za wysokie progi. Niemniej wszystko jest dalece dziwne.

Wychodząc, porządkuję w myślach, na czym właściwie stoję, i wcale, ale to wcale nie czuję się z tym dobrze. Primo, wojewody nikt spoza jego kręgu nie widział od sześciu miesięcy. Secundo, wiadomo, że ma agentów po całym województwie i że nie można ufać ani urzędnikom poczty, ani policji. A do tego ma swoją „gwardię”, czyli grupę ludzi o liczebności kompanii, formalnie pracujących w innych służbach, ale w rzeczywistości pozostających na jego rozkazy. Nic z tym nie można zrobić, bo nawet nie wiadomo, kto do tej „gwardii” Biernackiego na pewno należy, poza jego stałą strażą przyboczną, składającą się z dziesięciu policjantów. Co do urzędników, to nawet jakby chcieli pomóc, to przecież i tak podlegają wojewodzie. Jeżeli ma on coś wspólnego z zaginięciem Staffa, to i tak nie udzieli mi informacji. Jednocześnie wiem, że będę musiał oficjalnie zacząć z nimi współpracować. Obie te formacje praktycznie w całości są mu wierne i nie powiedzą niczego, co mogłoby wojewodzie zaszkodzić. Trochę lepiej z innymi urzędnikami administracji państwowej, i to jest tertio. Część z nich ma liczne zatargi z Kostkiem, szczególnie burmistrz i jego

urzędnicy. Quatro. Pomocni mogą też się okazać księża katoliccy, na tych prawosławnych nawet nie ma co liczyć, bo oni podobno murem stoją za wojewodą, a przynajmniej tak deklarują ze strachu przed nim. Quinto. Niewesoło wygląda też sytuacja w samym Korpusie. Kula stwierdził tylko, że o ile ufa swoim ludziom, jeżeli chodzi o walkę z komunistami, przemytnikami i bandytami, o tyle nie jest takim optymistą w kwestii Biernackiego. Część Korpusu jest w ten lub inny sposób pod wpływem jego charyzmy i charakteru. „Mogą być w tej cholernej «gwardii»”... Na pytanie o zaginionych żołnierzy odpowiada, że raczej nie chodziło o dezercję. „To byli dobrzy chłopcy, już prędzej uwierzę, że drogę pogubili i na bagno weszli, niż że za zieloną granicę do Sowietów”. Sexto. O Staffie Kula nic nie wie, nie było go w Dawidgródku, kiedy Staff zaginał. Akurat urlop zaległy odbierał i do wód się wybrał. Jeżeli chodzi o mój wyjazd do Sienkiewicz, który jest koniecznością w tych okolicznościach, jedyne, co mógł mi zaproponować, to podróż z nim do Łunińca, bowiem sam jedzie do Brześcia w najbliższym czasie. Stamtąd będę mógł dostać się pociągiem do Sienkiewicz. Ponoć jego zastępca coś wie, ale on rezyduje w Olhomelu i dopiero za kilka dni wraca. Poleca pojechać tam samemu, jak tylko wrócę z Sienkiewicz, ale to najwcześniej za trzy dni i po potwierdzeniu telegraficznym. Pomóc zaś może kwatermistrz, niejaki Pawłowicz. O reszcie zaginionych też nic nie wie. Ale przed pytaniem chłopów o Biernackiego przestrzega: „On dla nich jak car, jak Piłsudski. Źle powiesz, gotowi widły między łopatki włożyć”. Kula na koniec tyrody zapytał jeszcze o jeden fakt, który napsuł mi krwi. Czy nie jestem przypadkiem synem Floriana Jakubowskiego, a ja nie mogłem kłamać. Wyraźnie go to ucieszyło, mnie już mniej.

Tak więc z rozmowy wyszło wcale niemało. Teraz mogę co najwyżej zostawić rzeczy na kwaterze i przejść się po mieście – turystycznym centrum najwilgotniejszej części Polski. Zramolały Kula wręczył mi nawet produkt korpusowej propagandy, czyli dwa przewodniki: *Polesie i turystyki* oraz *Dawidgródek*, obydwa zachwalające ten teren jako wręcz pierwszorzędną atrakcję wypoczynkową.

Oficerowi Dwójki, wysłanemu na kresy Rzeczypospolitej, gdzie zmuszony jest poza poszukiwaniami kolegi walczyć z komarami i wdychać opary bagienne, oddział stara się najwyraźniej dać pewną rekompensatę za

cierpienia. Zamiast do podrzędnego hotelu czy zajazdu, gdzie trzeba spać na twardej ławie, zakwaterowano mnie u państwa Zwisłockich, na terenie kolonii urzędniczej. Osobnym pytaniem, jakie zrodziło się w mojej głowie, jest to, czy Dawidgródek posiada w ogóle jakikolwiek porządny hotel.

Stojąc przed dworkiem, w głowie mam wszystkie idee prometeizmu – potężny budynek ewidentnie miał być wizytówką polskiej racji stanu na tych terenach i idei przemiany tych ziem. Z małego ganku wybijają w górę dwie białe, masywne kolumny doryckie, w których połowie znajduje się mały balkon, a które wieńczy nieco przyciężki tympanon. Dworek jest drewniany, z białą podmurówką. Wypisz wymaluj karykatura Soplicowa, styl *à la polonaise*. Problem w tym, że wybudowano to wszystko niedbale i razi sztucznością. Wzdycham pod nosem i wchodzę do środka, gdzie wita mnie gospodarz, Leon Zwisłocki, urzędniczyna gabinetu burmistrza Dawidgródka, ba, jego zastępca, bo burmistrz co rusz gdzieś wyjeżdża. Adnotacja w dostarczonym zawczasu dossier głosiła, że podejrzewa się, iż woli uciekać jak najdalej od wojewody i Polesia, i szuka tylko sposobności, aby chociaż do stanisławowskiego się przenieść.

Zwisłocki to człowiek chorobliwie otyły, który spod przykrytych wałkami tłuszczu oczu patrzy na świat sennym wzrokiem znudzonego psa. Z obfitych mięsistych warg wydobywają się leniwe, nieśpieszne, ale przyjazne słowa. Już po pięciu minutach uświadamiam sobie, że musi być utrapieniem dla wszystkich petentów. Jego żona Leokadia z kolei to kobieta średniego wzrostu, o kruczoczarnych włosach, pełna ognistego temperamentu, o oczach zdradzających nieposkromiony apetyt, którego pan Leon raczej nie jest w stanie zaspokoić. Wisienką na torcie jest córeczka Anieli lat szesnastu, o równie czarnych jak matka włosach, równie czarnych oczach i najwyraźniej niewiele mniejszym temperamencie, która przy powitaniu filuternie trzepocze rzęsami w dosyć jednoznacznych intencjach. Imię dano jej chyba z przekory, bo z anielicą ma tyle wspólnego, ile ja z baletem. Zamykam oczy na chwilę i liczę do pięciu, kiedyś w innym życiu może bym się nią zainteresował, zbałamucił, ale to już minęło. Nie jestem człowiekiem szpetnym, ba, z pewną dozą zadowolenia mogę powiedzieć, że jestem wręcz przystojny, z całą jednak pewnością nie działam aż tak na płeć przeciwną. Albo nawet mówiąc inaczej, w dawnym moim życiu nawet nie uchodziłem za

niepoprawnego kobieciarza, po prostu byłem nim. Teraz w wieku lat trzydziestu pięciu postanowiłem ustatkować się wreszcie, przestać przebierać w kobietach i zawinąć do jednego portu. Portem tym jest Agata, która odcięła mnie od dawnego życia. Widać albo pan Zwiśłocki ma strasznego pecha i zasila grono poleskich rogaczy, albo Dawidgródek to miejsce nieszczerólnie udatne dla kobiet o pewnych określonych potrzebach. Łapiąc, nie bez rozbawienia, spojrzenia gospodyń, mimochodem mam przed oczami Agatę. Szczęśliwie tak inną od Zwiśłockich, chudych, tyczkowatych, wręcz suchych. Jestem człowiekiem, który zawsze przedkładał Rubensa nad dzisiejszą modę.

Kiedy miłe i zalotne spojrzenia nic nie przyniosły, ich nastawienie się zmienia. Kwestie ważkie przedstawia mi zwięźle i bez zbędnych słów gospodyni głosem lekko chropawym: śniadanie siódma, obiad czternasta, podwieczorek osiemnasta, kolacja dziewiąta wieczorem i „lepiej, abym był na czas albo dał znać, że mnie nie będzie”, wpada w ucho, kiedy rozglądam się po domu. Ten zaś jest przestronny, przeznaczony docelowo dla dwóch rodzin, jedna ma zajmować sześć pokoi na parterze, a druga identyczną liczbę na pierwszym piętrze. Na razie Zwiśłoccy mieszkają jednak sami, więc mogę wybrać sobie dowolny pokój na piętrze. Wybieram ten, którego okna wychodzą wprost na sad roztaczający oszałamiającą woń kwiatów wiśni. Przebieram się z drogi i ruszam na eksplorację mojego „uzdrowiska”, turystycznej „Perły Polesia”, wprawdzie jednak czeka mnie pierwszy obiad na tej ziemi.

– A pan tutaj służbowo czy turystycznie? – pyta gospodyni, najwyraźniej nie mogąc wytrzymać w niewiedzy. Oczy przy wypowiedaniu każdego słowa aż błyszczą. Że też nikt tej baby nie nauczył manier. Żona urzędnika państwowego, a mentalność przekupki ze Stawek albo Nalewek. Po ile? Na długo? A skąd? Coś mruczę, odrywając wzrok od sadu i spoglądając na matronę.

– Urzędnik czy może handlowiec? – Znad talerza z zupą unosi swój smętny wzrok gospodarz. Och, jakże ohydne, kaprawe oczka! Och, jakże irytujący wąsik. Straszny mieszczanin przeszczepiony na Polesie.

– Szanowni państwo – zaczynam z uśmiechem promiennym. Wyraz jej wyczekującej twarzy, pełnej żądzy wiedzy, sam z siebie działa na mnie jak

zachęta do kłamstwa – oczywiście ze turystycznie. Chcę uprawiać gimnastykę szwedzką, podobno jest tutaj bardzo dobre powietrze.

– Gimnastykę? – Zwiśłocki patrzy na mnie jak na wariata, opanowuje się jednak szybko i zaraz dodaje: – Faktycznie, mamy tutaj dobrą atmosferę. A nawet kort tenisowy...

Gdybym powiedział, że fascynuje mnie wspinaczka wysokogórska, zaraz by się znalazła jakaś góra na tych mokradłach. Zamykam oczy.

– Żartowałem, drodzy państwo – postanawiam ich ukarać za wścibstwo. – Służbowo jestem tutaj. – Dbam, aby mój ton był wystarczająco zimny, aby nawet osoba o tak nieposkromionej ciekawości jak Leokadia Zwiśłocka zrozumiała, że trzeba odpuścić i nie drażnić tematu. Łapię wzrok córeczki, której chyba spodobało się takie postawienie matki do pionu. Lustruję dziewczynę wzrokiem, czarnulka o małych piersiach, chłopięcej twarzy i jakiejś irytującej zawziętości. Raczej kwaśne jabłko, zresztą nie w głowie mi romanse na tych bagniskach.

Dziękuję za obiad i wychodzę. Mam wybrać się do miasta, ustalić kilka faktów, zorientować się w terenie i ostatecznie próbować spotkać kapitana Pawłowicza, kwatermistrza, który, jak zapewniał pułkownik Kula, najlepiej będzie mógł pomóc w śledztwie, a do tego jest człowiekiem zaufanym, wolnym od aliansów z wojewodą. Co najważniejsze, był przewodnikiem Staffa po lokalnych atrakcjach. Jeśli w ogóle możemy mówić o jakichś atrakcjach w przypadku tej miejsciny...

* * *

Dawidgródek jest kwintesencją kresowego miasta Rzeczypospolitej, nikłym płomyczkiem cywilizacji, czyli po prawdzie, obrzydliwą wręcz dziurą, którą nikt poza samymi mieszkańcami się nie interesuje. Gdzieś w takiej zapadłej mieścinie swoje pierwsze sznyty musiał zdobywać mój ojciec. Za żywopłotem kolonii oficerskiej kończy się polska ziemia, a zaczyna Polesie właściwe, pełne chat drewnianych, krytych strzechą, w ziemi się zapadających, oblanych liszajem liści i pnączy. Ulica Koszarowa, jak dowiaduję się od wartownika, prowadzi prosto na most i do właściwej części grodu Dawida. Wymijam więc szachownicę klombów kwiatowych, mijam tablicę ogłoszeń, na której zaprasza się „stanowczo”

ludność miejscową na *Noc listopadową* w wykonaniu garnizonowej trupy teatralnej oraz, nachalnie, na pogadankę o higienie i negatywnych skutkach alkoholizmu, prowadzoną przez niejakiego doktora Jankisza. Całość zaś i tak błędnie w obliczu informacji o obchodach święta rocznicy Konstytucji trzeciego maja, które mają być połączone z festynem. Zapowiada się pysznie. Zapalam papierosa i wkraczam na zwirowaną drogę. Z przodu pole, z tyłu koszary, na północy majaczy cerkiewna kopuła. Śladów zeszłorocznego pożaru, który, jak się dowiedziałem jeszcze w Warszawie, strawił znaczną część miasta, nie daje się nigdzie dostrzec. Możliwe, że pożoga tutaj nawet nie doszła. Idę w stronę miasta, rozkoszując się słońcem. Żwir chrzęści pod podeszwami butów, w kieszeni kurtki podskakuje papierośnica z tytoniem. Postanowiłem ubrać się stosownie do wymogów chwili, a więc w strój półformalny, lekką sportową szarą marynarkę i wysokie buty w stylu zbliżonym do oficerek.

Z obu stron drogi coraz częściej wyrastają drewniane płoty, obrośnięte pnączami. Droga zwirowa przechodzi w wybrukowaną trylinkami, a więc porządniejszą, jest nawet szansa, że ocale obcasy w oficerkach. Jedynie na poboczu jak było, tak i pozostaje ziemisto. To zachodni brzeg Horynia, całe kulturalne i ekonomiczne życie tętni po wschodniej stronie rzeki. Na lewym brzegu tylko żołnierze z garnizonu, urzędnicy i trochę miejscowych.

Drewniany szkielet mostu wbija się w skarpe i prowadzi wprost na drugi brzeg. W dole port, czyli chluba Dawidgródka. Stoją nieregularnie przycumowane barki i nawet jeden prom pasażerski, którym Horyń można przepłynąć z południa na północ i odwrotnie. Lekki powiew od portu, mieszanka woni ryb, glonów, końskiego łajna i ludzkiego potu dociera do nosa. Do uszu przebijają się przekleństwa na przemian z radosnymi pokrzykiwaniami. A wszystko w cieniu zielonych kopuł cerkiewnych, wzbijających się wysoko w niebo. Zaraz za nimi kolejny symbol cywilizacji, słup wieży radiowej. Obok mnie przejeżdża chłopski wóz, powożony przez znudzonego chłopca. Zapewne zmierza na targ, który, jak dowiedziałem się od Kuli, dzisiaj się tu odbywa.

Nie idę od razu w stronę rynku, przystaję na chwilę i w milczeniu wpatruję się w stojące na prawym brzegu jakieś baraki drewniane z malowanymi na biało budami. Pyrkając dieslem, mija je stateczek, kiedyś zapewne również biały, holujący spławiane skądś drewniane bale. Dalej

widać sieć pomostów, przy których rybacy cumują łodzie. Cisza i spokój, przytłumione dźwięki, delikatny wiaterek, pluskanie wody, idylla sielska, poleska. Naraz przechodzi mnie dreszcz, zbieram się w garść. Major Kula mówił, że tutaj bardzo łatwo poddać się atmosferze miejsca, że nawet i jemu się to zdarza czasami. Że te krzyki wesole, te ryby i muzyka to pozory, a pół sążnia za miastem zaczyna się prawdziwe, dzikie Polesie. Idealne miejsce na urlop... Ciekawe, czego Staff mógł tutaj szukać. Odpycham się rękoma od balustrady mostu i ruszam sprężysto w stronę miasta. Próbuję uporządkować myśli. Najważniejszy jest Adam i wyjaśnienie, co się, u licha, stało i w jaką kabałę się wpakował. Potem, czy jego zaginięcie miało coś wspólnego z zaginięciami pozostałych, a jeżeli tak, co dokładnie. I czy w przypadku księdza i jego majaków można mówić o związku przyczynowo-skutkowym. A na końcu, jak się do tego wszystkiego ma ten cholerny wojewoda.

Spokojnym krokiem idę dalej, ku wschodniej stronie miasta. Na słupach telefonicznych z białymi porcelanowymi izolatorami przysiadają wróble, ćwierkając złośliwie. Przekrzywiają małe łebki i patrzą na mnie. Zatrzymuję się, bo wyraźnie słyszę, że trele brzmią nie jak normalny śpiew, ale jakby zawodziły: „trupek, trupek”. Dziwny zgrzyt w tej niby to sielskiej atmosferze, taki dysonans. Nie mam jednak ochoty zastanawiać się nad tym, zmęczony jestem po długiej drodze, zdenerwowany, *spiritus loci* jeszcze mi się nie wyklarował, jak się uprę, to te przekłete wróble wyćwierkają mi nazwisko niemieckiego kanclerza. Chcę jak najszybciej znaleźć Staffa i wyjechać stąd. Przeszedłszy most, docieram na plac targowy. To jeszcze nie rynek, jak się wcześniej dowiedziałem, ale jedyne miejsce handlu. Gwar, hałas i trajkot, pstrokacizna wielobarwnych strojów, czarnych kaftanów, różnokolorowych chust. Stoją wozy chłopów i skromne stragany Żydów. W powietrzu gęsto od gwaru, przekleństw i targów w jidysz, po rusku, ukraińsku, polsku. Rejwach niczym na Kercelaku. *Aj waj, aj waj, poszoł w choleru i granda, oszustwo*. W nos uderza zapach potu, gnoju, racuchów, pierogów i rozlanego kwasu chlebowego. Muczą krowy, rżą konie, psy szczekają, ryczy dzieciarnia. Baby stare w chustach na głowie, w koszulach czarnych, o wąskich ramionach, chłopci w kozuchach pomimo upału. Żydzi w chałatach, rybacy niosący kosze z rybami. Starzyzna, żywiec, nasiona, rękodzieło. Może bym coś kupił Agacie?

W tłum handlujących nie wchodzę, tylko z daleka się przypatruję płataninie ludzkiej. Nagle przez rejwach przebija się wysoki głos.

– *Maroziwa, maroziwa*^[7]! – krzyczy młody chłopak. – *Najlepsi, bo Dawid-garadkoje. W Brześciuje, w Łunińcuje, w Warszawie toże budiet!!! Maroziwa. Dawid-garadkoje maroziwa!*

Jak to często bywa, gorąc, który przed chwilą nie wydawał się aż tak straszny, w jednej chwili staje się nie do zniesienia. W ustach robi się sucho niczym na Saharze, na czoło występują kropelki potu, lody okazują się nagle pożądanym remedium na poleską spiekotę.

– Dobre te lody?

– *Najlepsi w Polsce* – odpowiada piegowaty sprzedawca w przydużej marynarce, zapewne ojca.

– Ee, coś bajasz...

Zielone oczy, jeszcze przed chwilą śmiejące się pod rudą czupryną, teraz wyrażają dezaprobatę.

– *Najlepsi w Polsce. Lwowie, Wilniu, a toże Pojzn je naszych maroziwow!*

Już chcę zaprzeczyć, ale waham się i ostatecznie próbuję mrożonej chluby grodu Dawida. Uczciwość każe mi przyznać rację. W smaku naprawdę wyjątkowe, tłusta śmietana przyjemnie gasi pragnienie. Płacę więc chętnie chłopakowi i wracam do „zwiedzania” w ramach „urlopu”.

Patrę ponad targowiskiem, gdzie bieli się drewniana cerkiew o dwóch symetrycznych wieżach. Jedna z trzech świątyń prawosławnych Dawidgródka. Jak się dowiedziałem, świeżo odmalowana po zeszłorocznym pożarze. Świątynia Boga jest po prostu piękna. Drewniana, o bielonych ścianach i złotych kopułach, dostojna prostotą swej architektury. Kopuła odbija światło słońca, stając się niejako drogowskazem.

Wzdłuż placu leniwym krokiem idzie przodownik policji, wesoło pogwizdując. Spokojna, wąsata twarz chłopska, oczy mądre i czujne, człowiek, co to sobie w kaszę nie da dmuchać. Z jednej z bocznych uliczek wypada nagle zgraja dzieciaków żydowskich. Krzyczą wesoło, gestykują niczym ich ojcowie przy targach na małym ryneczku. Na przedzie dziesięcio-może-letni chłopak, postrzępione krótkie spodenki, koszula sprana, ale bez dziur, oczy rozbiegane, pejsy wesoło skaczą wokół głowy.

Idzie tyłem, co rusz się ogląda, czy przypadkiem nie wpadnie na jakiś kamień albo wybój. Twarzą jest jednak zwrócony do kudłatej, żydłaczącej, wielorękiej, wielopejskiej oraz wielowarkoczej istoty. W środku tej istoty idzie, śmiejąc się, brodaty Żyd. Wzrok błędny, ruchy błędne, śmiech błędny, karykatura wioskowego głupka. Tyle że w chałacie.

– Kto to? – pytam.

– To Głupi Mosiek – odpowiada leniwie policmajster, nie patrząc nawet w stronę Żyda. – Biedak. W głowie nie na sto. – Dłoń wykonuje jednoznaczny gest. – Ale człek poczciwy, nie wadzi, nie szkodzi. Jego ojciec jest rabinem tutaj w synagodze, daje mu cukierki, a on dzieciarni rozdaje. Dobry człowiek. – Szuka w kieszeniach granatowej kurtki papierosów, uprzedzam go i częstuję jednym z egipskich. Zaciąga się z przyjemnością. – Widać, że pan nietutejszy. Chyba niedawno pan przyjechał?

– Dzisiaj.

– A co pana sprowadza?

Patrzę w dobre, spokojne oczy. Wyciągam legitymację służbową.

– A cóż to dwójkarz tutaj chce? – Brew przodownika unosi się jeszcze wyżej niż przed chwilą. – W czym mogę panu kapitanowi pomóc? – Prężę się na znak gotowości.

– Na początku wskazać drogę na komisariat.

– Rozkaz. – Policmajster wyjaśnia zawilóści topografii Dawidgródka i czeka na dalsze polecenia.

– Czy widzieliście może tego człowieka? – Pokazuję mu zdjęcie Staffa.

Wąsaty policmajster drapie się po głowie.

– Nie, nie kojarzę. Przykro mi. – Twarz wyraża szczery żal, w oczach pytanie, czy przypadkiem nie będzie mógł w czymś jeszcze pomóc.

– Słyszałem, że nie mewacie tutaj dużo turystów.

– A to różnie. – Przodownik uśmiecha się, szczęśliwy, że może pomóc. – Teraz się lato pomału zbliża, to ich będzie więcej. Wie pan, kajakarstwo, wycieczki nawet z dziećmiaczkami później. Autobusem jeżdżą z Pińska albo stateczkiem.

Kiwam głową.

– A nie bywa niebezpiecznie tutaj?

– No po prawdzie to bywa różnie. – Przodownik puszcza oko. – Ale odkąd pan wojewoda Biernacki nastął, jest spokojnie. – Uśmiecha się wyraźnie zadowolony.

– Jak to?

– No, trzyma wszystko w ryzach. – Policjant demonstruje wojewodową moc, zaciskając pięści. – Za mordę całą hałastrę, nikt mu nie podskoczy, to i turyści mogą przyjeżdżać i się rozkoszować Polesiem.

– Czyli nie ma problemu z komunistami?

– A, ci... Oni zawsze są problemem. Ale jakoś idzie ich nauczyć moresu. Tylko wie pan – podnosi rękę do oczu – ich siłą trzeba. Jak wojewoda.

– Widać wojewoda to prawdziwy dobrodziej.

– O, i to jak – energicznie zapewnia przodownik. – A czy mogę w czymś jeszcze pomóc?

– A tak. Jak jechałem tutaj, to słyszałem... – zawieszam głos – że tutaj co jakiś czas znikają ludzie.

Twarz policjanta na moment tylko zachodzi cieniem.

– A gdzie nie znikają? Wie pan, ja to jestem z radomskiego i tam też znikali. A wcześniej służyłem w skałańskim i też znikali, ba, leśnicy, ci to dopiero jak muchy. Tak to jest, że bywa niebezpiecznie. A tutaj bagna, łatwo drogę zmylić. Ot, najdalej trzy dni temu, taki mały chłopaczek w Chorsku poszedł nad rzekę. Utopił się nieboraczek.

– A skąd to wiadomo?

– A bo rzeczy jego na brzegu znaleziono, a po nim ani śladu. Tak to bywa, tak bywa...

Widząc, że w tej materii niewiele wskóram, dziękuję za pomoc.

– W takim razie powodzenia życzę. – Kiwa przyjaźnie głową. – Ja wracam do roboty. W chłopach krew gorąca, nie wiadomo, jaki czort im do głowy przyjdzie.

Ruszam w swoją stronę. Tymczasem Głupi Mosiek dziarsko idzie dalej wybrukowaną kocimi łbami uliczką. Dzieciarnia piszczy radośnie, kiedy Żyd tańczy z wysoko podniesionymi rękoma, ja zaś mam okazję dobrze mu się przyjrzeć. Ma na sobie czarny chałat upstrzony łatami, przetarte spodnie i brudną koszulę bez kołnierzyka. Sprawia wrażenie tyczki, wysoki

i niesamowicie, wręcz chorobliwie chudy. Na pierś spada mu czarna broda, sięgająca niemalże brzucha. Uśmiecha się co jakiś czas wesoło do otaczających go smarkaczy, coś nuci pod nosem, to znowu przystaje, coś do nich mówi. Nagle dostrzega mnie: uśmiech zamiera na ustach, opuszcza ręce, wzrok odzyskuje bystrość i skupia się na mnie. Dzieciarnia milknie, zdumiona raptowną przemianą pocziwego idioty, zmierzającego teraz w moją stronę sprężystym, zdecydowanym krokiem. Dzieci krzyczą za nim, oburzone rozwojem sytuacji, Mosiek jednak jest już przy mnie, chwyta mnie za klapy marynarki i zbliża swoją twarz do mojej. Uderza mnie odór zepsutych zębów, czosnku i cebuli oraz potok słów, które naraz wylewa z siebie. Mówi szybko, na jednym tchu niemal, połykając końcówki i żyłkując wyraźnie:

– Chłop samotny szedł dróżką polną. Z Szeolu demon wylazł i rzecze: moja to ziemia, moja to dziedzina. Zaufaj, człecze, skarłałej sośnie pośród wierzb płaczących, ona jedyna wie, czym jest czarne, a czym jest białe, że czarne czarnym nie jest, a białe białym. Chłop chce demona lucyferiańskiego, syna Lilith pokonać, ale sił mu nie staje. Jest i dąb samotny pośród lasów, który prawdę poznał i dzielić się nią zechce. Demon pradawny potężny, krwi łaknie, bez krwi słabuje. Czarny on. Nie ufaj, człecze, brzozom szumiącym, ich liście kłamią tobie, nie ufaj, człecze, olchom szumiącym, nie ich to dziedzina, ziemia ta. Chłop, człek mężny, demona w Szeol strącić pragnie, toteż siły zbiera. Leszczyna wie, co w gaju śpiewa, który ptak kona, a który piskłeta chowa. – Urywa, bierze oddech i puszcza klapy mojej marynarki. Grzebie chwilę w kieszeni i wciska mi w rękę irysa. – Chłopiec smutny. Mosiek cukierka da, chłopiec wesoły.

Stoję oniemiały, patrząc w plecy oddalającego się Żyda. Do dłoni przykleił mi się brudny cukierek, do twarzy wyraz głębokiego niezrozumienia. Po chwili otoczony czeredą dzieciaków Mosiek znika w bocznej uliczce, ja zaś rozglądam się niepewnie.

– Widzę, że i pana Mosiek męczył – znudzonym głosem orzeka ktoś za moimi plecami. Odwracam się i widzę drobnego człowiczka, o lekko szczurzej twarzy z dwudniowym zarostem. – On tak ma czasami. Nikt nie wie dlaczego, ot widać Żydek to Żydek. – Wzrusza ramionami. – Często męczy ludzi, których widzi po raz pierwszy. Niedawno musiałem go

odciągać też od takiego przyjeźdnego. Eh... doktor Stanisław Jankisz jestem. – Podaje rękę.

– Maurycy Jakubowski. – Ujmuję podaną dłoń. – Naprawdę? A co mówił?

– Żeby nie chodzić po lesie. Ale tamten nie posłuchał.

– Skąd ta pewność?

– A bo go nie widziałem potem, a widziałem, jak idzie do lasu. – Jankisz uśmiecha się smutno.

Naraz budzi się we mnie iskierka nadziei. Szukając zdjęcia Adama, wyjaśniam zwięźle cel mojego przyjazdu. Okazuje się, że Fortuna postanowiła się do mnie uśmiechnąć, bowiem doktor Jankisz kiwa niepewnie głową, przyjrzawszy się uważnie fotografii.

– Tak, to mógł być on. Tak, nawet na pewno.

– A dawno to było?

– Nie pamiętam, niestety. Ale potem widziałem, jak się z kapitanem Pawłowiczem gdzieś wybierał. On na pewno będzie wiedział.

Po tych słowach zegniam się i zamyślony idę przed siebie. Pawłowicz, znam to nazwisko, ale nie mogę sobie przypomnieć dokładnie skąd, notuję więc w myślach, by ponownie zerknąć do przywiezionych z Warszawy akt. Patrzą raz jeszcze na Dawidgródek, na jego lizane przez słońce biedne chaty, na jego błota i gwar. Dziwna sprawa z tym Staffem, że każdy mówi co innego. Rozmyślam nad tym, idąc. Lekki wietrzyk owiewa mi twarz, niesie aromat nasion i zapach koni. Kieruję się w stronę małego rynku, który zgodnie z wyjaśnieniami Kuli znajduje się na południe od placu targowego i na którym ma być miejsce, gdzie można coś porządnego zjeść. Ale najpierw chyba lepiej zajść do komisariatu. Nie ma co miejscowych drażnić i wzbudzać w nich podejrzenia, że robię coś za ich plecami.

Miejscowa siedziba Policji Państwowej mieści się w jednym z najbardziej okazałych gmachów w rynku. Grzmi wręcz, że tu jest Polska, a Polska to modernizm, geometryzacja bryły i, co najważniejsze, cegła zamiast drewna. Polska to cywilizacja, Polska to siła. Polska to błoto przed komisariatem i nad nim ułożona deska, która stęka, kiedy po niej idę. Dawidgródzki komisariat jest aż nazbyt wyraźną metaforą naszego posiadania na Kresach Wschodnich. Fasada nowoczesności na fundamencie z bagien.

W środku za kontuarem młody posterunkowy, równie znudzony, jak piegowaty, siedzi nad krzyżówką i skupia się tak, że aż mu żyłka wychodzi na czole. Moje chrząknięcie wybija go z zamyślenia. Patrzą na mnie skonsternowane oczy, które nie przywykły do interesantów mojego pokroju. Nie miałem przecież na sobie ani formalnego stroju, ani garnituru. Widać zwykli ludzie nie odwiedzają gmachu władzy.

– Ta-tak? – pyta, jąkanie zaś zdradza wyraźne obawy, co gość taki jak ja może zwiastować.

– Chciałbym rozmawiać z waszym przełożonym – mówię i kładę na kontuarze legitymację.

– K-którym? – patrzy niepewnym wzrokiem na dokument.

– A kto jest tutaj najwyższy stopniem? – drążę, chociaż wiem. Informacja o komisarzu Adlerze zawarta została przecież w teczkach, które dostałem na drogę.

– Ko, komisarz Adler... ale...

– No i mamy odpowiedź. Proszę prowadzić. – Podkreślam węża i uśmiecham się do posterunkowego. – Proszę się nie martwić, posterunkowy...?

– Balicki.

– Posterunkowy Balicki, nie chodzi o was.

Wstaje, aby otworzyć bramkę oddzielającą część dla petentów od części dla uprzywilejowanych. Chłopak cały czas się trzęsie. Ciekawe. Niezwykłe i niepokojące, co też jedna jedyna legitymacja defy może zrobić z człowiekiem. Zachowawczo nie chce się odzywać i w milczeniu prowadzi mnie do gabinetu zwierzchnika policji w Dawidgródku i jego okolicy.

– A zatem tak. – Komisarz Adler wbija wzrok w okno wychodzące na rynek Perły Polesia. Ogolona twarz, rzymski nos, oczy zdradzające inteligencję. Usta zaciśnięte, dające przedsmak tego, że rozmowa z nim będzie raczej rzeczowa. Wyraźnie różnił się od pułkownika Kuli. Ciekawe, czemu trafił do Dawidgródka. – Doceniam, że przyszedł pan od razu i zagrał w otwarte karty. Cieszę się – wyciąga z ust ustnik fajki, którą do tej pory przygryzał – że nie chce pan, kapitanie, robić niczego za naszymi plecami. Oddział Drugi ma zdolnego analityka, który zajmuje się różnymi nielegalnymi organizacjami o zabarwieniu wyraźnie nacjonalistycznym.

Do tego jest zapalonym historykiem amatorem, takim, co to szuka śladów przeszłości, i najchętniej toby je badał jak jakiś Kolberg, nie przymierzając. – Komisarz zaczyna miarowo stukać końcem fajki w ciemne biurko i ciągnie dalej. – W ramach urlopu jedzie tutaj, do Dawidgródka, co samo w sobie jest dziwne. Wie pan, ta cała turystyka to pic na wodę. Ktoś wpadł na pomysł, że zrobi się z Dawidgródka centrum poleskiej turystyki, tylko nie sprawdził danych. A potem trudno się takie wbite do głowy informacje odkręca. Ale w tych myślących głowach informacje przecież są. Co, u licha, taki analityk robi na Polesiu jako turysta? – Uśmiecha się krzywo. – I do tego znika. A wy, tam, w stolicy, zaczynacie się martwić. Bo przecież Dawidgródek to rzut beretem od Sowietów i kto wie, co temu biednemu analitykowi do głowy strzeliło. I teraz wysłali pana, kapitanie, aby znalazł pan nieszczęśnika. Najlepiej martwego, zabitego w wyniku nieszczęśliwego wypadku albo może żywego, ale po jakimś wypadku. To, czego nie chce pańska służba, to Adam Staff zabity, z wyraźnymi śladami porachunków agenturalnych, albo co gorsza nieznaleziony w ogóle, bo to by mogło wskazywać, że został przekabacony przez komunistów.

Kiwam głową z aprobatą.

– Cóż, tutaj nie pomogę. Oczywiście rozumiem, że na razie śledztwa nie zaczynamy?

– Wolałbym nie.

– Rozumiem. – Adler bawi się fajką i patrzy w okno.

– Ile osób rocznie tutaj ginie? Bo doszły mnie słuchy...

Komisarz Adler wstaje, sięga do jednej z szaf i wyciąga teczkę.

– To sprawy z ostatniego roku. Łącznie trzydzieści. Kapitanie Jakubowski, to jest Polesie. Kiedy w Warszawie albo w Poznaniu, czy nawet w Małopolsce albo pod Lwowem, zaginie człowiek, to jest to coś niezwykłego. A tutaj? Zabili go bandyci. Pijany wpadł do wody i się utopił. Uciekł do Sowietów. Był przemytnikiem i trafił do kazamatów NKWD. Dziesiątki możliwości. Czasami człowieka zabiera po prostu bagno. Tak długo, jak nie ma ciała, nie ma problemu. Do tego bandyterka. Korpus zwija się jak w ukropie, ale i tak może zabezpieczyć jedynie niektóre obszary. Ja sam nie wiem, nad czym panuję, są dziesiątki chutorów, do

których dotrzeć można tylko pojedynczymi drózkami albo tylko wodą. Dzieciak umrze, to nawet nie wiem, czy on w ogóle żył...

– A ci żołnierze Korpusu? Zaginęli ostatnio...

– Mój mundur jest granatowy, a nie zielony, to i nie moje zmartwienie, że tak brutalnie ujmę sprawę. Co się Korpusu tyczy, w Korpusie zostaje. Nie jest jednak tajemnicą tutaj, że żołnierze Korpusu padają coraz częściej ofiarą ataków ze strony Sowietów i ich popleczników.

– A co poza protokołem by pan powiedział, komisarzu? Przecież zna pan Korpus...

– Podejrzewałbym jakąś nielegalną akcję, w której ci dwaj zginęli. Jakiś mały rajd na teren Sowietów.

– Przecież to by było wypowiedzenie wojny. Nikt mi się o tym nawet nie zająknął w Warszawie, a przecież to istotnie zmienia postać rzeczy.

– Dlatego KOP to ukrywa. Ale robią takie akcje co jakiś czas. Przebierają swoich za przemytników i robią, co mają zrobić. – Z ust wypuszcza kłęby białego dymu przysyłającego go na chwilę.

– A co na to wojewoda Biernacki?

Adler z kamienną twarzą zachowuje spokój.

– Jak to co? Potępia. Ale ma związane ręce. Nie jego jurysdykcja.

Teoretycznie ma rację, praktycznie w to ani trochę nie wierzę. Jeśli wziąć pod uwagę fakt istnienia domniemanej „gwardii” Biernackiego, jest to niewykluczone. Jeżeli te rajdy to prawda, to wojewoda doskonale o tym wie, ba, sam je inicjuje. Adamie, w co ty się, do diaska, wplątałeś?

– A właśnie, skoro jesteśmy przy wojewodzie, chciałbym się z nim spotkać. Skoro Staff jechał do niego...

– Mogę jedynie życzyć powodzenia. – Adler szczerzy się w kwaśnym uśmiechu. – Ja jestem tutaj drugi po nim przedstawiciel władzy cywilnej. I co? I widuję go może cztery razy do roku. Jego zastępca również nie widuje go za często. – Komisarz podnosi palec do góry tak, że kieruje go wprost na portret Biernackiego wiszący tuż obok Piłsudskiego i nad Rydzem-Śmigłym. – Niech pan pamięta, „Nad Bugiem jest Brześć, a nad Brześciem jest wojewoda Biernacki”. On widzi wszystko. No, ale nie chcę zajmować czasu. Spotkamy się pewnie wieczorem, nasza dusza

towarzystwa, kapitan Pawłowicz, nie odmówi sobie możliwości zaproszenia pana.

– Wieczorem?

– Tak, w restauracji, na preferansie.

– Nie mogę nie przyjąć zaproszenia. – Uśmiecham się całkiem szczerze.

– Zanim jednak dam panu spokój, mam jeszcze jedno pytanie. Dysponuję pewnymi... hmm... danymi odnośnie do nastrojów ludności, ale chętnie bym usłyszał zdanie kogoś stąd.

Adler wzdycha ciężko, drapie się otwartą dłonią w podbródek.

– Więc tak, mogę mówić to, co wiem, i dodać, co sam o tym sędzę – zaczyna w końcu. – Poleszycy nas nie kochają, ale i nie nienawidzą. Są niewiadomą. Trochę jak ta łódka w wodzie bez steru i żagla, tam popłynie, gdzie prąd ją rzuci. Mówiąc inaczej, doczekaliśmy się kolonii, nie mając kolonii. Jest pamięć o Polsce, nędza i nienawiść, tępa i nierozumna. Ot co! Jeżeli chodzi o moje zdanie, to powinniśmy raczej się trzymać etnicznych granic. Podstawą racji polskiej jest jej naród, ludzie jednej krwi, jednej kultury i jednego języka. Dlatego tutaj jest tak trudno. No ale możemy i musimy tę ziemię polonizować, bo inaczej wejdą za nas tutaj Sowiety. Należy pokazywać siłę, a nie liczyć na jakieś wydumane ideały.

– Chodzi panu o prometeizm?

– Chodzi mi o nadskakiwanie mniejszościom. Prometeizm można robić z głową i wojewoda robi to dobrze... – brzmi jakby właśnie zdał sobie sprawę, że zabrnął za daleko w swoich wywodach i musi się jakoś wykaraskać. – Inaczej niż wojewoda wołyński, Józewski. Do czego prowadzą jego eksperymenty wołyńskie, wszyscy widzimy. – Zaciska zęby.

– Czy wystarczy panu takie wyjaśnienie?

– Najzupełniej.

– W razie kolejnych pytań proszę się nie krępować. Żywię nadzieję, że spotkamy się wieczorem.

ROZDZIAŁ III

Na zapleczu restauracji

29 kwietnia 1937

Środek rynku to klepisko, rozjeżdżone przez konie i wozy, okolone betonowym trotuarem, z którego prowadzą drewniane kładki do poszczególnych budynków. Wchodzę od południa, czyli od siedziby władz Zarządu Miejskiego, do której tłoczy się kolejka interesantów. Tak samo jak koszary, to architektoniczny symbol cywilizacji: murowany, neoklasycystyczny, dostojny i dumny. Odcina się od drewnianych chałup niczym kawał dobrego sukna od starego materiału. W podcieniu przed ciężkimi drewnianymi drzwiami stoi kolejny smętny mundurowy, ze znużeniem kopcający papierosa. Na wschodniej pierzei sklep z owocami i kolejny z towarami kolonialnymi. Dwa brudne niemiłosiernie szyldy, ogłaszające, że herbata i kawa, a nawet przyprawy prosto z krajów dalekich i kolonii. Towary kolonialne z jednej kolonii trafiają do innej... A w Bangladeszu co? Jagody poleskie i woda lecznicza dniestrowa czeka na ciężkie mieszki Hindusów? Dalej szewc. W tym mieście jest podobno czterystu szewców. Całe Polesie reperuje tutaj buty, takie to dawidgródzkie specjały. Na kolejnej ścianie bank kupiecki spółdzielczy i apteka. Na kolejnej balwierz, cyrulik lub najzwyczajniejszy golibroda. Szyby lokalu w kurzu i brudzie, nie dojrzysz, co w środku się dzieje. Drzwi się otwierają, wychodzi karzeł w białym fartuchu, twarz wykrzywiona grymasem, oczka małe chytrze lustrują rynek, pokurczone i powykrzywiane palce szukają czegoś w kieszeniach, w końcu znajdują papierosa i zapalają.

– Może pan raczy się ogolić? – zwraca się do mnie piskliwym głosem. Biję od niego zapach mydła, piany i wody kolońskiej. – Jedyne trzydzieści groszy.

Odruchowo sprawdzam zarost, ręka dotyka gładko, regulaminowo ogolonych policzków, przez głowę przechodzi mi myśl o ojcu, który zawsze

mawiał, że klasę mężczyzny pokazuje to, że nawet po pijaństwie może się ogolić. Przecież w Pińsku się goliłem, dziś rano.

– Nie trzeba.

– Zawsze można – karzeł się nie poddaje. Patrzy przenikliwymi, czarnymi niczym dwa węgielki oczkami.

– Nie skorzystam.

– Jak nie dziś, to jutro – mówi niezrażony moim twardym tonem. – Wie pan, panie przyjezdny – mówi już do moich pleców – golibroda dużo słyszy i dużo widzi.

Karła gadanie. Sплюwam od niechcienia, na kurz i brud Polesia. Przede mną, nad dachami domów, nieco po lewej, wyrasta cerkiew bulwiastymi kopułami. Białe wieże wbijają się w niebo krzyżami na złotych kopułach. Kuty parkan szczelnie oplata teren, w drzwiach drewnianych pop czarnobrody z rękami na plecach założonymi. Gdy mnie widzi, pochyla głowę i wraca do środka, zbyt daleko jednak stoi, bym mógł mu się dokładnie przyjrzeć. Patrząc raz jeszcze, dziwny spokój bije z tej budowli. Tak jakby było oczywiste, że ona być tutaj musi. Nie idę jednak do niej, ale do austerii „U Czaronoho”, mieszczącej się w bocznej uliczce za urzędem pocztowym. Przed zajazdem mijam kilka wozów kupieckich nieogumionych, za to z kołami oblepionymi szarym błotem. Już chcę wejść, ale coś mnie powstrzymuje. Nie chodzi nawet o smród niemytych ciał i taniej gorzałki, ale pewne nieuchwytnie przecucie. Przed wejściem siedzi dwóch Poleszuków, chyba furmani, sądząc po strojach. Kiedy tylko się zbliżam, milkną, patrzą na mnie badawczo. Stoję i ja przez chwilę, mierząc ich wzrokiem, i już wiem, że nie wejdę do środka, bo bije, oj bije wrogością. Nieśpiesznie zapalam zatem papierosa i niby to od niechcienia odwracam się. Wyraźnie słyszę, jak jeden z nich spluska i mruczy pod nosem: *polskij pan*.

* * *

To ostatnia niedziela... – zawodzi Fogg z gramofonu, kiedy wprawiony w ruch połączony dzwoneczek oznajmia moje przybycie do lokalu gastronomicznego. W salce poza głosem władcy serc niewieścich i znudzonego kelnera nie ma nikogo. Dzielni pracownicy urzędu albo już

skończyli swoją przerwę, albo dopiero tłumnie przybędą. ...*Na wieczny czas*
– łka piosenkarz, gdy odpalam papierosa. Nie cierpię tego szlagieru, głównie za to, że jest absolutnie wszędzie. Nawet w tej dziurze.

– Jest tu telefon?

– Dla gości. – Kelnerzyna kiwa znudzony głową.

– Kartę podajcie, dobry człowieku. Potem zadzwonię.

– Wie pan, że ludzie to masowo zabijają się od tego grajka? – Kelner niski i raczej brzydki, za to mówi po polsku, co zdaje się nie jest w Dawidgródku regułą. Twarz zdradza przejście wyjątkowo parszywej ospy, oczy ciemne i inteligentne każą podejrzewać go o wrodzoną lisią złośliwość. Do tego rysy wskazują, że przodkowie kelnera zwykli brać w jasyr polskie dziewczęta i walić łbami przed wezyrem tureckim. Bije od niego czymś wyraźnie nieczystym, tak że aż chce się nadać do urzędu, czy aby nie za bardzo lubuje się w kapepe^[8] albo jakichś zбочzeniach natury płciowej. Gęba niedogolona ze szczeciniastym zarostem. „Nucąc wciąż jedno zdanie...” – płyta przeskakuje na kolejne tango, mające moc wycisnąć łzy u pańienek.

– Słyszałem. Ale wolę usłyszeć, co tu można zjeść.

– Flaki, kasza ze skwarkami, barszcz ukraiński, sandacz – wylicza monotonnym głosem kelner.

Kiedy po dłuższej chwili odchodzi z moim zamówieniem na sandacza z chlebem, rozbrzmiewa już pierwszy akord *Chryzantem*. Fogg torturuje mnie z tego przekłętą ustrojstwa, nie mam jednak specjalnego wyboru, muszę w końcu coś zjeść. Czekam więc przez naznaczone męczarniami kolejne minuty, aż w końcu *Chryzantemy* raczą ostatecznie zwiędnąć, nie uśmiechając się do mnie. Drzwi się ponownie otwierają, dzwoni złoty dzwoneczek, a wraz z nim rozbrzmiewa *Pamiętam twoje oczy*. Aż chce się wziąć siekierę i bubkowi w drobne drzazgi roztrzaskać ten gramofon i te cholerne tanga. W progu ukazuje się mały facecik w źle dopasowanym garniturze, wypisz wymaluj małomiasteczkowy urzędnik o nalanej twarzy, małych oczkach, skrytych za okrągłymi brudnymi szklami, z dłońmi niechybnie spoconymi. Przez chwilę lustruje lokal, naraz zawiesza wzrok na mnie i uśmiecha się promiennie, po czym pędem rusza ku mojemu

stolikowi. Wyłapuję tylko krzywy wzrok kelnera, nim facecik, wyprężony, staje naprzeciw mnie, z wyciągniętą w geście powitalnym ręką.

– Alojzy Licynka... – świdruje mnie inteligentnymi oczkami – osobisty sekretarz burmistrza Jana Olgierda.

Nie uważam za stosowne wstać, podnoszę tylko nieznacznie wzrok.

– A co pana do mnie sprowadza?

– Pan Maurycy Jakubowski – stwierdza, zamiast spytać, i niezrażony siada na wolnym krześle. Patrząc na niego uważnie i bardzo nie podoba mi się fakt, że zna moje personalia. Wonieje od niego kurzem i stęchlizną.

– Cały czas nie wiem, czego pan ode mnie chce, a teraz nie wiem na dodatek, skąd pan zna moje nazwisko.

– Co pan zamówił? Mam nadzieję, że nie flaczki? – Facecik jest istną kulą energii. To stuka palcami, to poprawia marynarkę, to przygląda przetłuszczone włosy.

– Czy pan...

– Wie pan, proszę pana – wcina mi się w słowo – kapitan Staff... – na wzmiankę o Staffie sztywnieję mimowolnie – też był taki nerwowy. To u was w stolicy normalne?

Szczyście trzeba rwać jak świeże wiśnie, Fogg zagłusza nieco jego słowa, jednak nie na tyle, abym nie usłyszał. Ten człowieczek zna moje imię i do tego łączy mnie z Adamem, co wcale nie wróży niczego dobrego. Ba, zapowiada raczej całą serię nieprzyjemności.

– O co panu chodzi? Skąd pan zna moje imię? – warczę na nieproszonego gościa, wkładając w słowa tyle agresji, ile tylko mogę bez trzaśnięcia go gramofonem w łeb. Dość, by nawet taki czynownik wyczuł, że stąpa po kruchym lodzie. Lub głębokim trzęsawisku, skoro jesteśmy na Polesiu.

– Spokojnie, proszę pana. – Unosi ręce w geście obronnym. – Moja wina, moja wina – uderza się w pierś, jakbym był księdzem, a on petentem. – Niechże się pan nie turbuje. Dowiedziałem się o panu od... – teatralnie ściszony głos – pułkownika Kuli. Nie wspominał panu o mnie?

– Nie... – odpowiadam już nieco spokojniej, choć dalej cedzę przez zęby.

– Fatalnie, fatalnie. – Licynka załamuje ręce, całym sobą pokazując, jak bardzo jest mu źle z tego powodu. – No, ale trudno. Chciałbym pomóc – dodaje czołobitnie.

– To niech pan mi załatwi audiencję u wojewody – burczę.

Uśmiech zamiera na jego twarzy. Wiśniowy kolor policzków ustępuje pomału miejsca trupiej bladości.

– Panie... – mówi w końcu – audiencja u samego wojewody Biernackiego? – Nazwisko wymawia, jakby zaraz miał się przeżegnać. Nie żegna się jednak, zamiast tego ręka szybkim ruchem wędruje pod stół, do kieszeni marynarki, i po chwili znów się wyłania. Licynka bierze długi wdech. – Tak to ja panu nie pomogę, to poza moje kompetencje wychodzi. Ja mogę inaczej, ale nie tak, nie tak...

– Co pan wiesz o kapitanie Staffie? – zapalam kolejnego papierosa.

– Po kolei, po kolei. – Na policzki wracają kolory, ton głosu także odzyskuje dawny wigor. – O, idzie pana rybka. Bardzo dobry wybór. Panie starszy i dla mnie rybka oraz dwie wódeczki – zwraca się do kelnerzyny.

– Gadaj pan wreszcie: co ze Staffem?

– Coś pan, chyba rumianek się przyda. A zatem po kolei. Nazywam się Alojzy Licynka i jestem sekretarzem burmistrza Jana Olgierda.

– To już wiem...

Patrzy na mnie wesoło, ale nie komentuje. Po chwili kontynuuje:

– Mieszkam tu, w Dawidgródku, na ulicy Szpitalnej w takim małym uroczym domku. Moja praca zobowiązuje mnie do częstych wyjazdów służbowych w różne części Polesia. Podczas jednej z podróży na linii Łuniniec–Stołpce spotkałem kapitana Adama Staffa, który akurat jechał w tym samym przedziale co ja. Od słowa do słowa zgadaliśmy się, że szuka kontaktu z wojewodą. Powiedziałem mu, że to bardzo trudna sprawa, ale on się uparł i jechał do Stolina.

Przez chwilę chcę go poprawić, że przecież nie do Stolina, ale do Sienkiewicz jechał. Tak mówił major Kula, ale powstrzymuję się. Wygląda na to, że wpakowałem się w niezły pasztet i Bóg raczy wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Czuję, że zdrowiej dla mnie będzie nie mówić, co już wiem.

– A czego on tam szukał?

- A tego to nie powiedział. – Urzędnik ze smutkiem kręci głową.
- Ale na pewno jechał właśnie tam?
- Tak. Ja mogę panu kapitanowi powiedzieć jeszcze, że pan burmistrz o tym doskonale wiedział.
- Aha... – Licynka zaczyna intrygować. – A skąd to przypuszczenie?
- No jak to? – Licynka kręci się na krześle. – No przecież kapitan sam pytał pana burmistrza o to, czy ten ma kontakt z panem wojewodą, oficjalnie przyszedł i w ogóle... – Nagle się podrywa. – Toż mi już siedemnasta! – wykrzykuje. Rzuca na stół wysupłany z portfela banknot i wybiega, ja zaś ze spokojem kończę sandacza. Trzeba będzie Licynkę przycisnąć. Ciekawe, czy to tylko żalosny karierowicz, który właśnie wyniuchał okazję wykopania dołka pod burmistrzem, czy też może jest coś na rzeczy.
- Rachunek! – Skinieniem przywołuję kelnera.

Smętny poleski *garçon* podchodzi do stolika. Z grymasem, który nieudolnie symuluje uśmiech, podaje mi złożony na dwoje zwitek, po czym znika na zapleczu, na moje nieszczęście przestawiając po drodze igłę gramofonu. Odprowadzam go nienawistnym spojrzeniem, podczas gdy Fogg zaczyna swój koszmar od nowa. Zerkam na liścik.

Za główną cerkwią dziś o jedenastej wieczór.

B.K.

Patrzę zdziwiony w stronę drzwi, ale kelnera już nie ma w zasięgu wzroku. Jaki znowu, u licha, B.K.? Składam kartkę i wsadzam do kieszeni na sercu. Co o tym myśleć, trudno powiedzieć. Najpewniej żart głupi, chociaż, Biernacki ich tam wie na tym dzikim Wschodzie.

Została jeszcze jedna rzecz.

- Dziewięć, pięćdziesiąt siedem, dwanaście, Warszawa – rzucam do słuchawki.
- Halo! – rozbrzmiewa po drugiej stronie.
- Panie Zygmuncie, tu Maurycy, czy mogę prosić Agatę do telefonu?

– Maruś. – W sekundzie orientuję się, jak mocno tęskniłem za tym kojącym, spokojnym głosem.

– Dzień dobry, Agatko, jak się masz?

– U nas wszystko dobrze, kochany. Cieszę się, że dzwonisz. Pewnie tam trudno o dobry kontakt. Czytałam, że bywają tam problemy z linią.

– Tak, będę raczej pisał listy.

– Dziękuję ci pięknie. – Zamykam oczy i widzę jej lekko piegowatą twarz i rezolutne spojrzenie. – Maurycy, pamiętaj, proszę, aby się tam nie zatracić.

Agata jest niezwykłą osobą, obdarzoną z jednej strony przenikliwym umysłem, z drugiej nieprzeciętną wręcz dawką realizmu, tak rzadkiego u kobiet, które znam.

– Będę pamiętał. O listach też.

– Czy dobrze się czujesz? Jak to Polesie? Czytałam o nim trochę i nie wygląda to ciekawie.

– Cóż, Lwów to nie jest, nawet Białystok... A jak ty się tam czujesz?

– Dobrze, dobrze, o mnie się nie martw. No już, całuję cię, mój drogi, pamiętaj, że cię kocham. Pracuj dzielnie.

Odpalam kolejnego egipskiego, klnę w duchu i ruszam na dalszą eksplorację „Perły Polesia”. W sercu czuję niesłychane rozdarcie, powinienem teraz być przy niej. A niech cię, Staff! Obym cię szybko odnalazł. Raz jeszcze zamykam oczy i widzę skupioną twarz przyjaciela, jego bezkompromisowe analityczne podejście do życia, to jego liczenie każdego grosza przy rachunku, które zawsze tak mnie bawiło.

* * *

Po kolacji udaję się do hotelu niejakiego Mose Fridmana, w którym ponoć zatrzymał się Adam. Gdybym miał ochotę być dyplomatyczny, powiedziałbym, że budynek jest niezbyt okazały. Ochoty takiej jednak nie mam, jest więc po prostu smętny, tani i z pewnością stanowi poligon dla połowy dawidgródzkiej populacji pluskiew. Wnętrze potwierdza obserwację, lokal lata świetności ma tak dawno za sobą, że trudno w ogóle uwierzyć w ich istnienie. Brud, kurz, stęchlizna, marne oświetlenie

i dywan, w którym więcej dziur niż samego materiału. Bywałem trochę w hotelach naszej Rzeczypospolitej i jeżeli Dawidgródek faktycznie ma zostać turystyczną perłą, to musi dużo nadgonić.

– Jest tu kto? – wołam, z obrzydzeniem odrywając dłonie od lepiącego się kontuaru. W końcu po długich minutach wyłania się niski człowieczek semickiego pochodzenia. Dopiero po bliższym przyjrzeniu się odkrywam, że nie jest to mężczyzna, a wyjątkowo brzydka kobieta. Przez chwilę zawieszam wzrok na monstrualnej brodawce wyrastającej z jej ucha.

– Pytam się, w czym pomóc szanownemu panu? – wdzięczy się do mnie obrzydliwie.

– Był u was klient. Kilka dni temu zniknął.

– Może i był...

Rozważam w myślach, czy podsunąć jej pod nos legitymację, czy może załatwić to innym sposobem. Wyciągam pugilares i kładę na kontuarze dwa złote.

– Mówi pan o panu Staffie. – Od baby czuć czosnkiem. – Był taki.

– A w którym pokoju?

– Siódmym. Pokazać? Ale pan wie, to trzeba teraz go wynająć. Na cały dzień pan sobie życzy?

– Na minuty bym wolał. – Mielę przekleństwo w ustach.

– Tak to może być trudno.

– Ale skoro jest wolny, to znaczy, że jego tam nie ma. A może rzeczy zostawił?

Żydówka krzywi się, bo chyba pojęła swój błąd.

– Może i są. Zostawił, nie odebrał.

– To ja je sobie przejrzę, a dla pani jeszcze dwa żaglowce do floty.

– Co to za flota bez bandery?

To ci chciwe babsko!

– Sztandar będzie, jak będzie coś więcej.

Taksuje mnie wzrokiem, w końcu wskazuje ręką, aby iść na zaplecze. Tam jest torba.

– Za dwa złote można obejrzyć.

Pokazuję jej pięć złotych i jeszcze jedno pięć.

– Za zabranie, i pani zapomina o tym, że tutaj byłem.

– A jak pan Staff przyjedzie? – nie daje za wygraną. Trzęsie się z ekscytacji, brodawka podskakuje, baba rozsiewa woń stęchlizny i niemytego ciała pomieszaną z cebulą.

– To wtedy mu pani powie, że ja zabrałem. Nie obrazi się.

– Ale z tego jaki kłopot może być...

Patrzę w oczy hotelarki. Odchylam poły marynarki, pokazując pistolet.

– A owszem, może być, jak pani nie przestanie kłapać dziobem.

– A kto pan jest i co pan tutaj robi? W czym pomóc? – Nic nie odpowiadam, patrzę tylko niecierpliwie. – Została po nim jedna rzecz – mówi w końcu Żydówka. – Ja przyniesę.

Wyciągnięty na niewygodnym łóżku u Zwisłockich, czytam poemat *Ziemia przeklęta*. No właśnie, przeklęte ziemie poleskie... To ta książka, którą zostawił Adam w hotelu. Autor ma raczej umiarkowany talent pisarski, za to niecodzienną wyobraźnię, a mój Staff – niebywałą fantazję, by to czytać. Czego tam nie ma – demony, smoki, czarty i skarby. Fabuła nader prosta, aby nie rzec, prostacka, powiedziałbym, że książka idealna raczej dla kuchty, ale nie dla doborowego kapitana.

Był sobie książ Woron, który posiadał wielkie łupy i zamek, ale chciał panować nad ludzkimi umysłami. W tym celu sprowadził sobie maga Maroka z dalekiej krainy, który miał mu dać taką władzę. Ale Marok okazał się sługą demona, co to żył na ziemiach kniazia od wieków, niejakiego Syna Moczarów czy też Syna Bagien. Kniazia zaślepiała żądza władzy do tego stopnia, że był w stanie zrobić wszystko, demon zaś, aby się obudzić, musiał napoić się krwią. O ile dobrze zrozumiałem fabułę, przed laty został pokonany przez swojego wroga Kościeja. Książ spełniał kolejne żądania, porywał coraz więcej ludzi, aby złożyć ich w ofierze demonowi. W końcu mag Marok zażądał córki kniazia, ten zaś w szaleństwie oddał i ją. Dopiero kiedy utopiona została w bagnie, demon się przebudził, Woron zaś opamiętał. Wpadł w rozpacz i miotał się po zamku, wtedy pojawił się

Kościej i zaoferował pomoc. Trzeba było jednak oddać wszystkie skarby. A że faktycznie książę Woron posiadał niecodzienny skarb, przekazał go w charakterze zapłaty za pozbycie się demona. Musiał go złożyć w określonej pieczarze, a wejście do niej zawalić kamieniami. Dodać trzeba, że miejsce to musiał skropić krwią zwierząt różnych i samemu upuścić sobie krwi „tyle, aby ledwie mógł wydyszeć”. A potem miejsce ukrycia skarbu opieczętował pięcioma filarami.

W książce była jeszcze jedna kartka z długą listą miejscowości i dat. Przyglądam się jej, ale niewiele mi one mówią.

20.03 *Brzozo*

22–24.03 *Pińsk*

29–30.03 *Sarny*

2–3.04 *Olmany*

5–6.04 *Olhomle*

11–12.04 *Prypeć*

13.04 *Rokitno*

15.04 *Jeziory*

16.04 *Stolin*

20.04 *Kołki*

22–23.04 *Chutor Merliński*

27–28.04 *Kołki*

30.04 *Chorsk p*

5–06.05 *Łuniniec p*

Zgodnie z tym, co było napisane, rozpiska dotyczy czegoś, co w części wydarzyło się już po zaginięciu Staffa. Poniżej dopisek: *Etiam in morte superest amor*^[9]. Jest jeszcze wizytówka z danymi „Skład Apteczny A. Niekiel, Dawidgródek”. Nic mi to nie mówi.

Wyszedłem z niczym i skierowałem się na preferansa.

* * *

Tuż przed bramą naszego garnizonu wpadam na wysokiego blondyna z delikatnymi bokobrodami i wesołymi, zielonymi oczami, który pogwizdując, patrzy na załadowany workami z mąką wóz. Więc jednak człowiek mi znany. Ubrany w typowy mundur żołnierza KOP-u. Szczęśliwie karty uśmiechają się do mnie w typowy dla siebie sposób, czyli absolutnie niespodziewanie.

– Maurycy Jakubowski?! – krzyczy znad wozu.

– Zbigniew Pawłowicz?! – raz jeszcze przyglądam się roześmianej twarzy. I to właśnie mój dawny znajomy, Zbyniu. Liczę w pamięci, ostatni raz widzieliśmy się dobre siedem, jak nie osiem lat temu. Pawłowicz stacjonował w Warszawie, spotkaliśmy się bodajże w „Ananasie” na jakimś kabarecie, że zaś z miejsca przypadliśmy sobie do gustu, sporo było tego wieczoru wypite. Potem on został przeniesiony, chyba do Stanisławowa, ja zaś zostałem w Warszawie. Zbyniu był człowiekiem z mojego dawnego życia, tego mniej uporządkowanego, skupionego na krotchwili i kobietach.

– Co cię przywiało na te ziemie? – podbiega do mnie z otwartymi ramionami. – Czy przypadkiem dalej jesteś...?

– Tak, tak, cały czas pracuję w Dwójce. – Tłumaczę po chwili, że zaginął człowiek ministerstwa, Adam Staff.

– Co też nie powiesz! Więc kapitan Staff zaginął... – Drapie się po głowie w zamyśleniu. – Wyjechał tak bez pożegnania, ale wiesz, on był nieco dziwny, taki zadumany ciągle. Podejrzywałem, że mógł nie pomyśleć po prostu.

– Powiedziano mi, że zwiedzał razem z tobą okoliczne tereny.

– Tak, tak. – Pawłowicz grzebie oficerskim butem w szarym poleskim piasku. – Wiesz, ja tutaj oficer aprowizacyjny jestem, znam wszystkie tereny okoliczne, to mu pomagałem. Zaginął? Kurczę, taka sprawa. – Drapie się po głowie zdziwiony. – A niech to. Słuchaj, jak będę mógł pomóc, to służę. Domniemywam, że już sam się zakreśliłeś. Pewnie byłeś u Adlera? U Kuli to na pewno. Kurczę, kto mógłby jeszcze...

– Tak, Kula nawet chciał pomóc – przerywam. – Adler zaprosił mnie też na wieczór na preferansa.

– Rewelacja. – Uśmiech rozpogadza oblicze Zbynia. – Ja postaram się jeszcze pomyśleć.

– Czy mógłbyś wskazać może miejsca, w których...

– Jutro z samego rana proponuję wybrać się na wycieczkę krajoznawczą po naszych zabytkach i atrakcjach. – Z Pawłowicza wręcz tryska energia. Nachodzi mnie refleksja, że dziwny to człowiek, raz zamysłony, raz wręcz niezwykle entuzjastyczny. – A póki co, proszę, pytaj o wszystko.

– To co takiego zwiedzał Staff?

– Wiesz, dokładnie to nie wiem. Nie wiem, czego szukał. Najpierw oglądał wzgórze zamkowe, następnie pobliskie ruiny, a musisz wiedzieć, że mamy ich sporo w okolicach Dawidgródka. Kurhany na południu i północy, wykopaliska przy jednym z nich i pobliskie lasy. Potem poprosił mnie o pomoc. To pojechaliśmy oglądać resztki zameczku nad uroczyskiem Zamczyszczyn i las do niego przyległy. Doszliśmy nawet do piramidy.

– Piramidy? – pytam zdębiały. – Takie cuda macie tutaj, na Polesiu?

– Tak, zobaczysz jutro dokładnie. Taki zwariowany twór, pomnik, grobowiec, dobry Bóg wie po co, ponoć tego jest więcej. Poza tym zwiedzał też bardzo dużo sam, wiem, że raz wybrał się nawet nad samą granicę do strażnicy Korpusu. Horyc będzie wiedział – łapie mój wzrok pytający – nasz oficer od propagandy. W każdym razie cały czas chodził z jakąś książeczką i mruczał coś pod nosem. Więcej nie wiem, w końcu nie cały czas byłem przy nim, a jedynie w przerwach służby mogłem mu pomagać. Ot i to, co wiem – kwituje z ostatnim słowem. – A nie, czekaj. Jeszcze jedna sprawa, on się spotykał z tym folklorystą wariatem, Dowgirdem.

– Z kim?

– Jan Dowgird, specyficzna persona, nauczyciel historii i maniak teje. Wiem, że Staff z nim się widział i rozmawiał.

– A gdzie go spotkam?

– Mieszka niedaleko. Na ulicy... a niech to!, nie przypomnę sobie, w każdym razie na południe za kanałem. Sprawdzę i ci powiem wieczorem, jak wpadniesz na karty...

– No dobrze, a teraz druga sprawa. Wojewoda. Powiedz no, Zbyniu, co z nim nie tak?

Reakcja odmienna z kolei niż u Adlera. Zbyniu nie czuje się zbity z tropu, żadnego zmieszania na twarzy, wydaje się nawet rozbawiony.

– A co, opowiedziano ci masę fantastycznych teorii pewnie? Po pierwsze, wiesz, my jesteśmy nie jego zakres obowiązków. Własne ciało. I stąd też różnice. Korpus, cokolwiek by mówić, to jednostka specjalna i nie ma innej drogi niż życie na kresach. No, ale urzędnicy i cała reszta to inna para butów. To, co dla nas jest normalne, dla nich jest karą. Rozmawiałeś z Adlerem. On, gdyby tylko mógł, porzuciłby Dawidgródek i przeniósł się gdziekolwiek, nawet gdyby to miał być tylko Pińsk. A właśnie, nie mówił ci, co jest plagą naszego skrawka ziemi?

Kręcę głową.

– Otóż Dawidgródek boryka się z plagą samobójstw wśród polskich osadników, urzędników et cetera. Jedni mówią: złe powietrze, inni szukają mistycznych wyjaśnień, że ziemia nie chce Lachów. Ja mam inną diagnozę: brakuje im pogody ducha i celu.

– I ty je masz?

– Tak, a do tego niezbędny składnik – uśmiecha się promiennie – optymizm. Bo nie ma co kryć, bez optymizmu to w tym mieście też bym sobie strzelił w łeb. Stanowię jednoosobowy Klub Poleskich Optymistów. No, ale tego brakuje naszym urzędnikom i są smutni. Poza tym, cokolwiek by mówić, Biernacki nie jest najbardziej ludzkim z panów i ich ciśnie niemilosierdzie.

– Na przykład?

– Ano widzisz, on ma politykę szacunku dla Rusinów i Poleszków. Wydał dyspozycje, że mogą załatwiać sprawunki po rusku, urzędnik ma to uszanować, wysłuchać, ale odpowiedzieć po polsku.

– I co na to urzędnicy?

Uśmiech rozkwita między bokobrodami.

– To co gryzipiórki robią zawsze. Zignorowali. I wiesz, co on zaczął robić? Przebierał się za chłopą, doczepił brodę i chodził po Polesiu załatwiać sprawy. Notował, jak go który urzędnik traktował, po czym przyjeżdżał i rugał do ziemi, w najlepszym wypadku.

– A w najgorszym?

Pawłowicz wydyma usta i wypuszcza powietrze.

– Był taki urzędnik, co przy nim uderzył jakiegoś chłopca. Przyjechał potem wojewoda, wywlekli faceta, ściągnęli mu portki i wybatożyli.

– Urzędnika państwowego? Kto? Sytuacja wręcz nieprawdopodobna.

– No, policjanci... od Biernackiego. – Uśmiecha się radośnie.

– A w ogóle to może cię oprowadzę po naszej metropolii – nachyla się nade mną i szepcze, mrugając przy tym okiem – mamy nawet takie malutki uroczy burdelik, wiesz. Oj – krzywi się nieco na widok mojego spojrzenia – szanowny Maurycy Jakubowski już na panienki nie chodzi? – Patrzy na mnie z powątpiewaniem. – Zostałeś pochwycony w sidła, czy może... No wiesz... ja zrozumieję...

– Co może?

– No, postanowiłeś, no wiesz, ja nie oceniam. – Unosi ręce w obronnym geście. – Różne są dziwactwa.

– Dalej nie rozumiem.

– No czyś ty nie pede?

Wbijam w niego wzrok pełen niedowierzania.

– Nie no, co ty! Narzeczoną mam – mówię i czuję, jak głos zamiast dumy zdradza pewien żal. Żal wzbudzony przez pamiętne popojki ze Zbyniem, kiedy odwiedzaliśmy lokale od Złotej po Nowy Świat.

– No tak, no tak. A jakież to imię twojej właścicielki? – wyczuwam w jego tonie wręcz niechęć.

– Agata.

– Agata, „Agathos”, „Dobra”... No dobrze, lecę.

– Zbyniu...

Zatrzymuje się w pół kroku.

– Słucham cię.

– Urwał ci się guzik. – Pokazuję na kurtkę mundurową.

Pawłowicz łapie się nerwowo za mundur.

– Coś podobnego, coś podobnego – kręci blond czupryną z niedowierzaniem – czego to człowiek nie zrobi po pijanemu. No coś takiego...

* * *

Siedzę w zadymionym gabinecie na tyłach restauracji „Warszawianka”, na ścianach zgniłozielone tapety i widoczki trzeciorzędnych kopii obrazów jakiegoś ucznia Fałata, nad nami stary, zaśniedziały żyrandol. Śmierdzi tu dymem, starym tłuszczem i szarym mydłem, którym myją się tutaj wszyscy. Okazuje się, że ten lokal posiada specjalne miejsce dla specjalnych gości, takim zaś staje się każdy, kto ma odpowiednią protekcję. Mnie wprowadza pod rękę Zbyniu. Słabe żarówki rzucają mdłe światło, w kręgu siedzą czterej cywile. Jeden tyczkowaty z binoklami na małych oczkach, łypiący nerwowo. Dolną wargę ma wysuniętą do przodu, przez co sprawia wrażenie pólidioty. Drugi to absolutnie nijaka postać w typie urzędnika państwowego piątej kategorii wynagrodzenia. Szary niczym ściany w gabinecie dyrektora KOP, również bez krzty polotu. Jak się szybko wyjaśnia, pierwszy to Bartosz Jankowski, dyrektor gimnazjum, drugi zaś to Adolf Mimoski, dyrektor poczty. Przedstawiam się i z niezbyt wesołą miną zamawiam jarzębiak. Jest w nich coś, co od progu napawa mnie irytacją. Jankowski jest okazem typowego belfra, którego każdy ma serdecznie dosyć po pięciu minutach rozmowy, przypomina wszystkie najobrzydliwsze godziny w szkolnych ławach spędzone nad tłumaczeniami łacińskich tekstów. Mimoski zaś jest człowiekiem absolutnie nijakim, bezbarwnym. Typem, z którym, gdyby nie specyficzne okoliczności, w życiu nie zamieniłoby się nawet jednego zdania. Obrazu dopełnia ksiądz Alojzy Konewka. Brzuchaty klecha z czerwonymi niczym maliny ustami, mysimi włosami, z lekkim rumieńcem na twarzy. Na nieco kartoflowatym nosie spoczywają okulary w rogowych oprawkach, łupież pokrywa niczym śnieg jego czarną, ale zarazem brudną od tłuszczu sutannę. Pulchniutkimi palcami ścisną swoje karty i co chwila sięga po kęs z talerza wędlin. „Lubieżnik z wyboru”, uprzedzał Pawłowicz przy prezentacji, która odbyła się przed wejściem. *Horror polecum.*

– Jak tam wasz problematyczny członek grona pedagogicznego? – zagaduje wesoło Pawłowicz do dyrektora Jankowskiego. – Nasz kolega z Warszawy chciałby się z nim spotkać i porozmawiać.

– O, to strasznie ciekawe... – Jankowski się ekscytuje. – A co do Dowgirda, szkoda mówić. Jeszcze nie wrócił do siebie w pełni, ale próbuje

prowadzić zajęcia. Na razie raz w tygodniu. Miał być tu dzisiaj, ale jednak nie przyjdzie.

– Panie Bartoszu – dyrektor poczty gani współgracza dobrotliwym tonem i wskazuje na mnie skinieniem głowy. – Nasz towarzysz nie jest wprowadzony w sprawę...

– A tak, tak. – Dyrektor szkoły nerwowo kiwa głową, gładzi ubranie, zaczyna wyłamywać palce. Marne światło zniekształca już i tak specyficzną facjatę. – To była strasznie dziwna historia. Tak, tak, niecały rok temu to było. Straszna sprawa, straszna... Akurat zaczęto kopać doły pod fundamenty domu. Jeden kupiec kupił ziemię na wzgórzu i kazał wybudować wielką chałupę. Przyjechali robotnicy, przyjechali inżynierowie i jęli kopać. Kopali i kopali, aż tu, proszę pana kapitanie, natrafili na coś. Lud prosty, nieświadomy kopał dalej. Aż tu się zjawiał profesor Jan Dowgird i rabanu narobił, bo okazało się, że są tam szczątki jakiegoś starego grodziska, z czasów Ruryka bodajże... a może któregoś Włodzimierza... Zresztą nieważne. W każdym razie zatrzymano prace. Okazało się, że nie tylko gród tam był, ale jakieś przedchrześcijańskie cmentarzysko. Wykopano szczątki, dziesięć szkieletów się znaczy, w takich kamiennych wazach. – Jankowski pokazuje rozmiar waz, po czym ściąga swoje binokle i zaczyna je przecierać. – Robotnicy jedną z takich waz uszkodzili, Dowgird wpadł w histerię. Krzyczał niczym jakaś przekupka na targu. – Zanoszą się nieprzyjemnym nerwowym śmiechem. – Przeniósł ciała w bezpieczne miejsce, siedział nad nimi, coś badał, badał, badał...

– No i? – nie wytrzymuję, zaintrygowany.

– Po kolei, panie kapitanie, po kolei. Badał je każdego dnia po zajęciach. W tym samym czasie dochodziły nas jakieś dziwne słuchy, że podobno ci robotnicy, którzy dotykali kości, pochorowali się i poumierali. Podobno coś w trupach było, jakieś morowe powietrze. Tak, tak, proszę pana, niezdrowe gazy. Wie pan, taka klątwa jak w przypadku Tutanchamona. Jakieś dziwne wykwity mieli na skórze. Ile w tym prawdy, nie wiem, ani ja lekarz, ani policjant, w każdym razie podobno wszyscy, co ze szkieletami mieli kontakt, się pochorowali. A tymczasem Dowgird zaczął dziwaczeć, siedział po godzinach i badał truposza. Mamrotał też coraz częściej o jakimś gospodarze, czy też carze. I o Swarozycu i wężu. Prawda, zawsze był nawiedzony, więc i teraz nikt go nie słuchał. W końcu, a było to tydzień

temu, nie pojawił się w pracy. Razem z naszym woźnym, panem Jurczykiem, poszliśmy do jego mieszkania. Pukamy i stukamy, a tu nic. W końcu dzięki dozorczy otworzyliśmy drzwi, ale okazało się, że Dowgirda nie ma w domu. Profesor Akanowicz, nasz matematyk, wpadł na pomysł, aby pójść na miejsce budowy. Idziemy przez miasto zasnute mgłą, co już samo w sobie było bardzo dziwne, bo o tej porze roku to się nie zdarzało nigdy, i widzimy, że tłum się zbiera wokół wzgórza. Ludzie krzyczą, tylko Żydzi milczą, pop głośno się modli. A tam Dowgird stoi i wrzeszczy, że wypędzi żydowskiego demona z ziemi słowiańskiej, krzyż spali, naród słowiański ocuci.

– I?

– I nagle się ocknął, ot tak! – Strzela palcami. – W jednej chwili wariat, w drugiej całkowicie trzeźwy człowiek. Nie pamiętał tylko, co się działo.

– Ale ktoś go zbadał?

– A jakże, doktor Jankisz i taki doktor z Pińska. No, jak mu było... na korzonki mnie nawet leczył... nieważne. Orzekli, że to tymczasowe, nerwy. Zalecili mu tydzień w uzdrowisku. Jak to się ono nazywało... a tak, miało taką zabawną nazwę... „Pod Dobrym Niemcem”. Dowgird wrócił już spokojniejszy, ale taki zamknięty w sobie. Zresztą dobrze, że oszalał, bo Biernacki wściekł się, jak opóźniono prace nad cerkwią.

– Nie rozumiem, co ma Biernacki do cerkwi?

– A dużo. – Nauczyciel najwyraźniej jest w swoim żywiole. – Biernacki ma plan, w którym każda nowa cerkiew będzie maksymalnie spolonizowana i jak najdalej od żywiołu białoruskiego czy ukraińskiego. Tutejsi mają być Polakami. A jakieś skamieliny, i do tego ruskie, tylko mu przeszkadzają.

Teraz poczułem, jak nad nami wyraźnie unosi się duch wojewody.

– A Dowgird? Coś więcej na jego temat wiadomo?

– Niestety, nic... pewnie dziwactwo postąpiło. Może z tego wszystkiego mu się nieco w głowie poprzestawiało. Dziwna historia. – Jankowski ponownie ściąga binokle i przeciera je chusteczką. – No, ale to się tutaj zdarza.

– Jak to się zdarza?

Dyrektor się stropił.

– Co?... A nie... tak mi się powiedziało... – Widzę, jak się poci pod moim spojrzeniem.

– A gdzie mieszka dokładnie? Chciałbym z nim porozmawiać.

– Służę panu kapitanowi, to będzie Pińska trzy, to nawet niedaleko stąd. Ha, w ogóle rozgadałem się haniebnie...

Kolejki preferansa płyną z wolna, panuje podczas nich umiarkowane skupienie, rozmowy zaś dotyczą tematów całkowicie nijakich, i czuję, że coraz bardziej mnie to nudzi. Szczęśliwie przed godziną jedenastą muszę salwować się ucieczką, odetchnąć od tego dusznego pokoiku. Ściskam wyłożone karty do gry, na których już zatarły się po trochu obrazki.

– Pas – rzuca znad kart ksiądz proboszcz Antoni Konewka.

– Pas – mówi niezadowolony kapitan Pawłowicz. Jego bystre oczy łypią w stronę sługi bożego, a tańczą w nich diabliski satysfakcji: „nie tylko ja nie wygram”.

– Podbijam. – Staram się zachować powagę.

– Pas. – Adler także nie wydaje się zadowolony.

Chwila wahania i odsłanianie karty. Dwójka i trójka. Blef udał się przednio, jeżeli chcę coś tutaj zdziałać, będę musiał kolejną partię przegrać przynajmniej do zera. Pawłowicz, który mnie tutaj zaciągnął wprost z koszar, wściekły jak giez, pluje sobie w brodę. Jezuicki konfrater pewnie liczy, ile z tacy potrąci za tę rozgrywkę, komisarz Adler ze złości przygryza wargę. Głupio postąpiłem. Głupio i nierozważnie, pokazując karty. Głupia, głupia chęć pokazania się. Ale w rękach 40 złotych, czyli tak czy siak grosz niemały.

– Łaska pańska na pstrym koniu jeździ, znając moje szczęście, zaraz wszystko to przegram – śmieję się nieszczerze.

– A właśnie – stara się rozładować atmosferę ksiądz Konewka, za co jestem mu nolens volens wdzięczny – czy dostali już panowie zaproszenie na fetę u hrabiego?

– Oczywiście... – Zebrani kiwają twierdząco głowami, z wyjątkiem mnie, nie poinformowanego.

– Pan Konstanty Zwiacholski urządza razem z synem Witoldem raut z okazji rocznicy uchwalenia Konstytucji trzeciego maja.

– Wielki syn wielkiego ojca – podchwytuje proboszcz. – Wielki syn wielkiego ojca – powtarza. – Dziedzic Witold to najstarszy syn hrabiego Konstantego, pana na Stolinie. Oj, wspaniały i majątny to człowiek, posiada liczne smolarnie i wszystkie lasy od Rubiela po Olmany. Przy okazji jest wielkim mecenasem sztuki i dobroczyńcą. Ufundował na przykład kaplicę w kościele tutaj, w Dawidgródku – tłumaczy Konewka.

– Proszę księdza, kolega Jakubowski wie takie oczywiste rzeczy. Przecież przyjechał tutaj z ministerstwa – przerywa mu Pawłowicz, do mnie zaś szeptem na ucho dodaje, że koniecznie muszę do hrabiego dotrzeć, on może pomóc w sprawie Staffa.

Ma rację, chociaż nie do końca. Akta hrabiego przejrzałem pobieżnie, bo nie było w nich niczego, co by mnie zainteresowało. Dużo ogólników, ale mało informacji faktycznie wartościowych. Wiadomo, że potentat, tartak i las posiada, że ma majątki rozsiane po całym Polesiu. Że ma troje dzieci: Witolda, Sokratesa i Urszulę. Że ma kontakty w kręgach Obozu Zjednoczenia Narodowego, nawet na rautach u pułkownika Adama Koca bywa.

– Pan hrabia to dobry katolik i dobry Polak. – Konewka uśmiecha się jak kot na widok śmietanki. – Jego syn zaś to bardzo zdolny młody człowiek. Skończył właśnie prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza, gdzie był w korporacji... Ale z ONR-em, a już, nie daj Boże, z ruchem radykalnym, nie miał nic wspólnego. – Coś w jego głosie mówi mi, że ordynarnie łże. – Podobno marzy mu się porządna służba państwowa. Panie Boże, pobłogosław mu. – Konewka na całe szczęście nie zauważa mojego delikatnego grymasu na słowa o narodowcach, korporacjach i na łączenie tego tałatajstwa z sanacją.

– Ależ przecież my tutaj wychwalamy pana dziedzica, a pan kapitan nie jest zaproszony! – Dyrektor poczty załamuje ręce.

– Toż to żaden problem. Już my pana kapitana wprosimy. – Ksiądz Konewka jowialnie się uśmiecha. – Przecież jak się napisze do pana hrabiego, on zaraz przekona swojego syna. Zresztą pan Witold na pewno z przyjemnością pana pozna, kapitanie. Jestem przekonany, że polubicie się, panowie. Poza tym przecież kapitan prowadzi śledztwo w ważnej sprawie.

– Ja to załatwię – Pawłowicz uderza dłońmi w kolana. – W końcu nie pozwolę, aby mojego druha sprzed lat mogło ominąć najważniejsze kulturalne wydarzenie sezonu.

Wracamy do gry. Próbuję dowiedzieć się czegoś więcej jeszcze o tutejszej sytuacji, ale nic nie wyciągam. Wiem tylko, że wojewoda to wojewoda i nawet jezuicki czynownik wiary nabiera w swe pulchne usta wody, gdy tylko próbuję poruszyć temat Biernackiego. Pawłowicz nagle udaje, że nie słyszy, dziwaczne to. Adler mówi, że wielki pan, że cudowny urzędnik i człowiek pierwszorzędny, na medal, mówiąc z warszawska... co też jest dziwne, wcześniej był bardziej zdystansowany. A co do Staffa, wiedzą tyle, ile powiedzieli, czyli mało. A ja nie naciskam i zbytnio nie wypytuję, gotowi się jeszcze spłoszyć. Jakoś dziwnie się zmieniają ludzie, kiedy muszą publicznie mówić o Biernackim. Tak jakby jego duch, cień raczej, wisiał nad nimi.

– Biernacki, Biernacki – słowa te smakuje w jakiś przedziwny sposób dyrektor – Biernacki, panie kapitanie, to temat szczególny.

– Właśnie widzę – rzucam znad kart. – Ale chyba mogę poznać waszą opinię o nim.

Wymieniają między sobą spłoszone spojrzenia, w końcu wbijają wzrok w ziewającego Zbynia.

– Nie krępujcie się. – Podkręca wąsa. – Maurycy nie pobiegnie do Kuli i nie powie, co myślicie o wieliczestwie Biernackim.

Rozluźniają się, jest im już wyraźnie lepiej.

– To chory człowiek – wypowiada się Konewka. – Bezbożnik.

– Powiem wprost – podejmuje naczelnik poczty. – Ja się go boję. Raz przyjechał na inspekcję, myślałem, że umrę na palpitację serca.

– A słyszeliście, co się dzieje w Berezie? – rozochocił się Konewka. – Wyją jak potępieni...

– Ksiądz zaczął bronić komunistów? – przerywa swoje milczenie Adler. – Cóż to za novum?

– Pan go broni? – unoszę brwi.

– Nie potępiam – ripostuje.

Patrzą wnikliwie w karty i na zebranych.

– Skończmy to, proszę. Za pięćdziesiąt – rzuca sługa Boży, wytrącając mnie z przemyśleń.

– Siedemdziesiąt pięć – przebija Adler.

– Siedemdziesiąt pięć – podaje Pawłowicz.

Odpada jezuita, układając wydatne usta w grymas i burczy coś pod nosem.

– Dwieście pięćdziesiąt – pozostaje tylko przebić.

Kelner, ten sam co rano, podchodzi, podaje wódkę, nachyla się nad uchem moim i szepcze:

– Wiadomość dla pana. – Dyskretnie wsuwa mi do ręki kartkę.

Potwierdzam niedbałym skinieniem. Dwie piątki w ręce. Dobrze się składa, przegram i się wymówię. Pawłowicz ma dwie pary, a Adler kolor. Czyli wychodzi na moje tak naprawdę.

– Panowie, koniec na dziś moich klęsk. Muszę odpocząć.

– Do zobaczenia, do jutra – żegnają mnie pozdrowienia. Uśmiechnięte pełne twarze.

– Maurycy! – krzyczy za mną Pawłowicz. Dopada mnie lekko zziębnięty: – Jutro punkt ósma. Punkt ósma pojedziemy na turystyczny wojaż.

Biorę czapkę ze stolika i kłaniam się lekko. Wychodzę, w przejściu rozwijam kartkę. *21 na cmentarzu*. Potem już tylko ciężkie nocne powietrze przesycone wrzawą świerszczy i kierunek cerkiew.

* * *

Czarne włosy, stalowe oczy przenikliwie lustrujące każdy ruch. Widać, że nieprzerwanie analizują, badają i oceniają wszystko dookoła. Patrząc w nie i widząc, że oczy te widziały więcej, niż powinny, dawne losy wyryły się też w zmarszczkach wokół oczu, nadając jego twarzy dziwnego wyrazu. Tak, to człowiek, który nie uznaje kompromisów i zawsze zmierza do celu, bije to z niego w sposób niezaprzeczalny. Z twarzą przenikliwą kontrastuje ubiór dziada tułacza i podkreślający bylejąkość kilkudniowy zarost.

– Jak reflektuje pan Dawidgródek? – zaczyna pytaniem zamiast powitania. Szare oczy omiatają placyk, nie tyle nerwowo, ile badawczo. Ja zaś w wyobraźni usuwam z twarzy zarost, szaty proshalne zastępuję

mundurem i dociera do mnie, że przecież znam stojącego przede mną człowieka. Zna go każdy, kto w Dwójce zajmował się bolszewią, choć mało który osobiście.

– Komisarz Kontrym, prawda?

– Owszem... – Kiwa głową nieśpiesznie i podaje szorstką, silną dłoń. – To jak pan uważa, kapitanie Jakubowski, Dawidgródek?

– Miasto jak miasto, nieco specyficzne... – słowa cedzę powoli, nadając im odpowiednie brzmienie.

– Specyficzne, powiada pan... to chyba trafna uwaga. Tak, Dawidgródek to specyficzne miastko – bawi się tym słowem, obraca je na języku niczym mlecznego irysa. Miasto, miasteczko, miastko, coś niepoważnego. – Powiedziałbym, że to miasto jest jądrem problemu. Albo raczej kluczem do zrozumienia naszej sprawy.

– Czy mogę prosić o wyjaśnienie? – Nie mam zamiaru żyć w wiecznym niedoinformowaniu. – Jaki jest pana status?

– Słuszna uwaga. – Naczelnik policji w Białymstoku celuje we mnie dłonią z papierosem. – Splotło się tutaj kilka kwestii. Kiedy nasz wspólny znajomy poprosił mnie o pomoc, traf chciał, że miałem tutaj i swoją prywatną sprawę.

– Słucham zatem uważnie.

– Jak pan wie, nie tylko kapitan Staff zaginął, zagadek jest więcej. A mnie szczególnie interesuje jedna z nich. Ta, w której ofiarą jest pop Iwan Siemion, mój... – zatrzymuje się, jakby szukał odpowiedniego słowa – wielki druh. Spotkało go coś przedziwnego i mam zamiar dowiedzieć się, kto to zrobił, a przy okazji panu pomóc.

Ciekawa sprawa, nie tylko ja szukam tutaj przyjaciela.

– No ale jak sprawa popa Siemiona wiąże się z zaginięciem Staffa? I co w ogóle pan odkrył?

– Zasięgnąłem języka i dowiedziałem się, że ktokolwiek był związany z zaginięciem Iwana, mógł też mieć związek z zaginięciem kapitana Staffa. Albo, jeżeli przypuszczenia się potwierdzą, z jego śmiercią – ciągnie Kontrym.

– Skąd to podejrzenie? – Nie chcę dać poznać po sobie, że informacja robi na mnie spore wrażenie. Jakiś głosik szepcze mi do ucha, zwłaszcza po

rozmowie z Adlerem, że Adam może być już martwy, dotychczas jednak udawało mi się go zagłuszyć. Teraz słyszę to wypowiedziane spokojnym, rzeczowym tonem przez Kontryma i czuję, że myśl ta zagnieżdża się w mojej świadomości.

– Ponieważ przyjrzałem się wszystkim sprawom zaginięć, nie tylko przypadkom Staffa i Iwana. Polesie pomału wrze, a raczej niedługo zacznie wrzeć, kapitanie Jakubowski, od czasów Cyryła Orłowskiego, słynnego konspiratora Soweciarzy, nie było tutaj tak niespokojnie. A do tego zawsze, kiedy ktoś ginie, pojawia się pośrednio albo bezpośrednio Biernacki.

– Jak to? – Sięgam po egipskiego.

– Co do Staffa, pan pewnie wie, że jechał do Mokroci, gdzie jest kwatera wojewody. Do Iwana na dzień przed jego zniknięciem przyjechał jeden z oficerów Korpusu.

– Kwatera wojewody?

– Precyzyjniej, jedna z kwater, ma ich kilka, ale ta w Mokroci jest najczęściej odwiedzana przez niego.

– Wiadomo, kto przyjechał do pańskiego przyjaciela?

– Tak, zastępca tutejszego garnizonu, Radosław Troplitz. Mówi się o nim, że to człowiek nieobliczalny, ślepo wpatrzony w wojewodę.

– No dobrze, a co z resztą zaginionych?

– Juda Brzeski i Iwan Pszaniak, dwaj kupcy żydowscy, mieli spotkać się z jakimś urzędnikiem, niestety nie udało mi się ustalić z kim. Ale większość czynowników jest po stronie Biernackiego. Dodam, magnaci budowlani, pośrednicy w wielkim biznesie.

– Czyli to naprawdę nie byli handlarze tandetą...

– Nie, wręcz przeciwnie, jedni z bogatszych ludzi w regionie.

– Czego mogli chcieć od urzędników?

– Mieli negocjować warunki dostarczenia cementu na budowę umocnień na odcinku Łunińca.

Tym razem ukrycie zaskoczenia przychodzi mi z trudem. To szokujące rewelacje. Jeszcze bardziej niepokoi mnie to, że nie dowiedziałem się wszystkiego zawczasu. Obaj zaginieni współpracowali z władzami,

z samym Ministerstwem Spraw Wojskowych, brali udział w pracach nad obroną kraju. Tacy ludzie nie znikają ot tak po prostu.

– Przepraszam, ale jeszcze w Warszawie dostałem informacje...

Kontrym powstrzymuje mnie ruchem ręki.

– Ja wiem, ma pan swoją teczkę. Z pewnością zawarte w niej wiadomości są na swój sposób ciekawe, ale, przykro mi to mówić – nachyla się do mnie tak, że czuję zapach tytoniu i przepoconego ciała – są one gównem warte.

– Słucham? – Wpatruję się w niego bezmyślnie.

Mój rozmówca uśmiecha się smutno.

– Nie zadał pan sobie pytania, czemuż to na szukanie Staffa nie został wysłany nikt z delegatury poleskiej Dwójki? Przecież to oczywiste...

– Chciano mieć kogoś z zewnątrz?

– Owszem. Chciano mieć kogoś nie-u-wi-klä-ne-go. Czemu ekspozytura z Łunińca się nie zaangażowała? Czemu jest pan tutaj i czemu jestem tutaj ja?

– Bo nie chciano tu kogoś, kogo znają tutejsi urzędnicy... – bąkam jak debiutant.

– To też. Ale jest i drugie dno. Oni nie ufają im, ba, boją się ich. Łuniniec, Stołpce, Wilczyn. Oni są na ziemi Biernackiego.

– A akta pochodzą od nich... od urzędników.

Kiwa głową. Milczę, bo właściwie co mam powiedzieć? Chyba jednak mam do czynienia z paranoikiem. Z drugiej strony to jego przysłał mi Mayer, decyduję się więc przejść nad jego dochodzeniem do porządku.

– Ale jaki mógłby mieć motyw Biernacki? Po co miałyby zabijać tych Żydów?

– Tego musimy się właśnie dowiedzieć. Mogli po prostu wejść w konflikt z wojewodą, to mogło wystarczyć. Jedynym wyjątkiem są ci żołnierze Korpusu, którzy zaginęli, ale do informacji o nich nie dotarłem. Może widzieli coś, czego nie powinni? Musi pan wiedzieć, że tutaj wszyscy mają jakieś przekonania i swój plan na Polesie. Kościół i hrabia to wizja jezuicka, ewangelizacja, apostołstwo, asymilacja. Korpus przedstawia poglądy zgodne z tym, co się myśli w Warszawie.

– A w Warszawie nastąpił zwrot na prawo...

– Tak, stąd próby spolonizowania naszej wschodniej kolonii, osiedlanie ludności, edukowanie ludności i tak dalej. Ale Korpus to przedziwna struktura, teoretycznie nie ma nic wspólnego z wojewodą, ale w praktyce... w praktyce niektórzy oficerowie średniego szczebla wolą wizję wojewody. A ten jest słowianofilem, czy może nawet panslawistą. To stary piłsudczyk, dla niego „Polska to jest stosunek do państwa, a nie krew czy język”. I wymaga tego od swoich urzędników. Wie pan, że on potrafi za zły stosunek do ludności wyrzucić na zbity pysk? No i są oczywiście komuniści. Czy wśród urzędników są jacyś ich sympatycy, tego nie wiem... wśród kadry nauczycielskiej bywają.

– Tak, słyszałem już plotki. Staff interesował się Stachniukiem i Dołęgą-Chodakowskim... Czy to mogło jakoś kolidować z wojewodą? – przypominam sobie, co znalazłem u Adama w domu.

– Wręcz przeciwnie. Poglądy tej dwójki nie są może tożsame z poglądami Biernackiego, ale całkiem zbieżne. Obaj odrzucają katolicyzm, obaj szukali porozumienia z Rusinami. Wie pan, jakie są plotki o Biernackim i jego satanizmie.

– W takim razie, jak pan sądzi, komu mógł się Staff narazić, jeśli się naraził?

– Celne pytanie. Jeżeli już, to Korpusowi i Warszawie. Chyba że miał jeszcze inne cele...

Nie podoba mi się ta wizja, ale ma wiele prawdy.

– Jeżeli był obcym szpiegiem, to potencjalnie każdy mógł chcieć jego śmierci.

– Owszem. A pan wie, że Stachniuk aż tak daleko od Soweciarzy nie jest. Może w tę stronę poszedł? Ale to czysta spekulacja. – Kontrym grzebie czubkiem buta w ziemi, rozgniatając dżdżownicę. – Poza tym Mayer wskazał mi na jeszcze jeden trop... Staffa skierował pod specjalną opiekę pewien człowiek...

– Mówi pan o Kobylińskim?

– Jest pan bardzo dobrze poinformowany. Tak. Może Staff był jego człowiekiem i prowadził jakąś tajną misję?

– Nie wiem, możliwe. Jeżeli tak, to byłoby dobrze, przynajmniej dla Rzeczypospolitej.

– W porządku. – Wyłamuję palce ze stawów, aż trzeszcza. – A co pan wie o wojewodzie, bo przecież on jest naszym jęczyzkiem u wagi?

– Niewiele niestety, acz jedno warto zapamiętać: on tu jak bóg, jak car. Straszny i wszechpotężny. Pytałem o niego chłopów – zaciąga się papierosem – to jakby o Maryi Pannie mówili. Ikona cerkiewna. Świętość. Srogi pan i dobry pan. Do tego jest to człowiek twardy – podnosi do oczu pięść – jak stal.

– To wszystko?

– Nie do końca. Szepcze się o nim. Czasami udało mi się porozmawiać z chłopami, co czerwoni, oni mówią z pasją i nienawiścią.

– A co mówią?

– O czarnym opłu wojewody, który zajezdza pod chaty. O tym, że chłopów wywożą, a oni na bagnach znikają. No i bereski łagier, Polesie go kocha, ale Polesie go też nienawidzi.

– To i ja słyszałem.

– Tak, ale to nie wszystko. Prawda, że ludzie znikają. Ale nie tylko. Słyszałem wręcz fantastyczne teorie, że niekiedy całe osady wariują, jak się szara mgła podniesie. Ludzie wtedy rozum tracą i w bagna idą, a potem ich odnajdują. Martwych. Albo gorzej, bez rozumu. Że pojawiają się znaki na drzewach wycięte.

Podnoszę brwi.

– Jakie znaki?

– Węza... Proszę pamiętać, że tutaj chrześcijaństwo nie zagościło nigdy na dobre. Ludzie wierzą w duchy, upiory bagienne i inne wariactwa. No i nie czczą wiary ani katolickiej, ani prawosławnej. Biernacki buduje swoją pozycję właśnie na takich wątkach.

– Jakich, u licha?

– Dawne religie: Światowid i inne takie, panów lasów i bagien. Nie jestem etnologiem ani religioznawcą, co to są konkretnie za wierzenia, tego nie wiem. Proszę jednak o tym pamiętać.

– Rozumiem.

– A to ciekawe, bo ja nie do końca... – Kontrym patrzy na mnie przenikliwym wzrokiem. – Tak czy siak, po raz kolejny wracamy do tego

jednego punktu, wokół którego wszystko się tutaj obraca.

– Do Biernackiego – mówię.

– Do Biernackiego – powtarza powoli Kontrym. – No nic, proszę uważać na siebie. Polesie to ziemia niebezpieczna. I proszę nie zapominać, Biernacki to diabeł wcielony, pamięta pan sprawy z legionami?

– Tak... – Krzywię się na samo wspomnienie.

– Człowiek, który ochotników polskiego wojska doprowadził do tego, że targnęli się na swoje życie – kręci głową ze złością – nie jest człowiekiem, który łatwo odpuści. Ten człowiek to stal, proszę o tym pamiętać. Stal wykuta w kuźni Legii Cudzoziemskiej.

Informacja ta mrozi mnie. Umknęła mi, a przecież to dosyć ważne, zwłaszcza że znam człowieka, który służył w Legii.

– Kiedy służył w Legii? – pytam nieco zdezorientowany.

– Jakoś w latach nastych.

Mrużę oczy, czyli wtedy, kiedy mój ojciec. Miałem dziewięć lat, kiedy zostawił mnie i matkę, i ruszył na misję do Algierii, aby wrócić po trzech latach, tuż przed pierwszą wojną światową. Pułkownik Florian Jakubowski, który odszedł z armii austro-węgierskiej, aby walczyć z Arabami. Bo się nudził w okopach. Cholerny egoista. O mnie i o matce zapomniał.

* * *

Wracam powolnym krokiem na kwaterę, zatrzymuję się, bo słyszę pogwizdywanie wesołe. Coś sprawia, że chociaż poznaję je, nie mam zamiaru się ujawniać. Tak się też dzieje, zaraz żwawym krokiem idzie Zbyniu, pogwizdując. Ja zaś kryję się w cieniu jednej z uliczek i mam chwilę na decyzję, co zrobić. Zżera mnie ciekawość, dokąd może iść. Chwila niepewności, ale zaraz decyduję się w odpowiednim oddaleniu podążyć za nim. Pawłowicz jest już lekko pijany, po chwili zaś przestaje pogwizdywać i zaczyna śpiewać z ładnym, chociaż nieco pijackim zaśpiewem, *My, Pierwsza Brygada*. Podążam za nim, zachowując bezpieczną odległość.

Nie trwa to długo, Pawłowicz dociera do jednego z domów w centrum Dawidgródka. Najpierw łomocze przeraźliwie do drzwi. „Wpuść mnie,

urzędniczyno!”. W końcu otwierają się drzwi i staje w poświacie Licynka trzęsący się nieco.

– No! – Pawłowicz odpycha urzędnika. – Gdzie ta twoja flama? – Uderza dłonią we framugę.

– Pa-pa-paniie kapit-kapitanie – Licynka ściska framugę – ba-ba-bardzo proszę.

– Eej – Pawłowicz unosi palec w pijackim geście – eej, Licyyyyynka. Bez takich, bo się obrażę. A wiesz, kmiotku, co to znaczy, prawda?

– Pro-pro-proszę – Licynka mówi już ciszej.

– Marjannoo! – krzyczy Pawłowicz. – Marjannoo! Gdzie jesteś, turkaweczko, już pora, abyś poznała prawdziwego oficera. – Wchodzi do środka. Licynka siada bezradny na ganku, widzę zza krzaku bzu, za którym się skryłem, jak chlipie. Po mniej więcej dziesięciu minutach Pawłowicz wychodzi, zapina pasek, uśmiecha się i podkręca wąsa.

– To do następnego. – Klepie w ramię chowającego twarz w dłoniach Licynkę i odchodzi, podśpiewując.

Na ganek wychodzi młoda dziewczyna o smutnej twarzy. Kładzie dłoń na ramieniu Licynki i oboje znikają w domu. Ja zaś nie wiem, co myśleć o całej sytuacji, jestem po prostu wstrząśnięty...

ROZDZIAŁ IV

Wycieczka krajoznawcza

30 kwietnia 1937

Nowy dzień wita mnie radośnie śpiewem ptaków i nawoływaniem służących (Hanuszki i Anuszki, jak mi się zdaje). Raz jeszcze oddycham głęboko, męczy mnie to Polesie i jego atmosfera ociekająca przytłaczającą wręcz lubieżnością. Tak jakby pruderyjność została tutaj zarzucona. Przyznać trzeba, że spało mi się nad wyraz dobrze. Mógłbym nawet rzec, że tak dobrze nie spało mi się od dawna. Być może ten urlop na Polesiu to niegłupi pomysł, Staff wiedział, co robi, ściągając mnie tutaj. A może cała ta sprawa w rzeczywistości okaże się farsą i nie ma tu żadnej tajemnicy? Sekundę później dociera do mnie niedorzeczność tej myśli i otrzeźwia mnie.

Po szybkiej porannej ablucji i podkręceniu wąsa udaję się na śniadanie do Zwisłockich. Para ponurych spojrzeń dobitnie wyraża, że Zwisłocka boczy się na mnie za absencję na wczorajszym obiedzie i kolacji oraz za to, że jej o tym nie poinformowałem. Z kolei Aniela robi na mój widok maślane oczy, wpatruje się we mnie znad owsianki, której resztki zlizuje z warg różowym języczkiem. Tylko ślepy nie zrozumiałby, o co temu dziewczęciu chodzi. Skąd w tej uczennicy żyjącej na końcu cywilizowanego świata tyle chuci? Ja zaś udaję, że tego nie widzę. Składałam wylewne przeprosiny i na zaś zapowiadam, że dzisiaj również może mnie nie być na obiedzie. Zostaje to przyjęte z chłodnym zrozumieniem. Jemy w ciszy twaróg, chleb, popijam nieco zimną już herbatą. Pod stołem czuję, jak dotyka mnie czyjaś stopa. Patrząc ponad talerzem, wyłapuję kolejny wzrok córki, jej uśmiezek zalotny. Diablica oblizuje lubieżnie usteczka. Dziękuję za posiłek i wstaję od stołu.

– Już pan wychodzi? – Aniela podrywa się gwałtownie. – Może pana odprowadzę.

– Nie ma takiej potrzeby.

Wychodzę na dwór. Słyszę jednak, że smarkata lezie za mną.

– Serwus, Maurycy! O, jest i panna Anielka, dzień dobry, niech panienka nie ucieka... – krzyczy z daleka wyraźnie zadowolony Zbyniu. A ja staram się nie okazać, że wiem, co robił w nocy. – Właśnie do ciebie szedłem. Wiesz, mam byczy nastrój. Zbliża się ósma, więc czas nam w drogę. Przy czym mam taką propozycję, wiem, że obiecałem ci pokazać – mówi już ciszej – gdzie bywał Staff, ale muszę jedną rzecz dokończyć. Wiesz, w sobotę są te obchody rocznicy uchwalenia Konstytucji trzeciego maja, muszę pozafatwiać pewne kwestie aprowizacyjne i proponuję, abyś zabrał się ze mną. Wybieram się do Chorska, a to rzut kamieniem stąd. – Wskazuje najpierw na północ, następnie zaś puszcza do mnie oko. – Mam tam do ugadania pewien geszeft z młynarzem. Możemy tak zrobić?

– Oczywiście – przyjmuję propozycję. – Znasz Anielę?

– A kto jej nie zna! Diabełek. Na swój sposób uroczy. – Uśmiecha się porozumiewawczo. – Dziewczę nudzi się tutaj jak mops, toteż nie dziw się, że chodzi za tobą. No ale zbieraj się! – krzyczy radośnie i zaciera ręce. – Zaraz nam konie przyprowadzą, nie ma co brać wozu.

Wyciągam z marynarki egipskie i zaciągam się. Coś czuję, że na tych wesołych bagniskach na nic innego nie mam co liczyć. W tym czasie Pawłowicz przedstawia plan, gdzie dokładnie pojedziemy. Otóż w odległym o niecałe pięć kilometrów Chorsku znajduje się młyn. Młyn ten należy do niejakiego Promyka Stiepana, który zaopatruje Korpus w mąkę. Ostatnimi czasy wynikły jakieś problemy z dostawą, które trzeba wyjaśnić przed ósmym maja, bo wtedy przecież odbędą się oficjalne obchody rocznicowe. W myśl regulaminów Korpus obchodzi święta w pierwsze soboty po tym, jak dane święta przypadają. Za koordynację całego przedsięwzięcia odpowiedzialny jest właśnie nie kto inny, tylko Zbyniu. Rzecz jasna, to Stiepan powinien przyjechać do Korpusu, aby dogadać się z władzą w Dawidgródku, ale Pawłowicz ma ochotę przejechać się osobiście do starego Stiepana. Nie pozostaje mi nic innego, jak przystać na ten pomysł. Teraz obserwuję poleskie ziemie. W ustach rozgryzam podsunięty mi przez Pawłowicza przyjemny karmelowy cukierek, ponoć tutejszy wyrób.

Po pierwszym negatywnym kontakcie, ale po spokojnej nocy ziemie te zyskują wiele w moich oczach. Zaczynam doceniać kwitnące gdzieniegdzie

maki i chabry, chmary ptactwa, ciszę, spokój. *Wsi spokojna, wsi wesola*, aż chce się powiedzieć pod tym lekko przytłaczającym słońcem Polesia. To bowiem świeci wręcz niemożliwie. Poza tym jadę razem z dawnym druhem, a to samo w sobie jest miłe, można podyskutować o dawnych czasach, kiedy razem wytaczaliśmy się z knajp warszawskich. Albo powspominać ten wieczór, gdy trafiliśmy do – już świętej pamięci – lokalu na Gnojnej, gdzie w drzwiach minęliśmy się z równie pijaniutkim adiutantem Marszałka, który nieco speszony szukał rogatywki.

Na miłej pogwarce mija czas i naszym oczom ukazuje się wieś Chorsk. Co można powiedzieć o tym zagubionym na bagnach promyku cywilizacji? Biedne, pokryte słomą pobielone chaty, zapadnięte płoty. Wokół chat kręci się lud tej ziemi w białych koszulach i płóciennych spodniach, patrząc na nas znudzonymi, lekko skośnymi oczami. Dzień jak co dzień, tam pies przebiegnie, tam jakaś baba haftuje coś na ławce przed chałupiną. Inna, o pomarszczonej twarzy, nuci pod nosem smętną pieśń o wielkiej miłości *Oj, jak tazyt serce moje za tabo myły i jak zhadaju szczo tia lublu, tys mene lubił*. Patrzy na nas smutnym wzrokiem i śpiewa o tęsknocie za swoim miłym. To znowuż pod inną chatą siedzi zniszczony życiem dziad. Trzyma w ręku paciorki i powtarza bezgłośnie modlitwę. Kiedy go mijamy, kiwa tylko głową i wypowiada proste *pochwalon*.

– Pochwalony – odpowiada Pawłowicz – jak się macie, Makary?

– *Ja żywu* – odpowiada cicho starzec i uśmiecha się szczerbatym uśmiechem poczerniałych zębów.

– I to jest godna postawa. – Zbyniu odwraca się do mnie. – Jemu niewiele trzeba, ma optymizmu więcej niż nasze mądre dawidgródzkie głowy.

Jedziemy nieśpiesznie dalej, wybiegają naprzeciw nas dzieci bawiące się w wyliczankę. Jeden z chłopców nieco niższy od innych wypada na środek drogi i palcami wskazuje: *adin dwa tri*, martwy będziesz ty, *czitery piets szesct*, robaki ciało będą jeść, *siedem wosiem diewat* sługą Syna Bagien będziesz ty. Mały pokrzywiony palec celuje prosto we mnie. Czuję dreszcz na plecach, ale Zbyniu woła:

– Nuże! Co tak stoisz? Musimy jeszcze zająć się jedną sprawą.

Za wsią na wzgórzu znajduje się młyn. Wielka biała budowla z wiatrakami młócającymi leniwie powietrze. Zajeżdżamy pod budynek,

gdzie już u progu czeka na nas gospodarz. Stary, ale czerstwy człowiek w lnianej koszuli i w ciemnych spodniach. Między krzaczastymi brwiami a długą brodą widać czarne oczy o przenikliwym spojrzeniu. Pochyla w milczeniu głowę, bez spodziewanej przeze mnie unizoności, a raczej z rezerwą.

Prowadzi nas do stojącej przy młynie chaty, uderza w niej zapach stęchlizny, łoju i mąki. Izba niska, duszna. Zawalona skórami zwierząt różnych, z dwiema ławami i jednym brudnym stołem, na nim zaś góra wypalonych świec.

– No, Stiepan, o suchym pysku siedzieć nie będziemy – rozpoczyna od razu Zbyniu.

Na twarzy Stiepana zakwita szczery uśmiech, ukazujący poźółkłe i poczerniałe zęby. Rysy łagodnieją, a ruchy nabierają lekkości. Nie marnując czasu, wyciąga zza jednej z ław butelkę, pęto kiełbasy i kawał chleba. Leje, nie żałuje, więc alkohol wypełnia prawie po brzegi gliniane kubki.

– Za co? – rzuca rozbawiony Zbyniu.

– Może za wojewodę? – Podkręcam wąsa, jestem w nastroju do żartów.

Pawłowicz uśmiecha się jakoś dziwnie, ale pierwszy unosi kubek.

– No to za Kostka-Biernackiego!

Stiepan sztywnieje, patrzy na niego zdziwiony, ale pije. Ja też piję, bimber jest mocny, ale smaczny. Rozluźniam się. Pawłowicz ze Stiepanem zaczynają obgadywać szczegóły dostarczenia mąki do garnizonu, ja zaś w spokoju lustruję chatę. Ciemne miejsce, z siennikiem, paleniskiem, małe okna i zioła suszące się pod strzechą. Na jednej ze ścian wiszą ikony. Ciemne, okopcone ikony Chrystusa i Maryi. Wszystko skąpane w półmroku. Nie wiem, dlaczego tak bardzo ciężą mi ręce, czemu tak trudno mi się myśli. Do uszu dobiegają urywki rozmów, jakieś liczby, targi. Robi mi się przyjemnie, sennie i spokojnie.

– Ej, Maurycy, chodź no! – Zbyniu szarpie mnie za ramię. – Odbieramy należność.

Wstaję i idę za Zbyniem. Gospodarz prowadzi nas do sąsiedniej izby, tu, na ławach, dwie piękne krasawice. Nagie, nie licząc wianka na głowie, zachęcająco patrzą nam w oczy, lubieżnie oblizują pełne wargi. Nad nimi

makatka z polnych maków, ułożonych w znak węża o dwóch głowach i czerwonych od maków oczach.

– *Nu ribiata.* – Gospodarz klepie mnie po ramieniu. – *Idite!*

– Którą wybierasz? – Pawłowicz łypie na mnie i się uśmiecha.

– Ja... – Szukam języka w gębie. W duszy jakaś niewyraźna pretensja się budzi, ale zdławiam ją. – Ja chyba... ja tę po lewej.

– Dobry wybór. Chociaż tutaj każdy dobry. Nuże!

Pawłowicz zabiera mnie pod rękę i prowadzi ku dziewczynie. Ksenia albo Wera, piękna, o czarnych oczach, łapie mnie za dłoń.

– *Nu małojec, idim.* – Prowadzi mnie do drugiej izby, gdzie palą się świece. Rozpina mi koszulę.

– Ja nie chcę – mówię nieśmiało, przed oczami staje mi twarz Agaty. Mojego portu. – Nie chcę – ale zarazem czuję, jak ciało postępuje wbrew mojej woli.

– Ciii – kładzie mi palec na ustach – ciii.

– Nie! – Dziewczyna uśmiecha się jakoś dziwnie, ściąga resztę ubrania, odchodzi ode mnie na kilka kroków. Pokazuje się w całej krasie. – Ja nie chcę, nie chcę, puszczaj!

– *Prychodź da mene.*

– Neeee. – Chcę się odwrócić, ale nogi mam jak z waty, ona znów idzie do mnie, uśmiecha się. Dziwne ma zęby, żółte, pokrzywione, ale zarazem ostre.

– Czym jesteś?! – krzyczę i patrzę w oczy, które nagle zmieniły się w kocie ślepia.

– *Prychodź!*

– Ej, obudź się! – Z nagłego odrętwienia wyrywa mnie szturchańcem Pawłowicz. Nie ma widziadła, jest chata młynarza. Zadumany Stiepan nad butelką wódki i uśmiechnięty, szarpiący mnie za rękę Pawłowicz. – Coś ci się chyba miłego przyśniło.

Dziwy. Rozglądam się nieco speszony raz jeszcze po chacie. Nie ma dziewcząt, nie ma w ogóle izby drugiej za drzwiami. Nie ma makatki, są za

to ikony okopcone, tak że twarzy postaci nie widać. Dziwny niepokój w sercu, że coś utraciłem, że kogoś zdradziłem.

– Spałem?

– No, powiedziałbym, że raczej odpłynąłeś. Ty jesteś niealkoholowy, coś się zmieniło od naszych czasów? A może chory? – Szczere zaniepokojenie maluje się na twarzy mojego starego kolegi.

– Nie, skądże – zaprzeczam nieco stropiony całą sytuacją, nie wiem, co się stało.

– Może głowa słaba? A może to nasze bagna? Zdarza się najlepszym tutaj, że tak się zatracają.

– Tak, pewnie to klimat tutejszy. – Wyjaśnienie brzmi całkiem przekonywająco. No bo co innego? Żegnamy się z młynarzem i wychodzimy z chałupy na jasne słońce, ciepły wiatr i w zapach pól. Wspomnienia majaków ulatują z głowy, wyganiane ćwierkaniem ptaków i pokrzykiwaniami dzieci, pluskających się w płynącej opodal młyna rzeczce.

– Dobrze, mój drogi. – Pawłowicz zaciera ręce nieco teatralnym gestem.

– Zaczynamy wycieczkę krajoznawczą. Skoro jesteśmy na północy, to proponuję las i kurhany. Wzgórze zamkowe zobaczysz już w Dawidgródku. Wszystko, co widział Adam Staff. – Klepie mnie po ramieniu. Odwracam się raz jeszcze, patrzę na młyn. Nie ma dziewczek, jest tylko młyn. A jednak znowu robi mi się nieswojo. Gdzieś w moim wspomnieniu pojawia się obraz Agaty, ale znika szybko.

* * *

W drodze Zbyniu opowiada o niuansach aprowizacji, o realnym problemie przemysłowców, rozpruł się też, że ustawy ustawami, ale narkomania ma się w Dawidgródku dobrze i że oczywiście odpowiedzialni za to są farmaceuci. Że Adler wie, ale nie ma zamiaru z tym nic robić, bo to walka z wiatrakami i więcej można zaszkodzić, niż pomóc. Zresztą przecież nie takie historie znamy. A odkąd Adler zaczął przez palce patrzeć na morfinistów, to zaraz zmniejszyła się liczba samobójstw.

W końcu, po może półgodzinie nieśpiesznej jazdy kłusem, docieramy na miejsce.

– Staff wiedział, co dokładnie chciał zobaczyć? – pytam, rozglądając się po dość nijakim lesie. Ot, kilka drzew, krzaków i kępek mchu.

– I tak, i nie. – Zbyniu szarpie się za wąs w zadumie. – Pytał mnie, co gdzie leży, i był bardzo precyzyjny, ale zupełnie nie radził sobie z położeniem tych miejsc. Ciągłe prosił o nanoszenie ich na mapę, tak aby się potem nie zgubić. Jakby wiedział, co chce zobaczyć, ale nie wiedział, gdzie szukać.

– I co w tym dziwnego? Mógł przeczytać chociażby ten przewodnik Dowgirda, co go PTTK wydało.

– Niby tak, ale tam nie ma szczegółów. Znam te wydawnictwa, przecież mamy je wszystkie na strażnicy, i tej piramidy na przykład nie było nigdzie opisanej. Odkrył ją Dowgird jakoś jesienią zeszłego roku. Już po tym, jak napisał przewodnik.

– Odkrył?

– On jest pochłonięty tutejszą historią i podczas jakiejś wyprawy przypadkiem natrafił na nią. Zaraz zresztą zobaczysz, dlaczego wcześniej nikt tego nie znalazł. Błądził, chyba miał jakieś wyliczenia. Wiesz – tu Zbynio pokazuje ręką charakterystyczny gest – on jest dziwny.

Idziemy przecinką między drzewami, chrzęści pod stopami igliwie, w uszach ptasie śpiewy. Ścieżka rychło znika, dalej chaszczę, a potem trzęsawisko. Pawłowicz milczy skupiony, jakby liczył coś w głowie. Nagle zatrzymuje się przed jednym z krzaków, patrzy na okolicę, kręci głową. Idzie znowu kilka metrów, przystaje, rozgląda się, po czym skręca wprost w chaszczę. Przechodzimy po ułożonych ręką ludzką kłodach, pod nami czarna toń bagniska. Ręką daje mi znak, abym szedł za nim. Idziemy przez krzaki, za nami w oddali konie parszczą, przywiązane do drzewa przy przecince. Po dłuższej chwili dopiero wycieczka przestaje przypominać przedzieranie się przez dżunglę.

– O, widzisz? Tam w środku jest piramida. Nie znajdziesz, jak nie wiesz, że tam jest!

– A skąd Dowgird wiedział?

– Mówiłem. Wyczytał w jakimś starodruku, kolekcjonuje je. Pytanie ważniejsze, skąd Staff wiedział?

– Może czytał ten sam druk?

– Może, ale Dowgird mówił, że to rzecz niezwykła, jakiś list czy coś... To co? Reflektujesz na oglądanie piramidy? Naszej, być może, turystycznej atrakcji? – Znacząco mruga.

Wzruszam ramionami. Przecież dla czegoś ten nieszczęsny Staff tutaj przyjechał. A nie chce mi się wierzyć, że przyjechał tylko jako turysta.

– Nie wiem dokładnie, jaka tego jest historia. Ponoć był to grobowiec jakiegoś litewskiego magnata czy też bogatego szlachcica. Niepiórkowskiego-Komedy chyba. Wiesz, taka nasza poleska wariacja. Niepiórkowski to jakiś pociotek hrabiego Zwiaholskiego, naczytał się o Egipcie, a do tego, jako wolnomularza, fascynowały go różne dziwne rzeczy. Dowgird mówił, że napisał o nich jakiś traktat nawet. W każdym razie chciał, aby to był jego grobowiec, ale z planów nic nie wyszło. Poza tym nieszczęśnik nie należał do ludzi najnormalniejszych, podobno wierzył w duchy, wędrówkę dusz i chiromancję. Wiesz, jak ta żona Maksia Brodeckiego, co robiła seanse spirytystyczne. W każdym razie wybudował piramidę, nie wiedzieć czemu akurat tutaj, pośrodku niczego – na moment urywa, jakby łapał myśl, która gdzieś mu właśnie umknęła. – Wiesz co, wiem, kto może ci pomóc! Horyc! No przecież, że też wcześniej na to nie wpadłem... Nasz oficer propagandy albo sam hrabia Zwiaholski, ci powinni wiedzieć...

Wchodzę w gąszcz. Piramida jak piramida, taki bardziej stożek, jak niektóre grobowce z Powązek. Na ziemi też nic nie znalazłem, okolice porośnięte zrudziałym mchem, na którym zapewne widać by było każde ciało obce, nienależące do leśnego poszycia.

– Ktoś to otwierał?

– Nie, nigdy. Dowgird planował, ale na razie chyba się nie zabrał do tego. Zresztą nawet nie wiadomo, czy jest coś w środku i czy się da otworzyć. Wygląda mi to na zwartą konstrukcję, bez jakiegokolwiek przestrzeni wewnątrz.

– Jak pomnik?

– Tak jakby. Albo słup graniczny?

– A Staff? Długo tutaj był?

– Dłuższą chwilę, tak na dwa papierosy. Chodził, oglądał, coś notował...

– Notował?

– Tak, miał taki kajecik mały, cały czas coś w nim skrobał. – Uśmiecha się do mnie porozumiewawczo. – No oczywiście, że zerknąłem, ale mam złe wieści, nic nie wyczytałem specjalnego. Już wyleciało mi z głowy, to co kiedyś tam niby umiałem po grecku.

– Pisał w grece?

– Chyba tak, w każdym razie na grekę wyglądało. Czasami też coś wykreślał w kajeciku, tak jakby listę odhaczał lub jakby jakiś fragment tekstu mu nie pasował. Jeśli miałbym zgadywać, tobym powiedział, że ten twój Staff przyjechał tu z jakimiś pomysłami i na miejscu je weryfikował.

Raz jeszcze omiatam wzrokiem piramidę. Nic specjalnego. Znaczący, ciekawa rzecz, ale o poczynaniach Adama mówi mi tyle samo, co pierwszy lepszy głąz. Obchodzę jeszcze raz piramidę, dotykam chropowatej powierzchni. Uderza mnie niesamowita cisza, niepokojąca cisza. Rozglądam się raz jeszcze po polance, dopiero teraz to zauważam, na jednym z drzew są jakieś dziwne przywieszki. Podchodzę bliżej – konstrukcje z piór i gałęzi, niektóre z nich mają kształt niezdarnie skleconych trójkątów, inne wyglądają jak gwiazdy. Pamiętam, kiedyś czytałem książkę o czerwonoskórych z Ameryki, oni chyba mieli nawet na to własną nazwę.

– Co to? – Przyklękam przed ołtarzem.

– Miejscowe gusła.

– A było to tutaj poprzednio, jak przyjechałeś ze Staffem?

Pawłowicz wzrusza ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie wiem.

Wstaję z kolan i patrzę na drzewo, które rośnie nieco w głębi.

– A to? – Wskazuję palcem.

Pawłowicz podchodzi, zaintrygowany.

– O, kurczę! – Drapie się pod rogatywką. – Tego nie widziałem.

Patrzymy obaj na wycięty w korze kształt równoramiennej trójkąta, skierowanego wierzchołkiem do dołu, jakby wskazywał przybitego poniżej

szpaka.

– Jedźmy już stąd... – Pawłowicz kładzie mi rękę na ramieniu.

– Co ty, boisz się czegoś takiego?

– Nie lubię patrzeć na taką krzywdę... zwierzęta nic przecież nie zawiniły.

Kurhan wydaje się mniej interesujący niż piramida. Co Staff w nim widział? Czemu się nim tak interesował, że jak wspominał Pawłowicz, siedział przy nim dobre dziesięć minut? Gdy już zamierzamy odjeżdżać, moją uwagę przykuwa jeszcze jeden szczegół pośród pokrytego ciemnorudymi roślinami wzgórzka.

– Co tu robią te świece? – zagaduję do Zbysia.

– A tak, czasami się pojawiają. Wydaje mi się, że to po prostu miejscowi oddają cześć zmarłym. A przynajmniej tak mi Horyc mówił kiedyś.

Podchodzę bliżej. Trzy wypalone świece, obok nich gliniana miska z resztkami zboża chyba. I jeszcze coś. Martwy gołąb oraz ślady krwi. Ptak jest pozbawiony głowy, musi leżeć już jakiś czas, gnije. Obok niego symbol jakiś, ni to topór, ni piorun. Podobnie jak tam.

– Składają w ofierze zwierzęta?

– Ja nie wnioskuję – wzrusza ramionami – dla mnie to barbarzyństwo.

„To jest Polesie, logikę możesz sobie w dupę wepchnąć”, krzyczy wręcz jego obojętność.

– Po raz kolejny odsyłam do Dowgirda, on będzie wiedział, albo do Horyca, ale on teraz zajęty. Rozumiesz, rocznica.

Odjeżdżamy, zostawiając za sobą wypalone ogarki, miskę z jedzeniem i truchło gołębia.

* * *

U stóp góry zamkowej wysiadam, wylewnie dziękując Zbysiu za ten „jakkże miły wypadzik”. Pozostały mi do obejrzenia zamek i wykopaliska. Znacząca dziura w ziemi już zakopana i smętna informacja, że odkryto

szczętki dworu kniazia Dawidowicza, który przed tylu a tylu laty miał tutaj swój dwór, swoją twierdzę warowną.

– A cóż to pan kapitan tutaj robi? – Podbiega do mnie dyrektor szkoły Mimiński, a zaraz za nim ni to truchta, ni to majestatycznie kroczy ksiądz proboszcz.

– Tak sobie zwiedzam Dawidgródek. A pan nie powinien być w szkole?

– No właśnie tam zmierzam. Byłem na spacerze z księdzem proboszczem – odpowiada, ale coś mi nie pasuje, bo dyrektor szedł raczej ze szkoły niż do niej. – Ładna ta nasza góra zamkowa, prawda? Nie to co w Wilnie, tam to jest góra i ruin nieco więcej, a tutaj nic a nic, jak się zdaje. No, ale nasza to nasza. Niech pan uważa, aby pan jakiegoś fiksum-dyrdum nie dostał. – Śmiech, śmiech obrzydliwy, przypominający nieco meczenie kozy. – No, na mnie czas już. Pauza zaraz dobiegnie końca. – Odwraca się na pięcie, nie dając mi możliwości odpowiedzi.

Odprawiam go wzrokiem, zbity z tropu jego zachowaniem.

– Nasz kochany dyrektor – ksiądz rozpoczyna nieśpiesznie – czasami jest trudny w odgadnięciu, ale to dobry człowiek i dobry katolik.

– Tak, to bardzo ważne. – Krzywię się.

Ksiądz nie zauważa tego, a nawet jeśli zauważa, to nie daje po sobie poznać.

– Ech, te ludy pogańskie, gdyby nie my – wypala ni stąd, ni zowąd. – A właśnie, idę do kościoła, może pan mnie odprowadzi?

Nie wiem, co miałbym mieć z wycieczki z klechą do świątyni, ale w porę gryzę się w język. Przypominam sobie o księdzu Marwickim i odkrywam, że jednak byłoby o czym porozmawiać.

– No dobrze, czemu nie – mówię, niby się ociągając.

Schodzimy pomału wzgórzem wprost do nowo budowanego kościoła. Konewce cały czas nie zamykają się pulchne usta.

– ...i wtedy właśnie udało się zebrać pieniądze na tę nową, jakże piękną świątynię. To było rok temu. W mojej parafii mam blisko dwieście katolickich duszyczek, i to nie licząc naszych dzielnych żołnierzy Korpusu. Tak, tak. Bez Korpusu nie byłoby szans na realizację takiego przybytku.

– To wszystko bardzo interesujące – wcinam się i kłamię jak z nut – ale ja mam zupełnie inne pytanie. Bardzo mnie ciekawi, jak to było z księdzem Marwickim.

Konewka wykrzywia twarz, jakbym mu na nią napluł.

– To była bardzo przykra sprawa – cedzi przez zęby – nie chciałbym do niej wracać.

– Rozumiem. – Uśmiecham się pod nosem. Właśnie doszliśmy do drzwi kościoła. Faktycznie nowoczesna, modernistyczna bryła, od której bije majestatem. Całość z czerwonej cegły, zwieńczona wysoką i masywną wieżą, z rozetą tuż nad wejściem. – Ale chciałbym wiedzieć – mówię z głową zadartą ku górze, niby oglądając witraże. – Muszę wykluczyć fakt, że miało to cokolwiek wspólnego z zaginięciem kapitana Staffa.

– A co niby miałoby mieć? – Głos sługi bożego zdradza psychiczne rozedrganie.

– To właśnie próbuję ustalić. No to proszę opowiedzieć, cóż się tak naprawdę przydarzyło księdzu Marwickiemu?

– Ja nic nie wiem. – Klecha robi się czerwony na twarzy jeszcze bardziej niż przed chwilą. Wije się, dziadyga...

– Rozumiem, rozumiem. – Kiwam głową spokojnie. – A prosiłbym jeszcze o rozproszenie jednej wątpliwości. Otóż tak się składa, że odwiedziłem księdza Marwickiego w tworkowskiej klinice.

– Taak? – wyraźne drżenie w głosie.

– I zrobił na mnie wrażenie człowieka w pełni władz umysłowych i bardzo... – szukam słowa – skupionego na ascezie.

– To prawda.

– Powiedział też coś niezwykle interesującego. Kiedy rozmowa zeszła na Dawidgródek, zaczął powtarzać *hobjynrec*. Wie może ksiądz, co to znaczy?

– Nie, nie wiem. Nie wiem. Nigdy nie słyszałem. – Kręci wręcz komicznie głową. – Może źle na niego tutejszy klimat wpłynął. Muszę już iść, obowiązki wzywają. – Ucieka, nawet nie zegnając się ze mną.

Odprowadzam go wzrokiem, aż zamkną się drzwi do świątyni. Odwracam się na pięcie i zauważam popa, który nachalnie wbija we mnie wzrok, stojąc na progu swojej cerkwi. Młody mężczyzna, o długiej, nieco

lisiej twarzy. Patrzy na mnie, mrużąc nieufnie oczy. Znak krzyża trzykrotny, wydaje się, że szepcze coś pod nosem. Ruszam w jego stronę, ale pop momentalnie znika w czeluściach świątyni. Naraz przychodzi fala niepokoju, zupełnie nieuzasadnionego, jakiś lęk pierwotny, który lodową gąsienicą schodzi mi w dół kręgosłupa. Irracjonalne w ten słoneczny dzień uczucie, jakby coś czarnego i zimnego zatrzasnęło się wokół mnie i zgnieść chciało, aż oddech gubi swój rytm. Trzeba odeprzeć grozę nieznaną znanym rytuałem. Drżącą ręką sięgam do kieszeni po papierośnicę. Natrafiam na list pisany w nocy do Agaty, a niewysłany jeszcze. Chropawy papier koperty i śliska gładkość znaczka, ale, co ważniejsze, myśli o ukochanej raptem przerywają spiralę lęku. Łapię na powrót oddech i wyciągam list, patrzę na imię znajome.

* * *

Zmęczony wracam do kolonii urzędniczej i kieruję swoje kroki w stronę ogrodu, aby na spokojnie przemyśleć całą sytuację, po drodze nadaję list na pocztę, czyli w małym lokaliku ze znudzonym poczmistrzem, brzydkim kalendarzem kresowym oraz słabą wentylacją. Nadaję i wychodzę.

Skąpany w słońcu ogród kusi miękkością traw. Kładę się więc pod jednym z drzew i słucham szumu jabłonek. Przez drobne, oblepione białymi kwiatkami gałęzie pada mi na twarz ciepłe światło. Każdy najlżejszy powiew wprawia malutkie płatki w ruch, sypią się niczym płatki śniegu. Koniecznie jutro powinienem wybrać się do Mokroci, ale najpierw muszę porozmawiać z Dowgirdem. Patrzę na zegarek i decyduję się tym razem zostać na obiedzie, czekać będę niedługo, a pełny żołądek zawsze przywraca spokój... leżę więc tak pod jabłonką, słuchając śpiewu ptaków, i zapalam egipskiego, aby się podelektować smakiem. Dym miesza się przyjemnie z zapachem trawy, muskają mnie źdźbła i jest nawet miło.

Nagle zza dymu papierosowego wyłania się postać kobieca. Przesłania słońce, więc w pierwszej chwili nie jestem w stanie rozpoznać, czy to jedna z dziewczek służebnych, czy też może Aniela. Postać stoi nade mną, widzę kształty lekko kanciaste, toporne, ni to chłopak, ni to dziewczyna.

– Pan Maurycy tak sam tutaj leży? – melodyjny głos dociera do moich uszu. A jednak, córka Zwiśłockich...

Pierwszy raz mam okazję ujrzeć Anielę prawdziwą, a nie skrojoną pod rodziców. Rzuca w moim kierunku wyzywające spojrzenie, wyprostowana, prowincjonalna wersja Zuli Pogorzelskiej. Czarne krótkie włosy w stylu chłopczycy, jakże modne od Marszałkowskiej po Nowy Świat, duże piwne oczy i lubieżnie umalowane usta. Do tego perliście biała bluzka i kraciasta spódnica za kolano. Wypisz wymaluj – grzeczna pensjonarka. Na swój sposób nawet pociągająca.

– A panienka nie w szkole? – odpowiadam pytaniem na pytanie, wcześniej podkręciwszy wąsa.

– A nie. Dziś zajęcia krótsze były. – Klaszcze w dłonie wesoło. – Wracalam właśnie, kiedy ujrzałam pana pod tą jabłonką i przyszło mi do głowy, że chciałby pan kapitan pewnie pobyc w kobiecym towarzystwie i poczęstować mnie papierosem?

Masz babo Polesie...

– A to panienka nie wie, że panienki z dobrych domów nie palą? – odpowiadam, starając się, aby mój ton nie stracił irytacji, bowiem już domyślałam się, do czego to zmierza.

– Niech pan nie żartuje! – Aniela, czy też raczej Anielka, jak nazywają ją w domu, śmieje się perliście. – Pan myśli, że ja zawsze tutaj mieszkałam? Wcześniej mieszkaliśmy we Lwowie, ale papa zrobił jakieś głupstwo. – Wydyma usteczka. – No więc nie takie rzeczy zachodziły w naszym gimnazjum jak palenie papierosów...

– A co, może panienka też i alkohol pije?

– Tak, najbardziej lubię koniak. – Znowu wydyma wargi. – Że też pan się nie domyśli. Wy, mężczyźni, jesteście zawsze tacy sami, wszystko na złotej tacy, jakbyśmy były jak ten kelner w kawiarni, a fe! – nabzdycza się.

– Nie rozumiem, do czego panienka zmierza. – Oczywiście rozumiem doskonale, ale bardzo chcę ukrócić tę zenującą konwersację.

– Och, ach, wszyscy święci i dziewica, pomyślałby kto, że jest pan taki świętoszek. – Uśmiecha się zalotnie. – Jak papa z mamusią posną, to przyjdę do pana.

– I co, zagramy w koci łapci? – udaje mi się zadrwić, ale jestem skrajnie zirytowany.

– Nie. – Uśmiech znika z jej twarzy, a głos staje się bardzo poważny. – Weźmie mnie pan. Nie mam zamiaru bawić się w żadne hocki-klocki. Podoba mi się pan, a ja panu. Proszę na mnie tak nie patrzeć. Pan myśli, że ja jestem dziewicą? Proszę nie żartować. Już dawno we Lwowie... najpierw był taki jeden student, całkiem sympatyczny, potem radca Askenazy, potem... potem... – zasębia się – potem pan Roicher, ale to zupełnie inna historia. Zresztą proszę się nie bulwersować. Zyta Mordakówna regularnie bywała u młodego Płomusienowicza, a Ada u Zybortowicza, a potem chyba się zamieniły. W każdym razie nie ma w tym nic niezwykłego. Będę po jedenastej wieczór. – Odwraca się na pięcie i do całego obrazka brakuje tylko, aby gryzła jabłko. I to kwaśne, a ja nie gustuję w takich. Poleska Jean Harlow, poleski symbol sex appealu in spe energicznie kroczy w stronę domu, jednak miękki grunt i buty na płaskiej podeszwie uniemożliwiają jej bardziej zalotny ruch bioder, czego chyba próbuje. Ja nie mogę, Agata popłacze się ze śmiechu, gdy jej to opiszę...

ROZDZIAŁ V

Syn Bagien

30 kwietnia 1937

Późny obiad okazuje się tyleż dobry, co tłusty. Zapach tłuczonych ziemniaków, kotletów wołowych i marchwi duszonej wypełnia mieszkanko. Najprawdziwsza kuchnia polska potrafiąca otumanić każdego, do tego wino i „kompcik dla Anieli”, bo przecież „ona taka młoda, pić nie powinna”. Zgryźliwy komentarz matki ma chyba przytemperować córę, ale nie spełnia swojej roli. Gdy udaje mi się wreszcie wyzwolić ze zwykłego polskiego popołudnia, ruszam prosto do Dowgirda, którego dom, jak mi powiedziano, znajduje się po drugiej stronie Dawidgródka. Krążę po Perle Polesia, klnąc na źle oznaczone ulice oraz biegające żydłaczące albo świergoczące w poleskiej gwarze dzieci, aż odnajduję odpowiednie miejsce. Wchodzę w błoto po kałużach kilka razy, zaczepiam ubraniem o krzak rosnącej dzikiej róży. Psiakrew, o mało co spodni nie podarłem! W końcu docieram na miejsce. Mały drewniany domek w brudnoszarym kolorze, otoczony niskim płotkiem pokrytym bluszczem. Przekraczam drewnianą furtkę i pukam w zadbane drzwi.

– Kto tam? – z wnętrza dobywa się nieprzyjazny głos. Nikt nie otwiera.

– Kapitan Jakubowski, chciałbym z panem porozmawiać.

– Korpus czy policja? – pada burkliwe pytanie.

Rozglądam się wokół. Ani w tym, ani w domu obok nie widać żadnych śladów życia. Tak jakby sąsiadem nikt się nie interesował.

– Przyjechałem z Warszawy – decyduję się w końcu na wymijającą odpowiedź, która może, choć nie musi, złamać opór delikwenta.

Cisza. Po chwili słyszę szuranie, odgłos odsuwanej sztaby, a w końcu drzwi się otwierają. Nie tak wyobrażałem sobie Jana Dowgirda. Kiedy mówiono, że jest dziwakiem, myślałem, że będzie to widoczne na pierwszy rzut oka. Spodziewałem się starca o rozczochranej fryzurze i błędnym

wzroku, tymczasem stał przede mną człowiek raczej młody niż stary, o nieco nalanej twarzy i czujnych oczach oraz kręconych czarnych włosach.

Przyglądam się jego twarzy w migotliwym świetle – zdecydowanie młody, niewiele starszy ode mnie. Lekka nadwaga zdradza zamiłowanie do łakoci, ale też nieprzesadnie, ubiór zaś wskazuje, że może i jest prowincjonalnym nauczycielem, ale i prenumeratorem „Współczesnego Pana”. Swój pozna swego, ja też nolens volens zawsze czułem, że nie można nie ubierać się starannie, jeżeli nie z szacunku do otaczającego mnie świata, to chociaż dla siebie. Jak mawiał mój ojciec: jak gardzić – to z klasą. Elegancki schludny strój, odprasowana koszula, spodnie w kant, kamizelka, której idealność psuje brak jednego guzika. Rzutkość ruchów wskazuje zaś, że nadwaga może skrywać wręcz człowieka silnego.

– Mówi pan, że z Warszawy. – Patrzy podejrzliwie zza małych okrągłych okularów.

– Tak. – Podsuwam mu legitymację pod nos.

Czyta, unosi brwi i wyraźnie się rozluźnia. Niemalże namacalnie schodzi z niego całe napięcie.

– Przepraszam, bywam strasznie niewychowany, moich uczniów bym zrugął za podobne zachowanie... ostatnio często niedomagam. – Podaje dłoń spoconą. – Jan Dowgird, nauczyciel. Proszę, niech pan wejdzie.

Domek jest mały, ale utrzymany we wzorowym porządku. Tanie praktyczne meble, na ścianach jakiś zwyczajowy obrazek z Dawidgródka, do tego kilka landszaftów i szkiców ruin. Pokój nie zdradza, aby nauczyciel zajmował się czymś innym niż edukacją młodzieży. Jakies książki, jakies sprawdziany dawne, zeszyty, ot, normalne mieszkanie nauczyciela. Do tego pachnie środkiem do mycia podłóg, co świadczy o najbardziej podstawowych potrzebach higienicznych właściciela.

– Proszę usiąść. – Gestem pokazuje jedno z krzeseł dostawionych do okrągłego stołu. Herbaty ani wody nie proponuje, za to przygląda mi się tak zachłannie, że zaczynam odczuwać dyskomfort.

– Słyszałem, że interesuje się pan lokalną historią...

– Tak, tak. – Oczy Dowgirda aż błyszczą, nauczyciel zaciera pulchne dłonie, wyraźnie się niecierpliwi. – Czy moja praca dotarła do ministerstwa?

– Przepraszam, nie wiem nic o żadnej pracy...

Oczy Dowgirda się zwięzają.

– Ale widziałem legitymację, jest pan z oddziału drugiego, prawda? – nagle podnosi nieco głos, tak że przechodzi w falset.

– Tak... – Sytuacja zaczyna robić się naprawdę dziwna, nawet jak na standardy Polesia.

– I nie dostał pan mojej pracy? – Mruga nerwowo, zdejmuje okulary, lekko trzęsącymi się dłońmi je wyciera.

– Nie.

Dowgird zaczyna nerwowo trzeć dłońmi o uda.

– Dobrze – oddycha spokojnie – dobrze... jeszcze raz...

– Przyjechałem tutaj, ponieważ szukam Adama Staffa – przerywam, bo czuję, że inaczej nic z tego nie wyjdzie. Jego postać wydaje się coraz bardziej surrealistyczna.

– Adama Staffa? – Dowgird zdaje się dochodzić do siebie. – Jak to pan szuka Adama Staffa? Dlaczego pan go szuka? Coś mu się stało?

Liczę w myślach do pięciu. Teraz wyraźnie widzę, że Jan Dowgird jest człowiekiem o słabej konstrukcji psychicznej.

– Nazywam się Maurycy Jakubowski – zaczynam powoli – jestem kapitanem Oddziału Drugiego Sztabu Generalnego. Adam Staff, kapitan Adam Staff, jest jednym z pracowników ministerstwa i zaginął. Zaginął tutaj, na Polesiu, niecałe trzy tygodnie temu. Wiem, że spotykał się z panem kilkukrotnie, i chciałem się dowiedzieć, co tu robił.

W trakcie mojej krótkiej przemowy obserwuję twarz nauczyciela. Najpierw stała się szara, a potem biała.

– Adam... Adam był oficerem wywiadu? – duka w końcu, a wargi mu drżą.

– Tak. Nie wiedział pan?

– Nie... nie... – Dowgird pociera dłońmi policzki, co sprawia, że cała jego postać wydaje się coraz bardziej komiczna. Znowu przechodzi w falset: – Nie. Ale dlaczego mi nie powiedział? I czy wiedział? Czy czytał? Chyba nie czytał...

– Czego nie czytał? Czy możemy uporządkować pewne kwestie?

Dowgird pada ciężko na krzesło.

– Może nie wszystko stracone, może nie wszystko stracone.

Oddycham ciężko i wyciągam papierosa.

– Dobrze, po kolei. Co to za praca? – Zapalam egipskiego.

– Studium... – wzdycha Dowgird i pewnie by tak wzdychał i wzdychał, gdyby nie mój wzrok. – Studium poświęcone pierwotnym wierzeniom tutejszych ludów na podstawie zabytków kultury i legend. Zwłaszcza legend.

– To na pewno bardzo ciekawe, ale co ma wspólnego z wywiadem i kontrwywiadem?

– To, że te wierzenia są w pewien sposób powiązane z ideologiami komunistycznymi.

– Nie rozumiem. – Chyba tak naprawdę rozumiem, ale dobra stara szkoła każe mi słuchać.

– Część z przekonań tutejszych, wierzeń... – widać trafił na swój ulubiony temat i już poczuł się pewniej – czyni ich podatnymi na komunizm. Wiara w siłę wspólnoty, drobne kolektywy, nienawiść do chrześcijaństwa. Ja wypisałem wszystkie przykłady, warianty. Oni czuli się zawsze jednością, każdy z każdym. Nie ma jednego człowieka, jest ród, który mówi jednym głosem, zrzuca decyzje na tego, który ich reprezentuje, czyli przewodnika wspólnoty. Takiego trochę dyktatora. Wie pan – patrzy na mnie przez chwilę, wyraźnie zdenerwowany, w końcu wskazuje na wschód – ja wiem, jak tam jest. Ja wiem, co tam jest. I ja tego nie chcę.

Patrzę na Dowgirda i naraz okazuje się, że nie jest to człowiek tak bardzo zdziwaczaty, jakim się wydawał. Tylko obdarzony nieszczęśliwą konstrukcją psychiczną.

– Jak pan chce, mam jeszcze jedną kopię – zaczyna w końcu. – Ale nie mogę jej teraz dać, bo to moja ostatnia. Będę musiał ją przepisać, a to chwilę zajmie... Jakby pan przyszedł za kilka dni, to mógłbym ją przekazać.

– Nie odmówię. – Swoją drogą ciekawe, co się stało z oryginałem, czyżby faktycznie zaginął gdzieś w ministerstwie? I czemu się tak przestraszył na wieść, że Adam jest z defensywy? – No dobrze, wróćmy do Staffa. Rozmawiał z panem.

– Tak, tak, ale na zupełnie inne tematy. Znaczy, nie takie znowu inne, ale bez politycznych powiązań.

– To znaczy? Co dokładnie?

– Interesowały go stare legendy. Miał taki ciekawy rękopis Anioła Czocha z dziewiętnastego wieku o wierzeniach ludowych. Ten poemat jest mierny, jeżeli mogę sobie pozwolić na ocenę. *Ziemia przeklęta*, jakby pana to interesowało.

– I co on z tym poematem robił?

– Szedł jego śladem. Wszystko to było bardzo naiwne. Chyba turystyczno-folklorystyczne, że tak to ujmę. – Dowgird rozluźnia się jeszcze bardziej. – Zresztą proszę, mogę pożyczyć. – Znika w przyległym pokoju i wraca z małą książeczką, którą podaje mi nieco zawstydzony. – Mam kilka egzemplarzy, bo sam to nawet wydałem. Cokolwiek by mówić, hobbystycznie.

– I Staff chodził z tą książką i szukał miejsc?

– Tak było. Nie wiem tylko, skąd wiedział o piramidzie, sam ją odkryłem przypadkiem, kiedy...

– ...poszedł pan na wycieczkę – kończę.

– Tak... Interesował się ogólnie historią regionu. Kniaziem Woronem, kurhanami, wierzeniami ludowymi. Ale wszystko było ściśle związane z *Ziemią przeklętą*. Jeżeli mam być szczery, interesował się tym pan Staff raczej amatorsko.

Kiwam głową w zadumie. Może coś z tej lektury wyciągnę.

– Zna pan tylko *Ziemię przeklętą*? – pyta nagle Dowgird.

– A są jakieś inne pozycje?

– Ależ oczywiście. Jest jeszcze *Pieśń o Synu*.

– A cóż to takiego?

Dowgird nie odpowiada, ale znika w pokoju, po czym przynosi cieniutką książeczkę.

– Proszę, to jest, powiedzmy, kontynuacja *Ziemi przeklętej*. Niechże pan przeczyta.

– Oczywiście. Mam pytanie, czy pan – staram się jak najlepiej dobrać słowa – niezaprzeczalnie specjalista od regionalizmów, wie może coś

o próbach, ja wiem, odnawiania wierzeń ludowych?

Dowgird wpatruje się we mnie zszokowany.

– Chyba... chyba nie rozumiem... ale w jakim sensie, religijnym?

– Politycznym. – Patrząc na niego przeciągle. – O Zadrudzie pan słyszał?

– Nie – pada szybka i stanowcza odpowiedź.

– To taki ruch neopogański, chcą...

– Przepraszam najmocniej – Dowgird patrzy na mnie smutnym wzrokiem – czuję, że zaraz dostanę straszliwego bólu głowy i potrzebuję spokoju. Niestety miewam takie ataki.

Żegnam się i już stojąc w drzwiach, niemal uderzam się dłonią w czoło.

– Przepraszam, jeszcze jedno pytanie, czy mówił pan o tych kwestiach wojewodzie?

– Tak...

– I?

– Wie pan, ja widzę, że ta tutejsza wiara może być zagrożeniem, a on w niej widzi szansę. Czytał pan *Djabła zwycięzcę*?

Potwierdzam ruchem głowy.

– No właśnie. Oczywiście wysłałem mu mój tekst, ale nie spodziewałem się nigdy, że dostanę jakąkolwiek odpowiedź. Liczyłem, że ministerstwo potraktuje mnie tak, jak na to zasługuję.

Ciekawe jak, śmieję się w duchu, oplem najnowszym czy może etatem? Ale zamiast ujawnić ironię, uśmiecham się tylko przymilnie.

– Ostatnia sprawa, obiecuję. Rozmawiałem z księdzem Marwickim, pamięta go pan? Przeżył dziwną przygodę.

Dowgird mruczy coś w odpowiedzi, twarz znowu robi mu się dziwnie czerwona.

– *Hobjynrec* coś panu mówi? – przypominam sobie owo dziwne słowo.

– Nic. Nic mi nie mówi. Do widzenia. – Zamyka gwałtownie drzwi, aż unosi się warstewka kurzu.

* * *

– Wiedziałem, że się pan wreszcie skusi na moje usługi – zaczyna golibroda, kiedy siadam na jego fotelu. W tle dla odmiany rozbrzmiewa szlagier *Już nie chcę kłamać i udawać*. W brudnym lustrze odbija się oblicze karła – wypukłe czoło, kartoflowaty nos, smutne i złe brązowe ślipia. Usta zaciekle w złości przypominają swoją barwą plamy po malinach na obrusie, ponad ustami czerni się malutki wąsik. – Zawsze warto się ogolić, podobno Pan Bóg lubi. – Uśmiecha się, ukazując dwa rzędy malutkich ząbków. *Spaliły się pragnienia, zgubiły się wspomnienia dawnych dni*, zawodzi Aston.

– To akurat mnie mało interesuje – parskam ponad pianą, którą golibroda nałożył na moją twarz.

– Słusznie – mruczy zadowolony. – Ciemności nie interesuje, czy umrzemy z brodą, czy gładko ogoleni.

Na takie dictum nie odpowiadam, patrzę, jak golibroda sprawnie wyciąga brzytwę. Stalowe ostrze miarowo przemierza moją szyję tam i z powrotem.

– Jak mówiłem, ja wiem bardzo dużo. – Nachyla się tuż nad moim uchem, tak że czuję jego przeżarty wódką i tytoniem oddech, z domieszką specyficznego zapachu zakładu fryzjerskiego. – Może jest pan szanowny zainteresowany?

Przed twarz w połowie okrytą gęstą pianą karzełek podstawia zdjęcie. Dwie kobiety i mężczyzna w saloniku, w wyjątkowo wyuzdanej pozie. Potem drugie. Ci sami ludzie, mężczyzna z pejczem smaga obnażone pośladki kobiety. Ona – mała, pulchna, z niesfornymi lokami i poznaczonym krwawymi śladami ciałem, on – typ sportowca z zakręconymi staromodnie wąsami, w podkoszulce siłacza, obnażony od pasa w dół z członkiem bojowo nabrzmiałym. Wydaje mi się, że znam skądś tego człowieka, ale przypomnieć sobie nie jestem w stanie. W tle druga kobieta oddająca się czynności, którą klerykałowie nazywają potocznie grzechem Onana.

– Nie interesuje mnie to. – Energicznie odkładam fotosy na bok. Zaciskam dłonie na skórzanym krześle.

– A może to? – Znów obrzydliwa woń karła. *Daremnie prosisz... skończyło się*. Podsuwa inne zdjęcie, dwie kobiety oddające się grze erosa na plaży.

Obnażone sromy i piersi rzucają się w oczy. Wesole, uśmiechnięte twarze kuszące obietnicą rozkoszy. Uszminekowane usta i umalowane oczy, śledzące ruchy drugiej, wyczekującej przyjemności. Kolejne to dwóch mężczyzn w strojach marynarskich, całujących się, obnażonych od pasa w dół. Ruchem dłoni zdecydowanie odrzucam te propozycje.

– Może pan ma w tej materii jakieś problemy, ale ja nie muszę szukać substytutów. – Krzywię się manifestacyjnie.

Karzełek patrzy na mnie urażony.

– Nawet nie wie pan, jak bardzo się pan myli. Ale cóż, nieważne. Powiem wprost. Ja coś wiem, a pan coś chce wiedzieć. Ja to panu powiem, ale nic na tym najwulgarniejszym ze światów nie jest za darmo.

– Tia, co pan sugeruje?

– Jedno zdjęcie, jedno pytanie. – Uśmiecha się, ukazując ząbki.

– Ile za zdjęcie?

– 50 groszy.

– Daj pan to pierwsze – cedzę przez zęby, bo cena niełicha, ale może warto się wykosztować. W gramofonie słyszymy kolejny szlagier Astona, tym razem *Jak trudno zapomnieć*.

Karzełek w spokoju odkłada pierwszą fotografię i w napięciu wyczekuje pytania.

– Wiesz coś o kapitanie Staffie, był tu kilka tygodni temu?

Na chwilę przestaje mnie golić, grzebie w fotkach, tak żebym nie widział. W końcu wjeżdża zdjęcie ładnej, piegowatej dziewczyny, podciągającej spódnicę, by pokazać rejony, których normalnie się nie pokazuje. W myślach uciekam do Agaty i wzdrygam się, bo dziewczyna przypomina jedno z widziadeł z młyna.

– Widzi pan, to jest Stefcia Brystygier. Mówiła mi, że był u niej pewien oficer z Warszawy. Chwaliła się, bowiem zapłacił jej nadzwyczaj dobrze.

W lustrze odbił się obrzydliwy uśmiech i małe ząbki.

– To nie jest odpowiedź warta tej ceny.

– Ale ja nie mam innej.

– To tym razem będzie darmo... – Patrzą na wykrzywioną twarz karła. – Kolejne pytanie: Jan Dowgird.

– E, nudna persona. – Karzełek krzywi się i podtyka mi pod nos kolejny fotos, nawet nie patrzę. Trudna sztuka, skoro mam go dziesięć centymetrów od twarzy. – Nie udziela się nigdzie, rzadko kiedy wychodzi. Zdjętek nie kupuje. Odludek, ale kulturalny, zawsze dzień dobry powie. No oczywiście miał ten swój wyskok, ale to wszystko. Wie pan chyba, o co chodzi?

– Tak wiem, ale szczegóły by się przydały.

Kolejne zdjęcie trafia do kolekcji. Tym razem jakoś dziwnie niewinne, ot, odwrócona tyłem do fotografa dziewczyna.

– Rozkopali wzgórze, on przybiegł. Krzyczał, potem wpadł w jakiś amok. Wykrzykiwał dziwne rzeczy. – Zamyśla się, wpatrując się w swoje odbicie. – Pamiętam, że wtedy był strasznie cichy dzień, taki, co ptaki nie śpiewają, konie nie rżą, nawet psy nie szczekają, nic. Robotnicy przekopują ziemię i nagle przychodzi Dowgird. W swoim jasnym garniturze. I krzyczy: „Nieeee! Nie wolno!”. Prace zamierają, a on się drze. Robotnicy tutejsi wzruszają ramionami i kopią, on wtedy zaczyna wrywać sobie włosy z głowy, tarzać się po ziemi. Nagle zeszywniał i miał chyba jakiś atak. Wezwali doktora, zabrali go, ale miejscowi już nie chcieli kopać. Potem co nowa ekipa przychodziła, też nie chciała. Mówili, że tam straszy, że spać nie mogą, że pop zabronił i takie tam. W końcu wezwali kopistów, a ci zakopali dół. I tyle było.

Kiwam głową ze zrozumieniem.

– Co powiesz o wojewodzie?

Golibroda, zamiast odpowiedzieć, wyciąga kolejne zdjęcie.

– To będzie kosztować złotówkę.

Niechętnie kiwam głową.

– A zatem? – popędzam.

– On tu jest jak bóg – cedzi przez zęby. – Tak, jak bóg, to dobre określenie. – Chichocze. – Wie wszystko, słyszy wszystko, światowid o setce twarzy i setce oczu. O nieograniczonej władzy.

Dłuższą chwilę patrzę na odbicie karła w lustrze.

– Chyba pan ze mnie kpi! Takie rzeczy usłyszałem dzisiaj kilka razy, i to za darmo. Konkret albo kończę tę transakcję.

Karzeł wykrzywia usta w złośliwym uśmiechu. Patrząc na jego odbicie w brudnym lustrze. Stoi zadowolony z siebie, szczerząc małe ząbki pod wąsikiem.

– Jeszcze jedno pytanie. – Golibroda daje kolejne zdjęcie, ale ja kręcę przecząco głową, niech odpracuje zdjęcie za Biernackiego. – Ci znikający ludzie. Jacyś Żydzi poznikali, jacyś żołnierze Korpusu.

Pierwszy raz od wejścia do tego malarycznego lokalu widzę, jak z twarzy karła znika uśmiech. Odchodzi od fotela i chwilę szuka czegoś w jednej z szuflad małej komody. W końcu znajduje fotografię, chwilę jej się przygląda i ciężko wzdycha. Gdzieś znika lubieżnie wyszczerzony golibroda, wciskający mi tanią pornografię, a pojawia się smutny, nieszczęśliwy człowiek, który utracił coś bardzo cennego. Patrzy na nią przez chwilę. W końcu podchodzi i podaje mi fotografię.

Zdjęcie przedstawia dwóch karłów stojących przed drzwiami zakładu, w którym się właśnie znajduję. W jednym rozpoznaję golibrode, drugi, sądząc z podobieństwa, jest jego bratem.

– To jest Alojzy. – Gruby sękaty palec uderza w zdjęcie. – Trzy lata temu jechał do Łunińca po akcesoria do naszego zakładu. Nigdy więcej go nie zobaczyłem. Alojzy... – coś drży w głosie karła. Urywa, łapie oddech, kontynuuje: – Był jednym z wielu. Po wsiach mówi się o dzieciach, które nie wracają do domu, o smolarzach i drwalach, którzy znikają na bagnach, o nagle opuszczonych chutorach...

– Ilu?

– Dokładnie nie wiem. – Karzełek wraca do golenia mojej brody. Czuję jak na mojej szyi stal jego brzytwy miarowo zbiera pianę. – Na pewno trzydzieści osób w ostatnich trzech latach. Ale ludzie mówią o pięćdziesięciu, a może nawet stu.

– A od kiedy to się dzieje?

– Na pewno od pięciu lat, odkąd tu mieszkam, ale ludzie mówią, że dłużej.

– A co jeszcze mówią?

– Różne rzeczy. – Wydyma usta.

– To proszę te najdziwniejsze.

– Że ktoś karmi bagna. – Chichocze, ale tak jakoś rozdzierająco, jakby się zmuszał. W niewielkich oczkach tkwi smutek.

– Karmi bagna? – Odwracam się, zapominając, że taki ruch z brzytwą przy szyi grozi mi podeźnięciem gardła.

– Tak, aby przypadkiem nie obudził się Syn Bagien, zły duch.

Wracam do pozycji golonego i pozwalam opaść właśnie zasłyszanej informacji. Powstrzymuję się od pokręcenia głową z politowaniem.

– O Boże, co za bzdury...

Karzeł wzrusza ramionami, wyciera mi szorstkim ręcznikiem twarz, spryskuje wyjątkowo podłą wodą kolońską i informuje, że golenie zakończył. Dziękuję, płacę bajońską sumę za usługę i zdjęcia, po czym żegnam się skinieniem głowy.

– A zdjętka?! – krzyczy za mną karzeł, wymachując pornografią.

Ignoruję go i wychodzę na rynek. Udaję się do „Warszawianki”, aby skorzystać z telefonu i chwilę porozmawiać z Agatą.

* * *

– Dzień dobry, czy mógłbym prosić Agatę do telefonu – mówię, kiedy wreszcie telefonistka mnie łączy.

– Witam pana oficera – dźwięczy melodyjny głos. – Nie uwierzy pan, co dzisiaj czytałam w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym”.

Uśmiecham się pod wąsem, słysząc nasze hasło. Skoro Agata czytała IKAC-a, najbardziej plotkarską z poważnych gazet, znaczy to, że szacowna mamusia gdzieś tam podsłuchuje naszą rozmowę. Już dawno opracowaliśmy ten system porozumiewania się, aby nie było różnego rodzaju przykrości.

– Zamieniam się w słuch.

– Otóż w Wiedniu na nowo popularne są kapelusze z szerokim rondem.

W tym zdaniu jest szyfr, o którym lepiej, aby mama panny Agaty nie wiedziała. Związek i zaręczyny odciągnęły mnie wprawdzie od mnogich przygód, ale nie zrobiły ze mnie mnicha. Wzmianka o tym jakże uroczym elemencie damskiej garderoby była znakiem, że tęskni za mną nie tylko duchowo.

– Mam nadzieję, że u Jabłońskich będą, to będzie trzeba kupić.

– No ja myślę. – Śmieje się od ucha do ucha.

Dalsza część rozmowy musiała dotyczyć nolens volens rzeczy zwyczajnych i poprawnych. Dowiedziałem się o chorobach koleżanek Agaty, o tym, że piesek Funio prawie przyprawił o zawał serca kontrolera gazu, i tego typu rzeczy.

Jestem już niemal po drugiej stronie rynku, gdy wpada na mnie Adler.

– Gdzie pan tak pędzi? – zagaduję komisarza, który wyraźnie jest zdenerwowany. Pot perli mu się na wysokim czole, łapie oddech jak po biegu i w niczym nie przypomina tego spokojnego komisarza policji, którego poznałem wczoraj. – Aa, to pan... – Wydaje się mocno zdziwiony, że mnie spotkał. – Śpieszę się, przepra... chociaż zaraz, właściwie to jest coś, o czym pan powinien wiedzieć. Proszę ze mną. Rzeka wyrzuciła jakieś ciała, właśnie zadzwoniono do mnie z komendy.

– Staff?

– Raczej nie, ciała są dwa i powiedziano mi, że wyglądają na Żydków. A przynajmniej tak są ubrane. Więc jeżeli już, to raczej ci zaginieni handlowcy. Przekonamy się zresztą.

Przystań czuć już na kilka metrów przed brzegiem, zalatuje ciężkim zapachem ryb, zgnilizny, mułu i rozkładu. Przy ścieżce prowadzącej w dół zebrał się tłum gapiów, których powstrzymuje jeden z mundurowych. Mrowie ludzi, baby w czarnych strojach z chustami na głowie, z dziwnymi białymi kołnierzami pod szyją. Wyglądają podobnie do Tatarek. Rybacy w niegdyś białych, dziś brudnych koszulach, Żydzi w chałatach, dzieciarnia i urzędnicy państwowi. Wszystko to gada, gestykuluje, komentuje. Miesza się rusiński, polski i jidysz. Na dole, między łodziami rybackimi, kręcą się funkcjonariusze policji państwowej oraz kopiści, marsowe miny na twarzach. Adler gestem ręki informuje pilnującego policjanta, że mam pełne prawo iść z nim, i zważym krokiem rusza w dół piaszczystą drogą.

Ciała leżą na małej plaży. Dwa korpusy ułożone brzuchami do góry, widać typowe dla topielców nabrzmienie i siną skórę, spod porwanych chałatów wystają poranione członki obrzydliwie poszarpane. Jednemu brakuje pół twarzy, drugiemu z rękawa wystaje sam kikut.

– Bandyci. – Adler kręci głową z rezygnacją.

– To się często zdarza?

– Czasami. Najpewniej komuniści. – Zapala fajkę. – To były zamożne Żydki, a nie znaleźliśmy przy nich żadnych pieniędzy, niczego cennego. Wyrwane koszule i brutalne działanie. Bolszewia. Albo jakiś porachunek.

– Między narodem wybranym? – dopytuję z niedowierzaniem.

– Nieee – kręci głową – raczej z tutejszymi. Oni są krwawi. Żyd Żyda nie zabije w ten sposób.

– A skąd pan wie, że byli bogaci?

Adler wpatruje się w niebieskie wody rzeki, pyka fajeczkę, ulatuje obłoczek siwego dymu.

– Widzi pan buty? – Pokazuje cybuchem na nogi zmarłych.

Buty jak buty. A konkretnie jeden but, zniszczony na tyle, że niewart zabrania.

– To robota Mojsce Lebejewela, najlepszego szewca w okolicy. Nawet mnie na niego nie stać, a ich było... Znaczy, że nie byli biedni.

– Czyli to nasi zagubieni handlarze? – pytam, wpatrując się w ciała topielców.

– Tak przypuszczam. – Robi ręką nieokreślony ruch w powietrzu. – Będę miał teraz kupców z Pińska na głowie, bo to ich rodzina, i pewnie z Łodzi, bo tam jeden z nich miał chyba jakieś kontakty. Jeśli to faktycznie oni, rzecz jasna, ale zakładam, że tak. Więc owszem, nie jestem w skowronkach... – Trzaska zapalniczka, zaciągam się dymem, rozmasowuję nasadę nosa.

Patrzę cały czas na topielców pokrytych glonami i sitowiem. Policyjny fotograf robi zdjęcia, błyska magnezja. Coś mi nie pasuje na obrazku, który widzę. Coś w ciałach nieszczęsnych Żydów wydaje się nie na swoim miejscu. Ponownie przyglądam się leżącym zwłokom. Słysząc szemranie za naszymi plecami – *Syn Balatoi, Syn Balatoi*. Zaczynam rozumieć. Przecież obydwaj nie mają uszu.

– Chyba musimy porozmawiać, komisarzy. – Patrzę mu prosto w oczy.

Tłum miejscowych zaczyna szemrać coraz głośniejsze. Oglądam się, Poleszucy w swoich czarnych strojach modlą się i energicznie żegnają.

Wśród gapiów widzę pobladłego Dowgirda i księdza, który patrzy na wszystko z wyraźnym wstrętem. Adler w zamyśleniu ciągnie za guzik munduru i widzę, że wie, o co mi chodzi.

– To nie jest rozmowa na to miejsce. – Łapie się dwoma palcami za nasadę nosa. – Zdecydowanie musimy pomówić. Chodźmy do mojego gabinetu! – Gestem ręki przywołuje jednego z policjantów. Wydaje dyspozycję: – Jankisz ma przeprowadzić wstępne oględziny w ciągu maksymalnie dwudziestu minut. Jeżeli jest pijany, macie go oblać lodowatą wodą i zlać po mordzie. Jak będzie próbował się stawiać, powiedzcie mu, przodowniku, że osobiście wyślę go do najdalszej placówki.

* * *

– Proszę mi wybaczyć, kapitanie, nie byłem z panem szczerzy...

I znowu gabinet komisarza z posępnym godłem, Marszałkiem i Biernackim. Adler, oparty o parapet, zaciąga się fajką.

– Zauważyłem – mówię twardo przez zęby. Lewą ręką szarpię wąsa, palcami prawej bębnię po blacie biurka. – Czy pan naprawdę myślał, że nie zauważę tych śladów?

– Musi się pan postawić w mojej sytuacji... – Adler jest wyraźnie skruszony.

– Nic nie muszę, komisarzu. Zostałem tutaj wysłany z bardzo jasną misją, o której celu pan wiedział. Pan zaś w oczywisty sposób zataił istotne dla śledztwa informacje. Pytanie moje brzmi, dlaczego?

Mój kategoriyczny ton zbija go z tropu. Widzę, jak zaczyna się denerwować, odkłada fajkę.

– Wiem, jak to wygląda, jak parszywie to wygląda. Ale proszę mi wierzyć, nie było moim celem pana zwodzić, wręcz przeciwnie... Ale...

– Jakie może być ale, które powstrzymuje pana przed pomocą Oddziałowi Drugiemu?

Adler wzdycha ciężko, w końcu wyjmuje z szuflady biurka dokument, chwilę go jeszcze waży w dłoniach, nareszcie decyduje się mi podać.

– Proszę, oto, co mnie powstrzymuje.

24 kwietnia 1937

Szanowny Komisarzu Marianie Adler,

sprawa zaginięć i zabójstw oraz okoliczności ich popełnienia muszą pozostać w tajemnicy tak długo, jak to jest możliwe. Dotyczy to również sprawy kapitana Staffa.

Wojewoda Wacław Kostek-Biernacki

Milczę nad kartką.

– Jak pan widzi, instrukcje są nie w pełni jasne. A ja... a ja wolę nie ryzykować i powiedzieć za mało, niż powiedzieć za dużo... Zwłaszcza jeżeli dostaję takie polecenie od Biernackiego.

– Jest pan jego... – szukam kulturalnego określenia – człowiekiem? Znaczą Biernackiego?

Adler wpatruje się w okno.

– Każdy tutaj jakoś jest czymś... człowiekiem. Czy tego chce, czy nie. Wojewody, hrabiego, Kościoła albo ostatecznie Stalina. Dla mnie ważne jest, aby być człowiekiem Orła Białego. Wydaje mi się, że to, co pan dziś zobaczył, stawia to polecenie w zupełnie innym świetle. Po prostu nie mogę milczeć, to byłoby zwyczajnie bezproduktywne. I pragnę wierzyć również w pana intencje.

– A zatem zamieniam się w słuch – mówię nieco udobruchany.

Komisarz dawidgródzkiej policji wyciąga teczkę z zamykanej na klucz szuflady biurka. Przedtem jednak waha się i wychyla z drzwi gabinetu, słyszę, jak pada nakaz przyrowadzenia doktora Jankisza.

– Proszę poczekać jeszcze chwilę.

Słychać sapanie i do gabinetu wchodzi mały człowieczek. Zarośnięta twarz, z długą, rozczochraną brodą, przekrwione oczy i wyraźny odór alkoholu nie pozwalają wydać błędnego osądu co do upodobań dawidgródzkiego lekarza.

– Jankisz, co zobaczyliście na oględzinach? – zaczyna obcesowo komisarz. Wygląda na to, że wyładowuje się po rozmowie ze mną.

– Niewiele mogłem w zaledwie dziesięć minut – burczy.

– To, co najważniejsze, na pewno, streszczaj się.

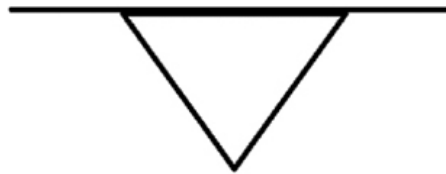
Jankisz obrzuca mnie i Adlera złym spojrzeniem. Przekrwione oczka świdrują nas.

– Jak uprzednio... Ucięte uszy i wycięty symbol.

– Jaki, proszę powiedzieć kapitanowi Jakubowskiemu.

Jankisz raz jeszcze rzuca mi złe spojrzenie.

– Trójkąt równoramienny skierowany ku dołowi, którego górne ramie jest przedłużone. O tak – kreśli na kartce. – Czy to wszystko? Pragnę wrócić do badania.



– To wszystko. Odejść.

Doktor powłóczy nogami, ale drzwi zamyka z wyraźną złością i energią.

– Proszę mi wierzyć – Adler spotyka moje pytające spojrzenie – ten człowiek nie zasługuje na nic poza pogardą.

– O czym on mówił? – Nie bardzo rozumiem kontekst.

– Wszystko zaczęło się... – Adler podchodzi do ściany, na której, jak dopiero teraz zauważam, znajduje się szkolna przesuwana tablica. Ściąga tę górną, zasłoniętą płótnem. Zrywa zasłonę i moim oczom ukazują się mapa Polesia ze znacznikami, szkice przedstawiające leżące ciała i jakieś liczne symbole. Podchodzę i patrzę z uwagą na naniesione informacje. – Nawet nie jestem panu w stanie powiedzieć, kiedy się to zaczęło – peroruje Adler. – Przybyłem tutaj na placówkę trzy lata temu. Dużo wskazuje na to, że już wtedy znajdowano ciała, ale wie pan, pewności nie mam. Za mojej bytności miałem do czynienia z dwiema falami.

– Falami?

– Może to złe słowo, z dwoma pojawieniami się ciał. W tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym rzeki wyrzuciły cztery ciała bez uszu. – Podchodzi do mapy i wskazuje palcem miejsca. – Tu, tu i tu. W dwu miejscach po jednym, potem dwa. Dwa ciała udało się zidentyfikować, był

to Mieczysław Antczak i Marianna Antczak. Osiedleńcy, on weteran wojny bolszewickiej. Dwa ciała pozostają zagadką, chociaż jestem niemalże pewien, że musieli to być miejscowi. Kolejna fala była w zeszłym roku. Tym razem znaleziono aż siedem ciał. I prawie wszystkie udało się zidentyfikować. Byli to Stanisław Kos, urzędnik z Tyszkowicz, Mordechaj Anioł, kowal z Mołodów, nieznane dwie kobiety, ich stroje wskazywały, że mogły być szeptuchami, czyli miejscowymi wiedźmami, Mitro Babicz, chłop, Anatol Babicz, jego syn, oraz pocztmistrz Dawid Iwanejko.

– A teraz jest trzecia fala?

– Tak, i jak na razie mamy dwa ciała co najmniej.

– I Warszawa o tym nie wie? – Szarpię wąsa z lekkim niedowierzaniem.

– Wie, nie wie, ja słałem wcześniej raporty. – Adler ciągnie monotonnym głosem: – Znaczy, za pierwszym razem. Jak tylko chciałem wysłać kolejny, dostałem podobny list jak ten, który panu pokazałem.

– Wojewoda ukręca sprawie łeb? – Unoszę brew.

– Nie mogę się wypowiadać. Mam nadzieję, że rozumie pan moje położenie...

– A proszę mi powiedzieć, co znaczy Syn Bagien?

Komisarz Adler siada ciężko na krześle.

– Dochodzimy do sedna problemu. Słyszał pan o legendzie albo pan o niej czytał?

– Czytałem *Ziemię przeklętą* i mam – pokazuję broszurkę od Dowgirda – *Pieśń o Synu*.

– O tym właśnie mówię. Nie czytał pan jeszcze, prawda?

– Nie, dostałem od Dowgirda tuż przed tym, jak znaleziono tych nieszczęśników.

– Rozumiem, rozumiem. Będzie pan musiał przeczytać. Sądzę, że szczegółowych informacji może udzielić kapitan Horyc, ale ja mogę zarysować problem. Syn Bagien, czy też Syn Moczarów, to wedle legendy pradawny demon Polesia, istota zła i posępna, która miała olbrzymią moc, między innymi spełniania życzeń. Miało to jednak swoją cenę, trzeba było każde z życzeń opłacić krwią.

– I myśli pan, że ten, kto zabija, łapie się nadziei...

– Wierzy, że w ten sposób wkupi się w łaski Syna Bagien, ale jak mówię, lepiej aby porozmawiał pan z Horycem. On doskonale rozeznaje się w szczegółach mitologii i lepiej rozumie niuanse. – Adler patrzy w przestrzeń za oknem. – Nie chcę pana martwić, ale mam obawy, że kapitan Staff mógł paść ofiarą tego szaleńca.

– Skąd taki pomysł?

– Trudno mi to uzasadnić, po prostu przeczucie. Proszę mi powiedzieć, jakie są pana plany dalsze? Pomogę panu, jak tylko będę mógł.

– Jeden z tropów prowadzi do wojewody. Będę chciał go odwiedzić.

Adler patrzy się na mnie przenikliwym spojrzeniem. W końcu się odzywa:

– Życzę powodzenia, ale nie liczyłbym na sukces. On tutaj jest niczym Bóg, mówiłem panu, a ja tylko biedny sługa.

Wstaję z krzesła i kieruję się do wyjścia.

– Jeszcze jedno. – Zatrzymuję się z ręką na kłamce. – Doktor Jankisz, mówił pan, że nic poza pogardą mu się nie należy.

Adler chwilę skupia wzrok na fajce, unika mojego.

– Jankisz jest człowiekiem wyjątkowo zdegenerowanym. – Słowa te niemalże wypluwa, jakby były przekleństwem. Ba, nawet nie przekleństwem, bluźnierstwem wręcz.

– To niczego nie tłumaczy...

– Jest pijakiem, który po pijanemu bawił się w Boga na sali operacyjnej, o jeden raz za dużo...

ROZDZIAŁ VI

U wrót wojewody

1 maja 1937

W nocy miałem koszmary sen. I nawet trudno mi powiedzieć, o czym był. Wiem, że siedzę teraz na łóżku zlanym potem i patrzę w ciemność sadu. Pamiętam urywki, pojedyncze obrazy: puszcza z drzewami tak wielkimi, że nie przepuszczały słońca. Bagno, w które wpadłem i z którego nie mogłem się wydostać. Patrzący na mnie złymi ślepiami wąż, wystawiający różowy język. Jego syk brzmiał jak „jesssst”. Agata zmieniona nie do poznania. Jej postać jak ze średniowiecznych grafik: stara wiedźma z wężem wymalowanym na obfitych piersiach. Uczucie zagubienia, beznadziejnego i wiecznotrwałego. Puszcza spowita gęstą niczym mleko mgłą. Zamordowani Żydzi, straszliwie powykrzywiani. Teraz siedzę, staram się uspokoić oddech i czuję, jak serce wali mi w piersi. W pokoju jest ciemno, tylko wiszący nisko wąski sierp księżycy rozjaśnia mrok. W pokoju jest cicho, jedynie odległe tykanie zegara i sporadyczne skrzywienie pracujących belek zakłóca spokój. Zerkam na moją omegę, jest czwarta czterdzieści. Kładę się z powrotem do łóżka. Śpię jednak czujnie i budzę się przed czasem, w głowie przewijam wydarzenia poprzedniego dnia.

Z Kontrymem nie udało mi się skontaktować, więc kelner tylko wziął ode mnie wiadomość do przekazania. Ledwie wyszedłem kilka kroków z „Warszawianki”, gdy poczułem się źle. Ból głowy i nudności skręcały mnie tak, że ledwie dobrnąłem do Zwisłockich. A potem kolacja, której prawie nie zjadłem i te cholerne ziółka. Może straszna noc była winą lektury, którą sobie zafundowałem przed snem? Przypominam sobie *Pieśń o Synu*. Jeżeli *Ziemia przeklęta* była lekturą dziwną, to *Pieśń o Synu* ją przelicytowała. Był sobie Ditko, włodarz, który marzył o wielkiej potędze. Powiedziano mu, że jest tylko jedna istota, która może pomóc. To Syn Bagien, który spełnia prośby ludzi. Potrzebuje jednak krwi, aby się nią nasycić, stąd konieczność składania mu ofiar. Ditko zabijał tak długo, aż

wreszcie nasycił Syna Bagien. Wtedy Syn Bagien wszedł w jego ciało i zaczął panować.

W niezapiętej koszuli piszę list do Agaty. Po głębszym zastanowieniu dochodzę do wniosku, że takie rzeczy mogą ją zainteresować. W połowie pisania moja ręka się zatrzymuje, ja zaś dobrą chwilę patrzę tępo na arkusz. Pustka, przerażająca pustka otacza mnie ze wszystkich stron. Czuję się nagle niezwykle daleko od Agaty, tak jakby była dla mnie istotą niedostępną, pochodzącą z innego świata. Bo jest z innego świata – świata, do którego chcę uciec przed sobą samym. Jest mi cholernie źle, ale nic to, wzruszam ramionami, tylko list do Agaty nie chce się jakoś pisać. Składam go na pół i biorę kolejną kartkę, aby spojrzeć na inne rzeczy. Piszę *hobjynrec*, a potem jeszcze raz, wspak. Odchylam się w krzesło i zapalam papierosa, patrząc na *Cernyj Boh* – Czarnego Boga, który spoziera na mnie z listowego papieru. Takie banalne, takie oczywiste...

Rano dokonuję ablucji, chwilę zatrzymuję się przed lustrem z namydloną twarzą i z brzytwą w ręku. Po raz kolejny uderza mnie podobieństwo do mojego ojca. Jedyne go człowieka, którego tak kocham i tak nienawidzę zarazem. Floriana Jakubowskiego, oficera armii austro-węgierskiej, oficjela, ale wcześniej awanturnika i działacza przedziwnych organizacji. Metodycznie ścinam mój rudy zarost i patrzę jednocześnie w bliznę, jaka mi pozostała po wojnie roku 1920, a która jest na szczęście tylko pamiątką, dzięki Staffowi. Przepelniony chęcią do działania schodzę na dół, tam zaś napotykam na urażony i zawiedziony wzrok Anieli, której nie wziąłem, tak jak o tym marzyła, i której nie mam zamiaru nawet dotykać. Głupie dziewczę, owładnięte młodzieńczą chucią.

– Słyszałam, że tych Żydków znaleźli, co zaginęli – znad jajeczniczy mówi pani Leokadia.

– Tak – odpowiadam w końcu. – Znaliście ich państwo?

– Och, to byli ważni ludzie – budzi się z marazmu Leon – często bywali u burmistrza. Tak, tak. Pewnie teraz niektóre rzeczy się zmieniają.

Patrzę na Leokadię Zwisłocką, uśmiecha się kwaśno z wyraźnym zażenowaniem.

– Przepraszam, muszę iść. Nie będzie mnie na obiedzie, liczę, że dotrę na kolację. Ale proszę na mnie nie czekać specjalnie – akcentuję „nie

czekać” i kącikiem ust skrytym pod wąsem uśmiecham się do gospodyni. Czas wybrać się wreszcie do Biernackiego i spróbować wywiedzieć się, czego szukał u niego Staff.

* * *

Trzy godziny później siedzę w pociągu jadącym z Łunińca do Sienkiewicz-Mokroć. Tylko tak mogłem się dostać do wojewody, niemalże nadkładając drogi. Cały czas próbuję uporządkować to, co widziałem, i to, co już zaczynam rozumieć. Nie czuję się z tym dobrze, bardziej jak, nomen omen, w grzędawisku. W jakiś przedziwny sposób łączą się tutaj pogańskie wierzenia z polityką, i to zarówno z tą małą, jak i dużą. Wężę, topory, zagubieni ludzie... Wygląda na to, że toczy się bardzo poważna gra, której odpryskiem jest zaginięcie Adama. A przynajmniej takie podejrzania zaczynam mieć. Do tego coraz bardziej niepokoi mnie to, co widzę na własne oczy. Chcę być racjonalny, ale jest to coraz trudniejsze.

Lokomotywa posapuje, koła rytmicznie stukają, ja zaś patrzę na senny krajobraz, ssąc poleskiego karmelka od Pawłowicza. Być może wiele komplementów na temat tegoż środka transportu głosili miejscowi, ale na pewno nie był ani szybki, ani nowoczesny, ani wygodny. Jego największą wartością jest to, że w ogóle jest. Pasażerowie to kilku tutejszych chłopów wracających z Łunińca. Jakaś pensjonarka z opiekunką w niemodnym od trzydziestu lat stroju, najpewniej jadąca na wypoczynek do dalekiej rodziny, trzech Żydów w czarnych niczym smoła chałatach, kłócących się ze sobą i gryzących cebulę i chleb, oraz dwóch ponurych typków pod ścianą wagonu. Pogryzają słoninę i obficie splukują jej tłustość wódką. Gęby kaprawe, zniszczone alkoholem. Awantura niemalże materializuje się w powietrzu, zagęszczając i bez tego gęstą atmosferę poleskiego pociągu.

– A szan-szanowna panienka to tak sam-sama siedzi? – Chwiejnym krokiem podchodzi i pada na siedzenie obok pensjonarki jeden z mężczyzn. Ryży, piegowaty, o lekko kostropatej twarzy.

– Szanowny panie! – krzyczy zbulwersowana opiekunka przerażonej dziewczyny. Młódka robi się cała czerwona, a policzki zalewają się łzami. Nie da się nie zauważyć, że nawet jak na taką sytuację reakcja jest lekko egzaltowana.

– Pro-pro-proszę. – Ryży zatapia wzrok w nobliwą i zbulwersowaną opiekunkę. – Z żywymi trupami nie gad-gadam. Na-na-nagadałem się z nimi. To, to, jak panienko, mo-mogę się przy-przy-przysiąść?

– Cóż pan wyprawia?! – Kobieta się zapowietrza.

– Milczeć! – krzyczy nad wyraz trzeźwo pijany. Jego kompan, mały brunecik o żywych oczkach, rechocze pijackim śmiechem. Starsza pani nie daje się jednak zastraszyć i zaczyna kanonadę krzyku. Rwetes, Żydzi załamują ręce „*gewalt*, będzie *gewalt*”, chłopci gadają do siebie po cichu. A mnie nie pozostaje nic innego, jak wstać i chwycić za połę kurtki ryżego akurat wtedy, kiedy pociąg wtacza się na stację w Sienkiewiczach.

– Odczep się, mumio – bełkocze i wierzga pijak, kiedy go ciągnę ku drzwiom wagonu. Odprowadzają mnie siarczyste przekleństwa jego towarzysza i nawoływanie, aby Romek, bo tak najwyraźniej nazywa się mój więzień, „wziął i mnie zabił” w sposób tyleż wymyślny, co skomplikowany. A przynajmniej tak podejrzewam, bo część epitetów wyraża w gwarze Poleszuków, nie do końca dla mnie zrozumiałej. Czarny chce się podnieść, ale widać alkohol musiał osłabić jego siły, bo na próbach się kończy i upada na kołyszącą się podłogę. Drzwi wagonu otwierają się i oczom moim ukazuje się peron drewniany z murowanym budyneczkiem. Jednym zgrabnym ruchem rzucam pijaka wprost na stację, po czym wyskakuję za nim, aby go ostatecznie uspokoić.

– Aaani kroku! – Zastygam w bezruchu, bowiem w rękę pijaka lśni owal granatu zaczepnego. Skąd go wziął, nie mam pojęcia. Musiał go mieć w kieszeni kurtki. – Rozsadzę to wszystko! – drze się, a jego oczy płoną jakimś dziwnym blaskiem.

– Romek! – krzyczy z wagonu kompan pijaka, który zdołał się już podnieść. – Nie warto na chuja marnować! Opanuj się!

– I co, gieroju? – Ryży śmieje się chrapliwym głosem, równie pijany jak kompan.

Usiłuję przybrać pozycję, w której będę mógł błyskawicznie wyrwać visa z kabury, ale mój ruch nie uchodzi uwadze Romana.

– A, a, a... – grozi granatem pijak – ani kroku! Bo wszystko wysadzę! Wszystko!

Impas, psiakrew.

– Roman! – krzyczy raz jeszcze czarniawy kompan. – Za tobą!

Od strony stacji nadbiega dwóch stójkowych. Romek, klaszcząc, odwraca głowę w ich stronę, dając mi dokładnie tę jedną sekundę, której potrzebuję. Grenadier od siedmiu boleści nie trzymał nawet palca w zawlecze, więc błyskawicznym kopniakiem wybijam mu z ręki broń. Metalowa kula leci pod znajdującą się na stacji ławeczkę.

– Co, kurwa? – krzyczy zdezorientowany Roman, tuż po tym jak wytrąciłem nogą granat i tuż przed tym, jak biorę kolejny zamach, który trafia go w głowę. But dociera do celu i czerep Romana odskakuje.

* * *

– W jakim celu przyjechał pan do Sienkiewicz? – Siedzący za biurkiem przodownik o przetłuszczonych włosach i brudnych paznokciach jest wyraźnie zły, a złość jego wzrasta, im dłużej wpatruje się w moją legitymację. I to mnie wyraźnie dziwi, bo o ile w Dawidgródku przodownik się mnie bał, o tyle tutaj jest zubożniały. W zamyśleniu wystawia koniuszek języka, gładzi się po łysinie, sapie, widać, że jest absolutnie bezsilny, co tylko wzmaga jego wściekłość. Patrzą na mnie małe oczka skryte za okularami. Pod nosem wąsik czarny, rachityczny.

– Prowadzę śledztwo.

– Rozumiem, czy będzie pan tak uprzejmy i podzieli się swoją wiedzą?

O, ty padalcu poleski.

– Nie, to sprawa tajna.

Krzywi się, stęka. Ja zaś tylko pytam, czy wiedzą, czy Staff odjechał, bo przecież wiem, że był w Sienkiewiczach, chociaż wiem też, że nic od tego człowieka nie uzyskam. Tutaj jestem ciałem obcym.

– Nie miałem wtedy służby. – Przodownik wpatruje się we mnie bezczelnie.

– A kto był? – nie pozostaję dłużny, świdruję wzrokiem jego czoło, sprawdzona technika, która każdego wyprowadza z równowagi.

– Michał.

– A ten Michał ma jakieś nazwisko? – Zaraz uduszę facecika jak nic.

– Michał Janda. Chory jest – sapie i stęka urzędas.

– A gdzie go znajdę? – Ciszę przerywa bzycząca samotna mucha.

Patrzy się, grzebie w papierach. W końcu decyduje się na inne wyjście.

– A nie, przepraszam. – Sprawdza coś w papierach. Pod wąsikiem pojawia się uśmiezek. – Jednak ja byłem. – Patrzy na mnie zza tych małych okularków, i już wiem, że kłamie w żywe oczy, ale nic z tym nie mogę zrobić.

– A czy widział pan kapitana Adama Staffa? – Wyciągam zdjęcie.

– Widziałem, że był na stacji. Ale nie wiem, czy wsiadł. To był akurat taki dzień, że dużo ludzi było. Targ miał być w Łunińcu, to Żydki tutejsze jechały.

No to brawo, może wsiadł, może nie wsiadł. A może go w ogóle nie było. Nie przeklinam jednak, staram się być spokojny.

– Dobrze, jest jeszcze jedna sprawa. Chcę porozmawiać z wojewodą.

Ręka z ołówkiem zatrzymuje się nad kartką. – Co proszę?

– To, co słyszeliście, przodownik. Porozmawiać z wojewodą Biernackim.

Przodownik wbija we mnie wzrok. Na twarzy widać walkę między pytaniem o moją trzeźwość i zdrowie psychiczne a odczuciem bycia obiektem mało wyrafinowanego żartu i kpiny z munduru policji. Tego munduru, co tutaj na straży Rzeczypospolitej pod portretem marszałków stoi, a raczej siedzi, ku jej chwale.

Rzucam szybkie spojrzenie na ścianę, gdzie brakuje niepodzielnego władcy tej błotnistej ziemi. Sponad biurek spogląda Piłsudski, są Matki Boskie, Jezusy i anioły. Biernacki podobno nie cierpi, jak w urzędach są jego portrety. Ale u ludu to co innego. Widziałem kilka jego zdjęć z czasów legionowych, z czasów młodości i z czasów służby cywilnej. Stalowe małe oczy, nazbyt głęboko osadzone w czaszce, małe wykrzywione usta – to zdjęcie z czasów służby w wojsku. Poorana zmarszczkami twarz, niepozorny staruszek z melonikiem w dłoni. „W Panu jest tyle demona, ile trucizny w zapałce”, powiedzieć się chce. Łatwo dać się tym pozorom omamić, są bowiem raporty jawne i niejawne, wspomnienia i zeznania. Brześć i Bereza – sprawa słuszna, ale nawet w Warszawie nikt do końca nie wie, co tam się dzieje. O komunistów nikt się nie pytał, słusznie zresztą.

– Jak pan chce. – Wzrusza ramionami i oddaje legitymację.

– A gdzie kwatery pana wojewody? – nie odpuszczę dziadowi!

Przodownik patrzy chmurnie.

– W Mokroci. Za kościołem.

Widać na dokładniejsze dane nie mam co liczyć. I nie ma co dalej przyciskać. Defa nie jest lubiana w tym przybytku władzy państwowej.

– Kim był ten człowiek? – pytam jednak wbrew logice, pokazując w stronę drzwi, za którymi zamknięto wesołego uczestnika imprezy na stacji.

– Kto?

– No przecież nie wojewoda. Ten, którego rozbroiłem.

Przodownik patrzy na mnie wzrokiem ciężkim i złym.

– Pijak i lump, męczący, ale generalnie niegroźny.

– Niegroźny?! Facet wymachujący granatem wz.24 jest niegroźny?!

– Owszem. On nie ma broni w ogóle, to nie był prawdziwy granat, tylko atrapa. By pokrzyczał, pokrzyczał, a tak my musimy go trzymać. Mógł nam pan darować pracy.

Kim jest Roman w takim razie, też raczej się nie dowiem. Jego wybryk w pociągu i płasy na stacji nie były, jak się okazało, niczym niezwykłym i najwyraźniej co jakiś czas się powtarzają. Przodownik, jak tylko dopadł do awanturnika, sapnął gniewnie: „Znowu!”. Dziwi mnie nieco, że obicie Romanowi mordy nie zostało odebrane jako akt słusznej postawy obywatelskiej, ale jako wtrącanie się w nie swoje sprawy. Dziwi też trochę, że ryżego policjanci ciągnęli jakoś mało brutalnie do komisariatu. Ignorowanie obowiązków przez tutejszą policję nie figuruje jednak na mojej liście problemów, więc żegnaj przodownika chłodno i ruszam zobaczyć się z władcą i panem ziemi poleskiej.

* * *

O ile w poleskich warunkach Dawidgródek jest raczej metropolią, o tyle Sienkiewiczze i Mokroć są mikroskopijne. Do tego stopnia, że nie można tam zrobić kroku, aby cała miejscowość nie wiedziała skąd, dokąd i dlaczego. Powiesz coś głośniej, to sąsiad się dowie. Nic dziwnego, że Biernacki wybrał akurat to miejsce na swoją siedzibę.

Wyszedłszy z posterunku policji, mieszczącego się w tym samym budynku, co stacja kolejowa, kieruję się na północ, gdzie w słońcu lśnią wieże cerkwi prawosławnej. U jej podnóża leży właściwa wieś. Idę wzdłuż torów, leniwie świergoczą ptaki siedzące na słupach telegraficznych. Przystaję, przyglądając się im. Odwracają w moją stronę małe główki i znowu wyraźnie słyszę: „trupek, trupek”.

Jak opisać Sienkiewiczze? Wieś poleska, inny poziom świadomości, daleko jej nawet do biedy Okęcia. Liche chaty drewniane, nieliczne murowane budynki należą do administracji polskiej. Czuję się tutaj nie na miejscu, i to w dwójnasób. Po pierwsze, to nie do końca Polska, po drugie, to ziemia wojewody, jego matecznik. Odprowadzają mnie niechętnie spojrzenia Poleszuków, bab w czarnych, prostych strojach z różnobarwnymi, ale straszliwie biednymi chustami, dzieciarnia w brudnych łachach, bosa, z obciętymi na krótko włosami, markotni chłopci w białych koszulach. Wszystko to w cieniu siedziby Korpusu Ochrony Pogranicza, posępnego gmachu o klasycystycznym charakterze. Szare mury wybijają ponad niskie drzewka, górują nad drewnianymi domkami, które w ich cieniu wydają się jeszcze mniejsze. Gmach wręcz krzyczy: „Tutaj jest Rzeczpospolita, przenaświętsza i zwycięska, i panująca”. Przeskakuję po dwa stopnie i staję naprzeciwko przeszklonych drzwi, w szybie odbija się moja nieco zniekształcona postać. Patrzą chwilę na tego drugiego wykrzywionego w dziwnym grymasie Jakubowskiego, tego, który szydzi zza drzwi: „No i po coś na Polesie się pchał, kochanieńki?”. Naciskam klamkę i zdaję sobie sprawę, że właściwie popełniłem kardynalny błąd, było się po prostu zapowiedzieć przez Kulę, a tak będę musiał sam całą procedurę wejścia uprawiać.

– Wejść się zabrania – na mój widok wypala wartownik, chłopak o twarzy czerwonej od trądziku.

– Kapitan Maurycy Jakubowski, Oddział Drugi Sztabu Generalnego. – Macham przed oczami legitymacją. – Chcę porozmawiać z dowódcą jednostki.

Wartownik lustruje mnie wzrokiem. Teraz zauważam coś, co mi przedtem umknęło, że jest to może i człowiek młody, ale na pewno nie nieświadomy i niewinny. Widać w oczach jakąś stanowczość.

– Proszę poczekać, panie kapitanie. – Salutuje usłużnie. – Zadzwońię.

Odchodzi do wartowni, gdzie jest telefon, i słyszę, jak zadaje pytania.

– Pułkownika Mejerda nie ma w jednostce – zwraca się do mnie z wartowni.

– A jego zastępcę? – Stukam nerwowo palcami w drewnianą barierkę oddzielającą nas. – Albo inny oficer z wysokim stopniem?

Na nowo przykłada do ucha czarną słuchawkę.

– Czy mogę się dowiedzieć, w jakiej sprawie chce się pan spotkać?

– Wagi państwowej – krzywię się na konieczność takiego dictum.

Znowu rozmowa. W końcu łaskawie wraca ze strażnicy.

– Przyjmie pana kapitan Nowik. Zaraz przyjdzie ktoś, kto zaprowadzi pana do niego.

Czekam zatem. Strażnik wyraźnie ucieka wzrokiem, krąży gdzieś ponad mną po chmurach, nie reaguje nawet, gdy wchodzi sierżant. Ten pokazuje, że mnie zaprowadzi do pułkownika, idę zatem pokornie przez plac apelowy opustoszały i przez korytarze strażnicy równie puste. Wchodzę do gabinetu, znowu Rydz-Śmigły i znowu Piłsudski, za biurkiem człowiek nijaki, o aparycji szofera z warszawskiego Mokotowa.

– Pułkownik Nowik, w czym mogę służyć? Sierżancie, proszę nas zostawić – wyrzuca z siebie na jednym wydechu. Ja tymczasem rejestruję jego niezwykły strój: płaszcz czołgisty skórzany i gogle wiszące na szyi. W powietrzu unosi się delikatna woń smaru.

– Czy ja w czymś przeszkodziłem? – podpytuję, zaintrygowany strojem i pewną nerwowością wyraźnie wyczuwalną w moim rozmówcy.

– Nie, nie! – Niemalże czuję, jak mu się ręce pocą i jak spływa po nich smar. – Ponowię pytanie, w czym pomóc mogę?

– Muszę się zobaczyć z wojewodą.

– To niemożliwe. – Jakaś ulga wkrada się do jego tonu.

– Dlaczego?

– Dlaczego?! – Wbija we mnie wzrok krwiożerczy wręcz, złudny spokój się ulatnia. – Pan, kapitanie, pyta dlaczego? Do wojewody nie można ot tak się umówić. To, to... – szuka wyraźnie słów w dramatycznym wręcz transie – to po prostu niemożliwe.

– Ale dlaczego?

Znowu wbija we mnie wzrok zdziwiony.

– A gdzie znajduje się siedziba wojewody? – pytam, patrząc zarazem przez okno na park maszynowy, cztery motocykle, cztery fiaty pięćset osiem wzmacniane, samochód pancerny. Przy jednym z pojazdów poruszenie, nie mogą go odpalić. Coś bardzo dużo sprzętu jak na jedną jednostkę Korpusu Ochrony Pogranicza.

Z wyraźną niechęcią tłumaczy, jak dokładnie dojść, jednocześnie ręka go wręcz świerzbi, aby już ją podać i się ulotnić. Zerka co rusz za okno, gdzie stoją żołnierze, wyraźnie na niego czekają.

– Szykują się jakieś ćwiczenia?

– Ćwiczenia? – Odrywa wzrok od okna.

– No przecież widzę i sprzęt, i duży oddział.

– Tak, tak, ćwiczenia, są planowane. – Drzenie ustaje, łapie to moje koło ratunkowe i kurczowo się go trzyma. Słyszę za oknem odpalany motor, nawoływania coraz bardziej nerwowe. – Przepraszam, kapitanie, muszę już iść, sierżant pana odprowadzi. – Wypada szybko i zostawia mnie samego w pokoju. Zaraz słyszę warkot motoru i patrzę, jak wyjeżdżają.

* * *

Obrałem jedyny słuszny kierunek i idę w stronę domu wojewody. Siedziba znajduje się w Mokroci, czyli w drugiej części miejscowości Sienkiewicz-Mokroć. Sierżant wskazany przez Nowika odprowadził mnie do granicy Sienkiewicz i dosyć mgliście tłumaczył, jak mam dalej iść. Zdałem sobie sprawę, że nie za bardzo wiem, czym mam przekonać Biernackiego, żeby mnie przyjął. „Jestem oficerem Oddziału Drugiego i chciałbym wyjaśnić sprawę zaginięcia mojego kolegi” było właściwie idiotyczne, ale zarazem nie mam pomysłu, jak inaczej go podejść. Trzeba postawić wszystko na jedną kartę. Niby miałem w zanadrzu przekazane mi przez ministra instrukcje, że mam się zgłosić i tak dalej. Z tyłu słyszę jeszcze cały czas pracujące motory wyposażenia Korpusu.

Na rynku w Mokroci potwierdziłem u sepleniącego i z trudem składającego po polsku zdania chłopca, że kwatera główna Biernackiego mieści się na północnym wschodzie wsi, tuż obok kapliczki.

To zwykły drewniany dom w stylu, a jakże, polskiego dworku z kamienną podmurówką i szopą, wokół sad wiśniowy, teraz obsypany białymi płatkami. Siedziba „straszego” wojewody nie wyróżnia się z zewnątrz niczym szczególnym. Pod jednym drzewem stół, posesja otoczona zwykłym parkanem. Nie byłoby w tym niczego niezwykłego, gdyby nie stojący za bramą żołnierz, osilek o tępej twarzy. Zdołał mnie zlustrować, zanim otworzyłem usta.

– Pan wojewoda nie przyjmuje.

– Kapitan Jakubowski, Oddział Drugi – warczę, bo nie mam już ochoty na konwenanse, macham też manifestacyjnie przed oczami legitymacją.

Strażnik (lub cerber) patrzy niewzruszony.

– Pana wojewody nie ma – mówi, jednak spuszcza nieco z tonu.

– A kiedy będzie?

– Nie posiadam takich informacji, panie kapitanie. Mogę jedynie przekazać wiadomość. – Ton ni to usłużny, ni to dający do zrozumienia, że i tak nic nie wskóram.

Tak więc tutaj skończyły się moje możliwości... Na co ja się nastawiałem? Iść prosto przez tego dryblasa nie było sensu, jeszcze się w jakąś kabałę wdam, mordę obiję, a potem mi obiją. I tyle z tego będzie. Płot i sad ciągnęły się hen daleko i w głowie zaświtała mi pewna myśl.

– A kiedy przyjmuje wedle planowego rozkładu?

– Pan wojewoda tu wypoczywa. Przyjmuje w Brześciu, po uprzednim umówieniu się – recytuje wyuczoną kwestię strażnik. – Tutaj go dziś nie ma. Czy mam coś przekazać? – Byłbym uznał to za złośliwość, ale twarz delikwenta tego nie zdradza.

– Rozumiem. Tak, proszę powiedzieć, że kapitan Jakubowski pragnie się spotkać i porozmawiać na ważny temat, wagi państwowej. – Mierzę cerbera z góry do dołu. Gęba gładko ogolona, kwadratowa, od pługa ledwie co oderwana, oczy pszeniczne bezdennie apatyczne, nic tutaj nie wskóram, prędzej kamień namówię do współpracy. – Sprawa jest wagi państwowej, rozumiecie, co się stanie, jeżeli nie wypełnicie mojego rozkazu?

Żołnierz jest wyraźnie strapiony. W końcu mruczy pod nosem, abym poczekał. Minuty się ciągną. Gdzieś brzęczą bąki i śpiewają ptaki. Fokstrot dobiega z daleka. Czuję się coraz dziwniej, patrzę na ptaki w sadzie, kosy. Zerkają na mnie dziwnie, kiedy tylko przechodzę obok. Znowu wydaje mi się, że słyszę „trupek, trupek” – świergołą. Do ust nerwowym ruchem biorę cukierek – jego smak pomaga mi uporządkować myśli. Nie jest łatwo, cały czas coś mnie rozstraja. Wtem nagle uderza mnie potężny ból głowy. Czuję, jak wibruje mi w czaszce, przed oczami pojawiają się coraz gęstsze mroczki.

– Proszę za mną.

Cerber prowadzi mnie przez siedzibę. Ale nie dane mi zbadać to miejsce, bowiem wychodzimy z korytarza na ganek, gdzie na wiklinowym krześle, przed stołem zarzuconym papierami, siedzi wysoki mężczyzna w jasnym letnim garniturze. Kiedy strażnik wchodzi, facet bada mnie spojrzeniem przenikliwym, taksującym i mało przyjaznym. Nie jest to na pewno wojewoda.

– Proszę mówić szybko. Mój czas ma swoją cenę. – Dłonie składa w piramidkę delikatnie, to rozsuwa je, to łączy, wyczekując na moją odpowiedź z niekrytą irytacją.

– Chciałem rozmawiać z wojewodą Biernackim.

– To niemożliwe, Walery Zakrzewski, sekretarz wojewody. – Nie wstaje, aby wyciągnąć rękę na powitanie. Cała jego osoba jednoznacznie pokazuje, że nie jestem tutaj mile widziany.

– Nalegam na rozmowę z wojewodą. – Patrzę nie na niego, ale na stado jaskółek, które ponad nim latają, tworząc skomplikowane wzory.

– Wojewody tutaj nie ma. Zaraz nie będę mógł i ja z panem rozmawiać. – Wbija we mnie spojrzenie zza okrągłych okularów. Wygląda jak jakiś księgowy.

– Kapitan Jakubowski.

– Oddział Drugi. Wiem. Dostaliśmy informację na ten temat z Warszawy – wyrzuca z siebie, patrząc na mnie wyczekująco i natarczywie.

– Zostałem przysłany z misją...

– Znalezienia kapitana Adama Staffa. Wiem. Nie wiem natomiast, jak możemy pomóc.

Jestem nieco zbity z tropu.

– Wie pan o zaginięciu kapitana Staffa? – pytam, czując, jak wychodzę na idiotę.

Zakrzewski rzuca mi spojrzenie, które zdradza, że nie odpowie na to żenujące pytanie.

– Czy był u pana kapitan Adam Staff?

– Tutaj nie. Dlaczego miałby być?

– Dowiedziałem się, że jechał do Sienkiewicz – drażę niecierpliwie. Zakrzewski cały czas patrzy wyczekująco swoimi zimnymi, niebieskimi oczami.

– Czy pan przypadkiem nie marnuje swojego i, co gorsza, mojego czasu? Gdzie ta sprawa państwowa, z którą pan przybywa?

– Syn Bagien – nie wiem, co powiedzieć, stawiam wszystko na jedną kartę.

Zakrzewski nie odrywa ode mnie wzroku, unosi za to jedną brew. Bardziej jednak znudzony niż zaintrygowany.

– Czy Oddział Drugi zajmuje się teraz klechdami ruskimi? – Zerka na zegarek.

– Znaleziono ciała Żydów. – To poniżające, czuję, jak się miotam. Cała ta rozmowa to jak chodzenie po bagnie, niczego nie mogę osiągnąć, a jedynie zapadam się coraz głębiej.

– Co ma jedno wspólnego z drugim? Moim zdaniem nic.

– Obawiam się, że Staff mógł natrafić na coś...

– Na co?

Nie wiem, jak mam wyrazić to, co snuje mi się po głowie.

– Kapitan Staff zajmował się w Oddziale Drugim organizacjami neopogańskimi, jak Zadruza. Podejrzewam, że przybył tutaj, bo szukał dowodów na istnienie jakiejś wywrotowej siatki.

Twarz Zakrzewskiego nie zdradza niczego poza narastającym znudzeniem, wzrok ucieka mu na papiery, które leżą przed nim.

– Powiem panu, kapitan Staff, zgodnie z moją wiedzą, przybył tutaj w celach prywatnych. Na wschód od Sienkiewicz jest stare grodzisko. Nie przychodził tutaj. Jeżeli trafi pan na coś interesującego, w co wątpię, może pan dać znać. Ja przekażę pańskie informacje wojewodzie. A teraz pana żegnam, mam bardzo dużo pracy, a pan mi zabrał aż pięć minut. Szeregowy Wańkowski, proszę odprowadzić kapitana Jakubowskiego do wyjścia.

* * *

Siedzę w ciszy na tylnym siedzeniu auta i patrzę w ciemność, która z wolna otacza Polesie. Na twarzy czuję chłód wiosennej nocy i wilgoć bagien. Jestem wściekły i sponiewierany. Wracam do Dawidgródka z Łunińca, gdzie umówiłem się z kierowcą. Za kierownicą siedzi szeregowy Stefanek, powoli ćmi papierosa i leniwie prowadzi samochód. Próbuję poukładać w głowie fakty, którymi obdarzył mnie los, ale nic nie chce do siebie pasować. Wiem, że we wszystko w jakiś sposób zamieszany jest Biernacki, ale jak – trudno stwierdzić. Musiał mieć związek ze zniknięciem Staffa, ale co łączy go z innymi zaginięciami, nie mam pomysłu. Szczególnie niepokoją mnie ci nieszczęśni Żydzi, wyciągnięci wczoraj z Hortunia i ich dziwaczne rany.

– A wie pan kapitan, co ludzie tutaj ostatnio opowiadają? – Stefankowi wyraźnie nudzi się jazda w milczeniu.

– Zamieniam się w słuch, szeregowy.

– To zawsze interesuje ludzi, bo to bardzo interesujące – zapewnia skwapliwie.

– Aha... – Zamykam oczy znudzony.

– Weźmy na przykład tych znikających ludzi.

– Taak?

– A mało to ich? O, weźmy, dajmy na to, tego oficera z Warszawy, co to go pan szuka...

– A skąd wiecie, że szukam kogoś, szeregowy? – Wbijam wzrok w jego wygoloną skórę głowy.

Długie spojrzenie w lusterku wstecznym, pyzata twarz Stefanka jest ledwie widoczna w nocy. Noc poleska to czysta ciemność. Taka, w której zupełnie nic nie widać.

– Panie kapitanie, to jest Dawidgródek, tutaj nawet wszy w brodzie Żyda się nie ukryją.

Podnoszę brwi, ładne buty.

– No więc... – wraca do urwanego wątku – albo tego chłopca Matieja, albo tych Żydków, co ich wczoraj wyciągnęli, albo tego popa Iwana, co zaginął.

– A co mówią o popie? On chyba się znalazł... – blefuję.

– Nie znalazł.

– Przecież nie złapano nikogo, z tego, co wiem?

– O, to pan kapitan ma niedokładne informacje. Faktycznie nie złapano, ale z Olmanów uciekł młody chłopaczek, Matiej. Mówią, że go duch Złego Boga opętał. Demona. Tak tutaj mówią ludzie.

Nie ma co, nasz sztab ma po prostu fenomenalny przepływ informacji.

– Jaki Matiej, u licha?

– Syn smolarza, nawet coś nam dostarczał do garnizonu.

– Mówcież, szeregowy, coś więcej – ponaglam go zły, bo rozmowa z nim to droga przez mękę.

– A co mam mówić, taki małomówny był. A nie, przepraszam, jest coś, trzymał zawsze taki zwitek kory na rzemyku. Ale to się tutaj czasami zdarza. Znaczy tutejszym, to niby chroni przed czymś, u nas we wsi...

– I co z tym demonem? – przerywam, bo zapowiada się kolejna dygresja.

– Ano ponoć któregoś razu wziął i złapał go... taki wił nie wił czy inna strzyga, nie znam się na tym ich gadaniu. Mówią, że kiedyś po zmroku na bagna poszedł i wrócił odmieniony.

– A co wy o tym sądzicie, szeregowy?

– Ja tam nie wiem, prosty człowiek jestem, ale w te czary nie wierzę. *Pater noster* zmówić zawsze jednak warto. Znaczy w niektóre wierzę, jak Cyganka karty postawi na przykład. Ale tutaj to raczej w gorzałkę i w gniew ludzki można wierzyć.

– Słuszna wiara. A co się z nim stało, z tym chłopem?

– Matiejem?

Mruczy uznanie.

– A tu już inne rzeczy mówią. Jedni to, panie kapitanie, sądzą, że go strzyga porwała, bo wypędził ją z jej pierwszego żywota.

– Co to za brednie?

– Taki przesąd, że strzyga najpierw rodzi się człowiekiem, a potem, jak się ją ubije, to żyje w swojej prawdziwej postaci i szuka zemsty na mordercy. To znaczy, tak tutaj mówią, przesiaduje z nimi człowiek, to się nasłucha. Zresztą, wie pan, co kraj to obyczaj, kiedyś, jak jeszcze służyłem na granicy z Rumunią...

– A gdzie w ogóle ten Matiej zniknął? – Znowu muszę nieszczęśnika na temat nawrócić, bo odpływa.

– W Wojtkiewiczach. To tuż przy granicy się znaczy.

– To może do bolszewików uciekł...

– Ja tam, panie kapitanie, nie wiem, ale wiem, że Matiej często mówił, że trza panów przepędzić, bo oni uciskają lud. Znaczy się, tak mi ludzie mówili, wie pan, ja lubię usiąść, pogadać z człowiekiem, a mi to wszystko jedno, czy Polak, czy Żyd, czy Rusin, aby ciekawie mówił. Człek mądrzejszy od tego. Wie pan, co mówią o wojewodzie?

Nadstawiam uszu.

– Nie wiem... – Przęłykam aż ślinę z zainteresowania, liczę na to, że Stefanek nie wyczuje tego.

– O tym, że to on porywa chłopów. Wie pan, kapitanie, tych czerwonych. Jeździ swoim czarnym oplem, razem z policją, i porywa ich, a potem buch, do bagna. A potem ciup, do Berezy...

– I co, myślicie szeregowy, że i tym razem?

– A bo ja to wim? Na mój rozum to raczej po pijanemu gdzieś wpadł.

– Trzeźwe stanowisko. Widzę, że wy bardzo dobrze wszystko rozumiecie. A co w takim razie mówią ludzie o zaginięciu Staffa?

– Ludzie mówią, oj, mówią, mówią. – Stefanek zasepia się i milczy.

– No co mówią? – popędzam go.

– A że się wdał w awanturę z takim jednym Romanem. Ten Roman to taki wariat przedni, jak mój szwagier z Wielkopolski, co po pijanemu raz swoją siostrę z siekierą ganiał wokół chałupy. Było to tak. Waldemar, bo tak

mu na imię, na imieninach u poczmistrza wypił tego i jak do domu wrócił, a zupy nie było, a było to w nocy, to zaraz ze składziku wyciągnął siekierkę i jak nie zacznie swojej siostrze grozić, że...

– Staff?!

– Nie – odwrócił się zdziwiony Stefanek – Waldemar Kania, szwagier mój przecież...

– Ale co ze Staffem?

– Ano tak. On jechał do Sienkiewicz i tam w pociągu jechał ten Roman. On, straszna gorączka człowiek, spił się i zaczął się awanturować, on często się awanturuje. Taką ma wyraźnie chłop naturę. No więc do tego pana oficera zaczął się stawiać. Po mordzie dostał i się pozornie uspokoił. Ale ludzie gadali, że jak ten pan oficer wysiadł i szedł do Mokroci, to Roman za nim poszedł. A potem to już pana oficera nie widzieli.

– A co to za jeden, ten Roman?

– A tego nikt tak zupełnie nie wi. Taki ryży z wąsikiem, trochę do pana kapitana, za przeproszeniem, podobny. Jedni powiedzą, że on był przemytnik, inni, że ciągle nosi zanoski jako lokomotywa, inni, że tylko obrabia innych przemytników. A jeszcze inni... – Stefanek zniżył głos – że to były dwójkarz, jak pan. Ale o tym ciii. Bo nawet pan pułkownik Kula o tym nie wie. A zresztą – uderza się dłonią w czoło – przecież pan by wiedział, jakby był od pana, prawda?

– Tak, to można skreślić – mruczę, kiedy wjeżdżamy do Dawidgródka, na ostatnią prostą przed placówką KOP-u. – A co to te zanoski i lokomotywa?

– No, ładunek trefnego towaru. A lokomotywa to ten, co go nosi na przodku.

Zostaję z trzema różnymi wersjami zniknięcia Adama. Raz miał zniknąć już w Mokroci, raz w drodze do niej, a zgodnie z trzecią pojechał do Stolina. Wersja z Romanem wcale nie była taka głupia. Ale przecież Staffa widziano w tych przeklętych Sienkiewiczach. Poza tym Staff nie był „gorączka”, raczej by zszedł z drogi. Chociaż czy na pewno? A co, jeżeli był zamieszany w jakąś aferę komunistyczną? Wtedy Biernacki mógł go kazać zabić. Przekłeta ziemia. Przecież polescy chłopci, Żydzi i karły to nie panienki, aby ich handlarze żywym towarem łapali co chwila i wywozili.

W kiepskim humorze wchodzę do Zwisłockich. Faktycznie nie czekali na mnie. Na stole przygotowana wcześniej kolacja przykryta ćmielowską porcelaną, obrzydliwie tłusty sznycel wieprzowy, nieapetyczny zapach starego smalcu roznosi się w całym domu, ale jem, popijam winem i idę do swojego pokoju. Nie docieram jednak, bo słyszę zaraz wołanie Leokadii:

– Panie Maurycy – uśmiecha się, ukazując swoje niepełne uzębienie – był tutaj kapitan Pawłowicz, kazał to przekazać. – Widzę, że z pana jest ważny człowiek... – Mruga porozumiewawczo, podaje kopertę, lekko muskając moją dłoń, rozsiewa wokół zapach naftaliny. Idąc do swojego pokoju, otwieram kopertę.

Szanowny Panie Kapitanie,

nie dane nam było poznać się osobiście, wspólni nasi znajomi opowiadali mi jednak o Panu z najwyższym uznaniem. Byłbym niezwykle rad, gdyby zechciał Pan zjawić się na organizowanym przeze mnie raucie z okazji święta Rocznicy Uchwalenia Konstytucji 3 maja.

Hr. Zwiaholski

Jest późno, a ja nie mam ochoty na kolejną partię kart z miejscową elitą. Mam za to ochotę napisać list. Wyciągam więc papier i sięgam po nasz stary kod. Muszę uważać, bo moje listy mogą być czytane. Zastosuję umówiony z Agatą wybieg. I zaczynam od *Kochana królowo*, a kończę słowami *Twój goniec*, co znaczy tyle, że nieparzyste słowa ma odczytać zgodnie z ruchami królowej w szachach, a parzyste – gońca. Nie lubię szachów, ale ten sposób kodowania zawsze mi się podobał. Opisuję wszystko, co najważniejsze, okraszając to banałami o widoczkach i aurze Polesia. Kiedy kończę, patrzę na zegarek, za chwilę może uda się skontaktować z Kontrymem.

* * *

Tym razem nie musiałem iść aż na cmentarz, a jedynie na skraj kolonii urzędniczej Perły Polesia. Znaczy na koniec sadu, prosto na podmokły skrawek ziemi. Buty momentalnie mi przemokły, psiakrew! Miesza się

zapach wilgoci, traw i nocy. Mój sojusznik zaś siedzi wesolutki na przewalonym pniaku. Komary tną.

– Pan to chyba naprawdę nie lubi ziemi poleskiej?

– Skąd to przypuszczenie? – odpowiadam, zabijając komara, który już zaczął wpijać się w moje odsłonięte ramię. – Przebywanie tutaj to mój obywatelski obowiązek i honor.

Po raz pierwszy widzę na twarzy Kontryma szczerzy wyraz rozbawienia.

– No, mniejsza. Mam garść informacji.

– Ja też, i chyba najpierw ja muszę coś powiedzieć – wcinam się, korzystając z tego, że rozprasza go przelatujący nad nami nietoperz.

– Zamieniam się w słuch.

Relacjonuję wszystko, czego się dowiedziałem. W miarę jak opowiadam, widzę, jak twarz Kontryma tężeje. Każde słowo dociera do niego.

– Sprawa wygląda bardzo, ale to bardzo niepokojąco – głos zdradza poważne strapienie.

– Nie musi mi pan mówić. Szczególnie ta rozmowa z urzędnikiem wojewody.

– Tak, tak. Powiem więcej, niech pan zgadnie, z kim mieli się jeszcze spotkać ci nieszczęśni Żydzi?

– Z wojewodą? – strzelam trochę na chybił trafił.

– Dobra, i tak pan nie zgadnie. – Kontrym wyciąga papierosa z paczki. – Z moim przyjacielem.

– Z tym popem?

– Nie inaczej. Sprawa jest... hmm... wielce skomplikowana. Otóż, najbardziej pana zaciekawi to, czego panu najwyraźniej nie powiedzieli. I Juda Brzeski, i Iwan Pszaniak to nie byli zwykli Żydzi.

– Tak, wiem. Byli bogaci.

– Prawda, ale nie cała. Oni nie tylko byli bogaci, bogatych Żydów tutaj jest sporo. Oni byli uczniami cadyka Majmodesa.

– No i pięknie, na Nalewkach cadyków jest po trzech w kamienicy. – Parskam śmiechem. – Przepraszam, ale to nic mi nie mówi.

– Tak, ale nie takich chasydów, co to wieszczą koniec świata i co krok ostrzegają przed otwarciem się wrót piekieł.

– Wykluczyć tego nie mogę, nigdy nie sprawdzałem, o czym plotą. No dobrze, ale jak się to ma do wojewody i do zabójstwa?

– Rozmawiałem z Ewą, żoną Iwana. Brzeski i Pszaniak byli u cadyka, siedzieli prawie całą noc, mieli ze sobą jakieś księgi i jak jej się zdaje, mapy. Zaklinali, aby porozmawiał z wojewodą.

– I co dalej?

– Iwan pojechał i już nie wrócił.

A więc znowu wojewoda. Pięknie.

– Powinienem to zbadać, ale mam problem, dostałem zaproszenie od hrabiego na raut.

– Wie pan co – Kontrym gładzi brodę dłonią – niech pan jedzie do niego. Zviaholski jest tutaj ważną figurą. Nawet jeśli nie będzie mógł pomóc, lepiej mieć go po swojej stronie, zwłaszcza jeżeli zabieramy się do walki z wojewodą. Ja w pana imieniu będę się rozpytywał o Staffa wśród ludności. Zresztą wspomniał pan, że ktoś mówił, iż Staff dojechał do Olman raz jeszcze.

– Tak, na pewno był tam raz. I dlatego muszę jechać do hrabiego. Może to rzuci światło, co się z nim działo. Niestety nie wiadomo, gdzie pojechał ostatniego dnia, mógł trafić wszędzie. A my nie mamy żadnego świeżego tropu.

– Chciałbym jeszcze, aby zanim się pożegnamy, poznał pan kogoś.

Kontrym gwizdże. Z cienia wyłania się człowiek niezwykle, w którym nic nie pasuje do siebie. A szczególnie wygląd do tego, jak się wypowiada. Nie jak typowy Poleszok – chłop w niedającym się określić wieku. Z długą brodą, o czarnym niczym smoła głębokim spojrzeniu i bulwiastym nosie. W mięsistych ustach fajka wierzbowa o długim cybuchu. Twarz pokrywają zmarszczki, które jednak zupełnie nie zdradzają wieku. Ubrany w lnianą koszulę i z gołą głową, z czarnymi włosami posklejanymi w strąki. Zewnętrznie wydawać by się mogło, że to ciemny poleski chłop. Ale jak otwiera usta, wypowiada sądy nieoczywiste, a co ważne, wyrażone czystą polszczyzną, o czym szybko się przekonuję.

– Dzień dobry, Kostia jestem. – Podaje mi rękę.

– Panie Jakubowski, Kostia to jeden z nielicznych ludzi, którym ufam tutaj na Polesiu, jest moim przewodnikiem i zarazem wywiadowcą. Proszę

się na przyszłość nie krępować w niczym podczas jego obecności.

* * *

W drodze na kwaterę zatrzymuję się w pół kroku, w krzakach bzu coś szeleści. Na tym przeklętym Polesiu trzeba mieć się zawsze na baczności, niczym nie przymierzając zwolennik Ruchu Narodowego na Nalewkach.

– Jest tam kto? – wołam półszepem.

Cisza. Jeszcze chwilę nasłuchuję, w końcu idę dalej lekkim krokiem. Nie wchodzę jednak od razu do swojego pokoju, tylko zatrzymuję się w kuchni i piję wodę. Moje podejrzenie się sprawdza – do domu na paluszkach wchodzi za mną panna Aniela.

– Nie za późna godzina na powroty? Panienska nie powinna być w łóżku?
– Patrzę na nią znad kubka.

– O, pan Maurycy, ja... – głos drży nieznacznie – ja na spacerku byłam.

– Na spacerku. – Wzrok mój się już zdołał przyzwyczaić do półmroku i widzę sukienkę w lekkim nieładzie.

– Sama panienska była?

– Sama. – Podnosi wzrok.

– A to chyba nieroztropnie tak samej chodzić po zmroku.

– Może, ale przecież tu bezpiecznie, tu sami swoi.

– Tak, sami swoi. Ale jednakowoż. Czy mamusia szanownej pani wie o tych „spacerkach”?

– Nie – wydyma usteczka i podchodzi bliżej – i będę wdzięczna, jak się nie dowie. – Kładzie mi rączkę drobną na klatce piersiowej, a ja tylko upewniam się w tym, co już wiedziałem. Anielka wyraźnie nie ma dosyć, bo oblizuje wargi i ze wzrokiem wbitym we mnie zaczyna słodkie podchody. – A pan, panie Maurycy, nie chciałby może mi czego poczytać? Na przykład *Niebezpieczne związki* pana de Laclos.

– Jestem bardzo zmęczony, innym razem.

– Może chociaż troszeczkę?

– Niestety – wykręcam się, czując zarazem, jak to młode ciało zaczyna działać na mnie w sposób, jakiego nie chcę – naprawdę muszę iść,

dobranoc.

– Co tu się dzieje? – W drzwiach kuchennego pokoju objawia się moja wybawczyni, Leokadia.

– Właśnie wróciłem z drogi, a widzę, że i panna Aniela przyszła po coś do picia. – Uśmiecham się zjadliwie i mówię dobranoc.

Leokadia wpatruje się w Anielę i wydaje się, że wie doskonale, co tu zaszło. Aniela zaś natychmiast znika w salonie, potem słyszę jej kroki na piętrze.

ROZDZIAŁ VII

Pan na Olmanach

3 maja 1937

Kadłub „Piasta” z przyjemnym pluskiem ospale przebija się przez zielonkawy Hortyń. „Piaś” to nie byle co, ale największy wycieczkowy statek kursujący stąd do Pińska, duma dawidgródzkiego przemysłu turystycznego, zajęty teraz w zasadzie tylko przez rodziny polskich urzędników i nielicznych handlowców. I zarazem stary gruchot. Jak zapewniał od rana Zbyniu Pawłowicz, rejs do hrabiego będzie najlepszym i najrozsądniejszym wyjściem. „Poczujesz się jak turysta”, roześmiał się, klepiąc mnie po ramieniu, „zobaczysz piękno Polesia” – zachwalał. Zbyniu nadawałby się do Orbisu ze swoim nieposkromionym optymizmem. Nie pozostało mi więc nic innego, jak patrzeć na wlekący się za burtą nurt, zapoznać się z innymi pasażerami i udawać entuzjazm. Bowiem „Piaś” jest dosyć parszywą łajbą. Niski pokład ogrodzony poręczami tak, aby wycieczkowicze nie skończyli podróży w wodzie. Kilka ławek pozwalających cieszyć się czarem Polesia i tyle. Poniżej kajuty, w których można schronić się w deszczowe dni. Szczęśliwie dzień mojej podróży na dwór hrabiego jest jasny i słoneczny. Ma to jednak i negatywne skutki. Wielu mieszkańców Dawidgródka wybrało się na wycieczkę. W tym pary z dziećmi. Prawda jest taka, że raczej nie lubię dzieci, tych małych biegających potworów, krzyczących bestii, rozwydrzonych demonów. Przyszłości narodu... Prom płynie z Dawidgródka przez Pińsk aż do Lado za Stolinem, co oznacza istną moc atrakcji dodatkowych. Szczęśliwie Zbyniu Pawłowicz zaczyna prowadzić wykwinną konwersację z ich matkami, co zaraz przeradza się w dokazywanie z małodzieńską zarazą. Palę więc egipskiego i coraz bardziej doceniam Zbynia.

– Ciekawe, które nie jest jego – słyszę głos za sobą – naszego wdowca...

Dwoje oczu patrzy na mnie zza okrągłych, przyciemnianych szkieł. Dziwne, bo taka ozdoba jest chyba zupełnie nieregulaminowa. Bardzo

chudy i bardzo wysoki, białe, pokryte pierwszymi zmarszczkami czoło i brązowa czupryna. Poniżej lekko pękaty nos i usta koloru blad różowego. Przypomina wręcz inkwizytora ze średniowiecznych rycin. Po twarzy błąka mu się dziwny uśmieszek, mówiący wręcz: ha, ja wiem, o co w tym wszystkim chodzi, czytam w panu, drogi rozmówco.

– Feliks Horyc. Kapitan Feliks Horyc, zastępca szefa propagandy Brygady KOP „Polesie”, oddelegowany tymczasowo do Dawidgródka. – Podaje silną, wypielegnowaną, lecz pokrytą licznymi żyłami dłoń.

– Nie spotkaliśmy się wcześniej, Maurycy Jakubowski, kapitan – odpowiadam, odwzajemniając mocny uścisk. Chyba pederasta, myślę, patrząc mu w oczy. Przypomina kuzyna Agaty, o którym wszyscy wiedzą, po co tak naprawdę chodzi na balet.

– A więc jesteśmy równi stopniem. – Nieznacznie się uśmiecha. – A formacja, jeśli spytać wolno?

– Dwójka.

– Aaa, Defa. – Duma zapatrzony w wodę. – Co pana sprowadza do Dawidgródka?

Tłumaczę ogólnie moją misję, Horyc kiwa głową.

– Niestety w czasie, o którym pan mówi, byłem w Warszawie na szkoleniu. Tak więc nic nie pomogę. – Błyska czujny wzrok zza okrągłych szkiełek.

– A w ogóle, skoro już rozmawiamy, gdzie mieszka Pawłowicz, bo wiem, że nie w jednostce.

– Tak, to prawda, ma dom na obrzeżach. Dostał go, kiedy żył z żoną, a potem mu go nie odebrano. Ale nikt tam nie bywa.

– Nie zaprasza ludzi? Dlaczego?

– To przez żonę chyba – odpowiada powoli Horyc.

– Żonę? Nie przypominam sobie, aby Pawłowicz miał żonę.

– Miał, ale umarła. – Horyc patrzy zza szkiełek. – Moja dobra rada, dla niego to naprawdę bolesny temat, lepiej nie drążyć. O ile oczywiście mogę się wtrącić.

– Pan znał jego żonę? – pytam, bo temat mnie frapuje. Dziesięć lat temu Pawłowicz był typem, którego bym posądził o wszystko, ale nie

o monogamię.

– Bardzo przelotnie. Ale byłem na pogrzebie.

– Jak to się stało?

– Tak jak mówiłem, to temat drażliwy, a ja nie chcę dotykać nie swoich spraw. Wiem, że umarła w tragicznych okolicznościach, i to go bardzo zmieniło.

– Jakich okolicznościach?

– Siarka z zapalek.

Kiwam tylko głową. Horyc opiera ramiona na barierce.

– Wybiera się pan na raut u hrabiego – bardziej oświadcza, niż pyta, zmieniając tym samym temat.

Potwierdzam skinieniem głowy. Coś mi od początku mówi, aby z tym człowiekiem mieć się na baczności.

– Ja też, chociaż wie pan, ja tam jadę służbowo.

– To znaczy? – pytam.

– Próbuję zdobyć zgodę na pewne działanie. No, może zyskam możliwość rozwinięcia turystyki. Widzi pan, Polesie to bardzo ciekawe miejsce...

– Tak, przekonałem się o tym...

– Oj, raczej nie. Widzi pan te zagajniki? – Wskazuje dłonią lewy brzeg rzeki. A ja już wiem, że właśnie trafił mi się przewodnik entuzjasta. – To Aleksandrówka, mieszka tam kilka rodzin, tak zwanych szlacheckich. Oczywiście są to potomkowie dawnych Mazurów. Wścieklicowo, panie kapitanie. Wśród chat Poleszuków więcej kultury się znajdzie niż u tych naszych rodaków, choć przyznaję, nie widać tego na pierwszy rzut oka. Gdy tu przybyłem, widziałem okolicę tak, jak i pewnie pan teraz ją odbiera: półdziki kraj, półdzicy ludzie. Dopiero jak człowiek tu posiedzi i przestanie nienawidzić tych trzęsawisk, to się okazuje, że to naprawdę niesamowite miejsce. Na przykład jest taka legenda o polskim szlachcicu konfederacie Janie Samuelu Łatyszonkowiczu, który zginął wydany przez chłopów. Wrócił i się mści.

Horyc milknie na chwilę, szuka papierosów. Fale pluskają przyjemnie o burty „Piasta”, niewysoki odkos dziobowy kołysze przybrzeżnym

tatarakiem, trzcina i oczeretem, liczne zaś okazy ptactwa bagiennego nawołują się wesoło. Wszystko to, skąpane w ciepłym, majowym słońcu, jest przyjemnie kojące. Trzask zapalniczki i po chwili wysoki jak tyka kapitan kontynuuje:

– Fascynujące są tutejsze wierzenia i przeszłość, co my nazywamy czasami przedchrześcijańskimi. Wie pan, niektórzy ludzie wciąż wierzą w starych bogów. Tutejsi poganie w ogóle mieli, a właściwie mają, bardzo rozbudowany panteon. Ale nie do końca znany nam. Szczególnie interesujący jest Żmij, czyli ziemską postać Welesa. Mieli tutaj nawet taki zabawny rytuał. Na Noc Kupały dziewczęta szły do lasu i tam układały się na ziemi w kształt węża. Mężczyźni z wioski tworzyli drugiego węża. I rozpoczynał się taniec godowy zakończony orgią. A to tylko jeden z wymiarów, a jeszcze inne...

– Przepraszam, jaki jest znak Welesa? – zastanawiam się i próbuję sobie przypomnieć.

– Jak to jaki? Wąż... – odpowiada, niemalże wzburzony niedorzecznością pytania.

– A młot?

– Młot to znak jego przeciwnika, Peruna. To taki nasz odpowiednik Zeusa, czyli ten, umownie powiedzmy, „dobry”. Oczywiście każdy z tutejszych bogów, jak we wszystkich mitologiach, ma swój unikalny symbol, niektórzy z nich nawet kilka. Na przykład Raróg, demon ognia, ma koło z kosami, Swarozyc to trójramienna swastyka i tak dalej. Bardzo długo bym mógł opowiadać...

– A Weles to Hades? – staram się przełożyć to wszystko na znane mi schematy.

– Najprościej rzecz ujmując, tak. Może raczej jak rzymski Dis Pater. Ale nie do końca, Hades nie był zły. A Weles to bóg zniszczenia. Raczej, czy ja wiem, jeden ze starotestamentowych demonów jak Moloch.

– Aha. Jest jeszcze rzecz, która nie daje mi spokoju. Trochę zmieniając temat, ale nieznacznie. Słyszał pan na pewno o księdzu Marwickim?

– Tak, nie mogę zaprzeczyć, przedziwna sprawa.

– Owszem. Odwiedziłem go w szpitalu w ramach przygotowania do wyprawy tutaj i wie pan, on mówił coś bardzo dziwnego. Rozumie pan

formułkę *hobjynrec*?

Horyc marszczy czoło.

– Nie jestem pewien, ale kiedyś słyszałem, że w taki sposób mówiono właśnie o Żmiju, czyli Welesie. To odwrócone *Cernyj boh*, a więc Czarny Bóg, co dodaje mu demonizmu. Podawano jego prawdziwe imię od tyłu, aby go nie wymawiać.

– Czyli chodzi o Szatana?

Kapitan Horyc znów marszczy czoło, kiwa głową, tak jakby coś rozważał.

– Mówiąc w dużym uproszczeniu, tak. Sądzę, że chodzi o Mroka albo o Mroka i jego brata Moroza, albo Welesa właśnie. Nie do końca wiadomo, czy to jeden bóg, czy wielu. Nawet ich symbole są podobne, podzielone trójkąty.

– A trójkąt z przedłużoną podstawą?

– Jego syn, Syn Bagien. Pewnie pyta pan o ciała?

– Tak.

– Wie pan – widać, że Horyc wsiadł na swojego konika i będzie chciał gadać – on, według niektórych legend, zsyłał na ludzi coś, co nazywało się żmijowym snem lub też mgłą żmija, czyli po prostu szaleństwo. Miały się wtedy budzić w człowieku najgorsze cechy, odślaniały jego słabości.

– Ciekawe. – Patrzę na wodę Hortynia, na mijających nas Poleszuków wyciągających sieci z rybami. – I mówi pan, że oni naprawdę wierzą w tego Welesa?

– Welesa albo Żmija, Czarnego Boga, syna Pana Bagien. Ma wiele imion. Ważne jest jedno, katolicyzm jest tutaj hmm... jedynie kolorytem. Prawdziwa wiara jest dla tych ludzi pierwotna i jest punktem zapalnym dla sporów z nami.

– Żmij... – głośno myślę.

– To nie takie proste, mówimy o mitologii ludów niepiśmiennych albo półpiśmiennych. W zależności od podań Żmij może być synem Pana Bagien, albo samym Panem Bagien. Na pewno jest bardzo niebezpieczną istotą.

– Czytałem *Pieśń o Synu*.

– To jedno z podań. Niektóre są jeszcze krwawsze, inne z kolei zupełnie łagodne, na przykład Sergiusz Miasojedow w swojej *Istorii noroda Polesi* przytoczył wersję, w której Syn Bagien wymagał tylko złota i był dobrotliwy ostatecznie. Jest też wersja tragicznej miłości. Bohaterem był młody Ditko, który stracił ukochaną w czasie najazdu Tatarów. Wszystko działo się zgodnie z zapewnieniem autora, przed dziesiątkami wieków, kiedy ziemia była jeszcze zupełnie dzika, a po niej chodzili starzy bogowie. W każdym razie Ditko, oszalały w cierpieniu, błąkał się po całej krainie, szukając ukojenia. W końcu spotkał starego maga, który opowiedział mu o Synu Bagien, synu Czarnego Boga, opiekuna Polesia. Ten objawił mu się i zażądał ofiary, tylu par uszu, ile lat miała jego ukochana. Ditko zaczął zatem zabijać i szybko okazało się, że zapomniał o ukochanej i wołał zamiast tego dokonywać mordów dla Syna Bagien, który chciał na nowo władać Polesiem, a potrzebował do tego krwi.

– A jak to się ma do legendy *Ziemi przeklętej*?

– A to ciekawa relacja, podobno *Ziemia przeklęta* jest tak naprawdę mapą prowadzącą do domu Syna Bagien. A przynajmniej taką plotkę rozsiewa autor. Zresztą ma pan pewnie też na myśli te ostatnie zabójstwa?

– Widzę, że jest pan dobrze poinformowany.

– Tak, pomagałem komisarzowi Adlerowi. Faktycznie wiele ze szczegółów się zgadza, ofiary są naznaczone znakiem Syna Bagien, uszy zaś są daniną dla niego.

– Co to znaczy, że są naznaczeni?

– Wedle legendy, kiedy już Syn Bagien powstanie, będzie z zabitych w swoim imieniu tworzył armię.

Patrzę w toń rzeki.

– To nie pierwsze takie sprawy, prawda?

Horyc unosi wzrok znad okularów.

– Rzeczywiście. W poprzednim stuleciu pewien szlachcic chciał przy pomocy Syna Bagien wskrzesić Polskę. A przynajmniej tak opowiadał na śledztwie. Marcin Krochmalnicki nazywał się, jakby to pana interesowało.

– A jaki te dzisiejsze sprawy mają wpływ na nastroje społeczne?

– Polesie to beczka prochu. A Syn Bagien może, ale nie musi być zapalnikiem.

– A wojewoda?

– To zależy, czego dokładnie dotyczy pytanie. Szlachty, Poleszuków, komunizmu czy religii?

– Powiedzmy komunistów i księży katolickich.

Horyc drapie się długim palcem po gładko ogolonym policzku i chwilę milczy.

– Powiem tak. Zna pan może taki żydowski szmonces: Przychodzi Cukiertort do pana Sodowaser i zapytuje: Panie Sodowaser, podobno byłeś pan zaproszony do tego bogacza Apfelbauma na kolację. Na to odpowiada mu z miną kwaśną Sodowaser: Nieszczęścia się zdarzają. Nieszczęścia?, draży Cukiertort. Ano nieszczęścia, odpowiada Sodowaser, gdyby rosół był tak ciepły jak piwo, ryba tak polana sosem jak obrus, a gęś taka tłusta jak gospodyni, toby było całkiem w porządku. I tak samo jest z Kościołem. Gdyby miłosierdzie było tak wielkie jak ewangelizacja, księża skromni jak wierni, a pomoc równie gorąca jak egzorcyzmy, to Kościół katolicki byłby potęgą. A tak, to mogą co najwyżej zbawiać naszą lubieżną do imentu szlachtę i kolejnych bękartów chrzcić. – Horyc uśmiecha się wyjątkowo złośliwie. – Nieco inaczej jest z dzielnymi apostołami czerwonej wiary w batiuszkę Stalina. Gdzieniegdzie cieszą się nie lada poparciem. Ale w przeciwieństwie do swoich starszych braci w agitacji mają potężnego przeciwnika. Wojewoda nie przebiera w środkach, kiedy przychodzi do tępienia czerwonych. Zresztą na pewno zna pan plotki.

– Co konkretnie ma pan na myśli?

– Wszelakie pogłoski. W szczególności te, które sam każe rozpuszczać – za papierosem rozkwitł uśmiech – na przykład o czarnym automobilu, który przyjeżdża do wiosek i porywa agitatorów, a potem karmi się nimi żaby i węże.

– Czyli to bzdury?

Horyc uśmiecha się zagadkowo.

– Cóż, na pewno wojewoda nie jest człowiekiem pobłażliwym dla reakcji komunistycznej, ale to żadna tajemnica. Tutaj nie Ukraina, gdzie panuje bezhołowie...

– Nie jest pan zwolennikiem wojewody Józewskiego?

– Po prostu należę do frakcji zdrowego rozsądku, *real politic*...

Kiwam głową i odwracam się w stronę rzeki. Cisza i spokój wisi w powietrzu niczym sokół nad cietrzewiem.

– Przepraszam, nie powinienem pytać, ale śmierć żony Pawłowicza?

– Ajjj. – Horyc uśmiecha się smutno. – Dobrze, powiem, ale proszę się nie wygadać, to delikatna sprawa.

– Czy zdradzi pan coś więcej?

Horyc patrzy na brzeg rzeki, na którym stoją tubylcy i śpiewają pieśń, która niesie się aż do nas.

Kupalniojnoczy

Wypiekli wiedzmi oczy

Kab w noczyne chodziła,

Kab rosy nie zbierała,

Kab w peczyne suszyła,

Kab w żernach ne małała

Kab kaszy newaryła,

Kab dzieciej ne kromiła,

Kab wiedzmiat nie płodziła.

– To ją zabiło. – Horyc wskazuje na oddalające się baby. – Polesie. Nie mogła go znieść. Chyba się tutaj dusiła, inaczej niż kapitan Pawłowicz, on się odnalazł. Ono jest jak ta pieśń, co nam tutaj towarzyszy: o wiedźmie, co jej oczy wylupili, aby po świecie nie chodziła, aby rosy nie zbierała, aby ziół nie suszyła i aby innych wiedźm nie płodziła. Polesie jest posępne i niegościnne.

– Rozumiem...

Zbliża się również cel naszej podróży, port żeglugi słodkowodnej Stolin, a przy nim pyszną się bryczki należące do hrabiego. Zadbał bowiem, aby wszyscy jego goście mieli zapewniony odpowiedni transport.

* * *

Z wehikułu zaprzęzonego w dwa dorodne kare konie widzę wzbijającą się nieznacznie ponad drzewami białą wieżyczkę, potem czerwone dachówki dworu. Spośród zieleni przydomowego ogrodu angielskiego nieśmiało przebijają białe niczym porcelana ściany. Ku memu zaskoczeniu bryczki skręcają w aleję wysadzaną najprawdziwszymi cyprysami, ukochanymi drzewami romantycznych poetów i egzaltowanych samobójców, albo odwrotnie: egzaltowanych romantyków i poetów samobójców. W bryczce razem ze mną jest Zbyniu i Horyc, którzy wymieniają zdawkowe uwagi.

W końcu dwór wylania się w całej okazałości. Świadomy wykwit polskość, cywilizacji i kultury pośród poleskich bagien i mokradeł. To stwierdzenie chyba w najtrafniejszy sposób charakteryzuje rodową siedzibę Zwiaholskich. Dwór okazuje się nie tyle dworem, ile raczej średniej wielkości pałacem *à la polonaise maximum*. Wejście skrywa się za dwiema parami kolumn, uszeregowanych w dwóch kondygnacjach, które wieńczy tympanon z eleganckim motywem w stylu klasycystycznym. Poniżej data 1795 i napis *Penitentiam agite, appropinquavit enim regnum caelorum*^[10]. – I teraz pytanie: jakie królestwo jest bliskie? Poniżej, skryty za kolumnami, ganek z wiklinowym krzesłem i stoliczkiem w kolonialnym stylu. Zdaję sobie sprawę, co nie w pełni docierało do mnie wcześniej, że impreza u hrabiego to nie taki zwykły raut czy raucik, ale wielka impreza kulturalna, na której zbierze się cała elita od Pińska po granicę z bolszewią. Drzewa w parku przyozdobiono biało-czerwonym, szarfami, muzykę słycać już z daleka. Wszędzie kręci się służba, wytacza beczki z napitkami i znosi kolejne specjały. Lustruję raz jeszcze pałac, w porównaniu do tego, co widziałem dotąd na Polesiu, robi wrażenie imponujące.

Poniżej kolumnady drzwi otwarte na oścież, w nich zaś olbrzym o czarnych włosach wraz z lokajem wyciągniętym niczym struna. Olbrzym lustruje wszystko wesołym wzrokiem i kiedy oczy skryte za binoklami padają na bryczkę, spod gęstej czarnej brody wykwita szczery uśmiech. Kapitan Pawłowicz delikatnie szturcha mnie łokciem i szepcze z podnieceniem: jest i nasz gospodarz.

Hrabia Konstanty Młot-Zwiaholski, żwawo schodzi po schodach ganku i kordialnym gestem gospodarza rozkłada ręce. Długa czarna broda, wielkie gabaryty – chodząca szafa gdańska. Na moje oko Zwiaholski ma co najmniej dwa metry wzrostu i blisko sto czterdzieści kilogramów wagi.

Jowialny sposób bycia od razu nastawia mnie pozytywnie, jest w nim coś swojskiego, miłego i stabilnego.

– Witam panów, witam panów – huczy głosem tak tubalnym, że gotów jest wypłoszyć okoliczne ptaki – jak to dobrze, że nasze kochane wojsko pograniczne przybyło w moje skromne progi. Na tę jakże skromną uroczystość. Bardzo żałuję, że pułkownik Kula nie mógł się zjawić. Pisał mi, tak, że niestety, ale choroba... Witam, witam, kapitanie Pawłowicz – ściska obydwie ręce mojego towarzysza, po czym zwraca się w moją stronę: – A pan to najpewniej kapitan Maurycy Jakubowski, niezmiernie, niezmiernie cieszę się, że zawitał pan do naszego skromnego przybytku. To zawsze, zawsze wielki zaszczyt gościć przedstawicieli ministerstwa u siebie. A także – zawieszenie na Horycu – przedstawicieli sił propagandy. – Jest w tym wszystkim jednak jakiś fałsz, którego nie rozumiem. Jakaś nuta nieczysta. Coś dziwnego wisi tutaj w powietrzu. – Po kolacji będzie mógł pan zobaczyć nasze widowisko, wierzę, że się panu spodoba – zwraca się do Horyca. Gestem zaprasza do środka, gdzie zaraz przejmuję nas służba. Usłużny i szarmancki lokaj informuje, że kolacja i przedstawienie teatralne odbędą się w ogrodzie.

Prowadzą nas przez stary pałac przepelniony fanfaronadą hurrapatriotyczną, zatrzesienie matek boskich, antycznych zbroi i innych tego typu akcesoriów. Widać, że jest starym rodowym gniazdem, z jego zaduchem i kurzami wielowiekowymi. Wszystko skąpane w lekkim półmroku. Najpierw hol, na środku którego bieli się popiersie Kościuszki, a za którym odcinają się brązem dwa ciągi schodów prowadzące na wyższe piętro. Co mieści się w lewym skrzydle, nie zdążyłem się zorientować, bowiem lokaj gestem ręki wskazuje drogę do otwartego na ogród pokoju jadalnego.

Wszystko jest tutaj ciężkie i nieco przesadzone, tak jak wymaga tego obyczaj. Dębowe meble z początku zeszłego wieku, obrazy przodków gospodarza i ciemne perskie dywany, do tego na ścianie wielki obraz, w którym rozpoznaję jednego z militarystów naszych zeszłego wieku, i niezliczona wręcz ilość trofeów myśliwskich, głowy saren i jeleni, poroża, skóry dzików i niedźwiedzi, wszędzie tego pełno. Pachnie pastą do podłóg i starością. Widzę komisarza Adlera, który rozmawia, żywo gestykulując, z nieznanym mi jegomościem w czerni – jak się później okazuje, jednym

z kolegów syna gospodarza. Pod oknem pali papierosa czynownik jezuicki, ksiądz Konewka, a obok niego z rozmarzonym wzrokiem jakaś panna o wodnistych niebieskich oczach i włosach koloru zboża.

Pomału idziemy do ogrodu, witając się po drodze z kolejnymi gośćmi. Nazwisk tyle, że trudno spamiętać. W ogrodzie obaj ze Zbyniem bierzemy po kieliszku czerwonego wina z rąk usłużnego lokaja i zajmujemy pozycję obserwatorów. Rozstawione stoły uginają się od potraw pod baldachimami, wszędzie krzesła wokół prowizorycznej sceny i białoczerwone szarfy. Na scenie kwartet skrzypcowy gra delikatną melodię, tworząc tło dla rozmów powitalnych. Między gośćmi kręci się odświętnie ubrana służba, sproszone dobre pięćdziesiąt osób. Zbyniu brzęczy mi do ucha, kto jest z urzędników, kto jest starostą, kto ważniejszym ziemianinem, a kto należy do grona pasterzy owieczek bożych. Horyc gdzieś się zapodział. Udaje mi się policzyć w myślach, że na blisko pięćdziesiąt osób przypada czterech księży, dwóch burmistrzów, ośmiu dyrektorów, trzech arystokratów i blisko dziesięciu przedsiębiorców, a dodać należy, że nie wszystkich Pawłowicz zna. Gwar przerywa dźwięk gongu, w który z namaszczeniem uderzył właśnie lokaj. Wszyscy wychodzą z dworu, aby nacieszyć się widowiskiem.

– Szanowne panie, szanowni panowie – gwar rozmów cichnie, przerwany przez tubalny głos hrabiego Konstantego, ubranego we frak opinający wielkie brzuszysko – pragnę powitać państwa na uroczystości z okazji rocznicy ustanowienia Konstytucji trzeciego maja. Liczę, że program przypadnie państwu do gustu. Wpierw zapraszam na skromny poczęstunek, potem na przedstawienie. Oficjalnie rozpoczynam zatem przyjęcie. Powstańmy do hymnu.

Po chwili ciszy z wielu gardeł dobywa się *Mazurek Dąbrowskiego*. Nagle czuję, że chce się być tutaj i że dobrze jest być Polakiem. Głosy unoszą się ku górze z niezwykłą mocą, napętniając dumą z polskości, z tego, że nasza Rzeczpospolita odrodziła się po stu dwudziestu trzech latach niewoli.

Pensja oficera Dwójki, wbrew pozorom, nigdy nie należała do wygórowanych. Zdaję sobie sprawę z dysproporcji finansowych, jakie dzielą mnie i hrabiego na Olmanach. Stąd też czuję się nieco przytłoczony obfitością „skromnego” poczęstunku, jakim ugościł nas hrabia Zwiaholski. Rozpoczęło się od dań wstępnych, czyli rosółu *consommé*, majonezu

z łososia oraz combru cielącego *à la duchesse*. Do tego oczywiście wódka z rozlewni Baczewskiego i filhot rocznik 1908 oraz d'oliveiras verdelho z 1905. Po tym skromnym i ubogim, jak ze skruchą przyznał hrabia, wstępie wkraczają właściwe dania, w postaci zupy *à la reine* lub do wyboru *ox-tail*, sandacza po holendersku, perliczek nadziewanych truflami, combru sarniego i bażanta faszerowanego wątróbkami gęsiami. Na deser lody, sałatka ananasowa oraz krem czekoladowy z siedmioma różnymi likierami. Obiad zresztą podlany jest olbrzymią ilością alkoholu, kelnerzy dbają bowiem, by żadne naczynie nie pozostawało puste. W takim otoczeniu rozmowy prowadzi się niezwykle miło i lekko, tak że jestem w stanie zapomnieć o mojej misji. Popołudnie u hrabiego Zwiaholskiego okazuje się nad wyraz przyjemne.

Siedzimy pod jednym z baldachimów przy długim ciężkim stole. Usadzono nas przy „lepszym stole dawidgródzkim”. To znaczy mnie i Pawłowicza, bo kapitan Horyc dostał co prawda krzesło przy tym samym stole, ale w miejscu mniej dogodnym do konwersacji. Nie mówiąc już o komisarzu Adlerze, którego zesłano na dalekie peryferie. W ogóle stołów jest wiele i, jak się mogłem zorientować, są oddzielone regionami, na przykład stół Pińsk, stół Sarny czy, jak w naszym wypadku, stół Dawidgródek. Każdy region dzieli się na lepszy i gorszy, najwyraźniej ściśle jest to związane ze stosunkiem gospodarza do stołu. Oczywiście nie trafiliśmy na sam szczyt, zarezerwowany dla matrony rodu, Pelagii Młot-Zwiaholskiej. Dama owa liczy sobie osiemdziesiąt pięć lat i obdarzona jest wzrokiem czujnym i cały czas, pomimo wieku, trzeźwym, którym teraz badawczo lustruje otoczenie. Na sobie ma czarną biżuterię żałobną, jak się dowiaduję od siedzącego obok mnie księdza Konewki, po swoim bracie, Aleksandrze Młocie-Zwiaholskim, powstańcu styczniowym, zabitym w czasie zrywu narodowego. Z racji wieku porusza się na wózku pchanym przez służącego. Jak nas poinformowano, chroniczny katar żołądka uniemożliwia jej spożywanie normalnych posiłków i ogranicza dietę do bulionów i ziółek. Po jej prawicy siedzi sam hrabia, usługując jej i czcząc niczym królową, a o względy staruszki walczy również jego najstarszy syn Witold. Dalej córka, Urszula – dwudziestokilkuletnia piękność o czarnych oczach i raczej wyniosłym stosunku do reszty gości. Czarne niczym węgielki oczy świdrują zebranych i jest w tym spojrzeniu coś

elektryzującego. Naprzeciwko niej miejsce zajmuje ubrany niedbale młodszy syn, Sokrates Zwiaholski, konsekwentnie przedstawiający się bez swojego herbu. Nosi koszulę niedokładnie wyprasowaną, za duży, przetarty garnitur, do tego specyficznie krzykliwy fular pod szyją. Przypuszczam, że wyrzeka się rodzinnego splendoru i błękitnej krwi i woli bratać się z ludem, w czym utwierdza mnie Zbyniu, szepcząc, że młody Sokrates „komunizuje, ale bardziej na pokaz”.

Dalej stoły dla gości spoza rodziny, bo jak się dowiedziałem, pani Karolina Młot-Zwiaholska, żona hrabiego, jest nieobecna, przebywa właśnie u wód. A zatem po kolei siedzą burmistrz Stolina, Aleksander Rotberg z żoną, ubrany w kontusz Samuel Skarbek-Potoczyński, właściciel dworu w nieodległej Glince, przemysłowiec Konstanty Abramowicz, syn przemysłowca Thun, przeor pińskich jezuitów, do tego burmistrz Dawidgródka Jan Olgierd, którego w końcu widzę i który okazuje się postacią zdecydowanie nijaką. Feta jest co prawda niemała, ale ujawnia coś jeszcze – hrabia Zwiaholski, chociaż ważny, nie jest osobą z pierwszego rzędu władyków Polesia. Daleko mu do Radziwiłłów z Nieświeża czy innych magnatów. Zaprosił jedynie ludzi z najbliższego rejonu. Bliżej mu do potężnego ziemianina niż do prawdziwego arystokraty, chociaż za takiego na pewno pragnie uchodzić.

Z kolei przy naszym stole siedzi Ludwik Hrycowski, inżynier ze Lwowa i kolega Witolda, który, jak się dowiaduję, zatrzymał się tutaj tuż przed wyjazdem na Madagaskar, i jakichś dwóch absolutnie nijakich prawników z równie nudnymi żonami. Dalej posadzono dyrektora gimnazjum, który pomimo milej atmosfery cały czas wydaje się ponury, posadzono go zresztą nomen omen przy kapitanie Horycu.

Rozmowy płyną z wolna i na tematy niezobowiązujące, mówi się o lasach pełnych zwierzyny, o problemie z melioracją, o ciemnocie mieszkańców. Tematem tabu jest sam wojewoda. A przynajmniej ja odnoszę takie wrażenie, bowiem omijają go dyskretnie, nie mówiąc w ogóle o sprawach administracyjnych. Ja zaś nie poruszam tematu Staffa.

W końcu rozbrzmiewa gong i lokaj w liberii zaprasza na przedstawienie teatralne. Odchodzimy od stołów, każdy zajmuje miejsce na przyozdobionych krzesłach.

– Szanowni państwo, mieszkańcy Polesia, polescy Polacy pragną oddać hołd Macierzy – rozpoczyna gospodarz Zwiaholski.

Na scenę wkraczają aktorzy, no, raczej aktorzy amatorzy. Najpierw grupa dzieci w wieku, jak mi się zdaje, poniżej szesnastu lat. Wszystkie ubrane w stroje poleskie. Za nimi mężczyźni i kobiety w podobnych strojach, ale znacznie skromniejszych. Moje spojrzenie kieruje się mimowolnie na postać Urszuli, która przygląda się przedstawieniu z kieliszkiem wina w dłoni.

– Niech pan patrzy uważnie – ciepły oddech kapitana Horyca drażni ucho – zobaczy pan ładną manifestację.

Ma rację. Najpierw raz jeszcze hymn, odśpiewany z lekkim ruskim zaśpiewem, następnie kolejne patriotyczne pieśni: *Rota*, *Hymn do Bałtyku*, *Witaj, majowa jutrzeńko*, a na koniec *Z dymem pożarów*.

– I jak się to panu podoba? – znowu kwaśny oddech kapitana propagandy. – Nie mam zamiaru kryć, że od hrabiego można się uczyć, jak wychowywać ludzi. Niech pan się wsłucha, jak to młode pokolenie z zaangażowaniem śpiewa. Rosną nowi Polacy.

Poleski zespół jest właśnie w połowie utworu Ujejskiego, gdy Horyc na chwilę milknie. Faktycznie, śpiewają z zaangażowaniem. Błaganiem wręcz.

*O, Panie! Panie! ze zgrozą świata,
Okropne dzieje przyniósł nam czas;
Syn zabił ojca, brat zabił brata,
Mnóstwo Kainów jest pośród nas.
Ależ o Panie! oni niewinni,
Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz,
Inni szatani byli tam czynni;
O! rękę karaj, nie ślepy miecz!*

Gdy weźmie się pod uwagę, że jeszcze przed chwilą śpiewali sielsko-anielsko *Witaj maj, piękny maj, u Polaków błogi raj*, dysonans jest wręcz

porażający. Musiałem się wzdrygnąć lub pokręcić głową, Horyc bowiem bez pudła odczytuje moje myśli.

– To wręcz przepięknie perwersyjne. Wzbudzenie poczucia winy i zarazem zachęcenie do akcesu do wspólnoty. I niech pan patrzy, co będzie dalej. Jak działa nasz poleski wychowawca demokrator.

– Pan go nie lubi. – Odwracam się ku lisiej twarzy inkwizytora.

– Nie, dlaczego? Cenię. – Uśmiecha się zjadliwie. – Mam jednak inną strategię, mniej narodowo-demokratyczną.

Jaką dokładnie, nie dane mi jest się dowiedzieć, przedstawienie bowiem wchodzi w kolejną fazę. Na scenę wstępuje sam hrabia, lekko sapiąc przy tym. Głaszcze po głowie pierwsze z dzieci, klepie po ramieniu rozanielonego chłopca i uśmiecha się wesoło.

– Może któreś z was będzie chciało coś powiedzieć o sobie?

Przed szereg wychodzi chłopiec, mały blondynek wyraźnie zdenerwowany.

– Jak się nazywasz, mój drogi? – Zwiaholski kładzie wielką dłoń na jego ramieniu, głos jest miękki, okraszony uśmiechem.

– Jurko Baćko ze wsi Cna pod Rokitnem – odpowiada chłopiec znacznie pewniej.

– Dobrze, i co powiesz o sobie? Kim jesteś? – Hrabia świetnie czuje się w swojej roli.

– Kto ty jesteś? – chłopiec zaczyna recytować z przejęciem, mrużąc oczy.

– Polak mały. Jaki znak twój? Orzeł biały. Gdzie ty mieszkasz? Między swemi. W jakim kraju? W polskiej ziemi. Czym ta ziemia? Mą Ojczyzną. Czym zdobyta? Krwią i blizną. Czy ją kochasz? Kocham szczerze. A w co wierzysz? W Polskę wierzę. Coś ty dla niej? Wdzięczne dziecię. Coś jej winien? Oddać życie – strzela jak cekaem, chociaż głos mu się trochę łamie.

– I tak oto wzrasta nowe pokolenie Polaków. Nie Rusinów, nie Ukraińców, nie Białorusinów, ale Polaków! – Hrabia klaszcze w dłonie. – Brawo!

– Ach... ten hrabia... – znowu Horyc. – Wie pan, że on sobie tym przedstawieniem narobi trochę wrogów?

– Przestałby pan siać defetyzm. – Pawłowicz się krzywi.

– Narobi? – pytam zdziwiony.

– Gdyby ci przemysłowcy – nie zważa na Pawłowicza Horyc – księża i urzędnicy różnego szczebla nie siedzieli u niego w kieszeni, toby pewnie się buntowali. Ale tutaj wielu po prostu jest na jego pasku, w ten czy inny sposób.

– Wszystkich sobie podporządkował, czy też jednak ktoś się sprzeciwia? – drązę, wpatrując się w Horyca.

– Jego syn Witold jest przeciwny. On czasami mówi, jakby hrabia chciał z nich zrobić niewolników. Z Poleszuków, znaczy się. A poza nim to na przykład pan Samuel Skarbek-Potoczyński. On żyje w dawnej epoce, tylko biedaczek nie zorientował się, że świat się zmienił. Ale i inni. Wielu ich jest, oj, wielu.

– A wojewoda?

Horyc patrzy na mnie przenikliwie zza ciemnych szkieł.

– Wojewoda nie lubi się z hrabią, to powszechnie znany fakt. Powodów jest wiele, po pierwsze to, co pan widział.

– To znaczy?

– Wojewoda nie chce zrobić z Poleszuków Polaków w ten sposób. On jest stary legun, wierzy w wizję federacyjną i prometeizm, więc to będą Polacy pochodzenia ruskiego, a nie Polacy. Poza tym...

– Niechże panowie zamilkną – piorunuje nas jakaś stara jejmość w niemodnym od trzydziestu lat kapeluszu. – Słuchać pragniemy!

Pozostał ostatni punkt programu, słuchanie muzyki. Grać ma córka hrabiego Urszula i już nie w ogrodzie, ale w domu. Pomieszczenie z ustawionym fortepianem sprawia wrażenie surowego w swojej prostocie, wręcz ascetycznego sanktuarium, odcina się wyraźnie od reszty pałacu. Przy instrumencie stoi urzekająca Urszula Młot-Zwiaholska. Wydaje mi się, że jest niczym Diana. Smukła i wyniosła, a zarazem w jakiś sposób rozbawiona całą sytuacją. Stoję oczarowany. Pokój nagle znika, znikają wszyscy. Widzę tylko Urszulę, która gra zapamiętane, czuję wręcz na skórze jej muzykę, czuję, jak uderza w klawisze, i pragnę, aby stan ten trwał jak najdłużej. Pragnę być jednym z tych klawiszy pod jej palcami. Czuję, jak serce bije mi coraz mocniej, jest mi zarazem niezwykle wręcz dobrze, błogo, jakoś nierzeczywiście, jakbym był w zupełnie innym świecie.

Pokój wypełnia się dźwiękami *Koncertu fortepianowego g-moll* Mendelssohna opus 25. Gra tak przez prawie dwadzieścia minut, a goście w milczeniu pochłaniają jej występ.

Gdy dłonie ponownie spadają na klawisze, rozbrzmiewa *Albumblatt* Nietzschego.

– A cóż to za dziwaczne pomysły – hrabia peroruje, kiedy Urszula kończy – chcesz, aby nasi goście dostali niestrawności? Dobrze, że nie zagrałaś nam Wagnera!

W sali czuć narastające napięcie.

– Memento mori, mój syneczku – odzywa się ze swojego fotela na kółkach matrona. Głos ma nadzwyczaj doniosły, niepasujący do jej drobnej postury. – Urszulka chce nam przypomnieć, że po takim obżarstwie i w takim dniu należy pamiętać o rzeczach najważniejszych.

– A zatem czas na cygara. – Hrabia klaszcze z entuzjazmem, chwytając świadomie opacznie sugestię matrony. – Panów zapraszam do biblioteki, a panie na wieczorną herbatę.

Goście się rozdzielają i mężczyźni zgodnie przechodzą do biblioteki.

W głowie miałem pewne wyobrażenie tego, jak może wyglądać hrabiowska biblioteka, ale zaraz je weryfikuję in plus.

Biblioteka jest olbrzymia, mogłaby spokojnie skryć w sobie niejeden dom. Dwadzieścia dębowych regałów pnie się aż pod sufit. Chodzę więc od regału do regału i przyglądam się każdemu z nich. Na pierwszym, z pięknymi rzeźbionymi scenami z mitologii greckiej, ustawione są książki traktujące o filozofii, astrologii i matematyce, dużo literatury niemieckiej i francuskiej w oryginale, pomiędzy nimi zaś popiersia filozofów i pisarzy. Piękne miejsce, gratka dla każdego czytelnika. Odrywam się rychło od kartkowania *Kinder- und Hausmärchen* z 1812 roku, bo uwagę moją przyciąga tocząca się nieopodal dyskusja hrabiego z synami, księdza Konewki, Horyca i jednego z lokalnych potentatów, Fegemana.

– Pan żyje w poprzedniej epoce – dobiega mnie podniesiony głos Horyca. Co się wydaje dziwne jak na takiego zimnego typa. – Wielka Polska tutaj? Gdzie? Pan myśli kategoriami Dmowskiego, to jest dziecinada i polityczna nieodpowiedzialność.

Nie pojmuję, co się dzieje. Horyc, będąc gościem, tak zupełnie bezkarnie wszczyna awantury u gospodarza. Ale hrabia zdaje się niezrażony, wręcz przeciwnie, wygląda na całkiem zadowolonego z takiego obrotu rzeczy.

– Moja rodzina jest tutaj od kilkunastu pokoleń, proszę nie zapominać o tym. Poza tym proszę mi nie imputować nie moich poglądów. Oczywiście, szanuję jako polityka pana Dmowskiego, ale jest mi on dalekim. Idzie nowe, proszę przeczytać Jana Mosdorfa.

– Nie każdy, kto jest konserwatystą w tym kraju, musi od razu w pełni akceptować poglądy ONR – mówi spokojnie Witold.

– Nie udało się przez kilkanaście pokoleń zaszczepić w ludziach polskości i myślicie, że teraz za pomocą naszej administracji? Naszymi rękoma? – peroruje Fegeman.

– Tak, przecież Korpus jest ostoją polskości i cywilizacji zachodniej – wtrąca się ksiądz Konewka.

– Ale nie polskiego szowinizmu! – Horyc podnosi głos. – Można nie zgadzać się z Biernackim, ale przecież są twarde dane.

– Jakie znowu twarde dane? – oburza się Konewka.

– Wie ksiądz, co się dzieje na Wołyniu?

– Właśnie wiem, ale czy wojewoda Józewski nie jest dzielnym akolitą Piłsudskiego? – wtrąca szyderczo zamiast księdza Witold Zwiaholski. – Biernacki odgrodził się od niego murem.

Horyc zaciska blade usta, widać, że tłumii wściekłość.

– No właśnie. – Witold obraca się to w lewo, to w prawo, tak jakby chciał zlustrować wszystkich słuchaczy. – Skoro pan mówi, że ja jestem zwolennik starodawnych, to niech tak będzie, sięgnijmy po scholastyczne metody. Proszę mnie więc poprawić, jeżeli się mylę. Pan, podobnie jak przywoływany przez pana wojewoda Biernacki, jesteście zwolennikami federacjonizmu. Rzeczpospolita to idea, w której jest miejsce dla Polaków, Żydów, Tatarów, a nawet Niemców czy Rosjan. Wiedzeni tym instynktem, gotowi jesteśmy zginąć na polu walki, wiedzeni tą miłością Narodu, jemu tylko służyć pragniemy. Żaden frazes nie zasłania nam tego celu. Żadna miłość do innych narodów, do asekuranckiego humanitaryzmu.

– Pax. – Hrabia unosi swoje wielkie niczym bochenki dłonie. – Wiem, że powinienem być solidarny ze swoim pierworodnym, ale nie na wszystko mogę przystać. Ja bardzo lubię pana Tuwima czy pana Hemara, ale nie lubię, jak mi Mosiek mówi tak, że ja nie wiem, co on mówi, i to w moim własnym kraju. Ale prawda jest taka, że dlatego na moich ziemiach batami wypędzam mówiących po rusku. Pan zaś mówi federacja, zrozumienie i wyrozumiałość – patrzy na Horyca – droga ewolucyjna, dzięki której kiedyś, za ileś tam lat, oni poczują się Polakami. Ma pan przykład Józewskiego, tak się brata z Ukraińcami, że ci z tej wdzięczności co rusz próbują go zabić. Nie podzielam poglądów mojego syna. Z radykalizmu wyrosłem jeszcze w poprzednim stuleciu, jak tutaj ten młody człowiek nosił koszulę w zębach. Ale rozumiem go, on chce działania, a sanacja to co? Zastój, stagnacja. A może romantyczne ideały, widział pan tylko to, co chciał widzieć.

– Papa ma rację – wtrąca się Witold. – Żyćcie romantyzmem, zamiast realnie budować Polskę. Tylko skupiając się na sile, jaką stanowi język, tylko w ten sposób. Poza tym proszę pamiętać, jesteśmy katolikami nie tylko dlatego, że Polska jest katolicka, bo gdyby nawet była muzułmańska, prawda nie przestałaby być prawdą, tylko trudniejszy i boleśniejszy byłby dla nas, Polaków, dostęp do niej.

– Pan przeinacza moje słowa – wyraźnie denerwuje się już Horyc. – Do tego mówi cytatami ze swoich idoli z Ruchu Narodowo-Radykalnego.

– Niby gdzie, przecież sam pan powiedział, „że trzeba spokojnie podchodzić do kwestii narodowościowych, nie narzucać, ale tłumaczyć”. Pan Biernacki jest romantykiem, a nam już dosyć romantyków – wtrąca się hrabia Konstanty.

– A co pan na to? – Horyc nie wytrzymuje i zwraca się ku Sokratesowi, który do tej pory przysłuchiwał się dyskusji w spokoju.

– Ja? – wydaje się zdziwiony. – Hmm, jak pan wie, jestem synem mojego ojca. On jest dobrym starym konserwatystą-liberałem. Nie będę tutaj przy władzy wymieniał nazwy, ale panowie wiecie, z kim sympatyzuje, mnie te słowa nie przejdą przez gardło. – Witold patrzy ze złością na brata, jakby go chciał ukatrupić. Chociaż nie, patrzy jak ktoś, kto chce uchodzić za kogoś, kto tak patrzy. – Ciekawa sprawa przechodzi mi przez głowę. Chyba Sokrates wypił za dużo. – Tak, sympatyzuje z Zadrugą, ale nieważne.

W każdym razie on by chciał czystej rasowo Polski. Pan się zaś pyta, co ja na to? Otóż ja panu powiem. Ani jedno, ani drugie mnie nie interesuje. Prawda jest taka, że żyjemy w czasach wspaniałoty, musimy odbudować naszą siłę, zwalczyć liberalny indywidualizm, sentymentalną wszechmiłość, która każe nam kochać każdego Żyda, każdego Francuza czy nawet więcej, każdego człowieka w ogóle, oraz przede wszystkim hedonizm, tak prosty pęd ku temu, co proste i miłe, oraz naiwną wiarę w jakieś życie pozagrobowe i inne spirytualistyczne brednie. Żyjemy tu i teraz, na tej ziemi. Prawdą jest, że nie ma co się mamić naiwną wiarą w zaświaty. Książd mi wybaczy, ale istotą katolicyzmu jest megalomania pomieszana z cynizmem. I tego się trzymam.

Książd Konewka wyraźnie zjeża się na takie dictum i już chce coś powiedzieć, ale Horyc mu wchodzi w słowo:

– No dobrze, ale jak to ma się do mojego pytania?

– Prawdą jest to, co owocne, skuteczne, przydatne do realizacji, co może być już włączone w pomost spełniającego czynu pragmatycznego. Dążymy do prawdy, to znaczy, kształtujemy zastaną rzeczywistość emocjonalną, pojęciową, wyobrażeniową i materialną tak, by stała się przydatna do budowania ciągu kulturowego.

– Mój brat zaczyna bełkotać. – Witold wzrusza ramionami.

Wydaje mi się, że wiem, do czego to zmierza. Zaraz będzie już na całego dowodził o konieczności odtworzenia słowiańszczyzny. Sokrates, który chce najwyraźniej coś jeszcze powiedzieć, nagle zaprzecza, jakby ktoś spuścił z niego powietrze. Nawet mi go trochę żal. Ale zaraz się znowu zapala, oczy ma pełne gniewu.

– Ty zawsze potrafisz tylko ad personam, Witoldzie. W wielkim skrócie: tak. Uważam, że wszystko jest tutaj zarazą. I ty, braciszku, ze swoją Wielką Polską, i książd. Musimy wrócić do ludu i zapomnieć o narodowości na rzecz etniczności. Żegnam – kłania się nisko – boli mnie straszliwie głowa.

– No i jak się panu poleska ziemia podoba? – zagaduje Witold Zwiąholski, podtykając mi pod nos kubek gliniany z koniakiem.

– Sporo macie komarów – mówię z przekąsem, ale polubiłem tego smagłego młodzieńca o gładko ogolonej twarzy i korporacyjnym dekle na głowie.

– A to prawda, nie przeczę. Strasznie żarłoczne bestie. Dobrze pamiętam, że jest pan z wykształcenia logikiem, klasa Kotarbińskiego może?

– Tak – odpowiadam zaciekawiony tematem.

– Słuchałem jego wykładów. – Dziedzic Olmanów z rozmarzeniem mości się na ławie. – Do tej pory staram się przestrzegać zasad realizmu trzy razy osiem.

– Słuszna zasada. – Kiwam głową z aprobatą. – To bardzo zdrowy tryb życia.

– A tak w ogóle to Witold jestem. – Nalewa koniak i mocno klepie mnie dłonią po ramieniu.

– Maurycy. – Przechyliamy kubki.

– No to jesteśmy po brudziu.

– Powiedz mi... – sam nie wiem, skąd się bierze we mnie chęć, aby go wypytywać o te sprawy – wiem, że raczej należysz do sympatyków konserwatyzmu...

Witold patrzy na mnie w zasepieniu, powoli zapala papierosa.

– To niedokładnie tak. Po pierwsze, nie do końca zgodzę się, że jestem konserwatystą. Uważam, że nie ma dla mnie w tej chwili odpowiedniej formacji. Może najbliżej byłoby mi do tego, co pisze Mosdorf. Totalitarne państwo katolickie to ciekawa wizja. Jeżeli w czymś się zgadzam z moim braciszkiem, to w niechęci do kleru. Co do Poleszuków, to koniecznym jest ich spolonizowanie, aby mogli w sobie odkryć swoją prawdziwą naturę, naturę polską.

– Myślałem, że mają oni raczej naturę ruską – nie kryję zdegustowania. Mój entuzjazm dla niego przygasa.

– Bzdura, to są... to są nieuświadomieni Polacy. Ich trzeba tylko nauczyć polskości. To nie są Żydzi albo Niemcy, aby ich przegnać na cztery wiatry.

– Czyli wierzysz w nacjonalizm?

– Antybolszewizm.

– A pański brat?

– Ech, ten to jest wariacki, ale poczciwy. On się bawi w tę całą lewicowość. Widział pan, niby chłopomania, ale je z nami. Niby socjalista,

ale we Lwowie ma mieszkanie przy rynku. Poza tym póki nie jest liberałem, to jest niegroźny. Najgorszy jest skrajny personalizm, on rodzi wspaniałą kulturę, kulturę na opak. Kulturę przekory. Właściwie to on się tylko ogranicza do takich małych rzeczy, jak na przykład przygarnianie biednych kolegów. Teraz kręci się tutaj taki bidoczek Sobek, student biologii, pochodzenie chłopskie. Mówi, że tutaj będzie mógł lepiej pracować, to Sokrates go wziął, chodzą razem po bagnach i szukają jakichś roślinek. Ale teraz trzeba iść – mruga okiem do mnie – moja siostra zaraz wejdzie na scenę.

Czuję dreszcz na całym ciele. Co jest w tej kobiecie, że tak na mnie działa. Przedziwne to, naprawdę przedziwne...

* * *

Salę urządzono w stylu stanisławowskim, jasne meble, na ścianach obrazy w stylu sentymentalnym. Może i pretensjonalne, ale bardzo pasujące do atmosfery całego domu. Dookoła instrumentu fotele. Podłoga w biało-czerwonej szachownicy. Goście po kolei siadają, gdy zaś ustaje poruszenie, do pomieszczenia wchodzi Urszula ubrana w długą zieloną suknię, wspaniale współgrającą z jej urodą, i zajmuje miejsce za instrumentem. Widać mamy do czynienia z kolejnym koncertem.

– Szanowni państwo – hrabia Młot-Zwiaholski wstaje ze swojego fotela – moja córka zwykła kultywować następującą tradycję. Jest to stara tradycja sięgająca dawnych czasów, no ale nie będę państwa zanudzał. Wśród zebranych ciągnięte są losy, kto wygra, ten ma szansę odbyć z nią spacer do oranżerii.

Nie wierzę mym uszom. Cóż to za dziwaczna zabawa? W następnej jednak chwili konstatuje, że choć takie łamanie obyczajów wydaje mi się mocno nie na miejscu, to jednak pragnę, żeby padło właśnie na mnie. Pragnę tego, a nawet pożądam. Pokornie sięgam po los, kiedy lokaj podsuwa mi woreczek. Po chwili wyciągam numer ósmy. Przez chwilę obracam w dłoniach czarny kamień z wyrytą cyfrą, po czym chowam go do kieszeni. Gdy lokaj kończy rundę po sali i losy są już rozdane, zaczyna się drugi koncert tego wieczoru. Długie, białe palce delikatnie muskają klawisze, rozbrzmiewają pierwsze dźwięki. Najpierw sonata

Lutosławskiego, potem fragment koncertu fortepianowego Maliszewskiego, potem, rzecz niespotykana, fragment muzycznych dzieł Nietzschego. Moim skromnym zdaniem zupełnie niestrawnych. Po każdym utworze energicznie klaszczę, nie oklaskuję jednak muzyki, ale ją. Zarazem mam poczucie, że o czymś powinienem pamiętać, ale nie chce mi się nawet silić na to. Następuje ogłoszenie wyników i nagle czuję, że los się do mnie uśmiechnie.

Urszula podchodzi do wazy z kamykami, jej długie palce mieszają je. Szeleszczą kamyczki niczym w starożytnej Grecji podczas sądu skorupkowego. Szur, szur. W końcu jasne dłonie wybierają jeden z kamyków i przez chwilę ściskają go mocno.

– Miło mi ogłosić, że wygrał – widzę, jak odwraca kamyk w naszą stronę – numer osiem.

Wypuszczam głośno powietrze z płuc, wydając z kieszeni swój kamyczek, na którym wyraźnie widać ósemkę, znak nieskończoności. Serce zaczyna mi bić szybciej.

– A więc to pan wylosował szczęśliwy numer – wita mnie Urszula w drzwiach do ogrodu, wystawiając dłoń do pocałunku. Dziś moje szczęśliwe gwiazdy się spotkały.

– Tak się złożyło. – Przytykam usta do białej dłoni, zerkam w czarne oczy i czuję, że kobieta ta ma w sobie jakąś przedziwnie kuszącą energię.

– A zatem pójdziemy na spacer?

– Oczywiście – odpowiadam, ale wcześniej łapię pełne zawiści spojrzenie Zbysia. Tymczasem Urszula bierze mnie pod rękę i prowadzi w stronę oranżerii.

– Przepraszam za śmiałość, czy zechce panna wyjaśnić ten niezwykły zwyczaj z losowaniem? To raczej niespotykane.

– Ach to. – Urszula śmieje się perliście, błyskają białe zęby. – Już śpieszę wyjaśnić. Widzi pan, to jedyna metoda, aby poznać nowych gości. Inaczej męczą mnie znajomi albo nastani przez papę pretendenci do mojej ręki. A ja niekiedy mam kaprys poznać kogoś innego, ot po to, aby porozmawiać.

– Czyli to nie przypadek?

– Losowania są zawsze ukartowane. – Uśmiecha się promiennie. Wbija we mnie wzrok, teraz widzę, że oczy są naprawdę czarne. Nie brązowe, ale prawie czarne.

– Ale jak to możliwe? – Nie za bardzo widzę, gdzie była możliwość do manipulacji.

– Magia. – Śmieje się perliście.

– Nie wierzę w magię...

– Naprawdę? – Odwraca się do mnie zaintrygowana. – A to bardzo ciekawe.

– Jestem z frakcji rozumu.

– Ach tak, szkiełko i oko.

– To źle?

Urszula patrzy na mnie przenikliwie, świdruje spojrzeniem, tak że robi mi się nieswojo. Czyżbym ją uraził?

– A jak pan myśli?

– Czy to był egzamin? – Zaczynam się niepokoić. – Myślę, że taka osoba jak pani raczej nie wierzy w rzeczy nadprzyrodzone.

Znowu to spojrzenie nieprzejednane, igrające ze mną.

– Osobiście wierzę w chiromancję – mówi w końcu cicho, a ja czuję, jak wielkie faux pas popełniłem. Ale nie, nie wierzę w to. Decyduję się zaryzykować.

– Proszę nie żartować, nie wierzę w to, co pani mówi.

– Nie? – Przechyla głowę i patrzy na mnie czujnie.

– Nie – powtarzam twardo.

– A skąd takie przekonanie?

– Nie mam argumentu z wyjątkiem przeczucia.

– Tak pan sądzi?

– Jestem o tym przekonany. – Hazard czas rozpocząć.

– To bardzo ciekawe...

– A zatem, w jaki sposób zostałem wybrany?

Unosi powieki zaintrygowana, ale ja wiem, że odniosłem sukces.

– Tylko proszę nie mówić o tej magii – dodaję twardo.

– Nieugięty pan jest.

– Jestem.

– Powiem, jak pan zasłuży. A teraz chodźmy.

– Tym bardziej mi miło. – Pochyliam raz jeszcze głowę nisko. – Czyli mogę sobie poczytywać za zaszczyt, że zainteresowała się pani moją skromną osobą.

– Nie inaczej. – Promienny uśmiech rozjaśnia twarz, po chwili jednak ustępuje miejsca wyrazowi zatroskania. – Mam nadzieję, że nie uważa mnie pan za jakąś snobkę, zawsze muszę grać nieco wyniosłą. Nie chcę, aby co poniektórzy się spoufalali, szczególnie ci z kleru.

– Czyżby nie darzyła pani sympatią pasterzy owieczek naszych? – Unoszę brwi, widać w tej rodzinie Kościół nie cieszy się sympatią, co jak na konserwatystów wydaje się jednak czymś niecodziennym.

– Najmniejszą – pada krótka odpowiedź. – Obrzydliwa nacja. – Może Witold jest nazbyt narwany, nazbyt narodowy, no ale nawet w Warszawie doszło do zwrotu, pułkownik Koc pokazał, jak czynić mamy. A poza tym młody jest, wyrośnie.

Uśmiecham się z uznaniem.

Wkraczamy do oranżerii. Wielka to i, jak sędzę, niezwykle kosztowna przestrzeń. Nie tak duża, jak ta w Łazienkach, ale chyba niewiele mniejsza niż Palmiarnia na Rakowcu. Wchodzimy w świat przesycony wilgocią i ciężkim słodkim zapachem. Dziesiątki egzotycznych roślin, tworzących barwną mozaikę, czerwone i białe kielichy wielkich kwiatów, zatrzesienie zieloności w każdej możliwej postaci, rozliczne rodzaje liści i pnączy. Feeria niezwykłych zapachów, niecodziennych, słodkich i swoistego rodzaju ostrych, wiercących w nosie niczym jakaś egzotyczna przyprawa. Przez szklane ściany wpada światło zachodzącego słońca.

– Wspaniałe miejsce – odzywam się po chwili upojnego milczenia.

– Ach, to moja pasja. – Panna Urszula uśmiecha się tajemniczo. – Papa chce, abym tutaj mieszkała. Niczym ptaszek w złotej klatce.

– A czemuż to pani ma tutaj mieszkać?

– Ach, papa bywa dziwaczny. Trochę przesadzam, wie pan, ja wcale nie muszę tutaj cały czas mieszkać. Polesie jest jednak duszne, czy też raczej – zastanawia się, szukając właściwych słów – zatęchłe i zamokłe. Tylko przez

trzy miesiące. Od kwietnia do czerwca. Ot, taki kaprys. Na co dzień mieszkam w Warszawie albo w Paryżu.

Dziwaczna sytuacja, czuję, że język płacze mi się w ustach. Dziwne. Czuję też duszności coraz większe. Oddycham coraz płycej, z coraz większym trudem.

– Przepraszam, chyba muszę wyjść na zewnątrz.

– Szkodzą panu pyłki? – Urszula wydaje się szczerze zdziwiona. – To się zdarza. Proszę, tędy na zewnątrz.

Wychodzimy przez boczne drzwi w chłód majowej nocy. Zaczerpuję powietrza, wypluwam ukradkiem cukierek, który ssałem.

– Czy już lepiej? – Pochyliła się w moją stronę szczerze zmartwiona. – Ignac, woda dla pana!

Chwilę to trwa, zanim lokaj wróci z karafką, ja zaś siedzę przed oranżerią na ławce osłabiony i zarazem oczarowany Urszulą. Z ulgą przyjmuję widok dwóch szklanek z rąbanego szkła.

– Przepraszam. – Jasność myślenia powoli wraca, jednak cały czas z trudem łapię powietrze. – Chyba jednak pani pasja źle na mnie działa i wprowadza w stan niedyspozycji.

– Wielka szkoda – usta wydyma w podkówkę – ale chyba nie zrezygnuje pan z dalszego spaceru?

– Byłbym głupcem, gdybym odmówił. Ale proszę, czy możemy jeszcze chwilę posiedzieć?

– Oczywiście. – Kładzie mi delikatnie dłoń na ramieniu. – A pan ma jakąś – ponownie wydyma usteczka w grymasie – towarzyszkę życia?

– Nie... – mówię po chwili i nie wiem, czemu kłamię, lekkie ukłucie w sercu.

– O, proszę. – Uśmiecha się tajemniczo i jest w tym uśmiechu zapowiedź czegoś więcej.

Czuję, że się rumienię, i nawet jest mi dobrze z kłamstwem.

– Bardzo dobrze, proszę więc za mną, pójdziemy do parku. Pan woli angielskie czy francuskie?

Oddycham głęboko, czuję się znacznie lepiej.

– Francja jest przeżytkiem – mówię, nim zdążę pomyśleć.

– Och – uśmiecha się wesoło – nareszcie coś innego. Papa też zawsze wolał angielskie ogrody, są bardziej jak ludzie. Powiem szczerze, mnie Francja nudzi, jest już martwa, tylko o tym chyba nie wie. A panu się spodoba pewnie nasz ogródek w stylu anglosaskim – ostatnie słowa syczy niczym wąż.

Ogródek, rzecz jasna, nie jest zwykłym ogródkiem, jest olbrzymim terenem, pełnym zakamarków, bujnej roślinności, ławeczek, mostków i również kilkunastu kolumn na cześć ważnych dziejowych wydarzeń, jak bitwa pod Wiedniem czy powstanie styczniowe. Patrząc na kolumnę ostatniego zrywu narodowego, mimochodem przypominam sobie wuję, który w powstaniu brał udział. Wspominam nawet o tym Urszuli, która przyjmuje fakt ten z żywym zainteresowaniem. Wuję zawsze kochałem, pomimo że był to człowiek trudny w obyciu, ale dla mnie, dla swojego jedyne go siostrzeńca, zawsze niezwykle wręcz przyjazny. Przechadzamy się między kolumnami, rozmawiając o literaturze i sztuce. Dziedziczka jest damą w każdym calu, co udowadnia właściwie każdym zdaniem. Gdy wyjawiam, gdzie pracuję, nie wypytuje mnie o szczegóły, co zwykły robić inne panny w tej sytuacji. Kwituje to prostym: „A więc w taki sposób służy pan Polsce. Godne pochwały”.

– A to może pani powie, co pani myśli o tutejszych mieszkańcach? – pytam, kiedy docieramy do oddalonej części ogrodu.

– To samo, co o innych ludziach – uśmiecha się promiennie – że nie mają woli mocy, że są słabi i podli, a przede wszystkim nudni. Poleszucy to niestety nacja bez kultury. Chociaż tutejsze wierzenia bywają ciekawe.

– Więc ten Nietzsche grany dla nas nie był przypadkiem?

– Nietzsche jest jedynym teraz ciekawym myślicielem. – Uśmiech nie znika z twarzy. – Wszystko inne to blaga. No, jest jeszcze jeden taki, ale pan pewnie go nie zna. – Mruga do mnie zalotnie.

– Obcokrajowiec?

– Nie, Polak, ale straszny wariat, portretował mnie nawet. – Uśmiecha się rozmarzona.

– A więc i malarz... – Staram się przypomnieć sobie, czy kogoś takiego kojarzę.

– Och, i pisarz. Ciekawy człowiek, ale również niecodzienny wariat.

– I co on mówi?

– Że wszyscy żyjemy w cieniu tajemnicy istnienia, ale tylko niektórzy mogą się z nią zmierzyć, i aby to zrobić, muszą odrzucić społeczeństwo – odpowiada zalotnie.

– Czyli indywidualizm?

– Elitaryzm, ale jak pan woli. – Uśmiech nie znika z pięknej twarzy Urszuli.

– A co na to pani bracia? Obaj walczą o uniwersalizm.

Zachód słońca odbija się w oczach Urszuli.

– Witold? – Śmieje się perliście. – On dojrzeje, musi mieć tylko jeszcze chwilę – poważnieje zaraz jednak i dodaje – a Sokrates jest po prostu głupi.

– Gorzkie słowa jak na siostrę.

– Ale prawdziwe. Cóż zrobić, kiedy mówimy o Witoldzie, o jego fascynacjach... Ja widzę w tym wiele szczerości, autentyzmu. Napatrzyłam się na Niemcy w okresie Weimaru i na Francję w ostatnim czasie. Ba, nawet byłam w Ameryce, widziałam Nowy Jork i Waszyngton. To wszystko triumf człowieka pospolitego, masy, szaleńczej masy, ale masy, która nie wie, dokąd biegnie. Tego obrzydliwego psychicznego brudu. Byłam też w Niemczech po tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim, nie mogę powiedzieć, że było to budujące, bo to też masy. Ale tam wiadomo, o co chodzi, dokąd zmierzają, mają cel.

– A nie razi pani ich brutalizm, ich prymitywizm?

– Świat należy do silnych, możemy mieć tylko nadzieję, że i my sobie poradzimy i będziemy w stanie podolać tej sile. Wie pan, kto jest moim ulubionym bohaterem? – Uśmiecha się zalotnie.

– Napoleon? – Cieszy mnie radość malująca się na jej twarzy.

– Ależ oczywiście! – Klaszcze w dłonie.

– Czyli co? Nie faszyzm i nie nazizm, ale cezaryzm demokratyczny? To ostatnio w modzie.

– Owszem, z pana jest taki bystry człowiek. – Patrzy na mnie radośnie. – Ja, proszę pana, kochałam Marszałka – dodaje z prawdziwym rozmarzeniem w głosie.

– A teraz pani nie kocha? – pytam prowokacyjnie.

– Oj, bo się obrażę. – Grozi mi palcem filuternie.

– Po gigantach przychodzą karły.

Klaszcze w dłonie pełna radości.

– A wie pan, kto to powiedział: „Żyjemy w epoce straszliwej, jakiej nie znała dotąd historia ludzkości, a tak zamaskowanej pewnymi ideami, że człowiek dzisiejszy nie zna siebie, w kłamstwie się rodzi, żyje i umiera i nie zna głębi swojego upadku”? – Uśmiecha się pełnym uśmiechem śnieżnobiałych zębów.

Staram się z siebie wykrzesać dobrą odpowiedź, ale nic mi nie przychodzi do głowy.

– Niestety nie wiem. – Rozkładałam w końcu ręce bezradnie.

– Szkoda, szkoda. – Widzę w jej oczach rozbawienie. – Proszę poszukać, nagroda nie minie pana. – Uśmiecha się. Tajemniczo? Obiecująco?

– Jakaś podpowiedź? Może się pobawimy? – Dokonuję w myślach pewnej szczególnej eliminacji.

– Dobrze. – Uśmiecha się ponownie. – Niech pomyślę... Może pan – przykładam smukły palec do ust – może pan zadawać pytania, które mogą panu pomóc. Ale nie mogą być zbyt dosłowne. I – palec wskazuje w górę – ich liczba jest ograniczona.

Wpatruję się w szarugę wieczora. Jest coraz wilgotniej i coraz chłodniej. Maje na Polesiu bywają przenikliwie zimne. Szukam w myśli najlepszej drogi w tej układance i być może wcale nie niewinnej gierce.

– A zatem pierwsze pytanie: czy mogłem go poznać? – Odrywam wzrok od klombu nieznanego mi kwiecia. Botanika nigdy nie była moją silną stroną.

– Hmm, to zależy, gdzie pan bywał... – pada szybka i zdecydowana odpowiedź.

Czyli żyje, to już coś. Uśmiecham się w duchu, ale to niewiele mówi. Zviaholska pewnie bywa od Pińska po Mediolan. Równie dobrze to jakiś Niemiec, Anglik albo Włoch. Trzeba nieco inaczej podejść.

– A czy ta osoba pija raczej piwo, czy raczej wino? – zadaję kolejne pytanie.

– Hahahaha – znowu ten perlisty śmiech. Jego ciepło niesie się po ogrodzie. – Nie wiem, ale raczej podejrzewam, że wódkę.

Czyli Polak, nie Niemiec i nie Anglik, ani nie Francuz czy Włoch. Nie może to być Rosjanin, bo jego bym nie widywał. Pod nogami przemyka jakieś zwierzątko, wydaje mi się, że jeź.

– A ta osoba, czy czuje się lepiej, kartkując sielanki Kochanowskiego, czy może *Miasto, masa, maszyna*?

– Z tego, co mi wiadomo, nie jest zwolennikiem urbanistyki. – Zwiąholska patrzy na mnie uważnie, nic nie mówi, ale zdaje się, że zaczynam widzieć uznanie.

– Pani na pewno nie zadaje się z byle kim. Musi być to nazwisko – uśmiecham się – Leśmian? Nie, pardon, on by to napisał inaczej – reflektuję się szybko.

– Oj, ciepło. – Znów promienny uśmiech. – Pan jest wcale niegorszy.

– Wiem, wiem – klaszczę w dłonie – ten Żyd z Drohobycza, jak mu tam... Schulz?

– Hahahaha! Nie. – Piękny perlisty śmiech. Klaszcze jak mała dziewczynka. Teraz nagle zostaje nieco odarta z tajemniczej, mistycznej niemal aury.

Chcę się poddać, ale duma nie pozwala.

– Może jakąś szaradę na odpowiedź?

– Dobrze. – Stuka bukiem w ziemię. – Zna go rycerz, co na straży czeka, zna go weksel, co u Żyda spoczywa, zna go otchłań daleka, za życie obrazem płaci, za nienasycenie swoim życiem.

Rozkładałam ręce bezradny. Poczucie klęski.

– No nic, trudno. Ale liczę na to, że pan w końcu zgadnie.

– I ja mam taką nadzieję. Ale mówiliśmy o tutejszym ludzie.

– Hm – zamyśla się. – Ale co pana interesuje, ja już wszystko powiedziałam, oni nie mają woli stać się kimś innym, niż są.

– A kim są?

– Ludźmi, którzy wierzą w magię.

– Na przykład?

– Oj, zaczyna pan zadawać nudne pytania.

– Co w tym nudnego?

– Temat. Poleszucy nie są zbyt interesujący.

– Rozumiem, ale już ich znaczenie dla naszego państwa, tak.

– O, i teraz zaczyna pan mówić znowu ciekawie.

– W tym kontekście i ich wierzenia są ciekawe, możemy nie lubić Kościoła katolickiego, ale jest on jakąś formacją spajającą, a tutaj? Perun?

– Dziewanna i Marzanna, panie życia i śmierci. – Znow śmieje się perliście. – Proszę mi wybaczyć może nazbyt dużą dosadność, ale ja trochę popatrzyłam sobie na autochtonów i oni żyją jednym. Swoją płcią. Wszystko, co robią, jest wręcz skąpane w seksualności – rozchyła nieznacznie usta, pokazując języczek – i to bywa nawet interesujące. Pójdę już – uśmiecha się – ale liczę na to, że pan trafi na odpowiedź. Nagroda pana nie minie. Na pewno nie minie.

* * *

– Szanowni państwo – gospodarz w blasku latarń wychodzi na scenę. Jego oblicze wygląda wręcz posągowo – pragnę podziękować za tak liczne przybycie. Kończymy oficjalną część przyjęcia. Wszystkim z państwa, którzy zadeklarowali chęć pozostania na noc, pragnę przekazać, że pokoje są gotowe. Gość w dom, Bóg w dom. – Rozkłada ręce w serdecznym geście zaproszenia. – Ci z państwa, którzy muszą nas opuścić, mogą skorzystać z naszych powozów. Zaraz zostanie podana kawa. Ja bardzo państwa przepraszam – w głosie słychać nieszczera nutę – ale zdrowie już nie to i zmuszony jestem udać się na spoczynek.

Schodzi ze sceny i powolnym krokiem udaje się do dworu. Czy było w tym łamanie obyczajów? Takie pozostawienie gości – w pewnym sensie tak. Ale zarazem podkreślenie siły i osobowości. Ja, hrabia w Olmanach, mam do tego prawo. Prawo do ustanawiania własnych reguł.

– Maurycy – Witold delikatnie ciągnie mnie za ramię – proszę, udaj się za mną.

Szybko opuszczamy ogród i wchodzimy w ciepło dworu, trochę żałuję, że muszę zostawić Urszulę. Witold prowadzi mnie przez ciemne korytarze, w których odbijają jeszcze głosy biesiadników. Mijamy portrety

walecznych przodków i kolekcję starych zbroi, wszystko oświetlone światłem elektrycznym. Za kolejnymi ciężkimi drzwiami jesteśmy na miejscu. Wysoki pokój obniżono, budując na nim dodatkowe piętro. Okna zaciągnięte są grubymi storami, prawdopodobnie dla ochrony zgromadzonych eksponatów, toteż chwilę trwa, nim oczy przyzwyczają się do panującego we wnętrzu półmroku. Z pozoru jak każdy gabinet osobliwości przypomina graciarnię, w której leżą dziesiątki rzeczy, w rzeczywistości jest przepelniony skarbami. Pachnie kurzem, starością i czymś dziwnym, co wzbudza moją nieufność. Pod sufitem wisi wypchany krokodyl, pod jedną ze ścian stoi szafa z wypełnionymi szufladami i próbkami, na drugiej ścianie kilkanaście niepokojących obrazów, szkice, niczym żywcem wyciągnięte z kart książek de Sade'a. Do gabinetu wkracza żwawym krokiem hrabia.

– Proszę mi wybaczyć ten podstęp – huczy wesołym głosem. – Ale po prawdzie faktycznie zdrowie już nie to, a ja chciałem z panem porozmawiać. Ba, ja muszę z panem porozmawiać – mlaszcze ustami skrytymi w brodzie – a bałem się, że mi pan ucieknie. Ale najpierw proszę spojrzeć na mój gabinet osobliwości, niechaj będzie to entrée do mojej historyjki przedziwnej. – Unosi palec w górę, palec wielkości dużego serdelka, w geście, który widziałem u jego córki. – Przy okazji pozwoli pan na polechtanie próżności starego człowieka. Oczywiście jest i dla pana pokój, gdyby się pan tym turbował po nocy.

Co mi szkodzi? Patrzą na wiszącego nade mną wypchanego krokodyla oraz takiegoż narwala. Obok mnie na postumencie stoi dwugłowy zając, na wszystkim niemało kurzu.

– Poleski? – Wskazuję kuriozalne zwierzątko.

– Ależ oczywiście, spod Chacpunia. A tutaj proszę – kieruje moją uwagę na drewnianą lalkę – miejscowa zabawka Poleszuków.

– Krokodyl też?

– Krokodyl akurat jest z Konga, ale przez pewien czas żył tutaj na Polesiu, trzymałem go w ogrodzie. Biedaczek nie przeżył jednej z zim. Wyjątkowo zimno było.

– A to co? – Wskazuję na kamień z wyrytym zygzakowatym znakiem.

– Ach to, to jest, mój szanowny panie, kamień starosłowiański ku czci boga węża, bardzo ciekawa sprawa, a tu – hrabia z dumą pokazuje drewnianą budkę na wysokiej tyczce – latarnia umarłych z dawnej mogiły, miała odstraszać złe duchy. Kości przeniesiono do jednego z kościołów, a ja zabrałem ją do kolekcji. A tutaj niech pan zerknie.

Nachylał się przez ramię hrabiego. Gablota – trzy motyle, jeden szary z czerwono-białymi dwiema nieregularnymi plamkami i z czarnym otokiem na każdym skrzydle. Drugi koloru gliniastego z czarno-żółtymi paskami i jakaś przerośnięta ćma z rudym puchem i białą plamą.

– Tak, tak, to właśnie one. Moje skarby. Zawsze miałem do nich słabość, sam nie wiem dlaczego. – Głaszcząc dłonią gablotę. Dopiero teraz zauważam, że ma na ręku poza sygnetem jeszcze pierścionek z zielonym oczkiem. – Miejscowi mówią, że jeżeli zobaczy się jeden z nich, to plany ułożą się dobrze, ale kiedy zobaczy się wszystkie trzy, to czeka człowieka śmierć. A właśnie, skoro jesteśmy przy legendach miejscowych. Proszę – pokazuje rodzaj fletu z kloszowatym zakończeniem – oto ludowa żalejka jednego z tutejszych mistrzów i lira mistrza Prokopa. Jak pan widzi, zgromadziłem tu wiele różnych kuriozów, każde fascynujące i każde pokazujące, czym jest Polesie. Przy czym pan wie, sami Poleszacy to ludzie zupełnie niekulturalni. I nie chodzi mi o to, że chamy. Chamów mamy wszędzie, a miewaliśmy nawet w sejmie. Bigdy. Ale oni są bez tożsamości. Nawet niewiele ze swojej przeszłości pamiętają, wszystko tutaj polskie, ruskie albo szwedzkie. Zerkanie pan na kurhan, szwedzki, na most, polski, a cerkiew, carska. A czy coś jest ich? Nic. Tu nie ma walki żywiołów, tu jest kolonizacja.

Rozglądał się dalej po gabinecie, wszystko tutaj przypomina gabinet mojego ojca. W kątach popiersia Arystotelesa i Platona, grafiki krajobrazów włoskich, jakieś dziwacznie poskręcane korzenie.

– A czym jest Polesie? – Zaraz mnie zaczniesz naprawdę kręcić w nosie od kurzu.

– Terra incognita. – Uśmiecha się smutno. – Terra incognita. I nie wiem, czy kiedykolwiek będzie. Czy dobrze pamiętam, że Beck mówił, że polskie kolonie zaczynają się za Rembertowem? Stokrotnie miał rację. Co ja mówię, tysiącrotnie! Ech, szkoda gadać. – Macha wielką ręką, niemalże strącając jakiś eksponat.

– A to, cóż to? – Zaintrygowała mnie gablota pełna kawałków kory.

– A to bardzo ciekawe. Miejscowi wierzą, że to rodzaj talizmanów odstraszaających złe duchy, ale nie tylko, również po prostu teksty kultowe i okołokultowe. Można tego spotkać trochę po lasach. Ale to wszystko bardzo naiwne, jak się ich spytasz, powiedzą, że tak już było zawsze. Często są tam spisane jakieś drugorzędne rzeczy, chociaż czasami można znaleźć perełki, jak wiersze albo inkantacje do dawnych bogów. Ten, na który pan patrzy, adresowany jest do Żywi, jednej z najstarszych bogiń. W tłumaczeniu na polski brzmi mniej więcej tak: „O ty, co dajesz życie, o ty, co plony przynosisz, obroń nas, wyżyw nas”. Natomiast tutaj – przechodzi do kolejnej gablotki – są moje zdobycze z wojaży włoskich.

Nie słucham już hrabiego, wpatrzony w kawałki drewna. Dziwna sprawa, ale czuję się jakoś nieswojo.

– A są takie ku czci maga Maroka?

– Pewnie są... chociaż ja na nie... nie natrafiłem.

– Bardzo mi się ta kolekcja podoba, nie przeczę, ale proszę mi powiedzieć, co to ma wspólnego... – zaczynam się nieco irytować.

– Kapitan Staff odwiedził mnie w sprawie mojej kolekcji i swoich poszukiwań. Bardzo mnie zmartwiła informacja o jego zaginięciu, bo to niezwykle inteligentny młody człowiek, chociaż fantasta pierwszej wody. Wie pan, po co on przyjechał na Polesie?

– Właśnie próbuję tego dociec.

– Podpowiem panu, zna pan wszystkie fakty, ale może nie zdaje sobie sprawy, że je zna. Czytał pan może *Ziemię przeklętą*?

– Tak.

– No ładny humbug to jest, mój przodek się postarał. Dziwaczny był, chciał wprowadzić w konsternację wszystkich, wielki żartowniś, jak mawiał mój papa. Pamięta pan? Opis sześciu kolumn, które mają przypieczętować demona, Syna Bagien.

– Tak.

– No to nie są to kolumny, tylko piramidy, a ja mam ich dokładną mapę. Proszę dać mi chwilę, zaraz ją znajdę... – Sięga do jednej z półek i po krótkich poszukiwaniach wyciąga zmurszały wolumin. – Proszę, oto sześć

piramid układających się w symbol cyrkla i węglicy... Wie pan, co to takiego? Symbol masonski.

– Skąd pan to ma?

– Od ojca, ten zaś od ojca, który miał od ojca. Tajemniczy kniaź to nie żaden kniaź, tylko mój antenat, a piramidy to jego żart. Proszę, teraz są tylko trzy z sześciu. Jedna zniknęła przed moim urodzeniem, drugą zniszczył ostrzał artyleryjski w roku dwudziestym, a z trzecią nikt nie wie, co się stało... – Hrabia zasępił się nad mapą. Dolna warga lekko mu opadła w nieco komicznym grymasie.

– I czego Staff szukał?

– Wierzył, że piramidy skrywają skarb. Ale widzi pan, centrum tej gwiazdy jest, o, tutaj. – Wskazuje dawny dwór swojej rodziny. – Okazało się, że się nie nadaje do zamieszkania, bo stoi na nazbyt bagnistym terenie. To znaczy przez chwilę tam mieszkano, a potem się wyprowadzono, zresztą dosyć szybko. Ja tam byłem raz całe wieki temu, nic niewarta rzecz. No ale Staff był nią zainteresowany. Chciałem mu udzielić pomocy, a zarazem odwieść od takiego marnowania czasu. Ale wydawał się zdeterminowany.

– Wierzył w to?

Hrabia szuka odpowiednich słów.

– Powiem inaczej, bywało się w Monte Carlo i widywałem tam ludzi, którzy przy stole tracili fortuny.

– Staff miał problemy finansowe...

– Tak, i było widać, że wpadł w sidła hazardu. Że stał się graczem. A ta historia wydawała się dla niego zbawieniem. Nie wiem, spekuluję nieco, bo go nie znałem aż tak dobrze, ale wyglądał jak ci nieszczęśnicy z Monako. Trudno było go przekonać, że raczej mało prawdopodobne, aby ruski kniaź był masonem.

– A hrabia należy do loży? – pytam zaintrygowany i nieco nawet rozbawiony.

– Ja? Nie, nigdy mnie to nie bawiło. Wie pan, to taka zabawka znudzonych ludzi. Rytuały, księgi, spotkania, ryty. Nie, dziękuję. Mój ojciec to lubił, mój brat też, ale ja wolę czystą logikę i matematykę. Oczywiście, znam się na tym nolens volens. Mam tam wielu przyjaciół, Stępowskiego,

znałem nawet świętej pamięci Wojciecha Stpiczyńskiego, Skwarczyńskiego też miałem okazję spotkać, naszych szanownych braci masonów w obozie rządzącym. Czy taka odpowiedź panu wystarcza?

Kiwam głową.

– To bardzo dobrze. *Bien*. Pewnie się pan dziwuje, czemu tak niespodziewanie zaprosiłem pana, i tak szybko. Proszę usiąść. – Wskazuje dłonią fotele w kącie biblioteki. – Oczywiście sprawa Staffa jest poważna, ale ja też mam swoje sprawy. Czy możemy porozmawiać szczerze?

– Oczywiście.

– *Ad rem* – zaczyna hrabia. – Może najpierw przekażę moje stanowisko.

– Zamieniam się w słuch.

Stuka palcem w dębowe oparcie fotela.

– Wydaje mi się również, że mamy wspólnego przeciwnika i że on jest odpowiedzialny za cały ambaras, który ma tutaj miejsce.

– Tak? – Podnoszę brwi zaintrygowany, szarpię wąsa.

– Tak, kapitanie, pan doskonale wie, że mówimy o Biernackim, tym lisie z Berezy – hrabia przybiera surowy ton. – Chyba nie muszę panu mówić, co tam się dzieje. Ja rozumiem, jest pan człowiekiem państwowym, pan nie może krytykować bezpośrednio decyzji rządu, i ja to szanuję – unosi palec – ale pan słyszał o torturach w Berezie? O tym, jak każą im się tarzać w ekskrementach, jak zmuszają ich do ćwiczeń przez cały dzień, jak ich poniżają. A to tylko część prawdy, bo Biernacki przestał panować nad sobą.

– Domyśliłem się, ale proszę mi to rozjaśnić w szczegółach. – Ściskam podłokietnik krzesła.

– Zaczniemy od początku. – Hrabia nabiera powietrza. – Wierzy pan w Boga, kapitanie?

Patrzę na niego cały czas, gładząc oparcie krzesła.

– Nie. – Wpatruję się w mojego rozmówcę. Pod siwizną uśmiecha się dobrotliwie. – Ale co to ma wspólnego?

– Rozumiem. – Kiwa powoli głową. Trudno odczytać, co myśli. – A w diabła?

– Pan żartuje ze mnie? – Zirytowany stukam w szkło jednej z gablot, przedstawiającej jakieś płazy.

– Nie. Ja też nie, tak na marginesie. A to bardzo dobrze, zachowa pan trzeźwy umysł. Niemniej można być katolikiem albo heretykiem, albo w nielicznych wypadkach czcicielem diabła – ostatnie słowo akcentuje bardzo wyraźnie.

– Takie wariactwa w stylu tych zakopiańskich stetryczalnych poetów à la Przybyszewski? Dla mnie to zawsze była poza. – Uśmiecham się ironicznie.

– O, tak. – Klaska w dłoń hrabia. – *Bien!*

– No dobrze, a co to ma do rzeczy? Chyba nie chodzi o tę bzdurkę *Djabel zwycięzca*, co ją Biernacki wydał kilka lat temu?

– No właśnie o to chodzi – odzywa się po chwili milczenia hrabia. – Nie jestem pewny, ale mam wrażenie, że on uroił sobie, że jest czcicielem diabła.

– No nie, bez żartów, panie hrabio – parskam śmiechem – to zupełnie niedorzeczne. Jeszcze przed chwilą wyśmiewał pan tego typu wariacje, którym dała się pochłonać część tutejszej społeczności.

Zwiaholscy popatrzyli po sobie w milczeniu.

– Niestety nie mamy na to jednoznacznych dowodów, ale... Witoldzie? – hrabia zwraca się do syna siedzącego w kącie.

– Faktycznie, coś w tym może być, po Polesiu chodzą dziwne plotki. Te zaginięcia... ze wszystkimi Biernacki miał coś wspólnego.

– Jakie plotki? – Odwracam się w jego stronę.

– Że Biernacki nie tylko komunistów porywa – Witold bawi się kieliszkiem koniaku – ale również i innych.

– Takie to i ja słyszałem. – Z niedowierzaniem kręcę głową.

– Ale nie słyszałeś o tym, że kilka tygodni temu w czasie nocnego patrolu dwóch żołnierzy natrafiło na ukrzyżowane ciało w lesie.

– Ukrzyżowane? – Mrugam zszokowany.

– Tak – potwierdza Witold poważnym tonem. – Młoda dziewczyna, straszliwie okaleczona. Dwóch chłopaków, którzy ją znaleźli, spanikowało i pobiegło do najbliższej placówki, gdzie zameldowali dowódcy i już większą grupą poszli na miejsce, ale niczego już nie znaleźli.

Kiwam głową ze zrozumieniem.

– Faktycznie straszna historia, ale ukrzyżowanie? I co by to miało mieć wspólnego z Biernackim?

– Kostek-Biernacki oszalał. Zawsze był dziwny i wyalienowany. Od czasu, kiedy przejął zwierzchnictwo nad Brześciem, a potem nad Berezą... bo pan zapewne wie, że ten dowódca Berezy, Kamala-Kurhański, to marionetka w rękach Biernackiego. Bardzo brutalna zresztą marionetka. W każdym razie Biernacki spotkał się z ostracyzmem ze strony innych oficerów, jego żona miała podobno jakieś nieprzyjemności. Zamknął się w sobie, jak by to powiedzieć, wręcz zwinął. To postępowało, i teraz wygląda na to, że oszalał do reszty. Zaczął studiować tutejsze legendy i podania. – Hrabia pociągnął łyczek koniaku. – Dużo wskazuje na to, że wmówił sobie, że jest wysłannikiem Szatana i że musi zbudzić śpiącego tu diabła.

– Skąd to przekonanie? – nie dowierzam, palce wbijam w miękkość fotela.

– Przez pewien czas jeden z jego ludzi uważał mnie za zaufanego człowieka – odezwał się Witold – i mówił bez ogródek o fantastycznych koncepcjach wojewody.

– A co się zmieniło?

– Ośmieliłem się skrytykować te dyrdymały. Od tamtej pory przestał mówić.

– A o kim mówimy? – teraz nie odpuszczę. Czuję, że ktoś mi rzuca ochłapy.

– To w tej chwili nieważne. Ważne jest meritum – przerywa hrabia – wojewoda zawsze miał ciągoty spirytystyczne, nigdy nie krył się ze swoimi gnostyckimi przekonaniem. Czytał pan *Djabła zwycięzcę*, zresztą i w *Wieczornym gościu* też to było widoczne. Krążyły plotki, że pisze nową powieść, przy której wiersze Micińskiego to lektura dla pobożnych dzieci. Biernacki naczytał się starych podań i legend. Odgrzebał jakieś stare zapiski tego wariata Zoriana-Długoszowskiego, który konfabulował, bo to jednak łgarz był potworny i stworzył historię o Czarnym Bogu.

– Jak w *Pieśni o Synu*... – Nieobecny wzrokiem omiatam kolejne półki.

– O – hrabia patrzy na mnie zadumany – więc i to pan poznał. Tak jak w *Pieśni o Synu*, tym razem to żaden humbug, ale prawdziwa legenda,

powtarzana z pokolenia na pokolenie. Biernacki jest takim Ditkiem, który próbuje nasycić Syna Bagien. Albo gorzej, on nim chce się stać!

– Skąd te podejrzenia? – drążyć temat.

– Jak mówiłem, miałem informatora, który widział na własne oczy szaleństwo Biernackiego.

– Chciałbym jednak dowiedzieć się, kim był ten zaufany człowiek. Wie pan, staram się panu uwierzyć – podkreślam stanowczo.

– Mówiłem, że to bez znaczenia.

– Nalegam.

– *Bien* – hrabia sapie ciężko. – To był Aleksander Grabski, jeden z urzędników magistratu.

– Co się z nim stało?

Cisza. Słysząc z daleka dobiegające dźwięki zabawy, po chwili przerwane uderzeniami zegara. Liczę następnie dziewięć uderzeń.

– Wyjechał do Argentyny, więc, jak pan widzi, nie pomoże – wreszcie odpowiada hrabia.

– Uciekł przed Biernackim?

– Tak. Jeżeli tę informację mamy za sobą, przejdźmy dalej. W każdym razie, Weles to jest Szatan, ale to bóstwo bardzo zajęte, że tak pozwolę sobie zażartować. Bagna są we władaniu jego potomka, Syna Bagien, albo syna moczarów Szczyka. Zgodnie z legendą jest to władca porywczy, zsyłający pomieszanie zmysłów i inne cuda. Ale też, w przeciwieństwie do ojca, jest znacznie bardziej wyrozumiały i, jak by to powiedzieć, ludzki. Wystarczają mu ofiary ze zwierząt. Weles zawsze zaś pragnie ludzkiej krwi, a ten, który mu ją zapewni, otrzyma wielkie profity. Biernacki chyba uwierzył, że musi przyciągnąć tutaj Żmija, a do tego potrzeba krwi.

– Krwi... – mówię beznamiętnie. – Chwila, to brzmi zupełnie jak ta historia z *Syna Bagien*.

– Prawda? – ni to wesoło, ni to smutno kontynuuje hrabia.

– Ale jak to się łączy ze Staffem?

– Jestem niemalże pewny, że on zdobył dowód na szaleństwo Biernackiego, dlatego musiał zostać zabity, nim wrócił do Warszawy.

– Rozumiem.

– Podejrzewam, że wojewoda zaczął od porywania ludzi, wzbudzania niepokojów, antagonizowania ludności, Polaków przeciwko Poleszutom, Żydów przeciwko Rusinom... I do tego podkręca komunistów do coraz bardziej obojętnego działania. Wie pan, że już raz byliśmy blisko wybuchu powstania, gdyby nie KOP? On chce podpalić Polesie!

– Czyli jednak za wszystkim stoi Biernacki?

Hrabia odwraca się do jednej z gablot i podaje mi brzożową korę wypełnioną pismem runicznym ze znakiem przedzielonego trójkąta, który już kiedyś widziałem, ale nie mogę przypomnieć sobie, gdzie.

– To jest rzecz, którą przekazał mi Grabski. Zabrał to z kwatery Biernackiego.

– Co tu jest napisane?

– „Nasyć się krwią, o boski Żmiju. Czekamy na twe przyście, czekamy na ciebie. Nasyć się, zdław boga piorunów, twojego wroga”. Mam informacje, że znaleziono takie kawałki brzozy także przy tej ukrzyżowanej dziewczynie. Albo mówiąc precyzyjniej: w okolicy miejsca, gdzie było wcześniej jej ciało.

Próbuję przetrwać te informacje.

– O ilu zaginionych mówimy? Słyszałem o kilkudziesięciu zabitych.

– To przesada. – Ręka hrabiego unosi się we władczym geście. – Sądzę, że zaginięcia powiązane ze sprawą to około piętnastu osób.

Kiwam głową w zamyśleniu.

– Ale na razie nie mamy żadnych potwierdzonych informacji, tylko dużo przypuszczeń.

– To prawda, to nie takie proste. – Hrabia zaplata dłonie na brzuchu, w nikłym świetle miga pierścień i sygnet. – Po pierwsze, nie mam żadnego pewnego dowodu. Biernacki się wręcz fenomenalnie kryje. Po drugie, chociaż część rządu go nie znosi, to on cały czas ma zaufanych przyjaciół w Warszawie i pozbycie się go wcale nie jest łatwe. Po trzecie, w administracji usadził sobie cały garnitur akolitów, pół Korpusu jest mu wiernie oddana, a drugie pół raczej przychylnie się do niego odnosi, do tego większość ludzi tutaj wręcz ubóstwia go. No, ale co ciemnota, to ciemnota. Tak czy siak, nie wiemy, komu ufać, a komu nie. Pana

sprawdziliśmy naszymi kanałami w Warszawie, jest pan człowiekiem z zewnątrz.

– Rozumiem, że dlatego nie ma tutaj kapitana Adlera?

– W rzeczy samej. To na pewno rzetelny człowiek, ale nie jesteśmy go pewni. Podobnie jak kapitana Horyca – wtrąca się Witold. – Cały czas go badam, został przeniesiony tutaj jakiś czas temu i jeszcze go nie rozgryzłem. Boimy się, że jest tak naprawdę człowiekiem wojewody.

– A Kula?

– Pułkownik Kula... – Hrabia krzywi się, jakby zjadł coś pozbawionego smaku. – To człowiek, który niewiele rozumie. Nie wiem, jak awansował na tę funkcję, ale nie ufam mu ze względu na jego charakter. Gotów jest uznać wszystko za żart i rozgadać. Co innego podpułkownik Troplitz, to prawie na pewno człowiek wojewody. Nie wiem, czym ten go kupił, ale kapitan jest mu wierny jak pies.

– A kapitan Pawłowicz?

– To zaufany człowiek, tak. – Hrabia kiwa z uznaniem. – Nie wiem o wszystkim, ale jest wierny sprawie pozbycia się wojewody. I dyskretny.

– Nie ufacie mu, prawda? – Świdruję go wzrokiem, wyczuwając fałsz w głosie.

Hrabia patrzy badawczym wzrokiem.

– To trochę za duży wesolek. Nie wątpię w jego szczere intencje, ale nie dowierzam jego głowie.

Potakuję ze zrozumieniem.

– Domniemywam, że na razie jesteście na poziomie zbierania informacji?

– Wiemy, że zaczął pan śledztwo na własną rękę. Niech pan nam zaufa i nie odpuszcza, niech pan znajdzie dowody, że Biernacki zabił Staffa. Ja mogę zaoferować ze swojej strony pełną pomoc i wszelką współpracę.

– A skąd mam wiedzieć, że nie gra pan ze mną? Że nie jest pan tak naprawdę człowiekiem wojewody?

Krzaczaste brwi hrabiego zbliżają się ku sobie.

– Ma pan słuszność – mówi w końcu – nie może być pan pewien. Ale dlaczego miałbym pana zwodzić?

– Hipotetycznie, może być pan przecież zaangażowany w nieco inną grę.
– A co by pana przekonało?
– Dowód, że się pan nienawidzi z wojewodą. Sama deklaracja to za mało.
– Chyba wiem, co pana przekona. – Wstaje od biurka. – Jak pan wie, jest tu wielu przeciwników wojewody.

– Niemało.

– Jednym z nich jest mój stary przyjaciel – podaje mi plik fotografii – Mieczysław Wężyk, niegdysiejszy prezydent Brześcia. Zdymisjonowany...

– Niech zgadnę, przez Biernackiego. – Przeglądam wspólną fotografię wojewody i byłego prezydenta na jakiejś budowie.

– Podpułkownik Wężyk w czasach swojej prezydentury miał dalekosiężne plany, które zaprzepaścił Biernacki. To były również i moje plany.

– A więc chodzi o pieniądze?

– Nie mam zamiaru ukrywać, że również o nie.

Przełykam ślinę, po czym opowiadam o wszystkim, co wiem. O dziwnych rozmowach z ludźmi, o karle, o wizycie w Mokroci i o spotkaniu z przedziwnym Romanem. Zmilczałem tylko o Kontrymie, doszedłem do wniosku, że zawsze warto mieć jakiegoś asa w rękawie. Kiedy skończyłem, hrabia pokiwał głową.

– Słyszałem o tym tajemniczym Romanie. Nie chcę nic wskazywać, ale wygląda na to, że jest to człowiek Biernackiego. I to by pasowało. Staff coś zobaczył, coś, czego nie powinien, i musiał zostać zlikwidowany. Musimy działać razem. Jakie są pana dalsze plany?

– Będę musiał udać się na tę placówkę, którą odwiedził Staff.

– Dobrze. Proszę tylko uważać, pana raczej nie zlikwidują, bo tego już się ukryć nie da. Kiedy odkryje pan coś nowego, lub natrafi na trudności, proszę dać znać, razem może coś uradzimy.

– Mam jeszcze jedno pytanie. Czy Staff dotarł do tego starego dworu?

– Nie, chociaż próbował. Problem w tym, że był tutaj na początku kwietnia, w czas roztopów. Pan się nie dziwi, czasami trwają aż do połowy kwietnia, jak w tym roku. Tam zawsze było trudno się dostać, teraz było to całkowicie niedostępne. Możliwe, że próbował raz jeszcze.

– A gdybym ja chciał zobaczyć...

– Oczywiście, ale to w tej chwili niemożliwe. Mamy maj, przez chwilę było lepiej, ale na nowo zalało drogi, może być problem. Nic to, proszę, zaraz zaprowadzą pana na pokoje.

* * *

Wybija trzecia, nie mogę zapomnieć o Urszuli. Rozmowa z nią była istną ucztą. Córka hrabiego okazała się kobietą mądrą i elokwentną, świadomą swojej inteligencji. Tematów poruszyliśmy wiele jak na tak krótki czas – literaturę, muzykę, sztukę. Podpytywałem ją o Staffa, ale nie dane było jej go spotkać. Powiedziała za to, że papa miewał wielu podobnych gości. Jednym z nich był nawet przedziwny rzeźbiarz, niejaki Szukalski. Wszyscy oni chcą czegoś od tych biednych ziem. Na przykład ten rzeźbiarz szukał śladów dawnych religii. „Wie pan, ja jestem kobietą wyzwoloną. Nie wierzę w zabobony. Bez względu na to, kto je wygłasza” – skwitowała tego typu rewelacje. Wspaniała kobieta, myślę, i przewracam się z boku na bok. Wokół mnie słyhać odgłosy starego dworu, postękiwania drewna i skrzypienie desek. Słyszę delikatne pukanie do drzwi, zapiera mi dech w piersiach, czyżby, nie, to niemożliwe.

– Proszę...

Wchodzi postać w czarnym stroju, jeszcze przez chwilę łudzę się, że to ona, oczami wyobraźni widzę Urszulę. Niestety, inny warkocz wystaje spod czepka, kobieta jest niższa. Zażenowany pragnę ukryć podniecenie.

– Ktoś ty? – pytam po chwili krępującej ciszy.

– Przyszyła mnie pan Witold – mówi w końcu – nazywam się Natalia.

Zirytowany zaciskam usta.

– Wyjdź!

– Ale... – głos dziewczyny się łamie – pan Witold...

– Wyjdź – syczę przez zęby. W żyłach krąży alkohol wymieszany ze zmęczeniem. Zdążyłem zerknąć na nią. Niczego sobie, dziewczyna jest młoda, ładna, o proporcjonalnej budowie. – Wyjdź, przekaz panu Witoldowi, że mam narzeczoną!

Siadam wściekły na łóżku i kryję twarz w dłoniach. Gdyby to nie była dziewczka służebna, ale Urszula, właśnie zdradziłbym Agatę. Myśl ta od początku mnie przeraża, ale z każdym dniem mniej, niż podejrzewałem.

ROZDZIAŁ VIII

Powrót na bagna

4 maja 1937

Wracamy tak samo, jak przybyliśmy – starą barką, która leniwie sunie po rzece, przez nisko zawieszoną mgłę, pokrywającą oba brzegi, tak że nic nie widać. Ciągłe męczą mnie wyrzuty związane z wczorajszym wieczorem i tym, co mogło się wydarzyć. Czuć bagnem, wilgocią i rybami. Smród ryb jest wszechobecny i natarczywie drażni mój nos. Barka jest pusta niczym kieszenie warszawskich cwaniaczków, poza mną i Zbyniem nikogo – nawet Horyc i Adler wybrali jakąś inną trasę i w ogóle robili wrażenie z samego rana ponurych i niedostępnych. Ja ze Zbyniem byliśmy za to w szampańskich nastrojach, zwłaszcza Zbynio, który na barce zdołał się nieco zdrzemnąć, co wyraźnie postawiło go na nogi. Z barki, która leniwie przycumowała do brzegu, po trzeszczącym trapie zeszliśmy na ląd, gdzie czekało już kilku szwargocących w jidysz Żydów, niechybnie jadących w dalszych interesach, o czym świadczyły ich pokaźne tobołki. Całości dopełniał lekki zapach cebuli i czosnku, który im towarzyszył i ciągnął się za nimi jeszcze chwilę. Minęliśmy starozakonnych i żwawym krokiem poszliśmy zwirową drogą wprost ku garnizonowi. Pożegnaliśmy się przed bramą Zwiśłockich, on popędził dalej, ja zaś, biorąc po dwa stopnie, wbiegłem na ganek i z szerokim uśmiechem powitałem służącą. Ponieważ do stołu właśnie nakrywano na drugie śniadanie, skierowałem się od razu do jadalni, skąd dolatywał kuszący zapach pieczywa. Rychło też przekonałem się, że wyraźnie urosłem w oczach moich gospodarzy, którzy zaczęli traktować mnie jak ważną osobę. Pan kapitan był u samego hrabiego... Aniela patrzyła na mnie z jawną lubieżnością, zresztą jej matka również, co rusz oblizując usta. Rzecz wydała mi się absolutnie obrzydliwa i skłoniła mnie do wpatrywania się w talerz wypełniony śledziami po kaszubsku, a zarazem uświadomiłem sobie, że dziś w nocy mogą mnie próbować nawiedzić nawet dwie... Być może w innej sytuacji by mi to

schlebiało, teraz miałem jednak przed oczami jedynie Urszulę i jej grę na fortepianie.

Po posiłku postanawiam odwiedzić nieszczęsnego Dowgirda (miał przecież skopiować dla mnie tę swoją broszurkę), a także odhaczyć kolejne punkty na mojej liście do sprawdzenia: lokalny bajzel, hurtownię lekarstw, której wizytówkę znalazłem w *Ziemi przeklętej*, oraz na sam koniec odbyć spotkanie z Kontrymem. Zastanawiam się, czy nie napisać listu do Agaty. Czuję zarazem wstyd i wściekłość, że tak blisko byłem od zdrady. Siedzę więc nad pustą kartką i żadne słowo nie wychodzi. Napisanie jednej litery wydaje się przedsięwzięciem ponad siły.

– Jest pan może zajęty? – Po pukaniu, bez „proszę”, swoją główkę wsadza Aniela. Ma na sobie skromną sukienkę, spod której wystają pończochy, wydyma usteczka w niemym pytaniu.

– Jestem zajęty.

– A to szkoda, bo może by mi pan pomógł. Mam przetłumaczyć fragment z Owidiusza...

– Powiedziałem, że jestem zajęty.

– O tym, jak Zeus porwał Europę – podchodzi bliżej – to brrrrdzo ciekawa historia. Bardzo zmysłowa. – Opiera mi się o biurko.

Zamykam oczy i liczę do pięciu.

– Panno Aniello – staram się brzmieć jak najspokojniej – proszę dać mi pracować, może jakiś panienki kolega chętnie nawet odegra scenkę z Owida.

– Pff – wzrusza ramionami – nie wie pan, co pan traci.

Wymaszerowuje energicznie, ja zaś raz jeszcze sięgam po kartkę, ale teraz już jestem zupełnie zniechęcony. Moja Agata by się najpewniej znowu uśmieła. Tak, moja Agata... Nic to, trzeba się innymi rzeczami zająć. Zabieram się do tego z umiarkowanym entuzjazmem. Rozpadał się deszcz. Wielkie krople uderzają miarowo w okna pokoju, jedyną istotą ludzką, jaką widzę na zewnątrz, jest smętny strażnik przed wjazdem do koszar. Na plecy narzucam zielony płaszcz, podnoszę wysoko kołnierz, na głowę wciskam cyklistówkę. Wychodzę z rezydencji Zwiłockich i udaję się do garnizonu KOP-u. Okazuje się, że nie tylko strażnik i ja musimy pracować, na placu pomimo deszczu szeregowi ćwiczą szturmowanie na worki

z piaskiem albo wykonują inne ćwiczenia. Słysząc groźne pohukiwania kaprała, który komenderuje. Worki ktoś dla humoru, a może dla zwiększenia bojowego ducha kazał ozdobić sierpem i młotem. Buch, buch, padają kolejne worki. Kieruję się do gabinetu dowódcy, gdzie znudzony Kula czyta jakąś starą książkę, miarowo pykając z fajeczki. Pokrótce opowiadam mu o raucie u hrabiego i proszę o pomoc przy dostaniu się do granicy polsko-radzieckiej.

Kiwa głową w zadumie i mówi, że pomoże mi, a jakże, Stefanek, ale możliwe będzie to dopiero jutro. Dziś muszę jeszcze się wstrzymać. Patrzą nie na Kulę, ale na wiszący nad nim portret wojewody Biernackiego.

* * *

Idę ponury przez ulice dawidgródzkie, omijam kałuże, ale skórzane buty coraz bardziej namakają. Kres polskiej cywilizacji w deszczu jest wyjątkowo brzydki i nie napawa nadzieją. Jediną nadzieją, jaką żywić mi pozostaje, jest ta, że za granicą Sowietów musi być jeszcze gorzej. Tymczasem w dawidgródzkich domach zaciągnięte firanki, na ulicach cisza, bo dzieciarnia nie biega tam i z powrotem. Kilkukrotnie muszę nadkładać drogi, by ominąć błoto, nawet ułożone prowizorycznie deski nie pomagają i ulice zamieniają się w śmierdzące końskim łajnem kanały. Dawidgródek w deszczu przemienia się w Wenecję, szkoda tylko, że pozbawioną powabu, bagienną, ale równie śmierdzącą. Tak, Dawidgródek śmierdzi podczas deszczu – bagnem, rybami i nie wiedzieć czemu zmokłym psem.

W końcu docieram do domu Dowgirda. Otwieram skrzypiącą furtkę, przeskakuję ku drzwiom, pukam raz i drugi, cisza. Klnę, czując, jak zacinający deszcz smaga mój odsłonięty kark. Otwierają się za to drzwi domu na posesji obok i na ganek wychodzi stara baba w charakterystycznym biało-czarnym stroju, ze sznurem modlitewnym w ręce. Ma pomarszczoną twarz i smutne oczy, lekko zamglone bielmem. Spod chusty kwiecistej wystają pojedyncze białe niczym mleko włosy, bezzębne usta międlą coś cały czas.

– *Nastułnika nie ma.* – Krzywi się z niesmakiem.

– W domu?

– *Ja skazała, szto jon nie doma.*

– Gdzieś pojechał? – Otulam się płaszczem, bo przeraźliwy ziąb zaczyna przenikać do kości. Przynajmniej, jak jest deszcz, nie ma komarów.

– *Pojechał.*

– A gdzie?

– *Nie wiedaju* – wzrusza ramionami i patrzy na mnie tymi białymi oczami, jakby chciała powiedzieć: idźże już, człeczko. Zgrzybiałe, poskręcane palce przesuwają paciorki.

– Dziękuję – burczę, a drzwi zamykają się z jękiem. Jeszcze chwilę stoję pod domem Dowgirda, w coraz większym deszczu i coraz bardziej marzną.

Ruszam, klnąc pod nosem, i czuję, jak uderza mnie w twarz coraz silniejszy wiatr.

Do przybytku rozkoszy dawidgródzkich idę już przemoczony. Burdel leży na drugim końcu ostatniego bastionu cywilizacji. Znowu manewruję przez zalane uliczki, wyludnione miasto robi teraz przygnębiające wrażenie.

Otwieram skrzypiącą niemiłosiernie furtkę, której skowyt nawet w szumie ulewy obudziłby umarlaka. Nie mam zresztą złudzeń, że skrzypiące ustrojstwo informuje mieszkańców o zbliżającym się gościu. Utwierdzam się w tym, kiedy po pierwszym naciśnięciu dzwonka w drzwiach pojawia się blondwłosy osiłek o twarzy niezdradzającej oznak inteligencji.

– Panie odpoczywają – burczy, założywszy swoje olbrzymie ręce na nie mniej olbrzymiej klatce piersiowej. Spod podkasanej koszuli widoczne są marynarskie tatuaże, jakieś kotwice, syreny i inne potwory wydziarane granatowym tuszem.

– To ważne – syczę ze złością, bo czuję, jak cyklistówka poddaje się wilgoci i pierwsze strumyki deszczówki płyną mi po plecach.

– Panie odpoczywają – powtarza, nie zmieniawszy ani tonu, ani wyrazu twarzy. Kamienny głaz.

– Wpuszczaj mnie, muszę porozmawiać z jedną z nich. – Kładę rękę na framudze.

Cerber nie odpowiada, tylko wyciąga z kieszeni rękę z kastetem. Przez chwilę w głowie krążą mi różne pomysły, jednak podsumowuje je wizja nagłówka w „Czerwonym Kurierze”: „Oficer Oddziału Drugiego zastrzelił pracownika domu schadzek”, a to już nie brzmi dobrze. Ciekawe, co by pomyślała o mnie Urszula, no i... Agata. Przez chwilę patrzę na obrzydliwie uśmiechniętego cerbera i z każdą chwilą coraz bardziej skłaniam się ku zaryzykowaniu miejsca na tytułowej stronie któregoś z warszawskich brukowców. Ratuje mnie głos należący do starszej kobiety:

– Hans! Hans, co się dzieje?

– Ten pan sobie już idzie – burczy cerber, nie odwracając ode mnie wzroku – no już, won – warczy do mnie.

W drzwiach pojawia się kobieta w wieku dalece pobalzakowskim i zbyt mocnym makijażu, w dłoni wachlarz, do tego przejmujący zapach formaliny.

– Hans, jesteś imbecylem, idiotą, debilem i każdym innym przypadkiem aberracji, znanym przez współczesną psychiatrię. – Rąbie cerbera wachlarzem po głowie. – Powinni się tobą zająć eugenicy, i to nie ci polscy, co cię zamkną i przebadają, ale twoi rodacy, aby cię uśpili. Jak psa, którym jesteś. To jest pan Jakubowski, pan Jakubowski! Ty durniu, przyjaciel pana Pawłowicza. On może o każdej porze wejść, głuptaku! – Podaje mi do ucałowania dłoń pokrytą pierścieniami. – Madame Marcelina, jestem właścicielką tego przybytku. Wpuść pana, Hans!

Cerber spogląda smutnym wzrokiem na madame Marcelinę i wpuszcza mnie do środka. Mijając go, nie odbieram sobie przyjemności i uśmiecham się zjadliwie.

– Przepraszam za tego kretyna, głuptak z niego obrzydliwy, ślepy knur, nie wiedział, kim pan jest. Którą z moich dziewcząt mogę służyć? – zagaduje do mnie wysokim głosem, kiedy już jesteśmy w cieple i siadamy na fotelach w wyłożonym czerwienią saloniku.

– Tego zaraz się dowiem – odpowiadam spokojnie i wyłuszczam sprawę.

– Ach... – Z twarzy burdelmamy znika uśmiech, ale na krótko, bo zaraz klaszcze w dłonie, tak że brzęczą wszystkie pierścienie, a w powietrzu roznosi się zapach ciężkich perfum. – Chyba już wiem, o kogo chodzi.

Rudą Turkaweczkę, naszą Rachelę. Zechce pan poczekać chwilę, obudzi się ją. – To powiedziawszy, znika na piętrze.

Mam kilka minut na przyjrzenie się brudnemu salonikowi, utrzymanemu w burdelowych czerwieniach i różach. Trochę brzydzę się dotykać tutaj czegokolwiek. Na ścianach różne widoczki i grafiki, a między nimi jeden dziwny obraz, podchodzę i nie wierzę własnym oczom. Ze ściany burdelu patrzy na mnie nie kto inny jak wojewoda Biernacki.

Obecność wojewody w burdelu wprawia mnie w dobry nastrój, wyjmuję z kieszeni cukierek i patrząc w oczy diabła poleskiego, wkładam do ust. Był sobie wojewoda nad burdelem. Na brudnej ścianie, na brzydkim obrazie. Wszystko tu jest tanie i podniszczone, obicia foteli przetarte, tapety brudne, pianino stojące w rogu wyraźnie nienastrojone. Od sprawdzania go odrywa mnie zresztą madame Marcelina, prosząc na górę.

– Podoba się panu portret? – pyta, kiedy wchodzimy po trzeszczących schodach.

– Jaki portret? – trochę jestem rozkojarzony, bowiem moją uwagę ściągają co rusz erotyczne grafiki na ścianach.

– No, naszego wojewody – z każdego słowa tryska duma. – Osobiście zamówiłam w Pińsku u pana Retingera.

Nie komentuję, zresztą i tak jesteśmy już pod drzwiami, gdzie przyjmuje prowincjonalna prostytutka z prowincjonalnego burdeliku. Na niegdyś czerwonym, teraz już mocno wytartym łożu leży rudowłosa dziewczyna o zielonych oczach i piegowatej buźce. Figlarnie patrzy na mnie, a wzrok i lekko rozchylone wargi, delikatnie oblizywane, obiecują potencjalne rozkosze, jakie mogą mnie czekać. Brzydka nie jest, chociaż ładna też nie, raczej nijaka, jak całe to Polesie... Dziwne, że Staff zechciał korzystać z jej usług, to jednak do niego zupełnie niepodobne. Niby nigdy się nie zna człowieka naprawdę dobrze, ale jednak wydawało mi się, że w ogóle kobiety go nie interesowały. Tym bardziej ja nie mam zamiaru zabawić się w tym wyjątkowo podłym przybytku miłości. Siadam na wolnym krzywym krześle.

– Był u ciebie kilka tygodni temu taki blondyn – zaczynam zatem bez ogródek, kiedy zostajemy sami, nie zważając na jej słodkie minki.

Z twarzy rudowłosej dziewczyny schodzi uśmiech.

– Może i był – odpowiada sucho, lekko zachrypniętym głosem.

– Sądzę, że go jednak zapamiętałaś, niecodziennie tutaj trafiają się warszawiacy. – Zaplatam ręce.

– Proszę nie być takim ą ę, to, że tu Dawidgródek, nie znaczy, że zaraz Warszawa to Berlin. Gdyby był z Brześcia, tobym też zapamiętała. – Wydyma usteczka, oblizuje wargi małym różowym języczkiem.

Coś mi się zdaje, że zaczynam rozumieć aluzję. Na brudne łóżko leci banknot.

– O, teraz sobie przypominam. – Uśmiech powraca na piegowatą buzię, o której też nikt by nie pomyślał, że należy do córki Koryntu.

– Coś mówił?

– Możliwe... – Patrzy bezczelnie.

Chciwa dziwka... rzucam monetę, która trafem upada pod łóżko.

– By chociaż kasztelanę dał... Mówił, że nie lubi Dawidgródka. – Chichocze złośliwie.

Widzę teraz, że nie jest aż taką pięknoską, twarz ładna, ale zęby już raczej niezadbane, żółte, wręcz lekko czerniawe w bladych dziąsłach. Wstaję, podchodzę do niej nieśpiesznie, kucam obok. Staram się zignorować jej nieświeży oddech.

– Posłuchaj, nie mam siły bawić się w idiotyzmy. – Patrzę prosto w zielone oczy. – Więcej niż dwa złote nie dostaniesz. Jeżeli nie odpowiesz, to, po pierwsze, nic nie dostaniesz, a po drugie, znajdę sposób, abyś była jedyną dziwką na całym Polesiu, która ma żółtą książeczkę z wpisem wszystkich możliwych chorób. Najgorsza wilczyca z Powiśla będzie na ciebie patrzyła z góry. Jakoś nie chce mi się wierzyć, że nie masz kiły.

Ruda Turkawka krzywi się i jej twarz traci dużo uroku.

– Dobrze już, dobrze – fuka obrażona. – Nic nie mówił. Ale przez sen gadał. Jak ten klecha.

– No i co?

– Nie powtórzę dokładnie – nawija rudy włos na palec – ale majaczył coś o wojewodzie, o spisku, o synu, który zabija, krzyczał straszliwie i wierzgał przez sen. Nawet bałam się, że coś mu się stanie. Mówił też takie dziwne słowa.

– Tak? Pamiętasz jakie?

– Noo, takie dziwne coś jak *hop jure neś...* – już nie kręci, tylko szczerze się zastanawia, mimochodem oblizuje wargi.

– A może *hobjurnec*?

– Może. Nie pamiętam. – Wydyma usteczka nieco zmartwiona.

– To wszystko? – pytam nieco zawiedziony.

– I tak, i nie... – bąka Ruda Turkaweczka. Widzę w jej oczach na nowo rozpaloną chciwość i nadzieję na kolejny łatwy zarobek.

– Mówże! – Walę dłonią w stolik obok łóżka, spadają jakieś bibeloty. prostytutka aż podskakuje, ja zaś ukrywam zmieszanie za wyrazem złości na twarzy.

– Proszę... proszę mnie nie bić. – Patrzy na mnie przestraszona nie na żarty. – Obudziłam go i on spytał, dlaczego, powiedziałam mu, że gadał strasznie dziwnie, że bałam się, że będzie problem i tak dalej. Spytał się, co mówił, to mu powtórzyłam.

– I co?

– I kazał mi przysiąc, że nikomu nie powiem. Zapłacił mi nawet za to.

– Ile razy był?

– Dwa razy. Za pierwszym gadał, za drugim już nie zasnął i był jakiś dziwny. Jakby strapiony czy coś... Przynajmniej nie bił jak ten kapitan.

– Jaki kapitan? – Zatrzymuję się w drodze do drzwi.

Dziewczyna truchleje.

– Mówże! – krzyczę na nią niemalże.

– Kapitan Pawłowicz... – wbija wzrok w podłogę – proszę nie bić, proszę... – ostatnie słowa mówi coraz ciszej.

Patrzę na nią nieco wcięty, ale w końcu macham ręką i idę w kierunku drzwi. Jednak się cofam.

– Słuchaj no, jak ty się nazywasz?

– A co? – Po twarzy zaczynają jej spływać łzy. – Przecież wiesz, Ruda Turkaweczka.

– Rachela Zukerman?

Spuszcza oczy.

– Tak.

– To ty miałaś sprawę z tym księdzem – przypominam sobie rozmowę w gabinecie ministerstwa.

Patrzy się na mnie wyraźnie zdenerwowana.

– Jakim księdzem? – kłamie nieumiejętnie, wręcz dziecięco, głos drży i po policzku lecą coraz większe łzy.

– Przecież sama o nim mówiłaś przed chwilą... Marwickim, tym którego znaleziono u ciebie. – Podchodzę bliżej. – Mówże!

– Ja... ja nic nie wiem – ukrywa twarz w dłoniach – on... on był dobrym człowiekiem. Spotkał mnie raz, wiedział, co robię, chciał pomóc, pocieszyć, wyspowiadać.

– Wyspowiadał?

– Nie, ja przecież Żydówka – przetyka łzy – ale rozmawiałam z nim.

– O czym?

– Nie pamiętam... – szlocha – wiem, że coś mu mówiłam. Ale nie wiem co. Byliśmy u niego na parafii, to wiem, potem obudziłam się, on nagi obok mnie, ja naga. Ale ja nic nie wiem. I ten katabas obrzydliwy, Konewka, krzyczał. Ten ksiądz nie wiedział, co zrobić. Potem nagle zamilkł, zaczął krzyżeć, ja nic nie wiem. Ja nic nie wiem... – Szlocha, nie daje się uspokoić. Wbiega burdelmama, tłumaczę, że nic nie zrobiłem, patrzy, tylko się krzywi i w końcu pyta:

– O klechę pan pytał?

– Tak...

Patrzy przeciągłym wzrokiem, kręci burzą włosów.

– Ech, mogłam powiedzieć, nie wolno przy niej mówić o tym, wpada w histerię.

– Cokolwiek wie ponad to, co już mi powiedziała? – streszczam rozmowę sprzed chwili.

– Nic a nic. – Burdelmama kręci głową. – Niech pan już idzie. Historia z księdzem zawsze ją rozstraja. Ale zapraszamy ponownie. – Uśmiecha się szczerbatym uśmiechem.

* * *

Wychodzę z bajzlu i kieruję się na zachód, w stronę składnicy lekarstw. Zmitrężyłem dzisiaj masę czasu i już zrobiła się siedemnasta. Boli mnie głowa i warto byłoby kupić jakiś specyfik. O ile w naszej forpoczcie cywilizacyjnej jest to w ogóle możliwe. Znowu kluczę po dawidgródzkich błotach. Deszcz przestał padać, więc wyleźli ludzie, co sprawia, że manewrowanie po rozmokłych ulicach jest jeszcze trudniejsze. Mieszają się głosy w jidysz i w ruskim, polskiego prawie nie uświadczysz. Zdaję sobie sprawę, że w Dawidgródku polskość jest wyspą w obrębie koszar i niewiele dalej. Państwo polskie jest tutaj jednostką iluzoryczną, sądząc po wolapiku, jakim mówią dzieci. Dawidgródek to nawet nie wyspa, a co najwyżej archipelag wysepek pośrodku morza tutejszości. Tam pop, tam kościół, to znowu szkoła.

W końcu dochodzę do rynku, na którym mieści się apteka z szarym szyldem „Składnica lekarstw”. Jestem coraz bardziej zły, więc do składnicy wparowuję gwałtownie, niemal urywając wiszący nad drzwiami dzwoneczek. W ciemnym, ponurym wnętrzu unosi się woń wszelkiego rodzaju medykamentów i chemikaliów. Rzuca się w oczy wiszący nad półkami portret wojewody wycięty z gazety.

– O to ppppan, to pan. – Wpada na mnie obślizgły jak zwykle Alojzy Licynka. Ciekawe, że wcześniej się nie jękał. – Jak się pan mmmmiewa w ten piękny dzień? – W ogóle sprawia wrażenie strasznie roztrzęsionego, niczym osika.

– Umiarkowanie – krzywię się w odpowiedzi – zimno i morko.

– Nnno, ale deszcz to zdrowie. Ziemia po tym zieleńsza, ciecieciesz się zzz żyżyzycia.

– Tak jakby na Polesiu było mało wody wszędzie. Pan już chyba wychodzi.

– A ttatak, tak... – Kiwa mi się w głębokich pokłonach i umyka do drzwi.

Licynka zostawia za sobą jakiś dziwny zapaszek, nie odprowadzam go wzrokiem, za to idę dalej. Za ladą stoi stary, pejsaty Żyd, wpatruje się we mnie ciężkim, zmęczonym wzrokiem wyraźnie pozbawionym złudzeń.

– Czym mogę służyć panu z Warszawy, czekałem, aż pan wreszcie dotrze w moje skromne proga. Czym służyć, coś na wzmocnienie, coś na zapomnienie, czy może coś z lekarstw? – mówi z lekkim zaśpiewem,

typowym dla swojego narodu, bystre zmęczone oczy śledzą mój każdy ruch.

– Zapomnienie? Wzmocnienie? I skąd pan wie, że jestem z Warszawy...

Twarz aptekarza rozwija się w uśmiechu.

– Stary Niekiel ma wszystko i wie wszystko – podnosi w górę palec wskazujący, poźółkły, z wyjątkowym dużym paznokciem – *ladanum*, *Erythroxylum coca*, *Papaver somniferum*, *Morphinum*. Czego dusza klienta pragnie, to się znajdzie, jak nie dziś, to jutro, jak nie jutro, to najdalej za dwie niedziele. Ale to bardzo rzadkie wypadki, zasadniczo u nas wszystko.

– Patrzy badawczo i wyczekująco. On nie żartuje, on po prostu wie, czym ma handlować.

– Czy stary Niekiel wie o ustawie z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego? – Sięgam do pamięci, bo chyba faktycznie wtedy oficjalnie wydano jakiś dokument.

– Czy ja wiem? Oczywiście, że ja wiem. Ale wie szanowny klient, co tam jest napisane? – Oczy świdrują mnie bacznie.

– Nie?

– Otóż napisano, że uchwalono ten prikaz w Warszawie. – Na twarzy pełen uśmiech. – A Warszawa toczko daleka. Dokładnie szanowny pan klient od Dawidgródka czterysta osiemdziesiąt wiorst i tutaj zakon Rzeczypolskiej inaczej żyją, inaczej docierają. Zanim dotrą, zanim się zagoszczą, minie trochę wody i w Hortuniu, i w Wiśle... Czy pan myśli, że powiedzmy, w Indiach prawo Angielczyków jest takie samo co w tym ich Londynie? Więc co prosi pan? Koko czy może morfinki? A może pan po prostu nie domaga?

Nie daję się zbić z tropu.

– A przepraszam, co, gdybym doniósł na pana policji? – pytam nie dlatego, że wierzę w jakikolwiek efekt, ale dlatego, że strasznie ciekawi mnie jego reakcja na moje słowa.

Aptekarz Niekiel wykrzywia twarz w nieszczęrym grymasie.

– To ja bym się spytał pana, czy pan byłby łaskaw spytać się komisarza Adlera, czy przysłać to co zwykle. – Uśmiecha się pełnym wesołości uśmiechem.

No to chyba się wyjaśniła zagadka zesłania komisarza Adlera na to poleskie zadupie. No cóż, nie on pierwszy i nie on ostatni. Byłbym hipokrytą, gdybym oceniał na takiej podstawie bliźnich. Musiałbym zaprzeczyć, że sam nigdy nie sięgałem, a przecie sięgałem, i to nie tak dawno, bo niecały miesiąc temu. No ale pracowałem nad trudną sprawą.

– Dobrze, kupować chcę, ale chciałbym spytać najpierw...

Przez twarz przechodzi mu grymas zirytowania. Teraz dla Niekiela jestem natrętną muchą. Jak każdy, kto przychodzi i tylko gada.

– A to czemu pan mi głowa zawraca, ja mam tutaj interes, zaraz ktoś inny przyjdzie, spyta się, czy może czegoś nie mam na składzie, a ja nie będę mógł mu pomóc, bo będę rozmawiał i tylko rozmawiał! I nic nie sprzedawał. On pomyśli, że stary Niekiel zwariował i będzie szukał u kogoś innego. A u mnie są i dzieci, i żona Rachelą i potem stary Niekiel będzie musiał zamknąć swoje interesa i...

– Dosyć – podnoszę rękę w geście kapitulacji – aspirynę i... i ma pan może takie karmelowe cukierki?

– Karmelowe cukierki? Mam rodzajów kilka.

– Mój znajomy mówił – szukam w pamięci nazwy – że to będą mrówki.

– Ach, oczywiście. Już służę. – Tajemniczy uśmiech zrozumienia przechodzi przez jego twarz.

– A teraz moje pytanie.

– Słucham dobrodzieja – teraz już ton inny, pełen lepkiej służalczości.

– Był tutaj taki mężczyzna z Warszawy...

– Czy blondyn? – przeciąga słowa.

– Tak. – Oddycham z ulgą.

– Pamiętam, pamiętam. Elegancki pan, dlatego zapamiętałem. Pytał się o takie dziwne rzeczy. Jakieś zioła, ale ja jestem poważna firma. Ja wiem, że są te dziwne wymysły jak *homœopathy*, ale to germańskie bzdury, albo jak te zioła ludowe. Powiedziałem mu, że z takimi rzeczami to tylko do tutejszych zabobonów. Niekiel nie handluje takimi oszustwami. Skrzywił się i poszedł. I tyle go widziałem.

– Rozumiem. I nigdy potem go pan nie widział...

– Nie, chociaż mógł mi mignąć gdzieś na ulicy, niestety nic nie jest pewne. – Rozkłada ręce.

– Dziękuję. – Wychodzę niezadowolony z dusznego składu aptecznego przesyconego zapachem medykamentów.

* * *

Mżawka zrasza szeregi drewnianych krzyży, czerniejących nad niskim, zbitym z desek parkanem. Pod południową ścianą cerkwi, tuż obok krzaka dzikiej róży, wyraźnie widać czarną sylwetkę ćmiącą papierosa. Czerwony punkcik staje się dla mnie punktem nawigacyjnym. Podaję rękę, czuję mocny uścisk szorstkiej dłoni, wymieniam zdawkowe przywitanie z Kontrymem. Odpalam papierosa i pokrótce relacjonuję spotkanie z hrabią i wszystko, co mnie spotkało.

– Panie kapitanie – rozpoczyna po dłuższym milczeniu Kontrym – to, co pan mówi, jest bardzo niepokojące i skłamałbym, mówiąc, że nie dostaję podobnych sygnałów. Tonowałbym jednak osądy... Nie bagatelizuję tego, że z wojewodą może coś się złego dziać, proszę jednak pamiętać, że hrabia może mieć jednak w tym i własne interesy. On sam wprawdzie uchodzi za osobę nieskazitelną, ale słyszałem trochę o młodym Witoldzie i były to nieco inne opinie niż te, co wyrazili pana kompani od brydża. To raczej awanturnik i bawidamek, może nie zawadza o kryminał, ale zabawić się lubi, i to hucznie. Nie wiem, czy też długów nie narobił. Podobno, jak był przejazdem we Lwowie, wdał się w jakiś podejrzany pojedynek i pierwszorzędnie pociął przeciwnika. Takie wieści przyniósł nam Kostia, który dzisiaj nie mógł być tutaj z nami.

– No dobrze – wykorzystuję chwilę, gdy Kontrym zaciąga się papierosem – mówimy jednak o synu. A co pan wie o ojcu?

– Osobiście nie miałem przyjemności go poznać. Kiedy tutaj służyłem, on akurat bawił we Francji. Młot-Zwiaholski cieszy się w okolicy renomą spokojnego i statecznego człowieka. W tej części Polesia gra pierwsze skrzypce, ale z Radziwiłłami trzyma się raczej na dystans. Poza tym, nie wiem, czy pan czytał prasę najnowszą?

Kręcę głową, a on podaje mi „Kurier Poleski”, wskazując palcem na artykuł.

– *Pożar w Czolonińcu. W wyniku wczorajszego pożaru śmierć w piekle płomieni poniosły cztery osoby. Nocą...* – dalej czytam bezgłośnie, ale cały czas nie do końca rozumiem intencję Kontryma.

– Czego to wszystko dowodzi?

– Kluczowe jest to, kim byli ci ludzie. Ano była to nie jakaś sobie rodzina poleska, ale rodzina urzędnika pocztowego Małeckiego, zaufanego człowieka Biernackiego.

– Jeden napad, to mogli być bandyci.

– Tak, gdyby był jeden. Tydzień temu zastrzelony został Antoni Stanecki, wójt w Popiszkach, trzy dni wcześniej zaginął bez wieści Ambroży Kielbasa z kancelarii z Pińska. Z moich źródeł wiem o przynajmniej dwóch urzędnikach związanych z wojewodą, którzy zostali napadnięci, ale uszli z życiem.

– Ktoś atakuje jego ludzi?

– Na to wygląda i obstawiałbym komunistów z kapezetbe. Wszyscy byli zaciekłymi antykomunistami, biorącymi udział w otwartej wojnie z bolszewią.

– À propos zaufanych ludzi, mówi coś panu nazwisko Grabski Aleksander?

– Nie, ale mogę jeszcze popytać. A kto to?

Streszczam to, co mi powiedział hrabia.

– Rozumie pan coś z tego?

– To by potwierdzało pewne fakty, słyszał pan o Bolesławie Greffnerze?

– Pierwszy nadzorca Berezki Kartuskiej – wynajduję w pamięci.

– Poznałem go osobiście – zadumany patrzy w przestrzeń – to teraz człowiek całkowicie złamany. Mówił, że jak Biernacki jechał na wizytację, to on sam czuł się jak więzień, że poniżał go, nazywał „prostytutką sumienia” i mówił, że nie potrafi traktować poważnie swojej pracy. Poważnie, czyli z bezwzględnością dla więźniów, bić ich, szykanować. Od innych, którzy go znali, słyszałem, że raz, jak zobaczył samochód Biernackiego, ze strachu ukrył się w jednym z baraków. Niewykluczone, że i Grabski musiał uciekać. Niemniej wszystko to bardzo mętne i dziwne. Ale trzeba dążyć. Wracając do naszej wcześniejszej rozmowy i kapitana

Troplitza – tam, na granicy, rzeczywiście dzieją się dziwne rzeczy. Ludzie mówią, że straszy, że mgła się dziwna podnosi, że ludzie w niej znikają, że słyszą dziwne głosy. Dlatego dobrze, że pan tam jedzie, tylko niech pan uważa. Niech Bóg ma pana w swojej opiece.

* * *

Postanowiłem zrobić jeszcze jedną rzecz, skoro jutro z samego rana mam jechać na kraniec cywilizacji. Wieczorną porą Dawidgródek sprawia wrażenie wyludnionego i pozostawionego samemu sobie, palą się nieliczne lampy elektryczne. Ciekawa to sprawa, że Dawidgródek dobrem tym może cieszyć się aż do północy, co – jak mi ktoś wspominał – jest ewenementem w tej części naszej Rzeczypospolitej. Jedyną spotkaną osobą jest policjant ćmiący machorkę pod daszkiem wiaty targowej. Tu i ówdzie pod ścianami domów przemykają zmoknięte koty, gdzieś wyje pies albo huczy sowa. Mijam zmurszałe domy i wyłączone dla oszczędności latarnie. Przy rynku, gdzie ulokowany jest zapadły lokal „Warszawianki”, pali się światło niczym latarnia morska dla nielicznych przyjaciół monopolu państwowego. Przechodząc obok zakładu golibrody, pocieram twarz ręką. Tak, dzisiaj zdecydowanie powinienem się ogolić. Energiczny dzwonek oznajmia moje wejście i odrywa karła od „Światowida”, którego lustrował z wyraźnym wręcz przejęciem, śliniąc co jakiś czas palec i przekładając kartki. Kiwa głową i wskazuje krzesło. W milczeniu zabiera się do pracy.

– Może jakieś nowe fotografie Stefci? – pyta niedbale. – Jakies nowe pytania?

– Tak, mam pytanie – przypominam sobie jedno, które mi się kołacze od dawna. – Co ludzie mówią o tych Żydach, co ich wyłowili?

– Jedni, że to bolszewicy ich tak urządzili, inni, że to upiór z uroczyńska albo Syn Bagien.

– Jaki znowu upiór z uroczyńska?

Pod nos trafia zdjęcie Stefci, trzymającej w ustach przyrodzenie jakiegoś mężczyzny o niewyraźnych rysach twarzy. Zirytowany, kiwam głową na znak, że zaplącę.

– Jest taka historia: przy Załuże był kiedyś dwór Ambrosiewiczów. Dawno to było, ponoć jeszcze w osiemnastym stuleciu. Rządził tam Samuel Ambrosiewicz, który się do konfederatów barskich przyłączył, ale miejscowi chłopci nasłali na niego Moskale. Ci zasiekli go razem z rodziną, jak to Moskale. Od tamtej pory co jakiś czas w nocy wybiega na trakt i jako upiór tnie przyjezdnych, w zemście.

– Co ludzie mówią o hrabim?

– Ach, hrabia... – Mogę przysiąc, że przez twarz karła przeleciał grymas ekscytacji. – Aż się dziwię, że pan wcześniej nie spytał. No więc tak, hrabia to człowiek nietuzinkowy. Bogaty i mający wielkie wpływy. Jego rodzina jest tutaj od zawsze, jak to mówią, jest stąd, a nie jakiś obcy, za przeproszeniem, z Warszawy. Ma do tego pomysł na Polesie, który realizuje, a ponadto daje ludziom pracę. Wszyscy wiedzą, że nie lubi kleru, ale że nie przegania. To oczywiste, bo Zwiaholski ich po prostu nie cierpi. Z przekonania liberał, mecenas. No i drewno, on w drewnie robi, potentat, lasy, tartaki aż po samą granicę.

– A czemu nie przegania?

– Bo są użyteczni, a dla niego to jest kluczowe. On chce mieć porządek. *Ordnung*.

– A konflikt z wojewodą?

– Nie lubią się. Wojewoda to tutaj wielki pan, którego kocha lud. I ten lud poleski woli często wojewodę od hrabiego, nawet jeśli wojewoda bywa okrutny. Jak to śpiewają – wojewoda okrutny, ale sprawiedliwy.

– A dzieci hrabiego? – Bardzo pragnę potwierdzić własne obserwacje.

Pod twarz łądują kolejne trzy fotografie roznegliżowanych kobiet. Podając je, karzelek zatrzymuje się nad każdą i oblizuje paskudnie małe usta.

– Witold to szalony narodowiec, chce Polski katolickiej i totalnej. Nie znam się na tych sprawach, ale chyba czyta tego, jak mu...

– Mosdorfa? – staram się być pomocny.

– Tego nie znam...

– Rossmanna? – Karzelek kręci tylko głową bez zrozumienia.

– Piaseckiego?

Kiwa głową z aprobatą. Szczerzy małe ząbki.

– Słyszałem nawet, jak kiedyś go cytował z pamięci, podczas rautu – sięgam do wspomnień sprzed kilku dni.

– Ściąga tutaj różnych ludzi, do tego dużo gada, ale mało robi. To chyba raczej poza, bo nawet nie robi rajdów na Żydków. Sokrates na odwyrtkę, wiem, że ojciec go wyciągał nawet z jakiejś afery komunistycznej we Lwowie, ten działał na poważniej. Tak mówili ludzie mi. Wie pan. Ruchawki, bójki. No i Urszula. O niej niewiele wiadomo. Rzadko bywa na Polesiu, woli Warszawę lub Paryż. Na razie odrzuciła wszystkich adoratorów – serce bije mi szybciej – nigdy nie słyszałem, aby ją wiązano z polityką... ot, tyle mogę powiedzieć.

– A coś więcej?

– Co, spodobała się panu dziedziczka? – Obrzydliwy lubieżny uśmiezek.

– Nie zgrywaj się pan, tylko mów.

Podrzuca kolejne zdjęcie, a mnie się robi mdło na widok taniej pornografii, zwłaszcza w trakcie rozmowy o Urszuli. Odwracam je na drugą stronę.

– A zatem – karzeł trochę się dąsa – Urszula jest tajemniczą osobką, o której bardzo mało wiadomo, jak powiedziałem. Krążyły pewne plotki, z których niewiele wynika. Uczyła się za granicą, w tym... no w Paryżu i we Włoszech, sztuki, o ile pamiętam, ale może się mylę. W każdym razie słyszałem, że widywała się z takimi, co się lubią strzelać, no i że chłopców dużo lubiła. – Uśmiecha się.

Zrywam się z krzesła i jednym ruchem zaciskam dłoń na nadgarstku karła. Jego mała rączka niemalże znika w mojej dłoni, czuję, że mam możliwość zgnieść tego obscenicznego robala. Jego rozbawienie zostaje wyparte przez szczerzy strach. Muszę mieć naprawdę dziki wyraz twarzy, bo widzę coraz większe przerażenie w jego oczach i czuję się z tym bardzo dobrze. Chcę go zabić w tej chwili.

– Co pan? – Wierzga przerażony, małe nóżki śmiesznie podrygują.

– Nie mów tak o niej, kurdupłu, bo flaki wypruję! – Trzymam go wysoko.

– Co pan? – W kącikach ust pojawia się piana.

– Odszczekaj!

– Ale co? – piszczy już niemalże.

– To, coś nagadał!

– Ale co ja? Że miała romanse? Ale tak ludzie mówią. – Patrzy przerażony. – Odszczekuję, odszczekuję!

Puszczam go, pada z hukiem na ziemię, wycieram brudnym ręcznikiem twarz i wychodzę, oddycham jeszcze długi czas niespokojnie.

ROZDZIAŁ IX

Na granicy świata

5 maja 1937

Jedziemy na kraniec Rzeczypospolitej, w jej najdalsze ostępy. Towarzyszy mi szeregowy Stefanek, który został przez Kulę przydzielony jako ktoś w rodzaju przewodnika, przy czym zaczynam się zastanawiać, czy nie służy on też do pilnowania mnie. Klepiąc po ramieniu, znowu wspomina mego ojca i jego męstwo, staram się nie przewracać oczami, kiedy to słyszę. Tym razem nie jedziemy samochodem, ale na koniach. Wracam pamięcią do wydarzeń z poprzedniego wieczoru i dzisiejszego ranka. Do Zwisłockich wróciłem późno, przemoczony i zły, ciągle nabuzowany rozmową z prowincjonalnym balwierzem. Gospodarze już spali, więc po cichu przemknąłem do pokoju, a tam spotkała mnie niespodzianka. Podrzucony pod drzwi liścik. Kiedy zobaczyłem mały, różowy kartonik, wiedziałem, co mnie czeka. W małym liściku mała rączka napisała: *Jeżeli nie jestem panu obojętna i zapragnię pan być moim Don Juanem* (dobrze, że nie hrabią de Sade, dodałem w myślach), *proszę zapukać dwa razy w piec. Jak nie, jeden raz. A.*

Miałem po dziurki w nosie tej lubieżnej gówniary, równie pociągającej jak koszyk kwaśnych jabłek. Szczerze nudzą mnie te podchody. Z Urszulą się nie może równać, ba! ani z... moją Agatą. Zawczasu wsadziłem do koperty z listem dla niej ten liścik diablika małego, aby się pośmiała. Tyle miałem jeszcze oleju w głowie, aby nie pchać się w romans z siksą. Maurycy Jakubowski sięga po dojrzałe i słodsze owoce. Podkręcając węża, zapukałem więc jeden raz w piec i poszedłem spać. Rano wzrok panny Anieli, gdyby mógł zabijać, już bym nie żył. Ja zaś byłem dla niej ujmująco miły i nie bez satysfakcji mrugałem do Leokadii. Ta zaś, widząc, że ona jest w tych amorach górą nad córką, wyraźnie pyszniła się i obnosiła ze swoim małym zwycięstwem niczym indor. Gospodarz domu – rogacz nieprzeciętny – jak zwykle obojętny i ślepy. Ale cóż, ciężki przypadek idioty. Jest w tym coś bardzo niepokojącego, wszystko to niby powinno mi

schlebiać, ale czuję się bardzo dziwnie, w ogóle to Polesie jest przesycone niezdrową seksualnością, więcej – chucią! Nie bez satysfakcji wspominam to sobie, jadąc konno.

Droga na Olhomel biegnie przez podmokłe łąki. Jak okiem sięgnąć trawa i trawa. Zieleni się w oczach od tej flory poleskiej, aż miło się na sercu robi. Jedziemy spokojnie na dwóch kasztankach i słucham trajkoczącego Stefanka. W takiej chwili można łatwo zapomnieć, że to jedno z najniebezpieczniejszych miejsc Rzeczypospolitej, tak spokojnie i pięknie tutaj jest dookoła. Wschodnie Polesie to terra incognita, a my jesteśmy tutaj co najwyżej gośćmi, albo właśnie turystami, którzy przybyli do tego niezwykłego bestiarium. Stefankowi zupełnie nie przeszkadza moje wyrywkowe zainteresowanie lub wręcz zupełny jego brak. Gada o tym, jak to jego rodzina ma spory z sąsiadami i miał zatarg o jakiś sad, czy też szklarnię jakąś, czy też kartoflisko. To znów opowiada różne historie o miejscowych przemytnikach, którzy cały czas dzielnie grasują, o bolszewickich dywersantach i różne plotki. O tym, że tutejsi popów za bardzo nie lubią. O tym, kto z kim i o co za łby się bierze, kto komu krowę podprowadził i kto z kim się pogodził. Wszystko jednak bez ładu i składu, tak że spór o miedzę miesza się z przemytnikiem Waśko i każda z tych rzeczy nie dostaje należytej konkluzji. Stefanek wyrzuca to w jednym ciągu słów, tworzących zbitą masę, podobną do rozmoczonej kuli papieru. Uciszam go w końcu gestem ręki, mniemając, że chodzi mu bardziej o zagadanie mnie niż o informowanie.

Mijamy wsie, w których chłopci bez większego entuzjazmu kiwają nam na powitanie głowami, mrużąc pod nosem *pochwalon* i wracając do swoich zajęć. Chaty tu biedne, widać, że składają się jedynie z klepiska i jednej izby, ba, często nie ma nawet komina, jest jedynie otwór w dachu. Polesie zatrzymało się w czasie o dobre pięć wieków za resztą Polski. Niemniej wokół słychać wesołe pieśni:

Żnijcie, żenczyki, żnijcie!

Sami siebie nie późnijcie.

Nie dozawszy, nie pójdziecie.

Nie dojewszy, nie lażecie.

Nie dospawszy, nie wstaniecie.

Śpiewa o żniwach lud poleski ubrany prosto, aby nie powiedzieć wręcz spartańsko, w białe lniane koszule i łapcie. Spojrzenia chłopów są pełne nieufności, nieco tylko łagodnieją na widok munduru Stefanka. Kiedy go widzą, słyszę, jak powtarzają: „Korpus”, i kiwają głowami z aprobatą. Z siodła przyglądam się temu dziwnemu ludowi, zaciętemu, ale raczej przyjaznemu nam, zlepionym brodom i kołtunom we włosach nawet bardzo ładnych dziewczyn, małym dzieciom bawiącym się nago przy domostwach, niemowlętom śpiącym w chustach na piersiach matek, które chodzą za sprawunkami. Widzę też i dzieci bawiące się z psem, który ma połamane kończyny i nie może chodzić, miota się jedynie, kiedy chłopaczek, może dwuletni, ściska piszczące zwierzątko.

– Stefanek, o co chodzi z tym psiakiem? – rzucam, kiedy mijamy chatę odprowadzani wzrokiem chłopaczka.

– Jakim psiakiem? – Odwraca się do mnie, przysłaniając oczy dłonią.

– No tym. – Wskazuję palcem na chałupę. – To tutaj normalne?

Stefanek staje w siodle. Nagle z jego twarzy znika radosny uśmiech, a wykrzywia się w grymas wściekłości i żalu.

– Poczekajcie, kapitanie. – Schodzi z konia i idzie do chałupy, coś zaszło w tym człowieku, że z sympatycznego i można rzec misiowatego przemienił się we wściekłą bestię.

– Gdzie twój?! – krzyczy na dzieciaka i wygląda przy tym naprawdę strasznie. Dobrotliwa twarz przemienia się, czerwienieje, jej rysy robią się ostrzejsze. Znika cała jowialność.

Chłopiec wybucha płaczem, wielkie łzy spadają na ziemię. Upuszcza piszczące stworzonko. Stefanek zaś cały czas krzyczy. Za chwilę biegnie od rzeki jakaś kobieta ze szlochem. Młoda jeszcze, chociaż widać w jej twarzy już zapowiedź przyszłych trosk.

– *Pamiłujta, pamiłujta, on niewinon, eto ja!* – krzyczy przerażona i załamuje ręce. – Nie bijcie!

– Znacie prawo? – Stefankowi wychodzi żyła na czole.

– *Pamiłujta.* – Kobięcina się żegna i odciąga dziecko, które dostaje spazmów, czemu się nawet nie dziwię, bo Stefanek nawet mnie przeraża, jak tak dyszy, sapie i ciska gromy z oczu.

Patrzę oniemiały, jak dobrotliwy Stefanek wyciąga pistolet i strzela do psiaka, po czym wymierza policzek kobiecie, tak że pada ona na ziemię. Kobieta aż łapie powietrze, pełna przerażenia w oczach. Jedną ręką osłania siebie, drugą zagarnia dziecko. Tymczasem Stefanek spluwa na ziemię i zwraca się do milczących ludzi, którzy przyszli zaciekawieni nowym widowiskiem.

– Znacie prawo, ty złamałaś prawo! *Wajwodu zakon!*

Wraca energicznym krokiem i wskakuje na konia.

– Rozejść się! – krzyczy. – Nuże, chamy poleskie!

– Co tu się wydarzyło? – pytam go, kiedy odjechaliliśmy nieco i mój towarzysz ochłonał. – Dlaczego zastrzeliliście tego psa?

– A co miałem zrobić? Psina już tylko by cierpiała. Panie kapitanie, Polesie to dzicz, oni tutaj łamią kości zwierzakom, aby dzieciaki mogły się nimi bawić. – Przysięgłbym, że widziałem łzę w jego oku.

– A jakie jest prawo?

– Wojewoda nakazał ograniczyć to... I tak byłem łagodny, było jej mordę bardziej obić, może by się nauczyła. No, jedziemy dalej. – Cmoka na konia.

* * *

Wydarzenie z psem sprawiło, że przynajmniej na chwilę przestał mówić. I zapadła między nami wręcz frapująca cisza. Stefanek żuł tylko słomkę i co jakiś czas pokazywał pojedyncze rzeczy, ale już bez większego entuzjazmu. Między Remelem, gdzie drewniana cerkiew nieśmiało wzbija się w niebo, a wsią Zneno jest pięknie położony olchowy zagajnik. Tylko wjeżdżamy w jego cień, skądinąd bardzo przyjazny, zaraz konie zaczynają się płoszyć. Przeszępują z nogi na nogę i rżą niespokojne. Droga, którą jedziemy, przedziela olchowy zagajniczek na dwie części. W oddali krzaczki malin po prawej stronie. Z nich zaraz wypada dwóch mężczyzn opatulonych szmatami. Na nogach jakieś łapcie dziurawe, twarze niegolone, palce zaciśnięte na kolbach naganów. Nawet nas za bardzo nie

widzą. Zjadle strzelają do kogoś, kto idzie od północy, tak jak zakręca droga. Bzycząc, lecą po gałęziach olszyny i malin ołowiane kule.

Sięgam do kabury i w tej samej chwili jeden z bandytów pada ugodzony kulą. Pocisk rozszarpuje pierś, lecą strugi krwi w poleską ziemię. Drugi biegnie już w naszą stronę z naganem ku ziemi skierowanym. Zauważa nas, na twarzy wyraz przerażenia, klęka, ustawiając się do strzału. Już sam mam wypalić, gdy inna kula świszczce i poprzez apaszkę oraz czarne włosy znajduje drogę ku jego czaszce.

Zza zakrętu wyłania się konny patrol Korpusu, na czele którego jedzie łysy oficer z zaciętą twarzą. Podjeżdża do pierwszego z mężczyzn, który ranny prosi o litość, strzela mu w głowę. Ciało jeszcze chwilę podryguje. Opuszczam visa. Oficer otrzepuje swój zielony mundur i patrzy na mnie. Stalowe spojrzenie świdruje mnie spod daszka zielonej rogatywki, pod mundurem widać, jak napinają się mięśnie. Kary koń pod nim chwilę tańczy, nie chce ustać w miejscu.

– Witamy na granicy. Kapitan Radosław Troplitz. – Kiwa głową i spluwa gęstą śliną wprost na ciało. – Pan to pewnie kapitan Jakubowski? Czekaliśmy na pana, cóż za miłe miał pan entré...

Potwierdzam skinieniem głowy, ignorując kpinę, z jaką wypowiedział ostatnie zdanie.

– Kto to? – pytam, wskazując już stygnące ciała.

– Bolszewickie ścierwa – odpowiada za niego jeden z żołnierzy o chropowatym, nieco przepitym głosie. Młody chłopak o miedzianych włosach i wyjątkowo niebieskich, zimnych, wręcz stalowych oczach. – Napadają, kurwiesyny. – Spluwa jak jego dowódca: wprost do rozerwanego pociskiem czerepu. Ja zaś unoszę brwi, dziwne są relacje w tej formacji, że byle żołnierz wcina się w rozmowę starszych stopniem.

– Jak pan wie, prowadzę śledztwo w sprawie zaginięcia kapitana Adama Staffa – zwracam się do kapitana, unosząc się w strzemionach.

– Słyszałem – burczy Troplitz i brzmi to, jakby chciał powiedzieć, że chce się mnie pozbyć. W tym słowie zawarł całą pogardę, jaką oficer liniowy może okazać oficerowi sztabu, siedzącemu za biurkiem i dzięki bujnym wąsom oraz funkcji w ministerstwie konwersującemu miło z paniami w kawiarni na rogu Jerozolimskiej i Marszałkowskiej. Podczas gdy on po

pas w wodzie tropi bolszewików, po kolana brnie w błocie i jeszcze do tego ratuje miejscowych głupków, aby ich Żyd nie wykantował. A jedyną nagrodą jest jakaś brudna miejscowa dziewczka i jej zawszone łono. I teraz ten oficerek wydelikacony wpieprza się w jego sprawy. Patrząc na tę zaciętą twarz i umacnia się we mnie podejrzenie, że nie jestem tutaj mile widziany. Pytanie: dlaczego. Przez Staffa, przez to, że jestem z Warszawy, czy może jeszcze z innego powodu?

Troplitz skinął, że mamy jechać do Olhomela piaszczystą drogą. Mnie zostawił z sierżantem.

– Jak się nazywacie, sierżancie?

– Hipolit Maciejewski – odpowiada pewnie żołnierz o gębie cwaniaczka szorującego przez lata bruki Woli i Ochoty. – Wierny sługa Rzeczypospolszej.

– Często tu u was takie akcje jak dzisiaj? – próbuję docenić jego chęć bycia dla mnie miłym.

– To Polesie. – Uśmiecha się wręcz po dziecinnemu i mina ta zupełnie nie pasuje do tego człowieka. – Bez przerwusi, panie kapitanie. Rządziej riezalo się socjałów na Kercelego, tu bolszewickie pluskwy się wycina. Git i morowo. – Emfaza kapie z każdego zdania wypowiedzanego przez Hipolita. Ruszamy nieśpiesznie stępą. – Zabawa fest, jak to u nas mówią.

Moja twarz musi wyrażać pytanie, bo młody wyjaśnia, że to nie jest incydent, że zginął Marian Andrusiek, również warszawiak, druh jego, chłop morowy.

– Za chwilunię będziemy na strażnicy, git i morowo – dodaje już wesołym tonem.

– Kapitan Troplitz zawsze chadza na takie akcje?

– A jak mu tylko przypasuje, to chętnie bolszewii krwi upuści, git i morowo. – W oczach Maciejewskiego grają ogniki potrzeby wygadania się, ale zarazem i duma z dowódcy.

– To raczej niezwykle, że oficer z taką szarżą chadza na zwykłych zbójów? – nie daję za wygraną.

– Zwykle czy nie zwykle, nie na moją prostą głowę to. Kapitan Troplitz jest morowym dowódcą, szanuje nas, prostych żołnierzy, to i dzieli z nami trudy. Jak trzeba, to i czerwonego pogoni.

Milczę, wpatrzony w plecy mojego przewodnika.

– A z tutejszymi jak się żyje?

– A jak ma być. Ludziska jak ludziska, trochę dziwni, ale dobrzy chrześcijanie. O ile ich Sowietarze nie zwodzą ku złemu. Babeczki są bardzo śwarne, jest za co złapać, jest co przytulić i chętne, panie kapitanie, jak mało które – przez chwilę wysłuchuję o tym, jakie to ponętne i łatwe są kobiety poleskie.

– A powiedzcie, jakiś czas temu zaginęło na granicy dwóch waszych towarzyszy?

– Ja ich nie znałem – jakaś dziwaczna twarda nuta rozbrzmiewa w jego głosie. – Zresztą nie mam papierów, aby rozmawiać o takich rzeczach – ucina jak rzeźnik, brutalnie. Ciekawe. Najpierw był taki gadatliwy i nagle zamilkł.

* * *

Gdy wjechaliśmy do Olhomela, niebo zaszło nieprzyjemnymi, granatowymi chmurami. Gdybym brał na poważnie zabobony, uznałbym, że jest to zły znak. Atmosfera i tania powieść grozy *à la polonaise*, niczym z podrzędnego niemieckiego filmidła.

Strażnica KOP-u jak to strażnica KOP-u. A przynajmniej tak mi się zdaje, chociaż przy bliższych oględzinach zaczynam podejrzewać, że jest w niej coś niezwykłego. Chyba bardziej umocniona, niż mogłoby się wydawać – usypane wały i stanowiska strzeleckie, rozciągnięty drut kolczasty. Całość dopełnia murowana strażnica z półokrągłymi oknami, ze spadzistym dachem i otwartym gankiem przypominającym nieco styl zakopiański. Skądś dochodzi ujadanie psów. Jak nic pierwsza linia frontu. Na górze wieżyczka drewniana, na której pełni wartę dwóch żołnierzy z lornetkami, lustrują nie tylko teren na wschód od nas, ale i na południe, zachód i północ. Ale to wszystko przełamane przez widok rabatek z różami. Moje oko wylapuje jeszcze coś. Mianowicie ściany fortu są zeszpecone dziurami po kulach. Nie wróży to niczego dobrego, lekki dreszcz przebiega mi po plecach. Patrzą na wschód, gdzieś tam, całkiem niedaleko, rozpościera się ziemia wielkiego czerwonego cara.

Formalne przywitania, saluty i wchodzę do pokoju jadalnego oficerów w strażnicy. Po prawej kuchnia, przez której drzwi wyraźnie widać piec

kaflowy ogniem buchający, fajerki i garnki. Dalej jadalny pokój, gdzie siedzi już Troplitz, „adiutant” zostaje oddelegowany do izby dla szeregowych żołnierzy, kapitan Troplitz zaś niedbałym ruchem wskazuje mi krzesło naprzeciw siebie. Jeden rzut oka i widzę dokładnie to, czego się spodziewałem, nad naszymi głowami triumwirat, Piłsudski-Rydz-Biernacki. Trójca święta poleska, psiakrew. Patrzą ze swoich portretów wyczekująco.

Troplitz ma ciekawą fizjonomię, jest łysy jak kolano, co upodobnia go nieco do Rydza-Śmigłego, ale więcej w nim drapieżności, twarz lekko asymetryczna. Nie wątpię, że mam przed sobą zagończyka, człowieka pogranicza, który niejedną raz brał udział w zwarcium. Żałuję, że w materiałach, które dostałem, niczego o tym człowieku nie było. Jego twarz pokrywa drobna sieć zmarszczek, szczęka kwadratowa prowokacyjnie wysunięta, do tego dłonie masywne, silne, w lewej brakuje małego i serdecznego palca. Troplitz jest jak Sfinks – patrzy i nic nie mówi, tylko czeka. Podano żur i nim za usługującym nam szeregowcem zamknęły się drzwi, Troplitz zabrał się do jedzenia zupy.

– Zjedzmy i porozmawiamy potem w pana sprawie. Im szybciej pan się dowie tego, czego chce, tym szybciej będzie mógł pan ruszyć w drogę – zaczyna bez wstępu i już nabiera łyżkę zupy.

– Raczej później, jak sądzę – odpowiadam równie lodowato – ale możemy zacząć już teraz rozmawiać. Nie chcę zajmować cennego czasu.

– Nie, nie zaczynam takich spraw przy posiłku. – Wbija we mnie wzrok marsowy.

Siadam za stołem, talerz z wytłoczonym napisem K.O.P., obok filiżanki z takim samym napisem.

– Często ostrzeliwują strażnicę? – zmieniam temat, siorbiąc zupę.

– Co takiego? – mruczy Troplitz znad talerza. – Nie rozumiem.

– Widziałem ślady po kulach – nie dają się zbić z tropu.

– Zdarza się – burczy do żuru.

– Bolszewicy czy chłopci?

– Hmm... – byłoby na tyle. *Causa finita* się zdaje.

Kamienie przydrożne ze wszystkich dróg Polesia wyrażałyby więcej entuzjazmu niż ten tutaj ponury drab.

– Czyli kto? – nie dam się tak łatwo zgasić przez tego cholernego tura poleskiego.

– Czerwone pluskwy ludzi mi strzelają, ciągle przez granicę chodzą. Stalinowskie kurwie-chuje, agitatorzy. Ale i tak jest lepiej, niż było przed dwudziestym piątym, teraz to sporadyczne. Ale po to tutaj jesteśmy, prawda? – Odkłada na bok łyżkę, wyciera usta białą chustką z wyszytymi literami K.O.P. – Dobrze, z czym pan dokładnie przychodzi?

Raz jeszcze przyglądam się jego sylwetce. Troplitz to człowiek mięsień, jeden kawałek skały, o silnych rękach i proporcjonalnej budowie ciała. Może mieć maksymalnie pięćdziesiąt lat, ale jestem pewien, że jest ode mnie znacznie sprawniejszy. Nachyla się tak, że widzę na jego szyi tatuaż. Niestety, zakrywa go kołnierzyk, niemniej mam pewne podejrzenia.

– Adam Staff...

– Był taki. Prawda – mówi z pełnymi ustami. – Łaził nawet trochę, miał te wasze papierki ministerialne – ostatnie słowa wypowiada z niekrytą pogardą.

– Czego szukał?

Cisza. Troplitz wpatruje się we mnie dobrą chwilę, na twarzy nie drga żaden mięsień.

– Jakichś bzdur. Chciałem go odesłać z kwitkiem, ale powiedział, że jest dwójkarz. Sprawdziłem. Mówił, że jest na jakiejś misji, wylegitymował się, miał papiery.

To zupełna nowość. Staff na misji. Ale może był to zwykły blef. Może po prostu oszukiwał Troplitza.

– Mówił, jaka to misja? – nie poddam się tak łatwo.

– Nie mówił. – Wzrusza ramionami. – Machnął tymi waszymi papierkami i tyle.

– Będę chciał pojechać tam, gdzie jechał Staff.

Ponowne wzruszenie ramionami.

– A proszę, to pod Łapiczem, dziesięć kilometrów stąd. Dam tylko panu obstawę, kapitanie – ostatnie słowo powiedział z wyraźnym szyderstwem – aby pana nie zastrzelili przypadkiem. Bo rozumiem, że dlatego to wszystko, że ten cały Staff wam zniknął.

– Taaak – przeciągam – dziękuję, zbytek łaski, poradzę sobie.

– To nie podlega dyskusji. Takie mamy przepisy. Jeszcze mi tego brakuje, aby mi pana tutaj odstrzelili. Wtedy nigdy się od was nie uwolnię.

A zatem decyzja została podjęta. Pukanie.

– Wejść!

– Panie kapitanie – w drzwiach pojawia się adiutant – delegacja do pana kapitana.

Troplitz bez słowa rzuca niedbale serwetkę na stół i wstaje energicznie. Jest w tym człowieku niespożyta siła. Wychodzi, a ja za nim, zaintrygowany, jaka to może być delegacja. Coś dziwnego wisi w powietrzu, czuję, kiedy patrzę na tę okolicę. Może to wina zalegających nad nami chmur, przez które zazwyczaj błękitne niebo stało się ciemnogrnatowe, prawie czarne.

Przed strażnicą tłum ludzi. Milczą ponurzy Poleszucy, niektórzy ćmią machorkę, wszyscy jednak kierują na nas ciemne, poważne oczy. Kobiety w kwiciastych chustach tulą do nóg dzieci o ziemistej cerze i smutnym wzroku. Atmosfera robi się bardzo gęsta i nieprzyjemna. Ciżba jest wyraźnie czymś zafrapowana, spojrzenia ni to przestraszone, ni to wyczekujące, niektóre z bab szlochają. Jednak fakt, że nie mają pod ręką żadnych widel ani siekier działa uspokajająco. Przed szereg wychodzi starszy mężczyzna, staje przed Troplitzem i zdejmuje czapkę, trzyma ją w ręce, nerwowo międląc. Usta zaciska w grymasie.

– Czego chcecie, Jankow? – Troplitz odpala papierosa, patrząc na chłopca.

– *U nas padarok* – odzywa się starzec – dla *gaspadina* Biernackiego podarek mam.

Starzec daje znak jednemu z mężczyzn stojących obok niego, tłum się rozstępuje i dwóch mężczyzn rzuca związanego chłopaka. Widzę tylko jego plecy, bo upadł tyłem do nas. Jedna z bab stojąca bezpośrednio obok Jankowa zaczyna głośniejszochać, chłop uderza ją po twarzy. Wszystko to dzieje się w zupełnej ciszy, dopiero po chwili jakaś starucha zaczyna smętnie śpiewać.

Synu, da ninocz synu...

Synu, do nocy synu. Dalej nawet nie jestem w stanie zrozumieć, baba zawodzi niemiłosiernie, tym przeraźliwym połączeniem ruskiego,

polskiego i litewskiego, tylko *Synu, da ninocz synu* powracało jak mantra, ciągle i ciągle.

– *Cichi maty* – warczy w końcu przez zęby stary.

Starucha milknie. Ciekaw jestem, ile ma lat. Jest malutka, zasuszona w czerwono-czarnej chuście na głowie. Stoi jednak bardzo pewnie z różańcem w jednej ręce i z jakimś wisiorkiem w drugiej. Patrzy na starca groźnym wzrokiem, ale milknie. Rzuca tylko *Chospodin pamituj*.

– Kto to? – pyta wyraźnie poirytowany Troplitz.

– *Ditko* – ponuro burczy mężczyzna pełen gniewu.

– *Pamituj!* – krzyczy raz jeszcze szlochająca baba, ale zaraz usta zakrywa jej starucha.

– *Ditko* – mówi raz jeszcze tamten, ale już nie do nas, tylko do bab.

Kobieta uderzona przez mężczyznę zanoszą się jeszcze większym szlochem. Chłop ponownie podnosi na nią laskę. *Cicho duraczka!* – warczy, i ona zaczyna z wolna uspokajać się, a przynajmniej płacz przechodzi w bezgłośny szloch. Przyglądam się ciągniętej przez mężczyznę postaci, ale młodzieniec ma tak obitą twarz, że nie daje się powiedzieć niczego konkretnego. Właściwie strzęp człowieka. Dziwna to scena, jak tak stoimy na ganku strażnicy i patrzymy na ten zebrany ludek poleski otoczony kordonem żołnierzy KOP-u. Polskość ukazuje się tutaj w przedziwnej krasie.

– *Wam nada rostrielać eto ditko. Ili do popa* – twardo przez zęby rzuca Jankow.

– Mów, Jankow, kto to? Co zrobił? – rozkazuje Troplitz, zielonymi oczami bacznie obserwując zebranych. – No co takiego zrobił?

Starzec splunął na skatowanego człowieka.

– *Godoł*.

– Jak gadał? – nie ustępuje kapitan.

– Po ichniemu. – Kijem wskazał na wschód, tam gdzie Sowieni. – *Godoł*, że *gaspadin* Biernacki to *ditko*, że car Piłsudski to *ditko i sabaka*. Że tu *budiet* nowy raj. To i my go jak *sabakę*. Ot, *padarok dla gaspadina* Biernackiego. – Żegna się zamazyście kilka razy.

– Czemuście na strażnicę go nie dali?

Starzec milczy i tylko ściska czapkę w brudnych dłoniach, nawet jeśli miał jakiś powód, już nam go nie zdradzi. Kobieta chciała podejść do więźnia, ale Jankow zakazał jej. Troplitz skinął na ludzi, widząc to, chłopci odeszli w milczeniu. I tylko pieśń staruchy przebija się w ciszy *Synu, da ninocz synu*.

– Pan chyba jedzie już w swoją podróż?

– Chyba mam jeszcze czas? – pytam, patrząc w ślad za wynoszonym ciałem.

– Raczej nie, chyba że woli pan po zmroku jeździć. Ale to pana wybór.

– A co się stanie z tym chłopakiem?

– Bereza. W tym roku mamy przecież czerwony roczek – mówi Troplitz, ale już się odwraca. – Niech pan się nie ociąga, bo zaraz przegapi pan swoją okazję na wycieczkę.

Podróż zajmuje prawie dwie godziny. Za przewodników służy mi dwóch żołnierzy Korpusu, prawdopodobnie największych mruków, jakich tylko Troplitz zdołał znaleźć. Obaj są nijacy, pełni służbowej ścisłości, jadą przodem i nawet do siebie nic nie mówią. Kopiści są równie ciekawi jak widoki otaczające nas, niekończące się bagna. Pochód zamyka wyjątkowo milczący Stefanek. Jedziemy na północ wąską piaszczystą drogą. Z jednej strony stepy wschodu, z drugiej ciągnący się okop.

– Co to? – pytam w końcu.

– Bunkry. Nie przepuścimy Sowociarzom – mówi jeden z dumą.

– Od dawna budowane? – Przypominam sobie plany, do których miałem dostęp.

– W zeszłym miesiącu roboty stanęły.

Czyli wtedy, kiedy zaginęli Żydzi. No ładnie. Swoją drogą to niezwykle, że coś próbuje się budować tutaj na bagnach. Przecież każdy wykop w minutę zaleje woda gruntowa. No ale to nie jest moje zmartwienie. Poza tym tak blisko granicy to nie ma chyba sensu, regulaminy mówią, że umocnienia powinny być ukryte przed wrogim rozpoznaniem, by przeciwnik nie mógł opracować ich map ani przygotować ostrzału, a tu jesteśmy w zasięgu wzroku bolszewików. No, ale – znowu się mityguję –

nie mój to problem. Jedziemy dalej powolnie. Wykop z jednej strony, granica z drugiej. Polesie to jednak przedziwne miejsce, są i puszcze, i stepy. W czasie podróży dwukrotnie widzimy pojedyncze strażnice, z których śledzą nas spod spiczastych czapek spojrzenia złe, azjatyckie, dzikie. To sowieccy pogranicznicy siedzą przy źle skleconych szałasach. Palą małe ogniska, zawsze we trzech, z karabinami zaopatrzonymi w absurdalnie długie bagnety. Mam wrażenie, jakby patrzyła na nas inna, wroga cywilizacja. Ich na wpół azjatyckie ślepie, ich mordy pełne nienawiści. Kiedy plują pestkami słoneczników, kiedy wymieniają między sobą zdawkowe uwagi, kiedy wreszcie brudnymi paluchami wskazują w naszą stronę, wiem, że interesuje ich jedno, aby w nasze ciała wbić swoje długie bagnety. Moi przewodnicy nie przejmują się tym w ogóle, tak jakby przywykli już do ich obecności.

– Tutaj, panie kapitanie – jeden z moich przewodników wskazuje piramidę pośrodku małego wzniesienia, pokrytą rdzawą roślinnością. Przypomina tę, którą widziałem kilka dni temu ze Zbyniem.

Nasza ścieżka zboczyła już trochę od granicy, jesteśmy od niej oddaleni o jakieś pół kilometra w głąb Rzeczypospolitej. Faktycznie na wzniesieniu stoi piramida. A raczej nie tyle stoi, co leży, bo widać przed laty musiała się osunąć i spoczywa na lewym boku. Dobrze widać, że nie jest to konstrukcja z przestrzenią w środku, ale raczej słup graniczny.

– Byli panowie może z kapitanem Staffem, kiedy to oglądał? – zwracam się do nich.

Przeczące kręcenie głowami.

– A nie wiecie, kto z nim był?

– Nie wiemy – odpowiadają chórem i czuję, że nie jest to odpowiedź szczerą, ale pozostaje mi tylko patrzeć w twarze skryte pod rogatywkami.

Oparty o piramidę wpatruję się w widoki za wschodnią granicą. Stoję na granicy cywilizowanego świata. Poza piramidą nie ma nic ciekawego tutaj. Przyglądam się dokładnie miejscu, kątem oka łypiąc na niecierpliwe spojrzenia eskorty.

– Podobno znaleziono niedaleko ukrzyżowaną kobietę?

Moje słowa wzbudzają w nich wyraźną konsternację, ale tylko na chwilę.

– Nic takiego nie było – mruczy w końcu ten bardziej gadatliwszy. – Ktoś bzdur naopowiadał. Musimy już jechać, panie kapitanie, ściemnia się.

– Pojedziemy, kiedy ja dam znak – mówię spokojnie i wracam do przeszukiwania terenu. Po prawdzie moglibyśmy już ruszyć, w okolicy widać tylko rdzawy mech i nic więcej, ale nie będzie mi byle obsrajnoga poleska wydawała poleceń. W momencie, kiedy uznaję, że mogę już nakazać odwrót, coś przykuwa moją uwagę. – Chcę tamtą górkę jeszcze zobaczyć – wskazuję palcem przed siebie na małe wzniesienie.

Niechętnie jadą za mną. Wzrok mnie nie mylił, na górze jest kamień, a obok niego ogarek. Na kamieniu znak młota namalowany kredą, odwracam się i zerkam na moją eskortę.

– Ja tam nic nie wiem... – zaczyna jeden z nich – musimy zawracać.

Rozglądam się wokół raz jeszcze i zsiadam z konia, wcześniej rzuciwszy wodze Stefankowi. Kamienie, trawa i kawałki kory. Biorę jeden i klnę w duchu, nie mogę mieć pewności, ale wydaje mi się, że widzę na nim znak węża. Podnoszę się i szukam w kieszeni cukierka. Uczucie beznadziei, patrzę raz jeszcze po poleskim stepie, czuję, jak przytłacza mnie jego obcość. Patrzę w wyczekujące twarze mojej eskorty, na ćmiącego papierosa Stefanka, na ognisko żołdaków bolszewickich i do obcości dołącza również zniechęcenie. Na dobrą sprawę, co mnie interesuje jakaś powieszona poleska dziewczyna. Dziki kraj, dzicy ludzie, dzikie zwyczaje. Z wściekłością ciskam kawałkiem kory.

– Teraz możemy jechać – rzucam.

* * *

Do strażnicy wracamy już o zmroku, otula nas coraz wyraźniej chłód poleskiej nocy, wzmacnia to tylko uczucie obcości. Ostatnie trzysta metrów pokonujemy w zupełnej ciemności. Gdzieś tam, za miedzą, palą się bolszewickie ogniska i wschodni wiatr niesie pieśń ponurą żołdatów. Pieśń dziwną, niepokojącą, ale nad wyraz czysto śpiewaną. O tym, że towarzysz Stalin jest ich tarczą i obroną, i jemu służyć będą z oddaniem *Słowa Stalina między nami, Wolja Stalina między nas!* Słowo Stalina między nami, wola Stalina między nami – rozbrzmiewa mi w głowie. Brzmi jak upiorna mantra.

Patrzę w ciemność, której macki coraz bardziej mnie oplatają. Czuję wręcz fizyczny dyskomfort, poleska noc drażni moje ciało swoim chłodem, a ślepa sowieckich posterunków nie pomagają. Ich ogniska są niczym oczy potwora, który przypatruje się nam zza granicy i tylko czeka, aby nas pożreć. Odwracam się ku strażnicy, w jej ciężkich drzwiach czeka adiutant, który zaraz prowadzi do Troplitza. Ten siedzi w ciemnym gabinecie, jedynie mętne światło lampy gazowej oświetla jego łysą czaszkę. Cienie tańczą na niej, dając nieco upiorne widowisko.

– Sowietci zaczęli swój koncert? – Troplitz podnosi głowę znad papierów. Pod jego spojrzeniem czuję się jak przyszpilony motyl.

– Koncert? – Podnoszę brwi pytająco. O co może mu chodzić?

– Co wieczór dzielą się z nami pieśniami o Stalinie, Leninie, Dzierżyńskim i Jagodzie. Uświadamiają nas w ich rewolucyjnym czynie, głównie po to, aby nas pognębić.

– Tak, śpiewają – odpowiadam.

– To dobrze, dobrze, czyli pijani już są. – Głodzi skronie. – A jak wyprawa na granicę? – Patrzy na mnie szyderczo. – Widział pan nasz zabytek? Chlubę? Kupę kamieni objętą specjalną ochroną Korpusu Ochrony Pogranicza?

– Widziałem. Mało ciekawe rzeczy.

– Niezwykłe, naprawdę nie-zwy-kłe. – Krzywi się zza biurka. – Jestem szczerze zaskoczony pana kategorycznym sądem. Nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy...

– Chciałbym jeszcze dziś wrócić do Dawidgródka – nie daję się wciągnąć w jego gierki.

– To niemożliwe. Jutro rano – ton Troplitza jest wręcz szorstki.

– Dlaczego?

– Jest po zmroku, znajduje się pan w pasie przygranicznym, nie podróżuje się tutaj po zmroku.

– Dlaczego? – Wbijam wzrok w jego postać.

– Zapis w regulaminie. – Wraca do przeglądania papierów.

– Czy to znaczy, że KOP nie panuje nad granicą?

– Proszę mnie nie irytować, kapitanie Jakubowski. Przygotowaliśmy dla pana kwaterę.

– Nie prosiłem o nią.

– To pozostaje bezdyskusyjne – ucina i zatapia wzrok w dokumentach leżących na biurku. – A teraz proszę wybaczyć, muszę zająć się istotnymi raportami.

* * *

Za oknem grają pasikoniki i niekiedy huczą sowy, poza tym cisza niemalże przytłaczająca. Nawet Sowici już ucichli. Przygotowano mi prowizoryczne posłanie z dwóch ław w pokoju stołowym. Patrząc się w ciemność, próbuję napisać list do Agaty. Niestety nijak mi nie idzie. Ilekroć chcę pomyśleć o niej, zaraz przed oczami pojawia mi się Urszula. Potem długo nie mogę zasnąć, prycza, na której leżę, jest wybitnie niewygodna, siennik zleżały, a koc cuchnie. Tyle dobrego, że nikogo tutaj nie ma więcej. Przewracam się z boku na bok i kiedy wreszcie przychodzi sen, słyszę rumor. A dokładnie mówiąc, najpierw rumor, a potem strzały, gwałtowne krzyki i gwizdy alarmowe. Na wpół zaspany wyskakuję z łóżka, po omacku wkładam spodnie i koszulę, w rękę biorę pistolet. Na korytarzu panuje dojmująca cisza. Chowam pistolet i już mam wracać, kiedy widzę dochodzące z pokoju dowódcy światło, zakradam się.

Wchodzę i od razu widzę otwarte drzwi do sejfu, znajdującego się w rogu pokoju. Za biurkiem zaś leży kapitan Troplitz, a przed nim butelka bez etykiety. Łysy zagończyk cicho pochrapuje. Waham się chwilę, ale podchodzę, nie wygląda, aby miał zamiar się obudzić. Stoję w niepewności, jeszcze mogę się wycofać, ale druga taka szansa może się nie nadarzyć. Wącham butelkę i poznaję od razu ten zapach, to nie wódka, to laudanum. Znaczący, że będzie spać twardym snem. Widać kapitan Troplitz jest również zagubionym klientem składu lekarstw Niekiela. Na jednej półce są papiery, na drugiej mała szkatułka, biorę ją w dłonie. Serce bije mi coraz szybciej, kiedy otwieram pudełeczko. Uśmiecham się jednak, bo już wiem, że moja podróż nie poszła na marne. Patrząc na tarczę zegarka, której czarne wskazówki pokazują czwartą nad ranem. Zaraz będzie świtać. Szybko wychodzę z pokoju.

* * *

Ktoś mnie szarpie, czuję zarzucony na głowę jakiś worek, a silne ręce nie pozwalają mi się wyrwać. Szamoczę się, słyszę zduszone krzyki, nawoływania, po czym dostaję czymś w łeb i zapada ciemność.

Kolejne szarpnięcia. Jedno, potem drugie, czyjaś mocna ręka zaciska mi się na ramieniu.

– Wstawaj, człowieku – przestraszony głos z wyraźnym białoruskim akcentem – wstawaj, no!

Otwieram oczy zdezorientowany, uderza mnie smród niemytego ciała. Pochyla się nade mną zarośnięty człowiek. „Nie jestem na strażnicy” – dociera do mnie. Jestem... no właśnie, gdzie ja jestem? Wygląda na to, że jest to cela o brudnych pożółkłych ścianach, z zatęchłym powietrzem i małym zakratowanym okienkiem. Jestem stłoczony razem z innymi więźniami.

– Wstawaj! – Towarzysz szarpie mnie już nerwowo, z całej siły. Zamroczony staram się unieść, w tym momencie drzwi celi się otwierają i wpada dwóch strażników. Rozglądam się, poza mną wszyscy stoją na baczność, a jest nas w tej celi około dziesięciu.

– Cela piąta do apelu! – krzyczy jeden z cerberów, uderzając pałką w drzwi.

Więźniowie chcą mi pomóc wstać, ale strażnik zatrzymuje ich warknięciem.

– O, to nowy. – Podchodzi do mnie. Nachyla się, tak że czuję jego kielbasiany oddech i widzę drobne ranki na świeżo ogolonej twarzy. W tle słyszę odliczanie, jeden, dwa, trzy, cztery. – Co, nie raczymy wstać przed Rzeczypospolitą? – Pałką dotyka mojej twarzy. – Może nie kochamy ojczyzny? Kto tu jest starszym nad celą? – zwraca się do więźniów.

Występuje jeden z mężczyzn, masywny blondyn.

– Ja. Numer trzysta czterdzieści pięć B.

– No, nie dopilnowaliście nowego więźnia. – Strażnik chodzi tam i z powrotem, uderzając pałką o dłoń.

– Przywieźli go w nocy – ten zaczyna się tłumaczyć – nie, nie mieliśmy...

Strażnik pałką uderza go w brzuch. Kiedy starszy nad celą zgina się wpół, dostaje jeszcze raz w kark.

– Gównno mnie to, trzysta czterdzieści pięć B, obchodzi. Nie respektujecie zaleceń.

Blondyn stara się wstać, ale dostaje jeszcze jedno uderzenie.

– Słuchajcie, komunistyczne ścierwa, gównojady, z matek kurew i ojców biesów – strażnik pluje na nas kropelkami śliny, pod jego brodą na pasku rogatywki zbiera się pot. – Cała wasza cela w nagrodę idzie na gimnastykę. A ty – zwraca się do mnie – ty będziesz miał indywidualne zajęcia. Zbierać się, kurwy czerwone. Do żabek przygotować się!

Patrząc jak oniemiały – więźniowie kucają z rękami założonymi na kark. Teraz widzę, że są to zarówno młodzi ludzie, jak i starsi, wszyscy w cywilnych ubraniach, garniturach, koszulach płóciennych, nawet kożuchach. Wszystko zniszczone w różnym stopniu. Ja zaś mam na sobie tylko kalesony i podkoszulkę, w której kładłem się spać.

– To nieporozumienie! – krzyczę do strażnika, odzyskując wreszcie rezon. – Jestem oficerem Oddziału Drugiego. Nazywam się Maurycy Jakubowski.

Strażnik patrzy na mnie przeciągłym wzrokiem, po czym uderza mnie pałką w brzuch. Czuję przerażający ból.

– Takiej bzdury to jeszcze nie słyszałem – syczy do towarzyszy strażnik. – Cela w podskokach na plac! Zszokowany, patrzę, jak więźniowie, skacząc niczym żaby, po kolei wyskakują z celi. – A ty...

– Żądam widzenia z komendantem Józefem Kamalą.

– Zobaczycie się, zobaczycie, obiecujemy – syczy strażnik, po czym dostaję cios butem pod żebra. I kolejny, i kolejny, i kolejny. Czuję, że tracę świadomość.

Ciągną mnie pod ramiona we dwóch. Otwieram oczy, kiedy czuję ciepło na twarzy. Idziemy po placu, duża pusta przestrzeń. Wszędzie więźniowie, którzy wykonują jakieś dziwne ćwiczenia. Skaczą żabki, padają w błoto, osobliwe odgłosy wydobywają się z jednego z baraków, tak jakby ktoś w nim skakał. Na zewnątrz strażnik wykrzykuje tylko komendy: w górę i w dół.

– Gdzie mnie prowadzicie? – sapię do strażników.

– Wedle prośby szanownego pana – jeden z cerberów wbija mi paznokcie w ramię – do pana komendanta.

Kamienie kaleczą mi bosc stopy, patrzę coraz bardziej przerażony.

– Jestem oficerem sztabu generalnego. Nazywam się...

– Stul pysk, skurwysynu – szarpie mnie – zaraz sobie pogadasz. Ale najpierw czeka cię kąpiel.

Ich śmiech napawa mnie lękiem. Zaciągają mnie do najbliższego baraku, skąd bije smród uryny i kału. Gwałtownym ruchem rzucają mnie na mokrą posadzkę. Uderza zapach fekaliiów.

– Czołgaj się, skurwysynu!

Odwracam się i patrzę na niego ze złością, chcę się już rzucić, ale on tylko uderza pałką w rękę i uświadamiam sobie, że mogę wyjść na tym znacznie gorzej.

– Tam i z powrotem! – krzyczy do mnie. – Tylko wiesz, chujku, gówna ma być równiuteńko rozprowadzone.

Zaciskam zęby i kładę się, staram się czołgać tak, aby jak najmniej się pobrudzić. Jest to niemożliwe, ponieważ podłoga praktycznie cała jest pokryta uryną i kałem. W końcu docieram do mojego oprawcy.

– Teraz umyj mi buty – syczy – ale wiesz, z czułością, językiem, jakbyś panienkę ruchał.

Zaciskam zęby i nic nie robię. Są granice, są przecież jakieś granice!

– Acha, takiś twardy – cedzi przez zęby. – Dobrze. Nie mamy czasu na to, aby się teraz pobawić. Pan komendant, skurwysynu, ma mało czasu dla takich jak ty... Powstań!

Wstaję niepewnie.

– No ale chwila, nie umylicie się – patrzy na mnie krytycznie – tak nie możecie iść. – Odsuwa się i wtedy jego milczący towarzyszy chlusta na mnie wiadrem pełnym gówna. – A teraz półprzysiad i szybko, ty kurwi pomocię. Przecież ja ciebie takiego nie będę tykał.

Czuję, jak obrzydliwa substancja ścieka mi za koszulę, jak cieknie mi po twarzy, zginam się i idę. Stopy krwawią od kamyczków, które wbijają się w moje ciało.

Widzę, dokąd zmierzamy. Do biurka wystawionego na środku placu. Za nim siedzi mężczyzna bacznie śledzący ćwiczących. Ci skaczą albo biegają w kółko popędzani szpicrutą policjantów pilnujących ich. Masywnych mężczyzn. Niektórzy z nich są bici i wyszydzani, jeżeli tylko wystarczająco szybko nie wypełnią poleceń.

– O, jesteście nowy. – Komendant podnosi na mnie wzrok. Olbrzymi mężczyzna o kwadratowej szczęce i twardym spojrzeniu.

– To jest skandal, nazywam się...

– Maurycy Jakubowski, oficer sztabu generalnego. Miło mi was powitać w miejscu odosobnienia w Berezie Kartuskiej – mówi przez nos. Olbrzymie ręce ma założone na piersi. – Agent komunistyczny. Zostaliście zabrani z samej granicy, podejrzani o spiskowanie przeciw Rzeczypospolitej.

– To pomyłka. Jak ja...

– To naprawdę nie jest ważne. Wasz los skończy się tutaj. Kapitan Troplitz doniósł nam, że zabraliście dokumenty.

– Ale ja przecież byłem na granicy, a Bereza... – Czuję się skołowany.

– Zostaliście uśpieni i przewiezieni, nie chcemy skandalu. Agent Dwójki, który pracuje dla komunistów.

– To jest pomyłka, to jest skandal! Ja żądam...

– Słyszycie, nasz więzień żąda... – Widzę, jak niebo, które do tej pory było całkowicie słoneczne, nagle zachodzi ciemnymi chmurami. – Niech pan pamięta, wojewoda widzi wszystko, każdy gest, każdy ruch.

Kemala zaczyna się śmiać. Śmieje się długo, przeraźliwie, a ja nagle widzę, jak z jego ust wylatują muchy, całe roje much. Patrzę jak oniemiały. Wielkie, tłuste końskie muchy. Jego twarz rozciąga się w obrzydliwym szerokim uśmiechu, ujawniającym wielkie kły. Chyba tak muszą wyglądać ryby głębinowe, które dane było mi zobaczyć na dawnej rycinie.

– Ale niech się pan nie martwi, skurwysynku – podnosi swoje ciężkie ciało zza biurka, na którym teraz widzę, że leżą odcięte uszy – będziesz miał okazję stać się częścią większej całości. Dziś świętujemy dzień naszego pana, Czarnego Boga, i ty będziesz miał zaszczyt zostać jego pokarmem.

Po raz kolejny biorą mnie silne ręce strażników. Wyrywam się, ale jestem całkowicie pozbawiony sił, wloką mnie po żwirze. Ćwiczący

przerywają ćwiczenia, patrzą, za co dostają razy od strażników, mnie zaś ciągną do kościoła znajdującego się na środku placu, małej czarnej budowli z czerwonymi witrażami. Wrzucają mnie tam, padam na zimną posadzkę. Z trudem podnoszę się na rękach i patrzę na świątynię. Nie ma w niej krzyża, są tylko podzielone trójkąty Syna Bagien, a pod nimi ubrany w mundur mężczyzna. Mundur jest dziwny, przypomina trochę ten KOP-u, ale są na nim elementy niepasujące, zamiast znanych patek z wężykami jakieś dziwne znaki. Kolor też jest zupełnie inny, jakby ciemniejszy, nieco zgniły.

– Dzień dobry, kapitanie Jakubowski – odzywa się ktoś z półmroku. Głos ma cichy, lekko zachrypnięty. Twarz pomału wyłania się z półcienia, widać już mundur legionowy szary i rogatywkę. Poznaje go i czuję, jak zamieram. Wojewoda Biernacki ma długie kły wampira, na głowie zaś dwa rogi, oblizuje się swoim długim rozdwojonym językiem. Ma twarz mojego ojca.

* * *

Budzę się zlany potem, oddycham ciężko, z ulgą, że to tylko sen. Ranek wstał zimny i chłodny, zdziwiłem nieco mojego Stefanka, wydając mu kategorycznie rozkaz, że czekamy, dopóki kapitan Troplitz nie wstanie. W końcu doczekałem się i widzę, jak kapitan Troplitz siada za stołem, sięga po wiktuały, czarny chleb i biały ser. W milczeniu, nożem, na którym znajduje się spory kawałek tłuszczu, wskazuje mi fotel.

– Dobrze się panu spało? – pyta. – Myślałem, że chciał pan pojechać z samego rana.

– Tak, dobrze mi się spało. – Czuję, że tutaj ja będę górą bez względu na okoliczności. – A panu?

Troplitz patrzy bacznie na mnie, ja zaś widzę odbicie mojej twarzy w jego oczach. Kwadratowa szczeka porusza się miarowo.

– Dobrze, aczkolwiek nie wiem, dlaczego pan pyta?

– A pan czemu pytał?

– Obowiązek gospodarza – stwierdza, biorąc kolejną kromkę chleba i nakładając pasztet. – Proszę się częstować, aż z Brześcia. – Nawet nie widać po nim działania laudanum. Troplitz niewzruszony smaruje masłem

kromkę. – Ale nie odpowiedział pan na pytanie moje, dlaczego pan nie udał się jeszcze do Dawidgródka?

– Ci zaginieni żołnierze z patrolu. Chciałbym o nich porozmawiać...

– Jacy żołnierze? – Wbija wzrok w resztki po śniadaniu, po czym wyciąga papierosa i nie częstując mnie, zapala.

– Szeregowiec Jan Topola i szeregowiec Szymon Pajdak. Znam pańskie sprawozdanie. – Podnoszę filiżankę z sygnaturą Korpusu do ust i upijam łyk niedobrej kawy. – Wiem, co się tutaj dzieje.

Troplitz prycha dymem i ponownie macha ręką.

– Doprawdy? Bo ja podejrzewam nieszczęśliwy wypadek.

– Wyziewy z bagnisk? – Unoszę brwi w zdziwieniu.

– To się niestety tutaj zdarza, taki klimat. – Nieruchoma twarz.

– A ci chłopci, którzy zaginęli dzień przed nimi?

– Potopili się w bagnach.

– Miejscowi, nie znali dróg odpowiednich? – Nie dowierzam temu lisowi i nie mam zamiaru dawać mu złudy, że jest inaczej.

– Tak, to się zdarza – mówi spokojnie Troplitz, ale i ja zachowuję spokój.

– A kapitan Staff?

– Przecież mówiłem, że był, obejrzał, co chciał, i pojechał. Nie byłem jego aniołem stróżem.

– Tak, kapitanie Troplitz, najpierw giną jacyś chłopci, potem dwóch żołnierzy KOP-u, potem nagle ginie bez śladu pracownik wywiadu Rzeczypospolitej. A wszystko po tym, jak odwiedzili tę strażnicę. – Palcem uderzam w blat.

– Nie mam nic o tym do powiedzenia. Przecież nie zaginął na tym terenie. – Wzrusza ramionami. Myśli, że jest górą.

– A co z ukrzyżowaną dziewczyną? I czemu stanęła budowa bunkrów?

Na to niepozorne pytanie twarz kapitana robi się szara. Usta barwy wątroby zacisnął, oczy zwęził. Wrażenie było, delikatnie mówiąc, wręcz piorunujące. Ze zirytowanego, a raczej znudzonego moimi pytaniami człowieka przerodził się w rozsierdzoną do granic osobę, która najwyraźniej chciała mnie na miejscu rozszarpać. Ruchem głowy powstrzymał żołnierza, który właśnie wchodził do jadalni.

– Ktoś panu nagadał bzdur, nic takiego nie miało miejsca. Powęsz, kapitanie Jakubowski, gdzie indziej, a nie zawracaj mi tu głowy.

– Widziałem ślady – nie poddaję się.

– W takim razie gratuluję wyobraźni, bo ja ich nie widziałem... ale proszę napisać o tym w raporcie do Warszawy. Czy jest jeszcze coś, w czym mogę panu pomóc?

– Na razie nie. Ale nie omieszka zwrócić się do pana, kiedy tylko będę potrzebował. – Uśmiecham się.

– W takim razie życzę szerokiej drogi. Do niewidzenia. – Krzywi się w grymasie.

Wyciągam mego asa z rękawa. Rzucam na blat stołu zawartość skrzyneczki.

– Będzie pan, kapitanie, dalej mnie oszukiwał, czy wreszcie porozmawiamy jak ludzie cywilizowani?

Oczy Troplitza pałają czystą nienawiścią, gdyby mógł, zabiłby mnie na miejscu jak psa. Ale nie może.

– Skąd pan to ma? – Wstaje z impetem, przewracając krzesło. Sapie wściekły.

– Jan Topola, rzymski katolik, i Szymon Pajdak, kalwin.

– Skąd pan to masz?! – syczy i jego twarz robi się czerwona. Kropelki jego śliny padają na moją twarz.

– Niech pan siada i się uspokoi – mówię z założonymi rękami. – Teraz powiem, co możemy zrobić. Mogę w tej chwili zatelefonować do ministerstwa i powiedzieć, co się stało, a pan trafi pod sąd wojenny za zatajenie śmierci żołnierzy. Albo możecie mi, kapitanie, powiedzieć, co się wydarzyło, a ja zastanowię się, jak to załatwić. Dodam, że fakt, iż kapitan Korpusu narkotyzuje się, nie wpływa łagodząco...

Twarz Troplitza wyraża coraz większą wściekłość.

– Ty...Ty... – sapie. Jest cały czerwony, ale widzę też przerażenie w jego oczach.

– Nie będę dłużej czekał. – Wstaję od stołu. – Decyzja jest po pańskiej stronie. – Troplitz zwiesza głowę. – Nie wiem, jakie są okoliczności zesłania pana tutaj, ale na pewno raport o laudanum nie pomoże – dodaję.

– To było niedaleko granicy – mówi cichym głosem, kiedy jestem już przy drzwiach.

Złamałem tego poleskiego zagończyka. Nie czuję satysfakcji jednak, jest coś przykrego w sytuacji, w jakiej znalazł się ten człowiek. W przyszpileniu go do jego własnej granicy niczym motyla do ściany.

– Wieczorem zostali wysłani na patrol i nie wrócili – kontynuuje. – Nad ranem pojechałem razem z dwoma zaufanymi ludźmi.

– Pojechał pan? Miał pan jakieś podejrzenia? – wracam i siadam na krześle.

– Intuicja. Olśnienie, może pan to nazwać, jak chce. – Wpatruje się w okno. – I nie zawiodła mnie. Znaleźliśmy ich przykrytych darnią, wyglądało, że ciała zatrzymały się w gałęziach.

– Jak zginęli?

– Rany szarpane. Myślałem wpierw, że to jakieś zwierzę, ale...

– Nie mieli uszu i mieli nacięte ślady na piersiach?

Troplitz unosi zdziwiony wzrok.

– Skąd pan wie? – pyta trzeźwo.

– Syn Bagien – myślę głośno. – To by pasowało.

Siadam do stołu.

– Musiałem to zataić, dostałem rozkaz. Rozumie pan? – Zerka na mnie smutnym wzrokiem. – Rozumie pan?...

– Od kogo dostał pan rozkaz?

Kapitan patrzy na mnie zły, walczy ze sobą.

– Wojewoda? – podpowiadam mu.

Kiwa delikatnie głową.

– Pochowaliśmy ich pod lasem. Zgłosiłem zaginięcie i tyle.

– A teraz proszę mi powiedzieć, tak szczerze, czy kapitan Staff był tutaj raz jeszcze?

– Nie – pada szybka odpowiedź – był raz i naprawdę oglądał tylko te swoje rzeczy. – Ale...

– Słucham...?

– On wtedy był na wyprawie razem z Topolą i Pajdakiem. To byli bardzo dobrzy żołnierze, świetnie znali teren, jego zakamarki...

ROZDZIAŁ X

Kiedy rzeka wyrzuca ciała

7 maja 1937

Droga powrotna zajęła mi cały dzień, była długa i męcząca, tak że wróciliśmy dopiero pod wieczór. Telepaliśmy się przez polskie rubieże. Do tego padał rześisty deszcz, który utrudniał jazdę. Gdy tylko dotarłem do swojej kwatery, nadałem raport do Warszawy i udałem się bezpośrednio do pokoju. Nie dane mi było jednak odpocząć... Zmuszony byłem udawać, że nie słyszę natarczywego pukania do drzwi. Z naciśniętą na głowę wykrochmaloną poduszką zastanawiam się, co się na tym Polesiu dzieje, nie mam pojęcia, ale czuję się, jakby kobiecy apetyt tutaj był niczym nieposkromiony. Każda niemalże ocieka lubieżnością i nawet mój na co dzień spokojny i wyważony umysł zaczyna się temu poddawać. Jakie to szczęście, że Urszula taką kobietą nie jest, ani nie jest nią moja Agata. Z tą myślą zasypiam.

* * *

Po śniadaniu siedzę nad kawą i wpatruję się w rogacza Zwiśłockiego. Obrzydliwy jest ten człowiek w swojej niewiedzy. Mnie zaś strasznie ciężko się myśli. Nie wiem skąd to, nie pamiętam wczorajszej nocy dobrze, ale coś mi się wydaje to nazbyt nieoczywiste. Zapalam egipskiego, ale czuję, że wcale a wcale mi nie smakuje. Co też się wydaje dziwne. Znajduję ku mojej radości karmelka. Nie wiem dlaczego, ale jest mi lepiej, kiedy wsuwam go do ust.

Wychodzę do miasta, może uda mi się nieszczęsnego Dowgirda spotkać, na bezrybiu i rak ryba. Ptaki śpiewają, brzęczą słupy telegraficzne, jednym słowem sielanka. W nosie wierci jeszcze zapach wczorajszego deszczu. Nastrój zresztą zaraz pogarszają komary, które zaczynają ciąć.

– *Gaspadin polius?* – słyszę piskliwy głosik gdzieś poniżej. Rozglądam się i widzę może dziesięcioletnią dziewczynkę. Ma nawet miłą buźkę, chociaż nieco zasmarkaną, ubrana jest w szarą nijaką sukienkę, na nogach nie ma butów.

– Tak? A o co chodzi? – Wpatruję się w to przedziwne stworzonko i widzę coraz więcej szczegółów. Krzywe zęby i wyraźne objawy złej, zbyt ubogiej diety. Może nie ma tyle lat, ile jej daję, ale nie dane jej było się rozwinąć odpowiednio.

– *Gaspadin* chce pomówić z wami – mówi, nieco sepleniąc, i wpatruje się we mnie wielkimi oczami. Oczy ma zaś niezwykle piękne.

– Jaki pan?

– *Gaspadin* z Warszawy. – Nie do końca rozumiem chyba, o co jej chodzi.

Jaki „*gaspadin* z Warszawy”, czyżby...

– A jak wygląda?

– *Stary i ciomnyj*.

Wygląda na to, że komisarz Kontrym pragnie ze mną zamienić kilka słów. Ki czort?

– No nic, prowadź...

Przyglądam się dziewczynce. Na jej włosach widzę lekki kołtun. Kręcę z niedowierzaniem głową. Tymczasem mała znika w nadrzecznych szuwarach i zmusza mnie do zwiększenia tempa. Zaraz przemokną mi buty, bo nogawki spodni już są mokre. Komary tną jeszcze bardziej, zły zapalam papierosa, aby przynajmniej w ten sposób pozbyć się insektów.

– Ha, widzę, że mój wysłannik znalazł cię bez trudu – wita mnie komendant białostockiej policji. – Mam dużo ważnych wieści.

– Ja też się cieszę, że ciebie widzę, panie nadkomisarzu.

– Ad rem. – Kontrym wyraźnie nie przejawia chęci do konwersacji na tematy przyziemne. – Proszę wybaczyć, że zniknąłem, działo się coś ważnego?

– Tak, i są to sprawy więcej niż poważne – relacjonuję szczegółowo wydarzenia znad granicy.

– Czyli wygląda na to, że i tamci zginęli z rąk Syna Bagien.

– Na to wygląda – odpowiadam, a on kiwa głową w zamyśleniu, jego twarz jest niezwykle wręcz skupiona.

– Myśli pan, że to mógł być Biernacki?

– Albo któryś z jego ludzi. Jeżeli oszalał i chce w ten sposób zdobyć władzę, może posunąć się do wszystkiego.

– Ale przecież to absurd. – Nie jestem w stanie pogodzić się z tą sytuacją, chociaż wszystko na to wskazuje. – Może po prostu szantażuje Troplitza...

– Absurd, nie absurd, ludzie giną – zamyśla się filozoficznie Kontrym, wpatrując się w leniwie płynący Hortuń. – Chyba właściwie już wiem, co się stało z Iwanem, i nie ma to raczej nic wspólnego z wojewodą. Nawet jeżeli hrabia by tego chciał. Wygląda to na zwykłe szaleństwo, ale muszę potwierdzić. Za to mam ciekawostkę. Byłem w Pińsku, jest tam kilku zaufanych ludzi, sprawdzałem pewne tropy. Dawidgródek to jest niemalże kolonia karna.

– Kolonia karna? – Chyba zaczynam coraz więcej rozumieć z rzeczy, które przedtem nie do końca były dla mnie jasne.

– Zna pan wytyczne wyboru do Korpusu?

– Najlepiej, aby byli z dzielnicy pruskiej, jak nie, to na pewno nietutejsi, doświadczeni i zaprawieni w bojach.

– Guzik prawda. Znaczy, nie zawsze guzik prawda, bo z zasady tak jest, ale są jednostki, które się zsyła.

– I?

– I Dawidgródek jest takim miejscem. Miejscem zsyłki.

– Czy wszyscy...

– Chyba nie do końca, ale na pewno część. I tak pułkownik Kula, niedopatrzenie podczas manewrów, dwóch żołnierzy zostało ciężko rannych, kaleki do końca życia, dwa miesiące później propozycja przejścia do Korpusu. Pański kolega, kapitan Pawłowicz, rozbił automobil po pijanemu, nikt nie zginął, ale zniszczeniu uległ duży i cenny ładunek broni. Z punktu widzenia kwatermistrzostwa niemała przewina.

– Jak na razie nic, co by mnie zdziwiło. – Wzruszam ramionami. Akurat taki wybryk w wykonaniu Zbynia nie dziwi mnie ani trochę.

– Dalej, kapitan Horyc: pederastia niby już nie jest karana, ale źle widziana, a i morfinizm na dokładkę. Adler kokainizm, doktor Jankisz alkoholizm.

– Zauważyłem, wpadłem na niego, jak był pijany.

– Idąc dalej, Troplitz, brutalny stosunek do podwładnych, jeden z nich popełnił samobójstwo.

– Dodałbym też narkotyki. Co do brutalizmu, to chyba łączy go z Biernackim – szperam w pamięci – przez niego chyba jacyś ochotnicy się zabili jeszcze w czasach legionowych.

– Widzi pan, wszystko się zgadza.

– Pytanie, jaki to ma związek z tym wszystkim, o czym mówimy. Czy Biernacki faktycznie oszalał? – drązę.

– Taki, że on może każdego szantażować, nie można im tutaj ufać. Każdy w Dawidgródku jest potencjalnym człowiekiem Biernackiego. On tu jest bogiem, od niego wszystko zależy.

– Jak tylko się dowiem, co się stało ze Staffem, wracam do Warszawy zdać szczegółowy raport. Mam nadzieję, że będzie szansa powstrzymać Biernackiego.

* * *

Skończyliśmy rozmawiać, pożegnałem się z Kontrymem i wróciłem do marszruty. Wszystkie dotychczasowe tropy prowadziły do donikąd, a ja muszę pomyśleć i znaleźć Dowgirda, który już przecież powinien wrócić. Ale okazuje się, gdy tam docieram, że jego chatynka nadal zamknięta. Chce mi się piwa. Zaczynam rozglądać się, gdzie można się tutaj napić. „Warszawianka” jest jakąś możliwością, ale z tego, co się orientuję, powinna być tu jeszcze jedna restauracja, uciekła mi jej nazwa, ale chyba mieści się na Piłsudskiego. Nie zdążyłem sprawdzić, bo na mojej drodze wyrósł funkcjonariusz policji państwowej.

– Panie kapitanie – zaczepia mnie, a ja rozpoznaję w nim przodownika, z którym rozmawiałem pierwszego dnia i który lękał się, czy przypadkiem nie mam na niego donosu. Jest wyprężony, wyraźnie się mnie boi.

– Słucham? – pytam nieco rozkojarzony, cały czas szukając w głowie nazwy tej gastronomii.

– Komisarz Adler prosił, abym pana do niego zaprowadził – słowa wyrzuca z siebie, jakby strzelał.

– A co się stało?

– Chyba znaleziono tego, kogo pan szukał – ścisza głos do szeptu.

Ukłucie w sercu. Czuję, jak robi mi się zimno. Zaciskam w kieszeni starą gwiazdę – pamiątkę.

– Gdzie? – pytam cicho.

– W piwnicy garnizonowej...

* * *

Skład lodu mieści się w północnym garnizonie w Dawidgródku. Nie nawyknięto tu do badań post mortem, jak poprzednio skierowano ciało do składu lodu, czyli po prostu bunkra wykopanego w ziemi, tak że okna znajdowały się na poziomie gruntu. Razem z Adlerem wchodzimy w jego chłód i szarość. Doktor Jankisz wita nas pochylony nad ciałem przykrytym płótnem, nad nami mdła żarówka. Towarzyszy mu Konon, małomówny, wyglądający na imbecyla, wydający dziwne pomruki. Wchodzę w tę przestrzeń z bijącym sercem.

– Wczoraj znaleziono ciało nad jeziorem Cerkiew – rozpoczyna Adler. – Nie było pana w Dawidgródku, więc nie mogliśmy wcześniej poinformować.

– Czy to...? – pytanie zastyga mi na ustach.

– Tak podejrzewamy. – Komisarz policji kiwa głową ze smutkiem.

Odsłania płótno – fetor niewyobrażalny! Patrząc na ciało, ale prawda jest taka, że nie jestem w stanie w tych zwłokach rozpoznać Staffa. Trup jest zielonkawy, bardzo pokiereszowany, do tego napuchnięty od wody, twarz objedzona przez ryby. Brak oczu i uszu, nie wiadomo, co jest wynikiem działania ryb, a co działalności mordercy. Zasłaniam nos i usta dłonią. Z nieukrywana wdzięcznością przyjmuję podaną przez Adlera nasączoną chusteczkę.

– Jak dawno temu zginął? – zwraca się Adler do pochylonego nad zwłokami medyka.

– Nie jestem wróżem – nieogolony Jankisz wzrusza ramionami – ale podejrzewam tydzień.

Martwieję wpatrzony w zwłoki. Jeżeli to jest Adam, to zginął, kiedy ja już byłem na Polesiu...

– Mogę zaczynać? – Medyk patrzy na nas niecierpliwie. Jego twarz wyraża zacięcie, ale zaraz widać, że nie jest w pełni trzeźwy. Cholerny zdegenerowany doktor, przez takich jak on pijaków ze skalpelem umarła moja matka.

– Tak, proszę zaczynać – decyduje Adler.

Doktor Jankisz, zobojeźniały na wszystko, co wiąże się z cięciem, gniciem, śmiercią i chorobą, bez zbędnego wstępu rozpoczyna swoją relację. Nawet pomimo smrodu wyczuwam woń alkoholu.

– Co mogę stwierdzić. Mężczyzna, rasy europejskiej, wiek nieznany, waga, waga... siedemdziesiąt osiem kilo, około. Stan ogólny dobry. Jedna rana szarpana krtani, rany na rękach, wiele ran pośmiertnych, głównie to robota ryb. To tyle, co mogę powiedzieć na tę chwilę. Muszę go otworzyć – zwraca się do nas i oczekując na odpowiedź, pociąga sowity łyk z piersiówki. – Odradzam przebywanie tutaj podczas dalszych czynności. – Patrzy na nas, lekko kołysząc głową to w lewo, to w prawo.

Przyglądam się raz jeszcze ciału. Może to jest, a może nie jest Staff, nie jestem w stanie w tym ciele rozpoznać mojego przyjaciela. Ale resztki wąsów podobne, tyle mogę stwierdzić. W ogóle mam przemożne wrażenie, że wpatruję się w manekina leżącego na marach.

– Dobrze, mam jeszcze pytania, zanim pan zacznie – mówię z za chusteczki.

– Proszę – syczy niemalże Jankisz.

– Obrażenia? – Nie mam ochoty nawet nachylać się nad ciałem.

– Coś mu rozszarpało krtani, pazurami najpewniej, tyle mogę powiedzieć.

– Na pewno?

– Tak, znam takie obrażenia bardzo dobrze – ucina kwestię doktor Jankisz. – Ja tylko oceniam okoliczności zejścia denata, a nie ich prawdopodobieństwo. Ktoś rozszarpał mu krtań. Potem odciął uszy i wyciął znak na piersi.

– Po śmierci? – pytam przepełniony nikłą nadzieją na poznanie szczegółów.

– Tak... – przeciąga Jankisz z typowo pijackim zaśpiewem.

– A czy w poprzednich przypadkach też po śmierci wycinano znaki...

– Nie zawsze mogłem to ustalić... – kręci, sapie, jest jakiś w tym wszystkim nieprecyzyjny.

– A w tych, w których mógł pan? – Wbijam w niego wzrok.

– Raczej jeszcze za życia, o ile pamiętam dobrze. Na pewno ci dwaj Żydzi zostali pocięci za życia, tak... A teraz chciałbym zakończyć sekcję i naciskam, aby panowie w niej nie uczestniczyli.

– A to czemu? – nie chcę dać się zbyć.

– Bo nie chcę oglądać tego, co pan jadł. – Krzywi się.

– Chwila – podnoszę rękę w geście kategorycznym – nie tak szybko, mam kolejne pytanie.

Jankiszowa twarz tężeje, ale milknie. Czuję wobec niego jedynie pogardę.

– Jakież ślady walki? – Przyciskam chustkę do twarzy, walczą we mnie dwa żywioły: jeden, aby stąd jak najszybciej wyjść, drugi, aby zostać i podrażnić temat.

– Nie mogę ustalić na tym etapie... – sapie, widać, jak go męczy ta cała sytuacja – ciało jest w złym stanie... Jak panowie widzą, ryby dorwały się do oczu.

Razem z Adlerem wychodzimy do drugiego pomieszczenia, równie ciemnego i ponurego jak pierwsze.

– Co przy nim znaleziono? – rzucam, patrząc na stolik z rzeczami osobistymi topielca.

– Wszystko zamokło, więc trudno będzie zidentyfikować. Miał na sobie angielską marynarę, pumpy, wszystko to bardzo zniszczone przez wodę.

Patrząc na skromny dobytek znaleziony przy zwłokach, należący albo nienależący do mojego przyjaciela. Wszystko mokre, jest jakiś dowód, ale na razie trudno go odczytać.

– Boję się, że się go zniszczy i wtedy niczego nie odkryjemy. Posłałem już po jednego człowieka, który będzie w stanie coś z tym zrobić.

Reszta rzeczy niewiele mi mówi. Ale książeczka o wytartym brzegu! Sięgam po nią, zapala się pierwsze światełko w tunelu. Jest to *Pieśń o Synu*. Patrząc na resztę fantów: grzebień, srebrne pudełko z cukierkami, do tego dwa stare guzki, tyle i aż tyle.

Adler nachyla się nad książką, trzyma w kąciku ust papierosa, ale on zdaje się tym zupełnie nie przejmować. Chucha na mnie i na wyciągnięty z wody fant.

– Czy świadczy cokolwiek, że mamy do czynienia z kapitanem Staffem?

– Trudno powiedzieć. – Wzruszam ramionami.

Adler burczy coś pod nosem. A ja łączę fakty, choć nie bez lęku. Wygląda na to, że faktycznie wszystkie drogi prowadzą do Biernackiego. Nie wiadomo, kto w tym mieście jest jego człowiekiem, a kto nie. Czuję nagły silny ból głowy, który nie pozwala mi się w pełni skupić. Ufać mogę tylko, jak mi się zdaje, Zbyniowi, no i najpewniej Kontrymowi, bo on też przecież chce dorwać sprawców śmierci tego popa. I na pewno jest spoza, spoza tego cholernego poleskiego układu. Po plecach spływa mi strużka potu. Komisarz chyba coraz wyraźniej wyczuwa moją irytację, bo milczy. Nieprzyjemną ciszę przerywa pukanie.

– Przeprowadziłem pana Licynkę. – W drzwiach staje jeden z przodowników.

Wchodzi do środka urzędniczym swoim koślawym chodem.

– Och, dzień dobry, panie kapitanie, och, dzień dobry, panie komisarzu, czyżby moje skromne umiejętności mogły pomóc w czymś? Czy pokorny sługa Alojzy Licynka może się przydać, jeżeli tak... – Ki czort, myślę? Teraz znowu się nie jąka.

– Panie Licynka – Adler cedzi przez zęby – znamy pana umiejętności w konserwacji zniszczonych dokumentów.

– Ach tak, więc nareszcie na coś się przydadzą. Już myślałem, że tutaj na Polesiu... nieważne zresztą. Tak, tak, w końcu skończyłem studia

bibliologiczne w samym Wiedniu. Tak, tak, zaraz zabieram się do pracy. Gdzie ten inkunabuł?

– Proszę. – Adler wskazuje na biurko.

– Ojoj. – Licynka łapie się za głowę. – Będę potrzebował kilku rzeczy. Szkoda, że mnie wcześniej nie wezwano. Teraz będzie tylko gorzej. Ajajajaj – jocy niesłychanie, a ja im dłużej patrzę na jego nieszczęsną postać, tym bardziej wściekłość walczy we mnie ze współczuciem. Nie mam teraz nastroju na znoszenie tego człowieka.

– Wszystko, czego trzeba. – Adler ziewa, on też mnie drażni tą swoją zdystansowaną postawą.

– A więc tak, a więc tak... – Licynka zaczyna wyliczać i kiedy kończy, Adler tylko kiwa na policjanta. Ja zaś wychodzę i czekam na wynik.

* * *

Siedzę w gabinecie dowódcy Korpusu. Patrzę na poszarzałe ściany, na portrety i ten cały poleski anturaż. Major Kula bez słowa podaje mi telefon. Łączę się z centralą i podaję telefonistce numer do Mayera, słyszę, jak metaliczne dźwięki przechodzą po liniach. Jak sygnał trafia stąd, z Polesia, prosto do centrali, a potem po kablach do ministerstwa.

– Tu Jakubowski – wypalam, kiedy słyszę zbawienny dźwięk w słuchawce.

– Słucham – ciepły głos Mayera – jakie wieści?

– Najprawdopodobniej znalazłem Staffa. – Zamykam oczy, aby nie patrzeć na poleską trójcę i aby łatwiej było mi przekazać niewesołe informacje.

– A dlaczego najprawdopodobniej? – słyszę ekscytację pod drugiej stronie czarnej słuchawki. Ekscytację wymieszaną z czujnością.

– Znalaziono ciało – mówię ściszym głosem i po chwili dodaję – trup miał przy sobie dokumenty kapitana Adama Staffa.

W słuchawce zalega cisza.

– Czy to pewne? – pada w końcu nieśpieszne pytanie.

– Nie... – Otwieram oczy, spotykam się ze spojrzeniem Biernackiego. – Ciało leżało w wodzie tydzień, nie ma pewności.

– Jak to tydzień? – głos Mayera traci swoją ciepłą barwę.

– No, tydzień. Człowiek, którego wyłowiono i który posiadał dokumenty Staffa zginął tydzień temu – ciągnę, patrząc prosto w oczy diabła poleskiego.

Stłumione przekleństwo rozbrzmiewa z ebonitowej słuchawki.

– Jak? – wydobywa się w końcu zduszone pytanie.

– Nie wiadomo... Coś go chyba zaatakowało.

– Co go zaatakowało? Człowiek, zwierzę? – Gdzieś w Warszawie zaczynają reagować coraz bardziej nerwowo.

– Nie wiadomo...

Po drugiej stronie cisza, słychać tylko metaliczne trzaski.

– Będę prosił o pełen raport. – Sapnięcie, a potem ciężki głos po drugiej stronie.

– Oczywiście, dzisiaj prześlę przez Korpus.

Znowu cisza.

– Jakie są dalsze rozkazy? – pytam po chwili.

– Proszę upewnić się, że to Adam Staff i wracać natychmiast do Warszawy – pada kategoryczny rozkaz.

– Dlaczego? – Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. – A wyjaśnienie przyczyny śmierci?

– Proszę wracać – podkreślone jeszcze sztywniej.

– Ale przecież dostałem rozkaz wyjaśnienia...

– To jest rozkaz! – głos Mayera już rezonuje bez żadnej taryfy ulgowej. Następuje dźwięk zerwanego połączenia.

Odkładam słuchawkę na widełki i w milczeniu wpatruję się w nią, po czym coraz bardziej zaniepokojony wychodzę z gabinetu Korpusu i kieruję się ku komisariatowi. Nie wiem, co z tym zrobić. Wcześniej zaś zahaczam o „Warszawiankę” i umawiam jak najszybsze spotkanie z Kontrymem. Pozostała jeszcze jedna rzecz, wykręcam numer.

– Dzień dobry, z kim połączyć? – metaliczny głos telefonistki.

– Poproszę z numerem siedem, siedem, pięć, trzy, cztery – podaję z głowy numer Agaty – albo wie pani co... – łapię wzrokiem swoje odbicie

w szybie – niestety muszę się rozłączyć. Przepraszam za kłopot. – Sam nie rozumiem, czemu się rozłączam. Nagle czuję się zupełnie odległy od kobiety, która jeszcze niedawno była dla mnie wszystkim. W ciszy odkładam słuchawkę na widełki i wpatruję się w przestrzeń za oknem, w zabłocone odrażające Polesie. I bardzo, ale to bardzo pragnę spotkać się z Urszulą.

* * *

– Panie komisarzu, jeżeli to jest Staff, to mamy tutaj poważny problem – mówię, wpatrując się w widok za oknem w gabinecie Adlera. Nie chcę pogodzić się z tym irracjonalnym rozkazem i jeszcze przez chwilę mogę się z niego wymigać. Planuję wyjechać dopiero w poniedziałek.

– Co pan nie powie? – Komisarz stuka palcami w blat. – Mam wstępny raport Jankisza. Czy miał pan informację o jakichś szczególnych znakach kapitana Staffa?

Sięgam po teczkę, którą zabrałem z Warszawy. Wertuję papiery w poszukiwaniu informacji.

– A co znaleziono? – pytam, kiedy w końcu znajduję potrzebny mi dokument.

– Długą bliznę biegnącą przez całą lewą nogę.

Zaciągam się głęboko papierosem. Więc jednak, zamykam oczy i próbuję przywołać obraz twarzy przyjaciela.

– No to chyba rozwikłaliśmy jeden problem – cedzę przez zęby każde słowo. Czuję zarazem, jak mnie oblewa pot. – I wcale nas to nie przybliżyło do rozwiązania. Mamy do czynienia z kapitanem Staffem, na pewno. Staff miał taką pamiątkę po bolszewickiej szabli.

Relacjonuję to, czego dowiedziałem się do tej pory. Ręką w kieszeni dotykam starej pamiątki. Nie ma tego zbyt wiele, ale jednak rysuje się jakiś obraz.

– I co pan na to? – zwracam się z pytaniem do komisarza.

– Pyta mnie pan, czy podejrzewam wojewodę albo tego tajemniczego Romana? Nie wiem. Poza tym motyw jest niewyraźny. Uważam, że to nie wojewoda. Nie ufa mi pan? – Wbijają we mnie wzrok.

– Bo... – postanawiam zagrać va banque – to brzmi, jakby mnie pan odciągał za wszelką cenę od wojewody. – Podnoszę rękę w geście obronnym, widząc jego reakcję. – Wspominał pan, że wypełnia jego rozkazy, ale to jest wręcz nadgorliwe.

– I co w związku z tym? – Oczy Adlera zwięzają się, jest czujny niczym drapieżnik.

– Nie mogę wykluczyć, że jest pan po prostu człowiekiem Biernackiego, a nie tylko urzędnikiem, który wypełnia polecenia. W tym poleskim piekle nie wiadomo, kto jest kim i kto komu służy. Szczególnie jeżeli chodzi o urzędników państwowych. Och, proszę się nie zgrywać, jest ich wielu. Nie należy pan do bliskich współpracowników hrabiego Zviaholskiego, o czym można było się przekonać na raucie. Ale zarazem wiadomo, przyjaciel mojego wroga jest moim przyjacielem. Pana obecność na raucie wskazuje, że nie jest pan przynajmniej jego wrogiem.

Adler milczy, zaszepiony, patrzy w okno. Na placu majaczy niewyraźny tłum tubylców, wielokolorowa ciżba.

– Racja. Prawdą jest, że Biernacki ma swoich ludzi. Na przykład Troplitza, ale to już wiemy. Podejrzewam kilku urzędników dawidgródzkich, no i chyba kapitan Horyc należy do grona sympatyków wojewody. Proponuję, abyśmy na razie zatrzymali się w naszym wąskim gronie – komisarz Adler ze wszystkich sił stara się przejąć inicjatywę.

– To, co pan mówi, niczego nie tłumaczy.

– Widzę, że nie przekonam pana inaczej – mówi, otwierając jedną z szuflad biurka.

Jeżę się i napinam, czyżby sięgał po broń? Dłoń dyskretnie przenoszę tak, aby łatwiej było wyciągnąć z kabury pistolet. Nic takiego się nie dzieje, bowiem Adler podaje mi teczkę.

Z szuflady wyciąga starą cebulę, odpina dewizkę i podaje mi czasomierz.

Ważę w dłoni, oglądam cacuszko, wartość przekraczająca moją i jego pensję.

– Proszę spojrzeć na dedykację.

Posłusznie otwieram cebulę – „Wiernemu przyjacielowi Marianowi Adlerowi ze straży na granicy Rzeczypospolitej K. Młot-Zviaholski”. Tego faktycznie by nie podrobił. Dowód zaufania, rzecz droga, niewarta

wyprawki, aby próbować kogokolwiek przekonywać w ten sposób. Do tego łatwo falsyfikowalna, wystarczy spytać hrabiego.

– Ale przecież i to można podrobić. Czemu tylko tak...

– Można, można – Adler pyka fajeczkę – ale przecież takie oszustwo byłoby dziecinnie proste do wykrycia. Wystarczy, aby zadzwonił pan do hrabiego i spytał. – Adler mruży oczy niczym kot.

– To czemu...? – Otwieram usta, ale nie potrafię sformułować myśli.

– Byłem traktowany na raucie jak parias? – przerywa mi Adler. – Bo nie wszystko musi być widoczne. O to w mojej z hrabią współpracy chodzi. Wszystko po cichu. Pawłowicz jest na świeczniku, bo tak ma być. Powiem panu w zaufaniu, że nawet on o mnie nie wie, to jest decyzja hrabiego.

Wpatruję się w krajobraz za oknem, w oddali dachy, cerkiew, wcześniej kryte słomą chaty i ten nieszczęsny plac.

– Rozumiem. No dobrze, ale czemu nie wojewoda miałby być odpowiedzialny za zamieszanie na kresach? – wracam do tematu. – Hrabia by chciał, aby to był on, ale ja stoję na straży rozsądku. Ale jeżeli to wojewoda, co możemy zrobić?

– Nie wierzę w jego szaleństwo – mówi w końcu. W ciasnym gabinecie roznosi się dym z fajki, aż robi się duszno. – A raczej wierzę, ale wiem, że nie jest głupcem. A zabójstwo Staffa byłoby głupie. – Stuka ręką z fajką o biurko. – Koniec końców pan tutaj przyjechał i zaczął węszyć. Wtrzyił się Troplitzowi w jego walki z komunistami, nie wiadomo, jaki z tego wyniknie ambaras. O nie, wojewoda może i zabijał, ale nie zabił Staffa. Dlatego że to by zwróciło na niego uwagę. Ja wiem, co mówi hrabia, ale nie podzielam w pełni jego stanowiska, ja po prostu wolę realizm.

– W takim razie jesteśmy w punkcie wyjścia. – Stukam w krzesło palcami.

– Niestety tak...

– Pozostaje zacząć od zera i przyjrzeć się miejscu znalezienia ciała – zwracam się do komisarza.

– To jest dopływ Prypeci, ciało mogło zostać wrzucone albo do samej Prypeci, albo do któregoś z jej dalszych dopływów na północ od nas.

– W Mokroci na przykład.

– Też, ale i w dziesiątkach innych miejsc. Nie dojdiesz.

Kiwam głową w zamyśleniu. Masz ci los, Polesie... Bagniska, rozlewiska, pustkowia.

– No nic, i tak sprawa będzie musiała poczekać. Jutro świętujemy i prawda jest taka, że jeden dzień zwłoki tym zwłokom nie zrobi różnicy.

– Czy mogę coś zrobić?

– Na razie nic. Dopiero po sobocie.

Zamykam oczy, pod powiekami pojawia mi się obraz Adama Staffa. Nie mogę powołać się na polecenia z Warszawy, bo moje zadanie zostało zrealizowane. Nie mogę jednak też wyjechać. A może powinienem.

– Ma pan rację – oddycham ciężko – właściwie wypełniłem swoje zadanie, teoretycznie mógłbym się odmeldować.

Przerywa nam pukanie do drzwi, za przodownikiem czai się wystraszony Licynka.

– Niiee, nie prze-prze-szkadzam? – znowu się jąka.

– Proszę wejść – Adler odzywa się urzędowo.

– Nie nie nie udało mi-mi się wszy-wszystkiego sprawdzić – widać, jak się poci – ale-ale uda-udało mi się jeden do-do-dokument zba-zbadać. O-ocalał w dobrym sta-stanie. I są-są-sądzę, że pa-pa-panowie będą woleli go zo-zobaczyć.

Wyciąga mały kartonik, który tak dobrze znam. Wizytówkę z prostym drukiem: Adam Staff.

– Bę-ęde da-dalej pracował – ucieka, kiedy tylko nasze oczy się spotykają i jest w tym geście jakieś przerażenie.

* * *

Wracam przybity, zahaczam o „Warszawiankę”, aby zadzwonić do Agaty. Wolałbym chyba porozmawiać o całej sprawie z Urszulą, ale nawet nie wiem, czy we dworze jest telefon. Kłuje mnie w sercu.

– Halo, Maruś? – rozbrzmiewa ciepły głos po drugiej stronie słuchawki.

– Dzień dobry, Agato... – Czuję niezwykłą wręcz pustkę, nie wiem, czy zdołam ją ukryć w głosie.

– Czy stało się coś? – słyszę szczerze zaniepokojony głos.

Patrzę przez okno restauracji na brudne miasto. Na stojącego pośrodku placu Mośka. W jednej ręce międli coś, drugą szarpie brodę, wokół niego rozwrzeszczana dzieciarnia.

– W Dawidgródku spadł śnieg – mówię zgodnie z naszym ustalonym kodem, dla nas tylko czytelnym.

Cisza. Mosiek zwraca się nagle w moją stronę i chociaż nie może mnie widzieć, wydaje się, że patrzy na mnie.

– Mój Boże... – słyszę westchnięcie Agaty – wracaj szybko.

– Wrócę... ale później, niż planowałem. – Ręka spoczywa na gwieździe w kieszeni. Nie za bardzo wiem, co ze sobą począć.

* * *

W drodze na kwatery wpadam na Zbynia, który żwawo kroczy w stronę magazynu. Pogwizduje, zadowolony z życia, ubrany w dobrze skrojony mundur. I kiedy tak patrzę na niego, znowu kłuje mnie w sercu to straszliwe uczucie, jakby mi ktoś wbił szpikulec.

– Słyszałem, że znaleźli jakieś ciało, czy to...? – Przyglądza niesforne włosy dłonią, ni to strapiony, ni to zaintrygowany.

– Tak. – Kiwam głową bez entuzjazmu. Przypatruje mi się, wiem, że rozumie wszystko.

– Mogę zaproponować ci wódkę – mówi po chwili.

– Chyba nie teraz. – Gestem ręki staram się przykryć moją konsternację.

– Rozumiem. – Kiwa głową.

Odwracam się i wtedy moja stopa wpada w rozpadlisko, które Bóg wie jak pojawiło się między kostkami bruku. Nogę przeszywa tępy, rwący ból. Złamana nie jest, ale boleśnie stłuczona. Cedzę przez zęby przekleństwa, próbuję rozmasować, ale wysoki but nie ułatwia zadania. Zbyniu przygląda mi się ze współczuciem.

– Coś niepojętego, taka ta nasza Polska kresowa. – Kręci głową, ale nie kontynuuje tematu.

Zauważam, że traktuje mnie z jakimś dystansem, a nawet oschłością, których wcześniej nie było. A może tylko mi się wydaje? Wymieniamy jeszcze dwie lub trzy banalne uwagi, ale jednak pozostaję w dziwnym stanie niepewności.

* * *

Przed wieczorem udało mi się odbyć jeszcze tylko rozmowę z Kontrymem, który nie krył swojego zaniepokojenia historią ze Staffem. Dziś nic już więcej nie zdziałam. Pozostaje mi wrócić na kwaterę i przemyśleć pewne kwestie.

Pani Zwiślowska wita mnie chłodno, ale i bez wymówek. Dawidgródek, niczym korytarze ministerstwa, posiada doskonałą sieć informacyjną. Gospodyni mówi, że zupę poda mi w pokoju, bowiem w stołowym właśnie jest sprzątanie. Idę więc do swojego pokoju. Uchylam okno, aby wpuścić nieco świeżego majowego powietrza i kładę się na łóżku. W ostatniej chwili skaczę na równe nogi i sięgam po leżące na biurku tomiszczce Ossendowskiego, bodajże po *Lenina*. Żmiję trafiam w locie, w ostatniej chwili, nim jej zęby zagłębiły się w moją rękę; gad wpił się na szczęście w książkę. Syczy wściekle, kiedy raz za razem uderzam tomiszczem o biurko. Zębiska puściły, stwór wyraźnie otumaniony. Nie zaprzepaszczam okazji, ciężkim oficerskim butem miażdżę żmijowy łeb. Pojawiają się jakieś wspomnienia z dzieciństwa, msza i obraz. I myślę, że jestem niczym Święty Jerzy na miarę naszych czasów, bom rozsmarował butem mózg, juchę i kości gada na poleskiej podłodze. Cholerna *Vipera berus* leży bezwładnie na podłodze, kiedy do pokoju wpada gospodyni zaalarmowana hałasem. Blednie, widząc ścierwo na ziemi.

– Boże przenaświętszy – żegna się zamaszycie – czy to żmija?

– Na to wygląda.

– Ale skąd ona? – Obrzuca pokój nerwowym spojrzeniem. – Przecież one nie wchodzi tak normalnie. Boże Święty, Boże Święty... – Załamuje ręce. – Nastka, chodźże tu szybko z wodą. Nic panu nie jest? – reflektuje się nagle i nawet próbuje spojrzeć zalotnie.

Przeczę ruchem głowy i wpatruję się, jak Nastka zmywa podłogę i jak jej spódnica opina się na pośladkach. Przychodzi Zwiślowski, który z równym

niedowierzaniem kręci głową nad żmiją. Obydwoje powtarzają, że to niemożliwe, aby żmija wpełzła tak sama. Zresztą one tak same z siebie nie atakują. Pojawiają się więc i zaklęcia, i modlitwy, i różne absurdalne wytłumaczenia magiczne, których muszę wysłuchać nad filiżanką herbaty.

Wreszcie siadam przy biurku i staram się metodycznie wyliczyć wszystko, co wiem, a potem spróbować to rozpisać i połączyć w jasną całość. Noga cały czas boli. Kiedy kończę, wychodzą mi dwie możliwości, przy czym wyraźniejszą jest zdecydowanie nie ta, którą bym brał pod uwagę na początku – czyli Dowgird. Dziwna sprawa... Staram się napisać list do Agaty, ale coś mnie powstrzymuje, piszę natomiast inny, do Urszuli, ale drę go na strzepy i palę w płomieniu świecy. W dłoni ściskam starą gwiazdę. Zamykam oczy i oddycham głęboko.

Jestem w okopie, nad głową latają pociski, słyszę krzyki rannych. Obok mnie wybuch wznosi kopczyk ziemi, czuję jej smak na ustach, zmieszany z krwią. Do okopu wpada czerwonoarmista o wścieklej twarzy, małe mongolskie oczka lustrują mnie spojrzeniem.

– Nu, Lachu. – Wyciąga do mnie szponiastą dłoń.

Nie mogę odbezpieczyć broni, mocuję się z pistoletem, Mongoł zaś idzie na mnie. Czuję zapach jego potu, krwi, niemytego ciała, czosnku, wódki. Czuję, jak brudne ręce zaciskają się na mojej szyi. Staram się walczyć, ale rana w boku nie pozwala mi na to. Zaciskam ręce na czerwonej gwiazdce u jego klapy, opadam z sił. Otacza mnie ciemność.

Jakieś ręce ciągną mnie, czuję, jak przywiązują mnie do drzewa. Otwieram oczy, samotne drzewo na polu, obok mnie dwóch czerwonoarmiejców, Mongoł i jakiś drugi, wyglądem przypominający małpę, coś szwargocą, cieszą się, wylapuję pojedyncze słowa, że moi uciekli i że się zabawią z białym Polakiem. Mongoł idzie do mnie z bagnetem w rękę, słyszę, jak syczy *będziemy riezat Lachów*. Nagle moją twarz oblewa ciepła metaliczna ciecz. Uścisk dłoni staje się lżejszy. Otwieram oczy, widzę przygniatającego mnie Mongoła.

– Wstawaj – Staff spycha ciało ze mnie – jeszcze jakimś bakcylem się od niego zarazisz.

Otwieram oczy, znowu jestem w domu Zwisłockich. Zaciskam pięści i z wściekłością wbijam je w szorstką pościel, po raz kolejny ślubuję, że dorwę mordercę Adama. Dorwę, bez względu na rozkazy. Wbijam paznokcie w dłoń aż do bólu. Zасыpiam znowu.

– Weź mnie – szepcze mi do ucha głos.

Nie wiem, czy to śpiew, czy nie. Kiedy otwieram oczy, widzę jedynie ciemność.

– Weź mnie – szepcze znowu głos pełen słodyczy. Czuję na sobie ciężar i ciepło, ale nie mogę rozpoznać osoby. – Weź mnie... – zimna dłoń łapie moją i prowadzi ku swojemu ciału – teraz. – Czuję pod cienkim materiałem piersi nabrzmiałe. – No weź... – Zbliża usta do moich ust, muska je delikatnie.

Czuję, jak działa na mnie jej obecność. Jak rozlewa się ciepło po moim ciele. Istota unosi się i moją rękę prowadzi dalej. Ja zaś czuję się całkowicie bezwolny i sparaliżowany. Czuję, jak pochłania mnie lęk, nie mogę niczym, ale to niczym ruszyć, a ona mnie zaczyna dosiadać, jej język wchodzi do moich ust.

– Weźźź mnie – zaczyna syczeć – posiadź mnie.

Serce zaczyna mi bić coraz szybciej i szybciej. Błyskają żółte oczy diabelskie. Oddech goni oddech. Zamykam oczy i otwieram. Czuję, że wracają mi siły, odpycham gwałtownie stwora w ciemność i znowu opadam z sił. Pograżam się w ciemności.

ROZDZIAŁ XI

Jarmark w mieście Dawidgródek

8 maja 1937

Budzę się z bólem głowy, boli też straszliwie noga, zegarek wskazuje, że spałem dłużej niż zazwyczaj i że jest dziewiąta rano. Zrzucam z siebie resztki przedziwnego snu o zmii, która była w moim ciele i kierowała moimi ruchami. Leżę ze wzrokiem wbitym w sufit i przypominam sobie o wczorajszych wydarzeniach. W ciągu zaledwie kilku sekund dociera do mnie prawda, która dobrotliwie uleciała na czas snu. Adam nie żyje. Przez chwilę kontempluję sufit, ale z odrętwienia wyrywają mnie stukot młotów i nawoływania żołnierzy Korpusu, które oznajmiają jednoznacznie, że jarmark z okazji święta majowego czas zacząć. A wszystko za zaledwie trzydzieści minut, ja zaś patrzę w lustro i widzę zmęczonego człowieka. Po odnalezieniu Staffa nie mam ochoty na imprezy, ale zarazem wiem, że to konieczność i patriotyczny obowiązek. Golę się, długo medytuję nad blizną na szyi, która pulsuje. Słyszę też głos w mojej głowie, głos mojego ojca: „obowiązkiem prawdziwego mężczyzny jest zemsta”. Schodzę na śniadanie, domowników nie ma, czeka na mnie kilka kanapek przykrytych talerzem malowanym w kwiaty. Nie chce mi się jeść, patrzę na talerz i czuję wzbierające mdłości, zamiast tego zapalam papierosa i zaciągam się dymem. Kiedy tak siedzę, do pokoju wchodzi Zwiśłocki.

- O, wstał pan? Dobrze się spało?
- Fatalnie.
- A to ciekawe, mnie jakiś hałas obudził w nocy i się rozbudziłem.
- Ja nic nie słyszałem, ale miałem koszmary.
- Anielka chyba też miała... Biedactwo obudziło się ze straszną migreną i musi leżeć.
- Faktycznie straszna noc – mówię wpatrzony w żar papierosa.

* * *

– No to co, Maurycy? – Klepie mnie po ramieniu Zbysiu Pawłowicz. – Chyba pójdziemy na ten jarmark? Makary Horyc gotów się obrazić.

– Czy ja wiem? – Krzywię się znacząco, szczególnie że noga cały czas mnie boli, nie mówiąc już o sprawie ze Staffem, od której boli mnie serce. Mam poczucie, że powinienem tu i teraz działać jeszcze bardziej efektywnie, ale że brak mi punktu zaczepienia. Opowiadam mu też o żmii.

– Coś podobnego – kręci głową zafrasowany – żmija? Coś podobnego, ależ nie żartuj. – Uśmiecha się i podaje mi jednocześnie cukierka. – Ale na święto idziesz, prawda? W końcu to święto. Rozumiem, że sprawa ze Staffem ma teraz priorytet, ale spójrz na to z innej strony, na jarmarku będzie cały Dawidgródek, to dobry moment, aby się przyjrzeć i poanalizować. A nuż znajdziesz odpowiedź na frapujące cię pytania. Poza tym, czy kiedykolwiek przeżywałeś takie święto w tak urokliwym regionie Polski? – Ponownie klepie mnie po ramieniu, przekłęty entuzjasta, nachyla się i szepcze mi do ucha: – Przecież wiesz, że trzeba się rozejrzeć i pilnować całej sytuacji – ostatnie słowa mówi twardo – szczególnie po tym, co stało się wczoraj.

– Chyba faktycznie masz rację – próbuję odpowiedzieć wesoło – nie możemy zawieść naszego oficera od spraw kultury.

– Poza tym – nachyla się – może on się zjawi?

– On? – pytam z nieskrywaną nadzieją w głosie, czyżby była szansa spotkać tego wszechpotężnego diabła?

Pawłowicz unosi oczy ku górze, sugerując, o kogo chodzi.

– A więc mam szansę spotkać samego wojewodę. – Wpatruję się w budowane dekoracje.

– I oto prawidłowy duch – odzywa się za nami głos; to pułkownik Kula – przecież trzeba wypełnić nasz państwowy obowiązek. To było w tysiąc dziewięćset piątym, mieliśmy taką sytuację... – Milczę, starając się zachować życzliwy uśmiech i nie okazać, że najchętniej zakneblowałbym go.

„Zapraszamy na świętowanie Piątego Majowego Festynu z okazji proklamowania Konstytucji 3 maja przez KOP Dawidgródek” – bije w oczy

wielki transparent rozwieszony między drzewami. Na placu ćwiczebnym, na którym zorganizowano prowizoryczne stoiska i ustawiono ławy oraz scenę, kręci się całe mrowie ludzi. Wbrew mojemu sceptycyzmowi rzeczywiście są tu przedstawiciele wszystkich mniejszości, zamieszkujących Dawidgródek. Żołnierze Korpusu w zielonych mundurach, całe rodziny polskich urzędników, jakiś weteran „Strzelca” o sumiastych wąsach, chłopci tutejsi, a ponieważ była niedziela, to i Żydzi. Mozaika równie kolorowa jak na targowisku. W tłumie, obok źle ubranych żon urzędników, umundurowani na galowo żołnierze Korpusu, do tego całe wręcz mrowie miejscowej dzieciarni w czapeczkach. Jest gwarno i bardzo ludowo, chce się powiedzieć swojsko. Miesza się polski z jidysz i z dialektem tutejszym, ktoś klnie, ktoś się śmieje, mały chłopiec krzyczy *maraziny, maraziny*. Nad wszystkim łomoczą sztandary Rzeczypospolitej i transparenty bogoojczyźniane, werble gdzieś grają. Patrząc ponad głowami na słupy telegraficzne, na jednym z nich siedzi chmara wróbli, odwracają swoje małe główki, patrzą na mnie. I zdaje się, że przez tłum po raz kolejny słyszę wyraźne: „Trupek, trupek”. Idę ku nim, ssąc cukierka, słodki smak rozplywa mi się w ustach.

Czuję, że ktoś mnie popycha, kręcę głową z niedowierzaniem, nie rozumiem, co się dzieje. Patrząc nieco otępiały, popchnął mnie głupi Mosiek, którego wysoka sylwetka znika gdzieś w oddali, pozostawiając za sobą zapach czosnku i kiszonki. Rozmasowuję skronie, znowu czuję ból głowy. Przy jednym ze stoisk wielki gar z grochówką, przy drugim z kapustą. Ciżba rozgadana, zajada się pajdami chleba ze smalcem, które KOP na tę uroczystość przygotował, i raczy kwasem chlebowym. Idę i ja się napić i od razu czuję się lepiej. Rozglądam się dookoła. Pawłowicz z uśmiechem wskazuje wzrokiem w prawo. Na podwyższeniu dumnie pręży się Horyc, wygłaszając płomiennie przemówienie i zachęcając do udziału w kolejnych atrakcjach.

– Teraz, szanowni goście, pragnę przedstawić... – wyłączam się. Głos ludzący podobny do znanego mi z warszawskiej Adrii czy z Oazy zaśpiewu konferansjera zapowiadającego występ kabaretu. Spróbuję się uśmiechać i udawać, że uważam taki festyn za uroczy pomysł.

Najpierw orkiestra odśpiewała hymn i całe towarzystwo mniej lub bardziej składnie powstało i zbiera się do śpiewu. Szczególnie Żydzi

wykazywali się dużym entuzjazmem. Potem większość ludzi postanowiła zająć miejsca przy drewnianych ławach, czekając, aż skapnie im coś z kopowskiego stołu. Tymczasem orkiestra rżnie po kolei szlagiery Korpusu: *Nie nosimy czap rogowych, Pierwszy bój, Żołnierski walczyk, Kop czuwa*. Przy piątym z kolei songu nawet niewzruszony optymizmem Zbyniu Pawłowicz jęknął i zaproponował, abyśmy rozejrzeli się po całym terenie.

Zapalamy po papierosie i pijemy piwo na jednym ze stoisk. Zimny trunek, przykryty grubą białą pianą, gorzkawy smak rozchodzi się w ustach, to lubię. Wnet dolatuje nas wesoły głos Horyca.

– A teraz, skoro już pokrzepiliśmy naszą polską duszę, czas, abyśmy zrobili coś dla ciała. Zaraz rozpoczną się wyścigi w workach, a w przerwach krótkie pogadanki na tematy higieny w domach i zagrodach.

– No, Maurycy – kiwa na mnie Zbyniu Pawłowicz – poznasz trochę prawdziwej pracy oficera propagandy.

– Dzięki wyścigom w workach? – Spoglądam na niego zirytowany.

– Zobaczysz.

Stoimy wśród rozwrzeszczanego ludku dawidgródzkiego, który z wypiekami na twarzy krzyczy, kiedy na linii startu stają zawodnicy w workach po ziemniakach. Wrzeszczą żydowskie dzieci, rzemieślnicy i rybacy. Znudzony patrzę gdzieś ponad publiczność, na las w oddali, kiedy dostaję stanowczego kuksańca od Zbynia.

– Teraz słuchaj uważnie. – Gdzieś pomiędzy moim uchem a nosem unosi się zapach karmelowego cukierka Pawłowicza.

– Z przyjemnością informuję, że tę rundę wygrał Josif Mordek, krawiec z ulicy Małej – krzyczy Horyc. – A teraz obiecany, wyczekiwany przez was wykład higieniczny. Szanowni państwo, dobrze wiecie, że nasze miasto leży zaledwie trzydzieści kilometrów od granicy z bolszewią. Tam, moi drodzy, ludzie żyją w niegodnych warunkach, jak bydłeta albo świnię w oborze. My, Polacy, tak nie żyjemy, dlatego pamiętajcie! Idzie wiosna, myć powinno się przynajmniej raz na tydzień, a chaty wietrzyć każdego dnia. – Uciekam myślami od tych instrukcji, patrzę na mrowie ludzi i staram się pojąć problem, z jakim się zmagam. Czuję, że nie mogę zogniskować myśli. – A teraz witamy na scenie profesora Jankisza! – wyrywa mnie z zamyślenia głos Horyca.

– A tam, gadanie – kwituje jego wypowiedź jedna z bab w kwiecistej koszuli. Ale inni skwapliwie kiwiają głowami, że jednak aprobują to, co mówi Horyc.

– Widzisz, to wbrew pozorom działa... – wcina się Pawłowicz. Słuchamy więc bufonowatego Jankisza, który nie kryje się z tym, że nie chce przemawiać, że go poleska dzicz mało interesuje, za to piwo z beczek, owszem! Peroruje jednak o wszach, o mydle, o wietrzeniu domów i o wszystkich, zdawałoby się, oczywistych sprawach. W końcu schodzi ze sceny wyraźnie zmęczony.

Zawody jeszcze dwukrotnie przerywają podobne pogadanki, za każdym razem Jankisz nieco bardziej zmęczony. Ogłaszają, że zaraz grupa teatralna Korpusu wystawi fragmenty z *Przedwiośnia*. Rezygnuję z oporu, idę ze Zbyniem pod scenę. Ludzie wyrażają umiarkowane zainteresowanie, coś tam komentują po tutejszemu, nawet klaszczą, ale bez zbytniego emocjonowania się. Nagle przez tłum przechodzi szmer. Wyczuwa się wyraźne poruszenie, wręcz namacalne. Zebrani zmieniają się w rój pszczoł, który brzęczy jedno słowo w swoich językach, które dociera w końcu i do mnie: wojewoda, *gaspadin*, *provints general*. Żołnierze automatycznie przyjmują postawę zasadniczą, każdy ożywia się jak zawsze, kiedy przybywa władza. Zżera mnie ciekawość, wychylam się zza ludzkiego roju.

– Mieszkańcy Dawidgródka – Horyc dwoi się i troi na scenie – przywitajmy naszego dobrodzieja, gospodarza naszego województwa, wojewodę Waclawa Kostka-Biernackiego. Wiadomo, że co roku wojewoda odwiedza niezapowiedziane któryś z garnizonów świętujących rocznicę Konstytucji trzeciego maja, tym bardziej cieszymy się, że tym razem wybrał Korpus dawidgródzki.

Wybuch dziki wręcz entuzjazm, Poleszucy klaszczą i gwizdzą, Polacy też klaszczą, niektóre dzieci krzyczą i tupią. Jakaś dziewczynka biegnie z kwiatami. Wydaje mi się, że widziałem już takie zachowania na jednym z filmów pokazywanych w ministerstwie, nie mogę sobie przypomnieć tytułu.

– Dawidgródczanie. – Mikrofon sprzęga się i słychać nieprzyjemny pisk, wojewoda niezrażony milczy chwilę, czekając, aż dźwięk się uspokoi. Jest niski, ma długą, pociągłą twarz, zaczesane na bok długie ciemne włosy.

Garbi się lekko, spode łba lustrując zebranych głęboko osadzonymi rybimi oczami. Na pierwszy rzut oka nie wydaje się straszny, wręcz pocieszny. Nawet, rzekłbym, nieco „licynkowaty”. Ale kiedy patrzy tak po zebranych w ciszy, czuć napięcie. Wszyscy wiedzą, że wojewoda ocenia. Przez chwilę patrzy również na mnie, jego wzrok zatrzymuje się, rybie oczy mrużą, aby zaraz przejść na Pawłowicza. – Dawidgródczanie – podejmuje – pewnie zachodzicie w głowę, dlaczego w tym roku wybrałem właśnie wasze miasto? Wszak województwo poleskie jest duże, są i inne miasta. Mamy Pińsk, mamy Łuniniec, Kobry, Purzany, jest Bereza, jest wreszcie i Brześć nad Bugiem, nasza stolica. Wszystkie one są ważne i piękne. Ale tylko jedno z miast jest tak daleko na wschód wysunięte, tylko jedno jest tak blisko naszego odwiecznego wroga, wroga Polski, wroga Polaka, Poleszuka, Żyda, Niemca i Ukraińca, wroga całego Polesia i całej ludzkości, i wreszcie wroga samego Boga, wielkiego Sowietu, tego wzgardziciela wszystkiego, co wzniosłe, co piękne, co dobre. Niszczyciela! Wy, kochani kopiści, wy, dawidgródczanie, wy, wierni Rzeczypospolitej mieszkańcy Polesia, jesteście pierśią, która broni Polski przed tym, który chce to wszystko pochłonąć. Przyjechałem, aby wam podziękować za pomoc i za waszą służbę, a także podzielić się wspaniałą wieścią. Wczoraj w nocy został ujęty agent komunistyczny. Było to możliwe właśnie dzięki oficerom Korpusu dawidgródzkiego. Gdyby nie kapitan Jarosław Troplitz i podległy mu batalion, ten groźny człowiek dalej by działał na szkodę naszego wspaniałego kraju. Ludu Polesia! Cieszcie się, bowiem los dał nam wspaniały prezent na rocznicę Konstytucji trzeciego maja.

Wybuchają jeszcze większy entuzjazm, łopoczą proporczyki biało-czerwone, wojewoda tymczasem schodzi powoli ze sceny, orkiestra już gra piosenkę Biernackiego *Jedzie, jedzie na kasztance*. Ja zaś staram się przedostać bliżej niego, może uda mi się porozmawiać. Przepycham się więc przez wiwatujących ludzi, przez wytworne pachnące toalety i garnitury, przez pachnące kozą kozuchy, przez zatechłe chałaty. Wojewoda idzie w szpalerze żołnierzy, chociaż niski, widać, jak bije od niego charyzma. Odrącam śmierdzące spocone dłonie, uperfumowane panie, toruję sobie drogę, to przepraszam, to pardon. Ale kiedy dochodzę bliżej, widzę tylko, jak zamykają się za Biernackim drzwi jego czarnego samochodu.

– Panie wojewodo! – nie poddaję się jednak i krzyczę.

Nie słyszy mnie, a może słyszy? Bowiem na chwilę się odwraca. Ponownie patrzą na mnie rybie oczka.

– Panie wojewodo! – Czuję, jak ciżba mnie wchłania.

Do Biernackiego nachyla się ktoś z obstawy, ten kiwa głową i chevrolet odjeżdża. Pozostaje mi tylko śledzenie wzrokiem odjeżdżającego samochodu.

* * *

Ktoś był w moim pokoju i najwyraźniej czegoś szukał. Uderzyło mnie to od razu, gdy wróciłem na kwaterę. Trudno mi powiedzieć, skąd mam pewność, że przeszukano moje prywatne rzeczy, ale wiem. Unosi się jakby znajomy zapach, lekko kwaśnawy, trochę otumaniający. Nie mogę jednak sobie przypomnieć, skąd go pamiętam. Siadam na łóżku, zapalam papierosa i próbuję uporządkować myśli, wiem, że muszę zobaczyć, czy nic nie zginęło. Chcę wstać, ale ogrania mnie przemożna senność.

Sen, bo przecież to był sen, był przedziwny. Gdybym nie wiedział, że to sen, aż trudno byłoby mi uwierzyć. Leżałem na łóżku, spojrzałem wokół siebie, pokój w niczym się nie różnił od tego, jakim widziałem go wcześniej. Wyszedłem z pokoju, w stołowym nikogo nie było, podobnie jak w pozostałych pokojach. Stałem w korytarzu, na którego ścianach mieniły się patriotyczne grafiki, na podłodze dywanik. Nagle coś przebiegło między drzwiami. Coś małego i coś dziwnego. Kudłatego. Przechodzę do pokoju jadalnego. Pianino, na nim rozłożone nuty. Nic niezwykłego, ale nagle słyszę, że klawisze grają. Grają same. A raczej coś biega tam i z powrotem po klawiszach. Podszedłem i z trudem powstrzymałem odruch, aby nie przetrzeć ze zdziwienia oczu. Na czarno-białej klawiaturze stoi mały człowieczek z długą brodą.

– Coś ty? Czort. – Przecieram ze zdziwieniem oczy.

– Nie czort – odpowiada piskliwym głosem – domowik.

– Mam omamy jak nic... – Kręcę głową.

– Nie omamy. A w ogóle wynoś się z tego domu, nieszczęście ściągasz, kutasie jeden.

Patrzę wokoło, za oknem piękny słoneczny dzień, na pianino padają promienie słońca.

– Licho przeklęte, omamy – powtarzam pod nosem, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Lichem też, kurwi synu, nie jestem – odpowiada dziad – wypierdalaj, chuju, z tego domu!

Właśnie skłęły mnie moje własne omamy, drapię się po policzku, przeklęte Polesie.

– Ten chuj jeszcze tutaj licho przyciągnie – jakiś inny piskliwy głos odzywa się za mną.

Odwracam się. Widzę, że omamy chodzą parami. Na kredensie stoi jakaś mała babina w szmatach, ma sękate ręce i nogi. Czterdzieści centymetrów w porywach.

– A ty coś za jedna?

– Kikimora, skurwysynu. Nasze one są. Nie twoje...

– I wszystko jasne. – Coś sobie przypominam, faktycznie kiedyś wierzono w takie bzdury, chyba ludzie po wsiach cały czas w to wierzą.

– Wypierdalaj z tego domu! – piszczy staruch.

– Ta, na pewno. – Czemu to tak przeklina piekielnie.

– Ale już, jebako!

– A pies to was... – Krzywię się, po czym walę na odlew w omama. Staruch leci na ścianę. Pisnął i zniknął.

Wychodzę na taras, gdzie praży niemiłosiernie słońce. Od strony sadu idzie jakaś postać. Światło nie pozwala rozpoznać jej, ale zdaje się, że to kobieta. Bo żaden mężczyzna tak by się nie poruszał. Kobieta, i to naga kobieta – orientuję się po chwili. Odzywa się do mnie, a ja chociaż bardzo się staram, nie jestem w stanie zrozumieć jej słów.

– Panie kapitanie – to Nastka szepcze mi nad uchem – panie kapitanie, kolacja na stole – powtarza ponownie, energicznie, nachalnie – bo znowu pan nie zje i się pani Zwisłocka będzie denerwować.

– Jak to kolacja? – Podnoszę się nagle, brutalnie obudzony.

– Kolacja świąteczna – mówi ciepłym melodyjnym głosem, jak zwykle silnie akcentując ze wschodnim zaśpiewem.

– Która godzina? – pytam nieco nerwowo.

– Dziewiętnasta.

Przecieram oczy i patrzę na dziewczynę. Wstaję z lekkim ociąganiem, łóżko trzeszczy z całkiem wyraźnym stęknieniem. Cały czas miałem na sobie teraz już pogniecioną koszulę i bryczesy. Powiedziałem, aby przekazała, że za chwilę przyjdę. Zamykam oczy i energicznie macham głową, aby odpędzić te obce mi senne myśli. Doprowadzam się do porządku i pełen krytycyzmu wobec siebie idę do jadalnego w trop za zapachem pieczystego. Jak to się stało, że przespałem pół dnia i to tak ważnego? Zachodzę w głowę, ale nie mogę znaleźć odpowiedzi, powinienem być na tropie mordercy Staffa, tymczasem czuję się otępiały.

Za stołem siedzą już wszyscy domownicy. Obrzucam spojrzeniem rodzinę Zwisłockich. Nabzdyczona Aniela, nieświadomy życia erotycznego swoich kobiet Zwisłocki, nadęta Zwisłocka. Czyżby naprawdę to Aniela w postaci sukkuba zakradła się do mnie w nocy i to ją zrzuciłem? Mamrocze pod nosem jakieś przeprosiny za spóźnienie i pokornie siadam przed talerzem, na który już nałożono pieczeń.

– Rzadko pan bywa u nas – rozpoczyna z wyraźnym wyrzutem Leokadia – ani nie śniada u nas, ani na obiad nie raczy przychodzić, o kolacjach już nie wspominając. – Ani w alkowie, dopowiadam w myślach. – Czyżby nasza rodzina była panu niemiła?

– Ależ skąd. Po prostu takie mam zadanie, że muszę jeździć po całym Polesiu. Dawidgródek to nie to co Warszawa i tracę poczucie czasu – magiero niedorznięta, dodaję za Tuwimem w myślach. – Właśnie, à propos bytności na posiłkach i w ogóle w domu – rozpoczynam, gdy na stół wniesiono perliczkę w kapuście – dostałem możliwość wybrania się na wyprawę po Polesiu i nie będzie mnie przez...

Moją wypowiedź przerwało upuszczenie przez Natkę dzbanka z kompotem. Porcelanowe naczynie, duma rodzimej produkcji prosto z Ćmielowa, rozbiło się na małe kawałeczki. Chwilę trwamy wszyscy zawieszeni w dziwnej scenie.

– Idiotka! – pisnęły równocześnie matka z córką. Biedna dziewczyna skuliła się ze strachu w obawie przed razami gospodyni, które

najwyraźniej nieraz spadały na jej głowę. – Dostaniesz za to! – gospodyni już wstała od stołu.

– Niech jej pani nie karze – odparłem spokojnie, kiedy Leokadia zamachnęła się już na biedną dziewczynę.

– A co, zapłaci pan za stratę? – syknął sfrustrowany babiszon.

– Zapłacę – odpowiadam równie spokojnie, chociaż w duchu trochę dziwię się swojej reakcji.

– Ale, ale... – Leokadia.

– Leokadio! – krzyknął satrapa-safandula pan Leopold – nasz gość zdecydował. – Jego żona tylko fuczy ze złością, ale milczy.

Po kolacji z jadalni wyczłapał pan Leopold i jego kobiety, a mnie naszła ochota, aby spojrzeć na ścianę w pokoju. Wgniecenie było, co nie wzbudziło mojego entuzjazmu. Nie pamiętam, czy było przedtem, czy nie. Obejrzałem się, kiedy usłyszałem kroki. Nastka stała ze spuszczoną głową.

– Chciałam panu podziękować – zaczyna.

– Nie ma za co – odpowiadam, licząc w głowie wartość dzbanka z Ćmielowa.

– Oj jest. Mało kto by coś takiego zrobił.

– E tam, głupie gadanie. – Macham ręką.

– Niech pan idzie do szeptuchy – wypala nagle – proszę – dodaje drżącym głosem.

– Żartujesz, Nastko?! – parskam. – Niby dlaczego?

– Niech pan idzie, proszę... ta... ta zmija...

– Ale dlaczego? – Patrzę w jej szczerze oczy. Dziewczyna jest naprawdę zaniepokojona, usta jej delikatnie drżą.

– Ona pomoże. Urok na pana ktoś rzucił, przecież wiem.

– E, bzdury – uspokajam niemal płaczącą Nastkę. – Nie wymyślaj. – Podaję jej chusteczkę. Coś jest w tej małej naiwnej istotce, co każe mi się nad nią ulitować. Coś, co upodabnia ją do Agaty, co wzbudza we mnie niebezpieczne wręcz pożądanie.

* * *

Ściemnia się, kiedy moje wejście do „Warszawianki” oznajmia drażniący dźwięk dzwonka. Czuję się cały czas źle, otępiale, nie mogę skupić się na najprostszych czynnościach. Ani papieros, ani łyk koniaku nie pomaga. Do tego cały czas boli mnie noga. Kelnerzyna uniósł znudzony wzrok znad gazety. W tle z gramofonu leci kolejny szlagier *Patrzę na twoją fotografię*, przy stolikach kilku polskich urzędników i kupców.

– Lubi pan szanowny Kazimierza Szerszyńskiego? – *Już nigdy nie przytulę twoich ust* wybrzmiewa z gramofonowej płyty, kiedy kelner atakuje mnie swoim pytaniem. Rusza tym swoim zabawnym wąsikiem na kostropatej twarzy w sposób irytujący. A mnie zarazem coś dziwnego kłuje w piersi na myśl o Agacie.

*Już nigdy,
Jak okrutnie dwa słowa te brzmią,
Już nigdy
Nie zobaczę twych oczu za mgłą.
Odszedłeś,
Jakże trudno pogodzić się z tym, że nie wrócisz ni nocą, ni dniem,
Myślą ni snem,
Już nigdy.*

– Nie bardzo. – Krzywię się niemrawo.

– A nie dziwię się nawet. – Wzrusza ramionami. – Ja też nie lubię tych wszystkich tang.

– To dlaczego się tu puszczają te okropieństwa?

– Niech się pan spyta kapitana Horyca. – Wzrusza ramionami.

– Niby dlaczego jego? – Śledzę wzrokiem muchy, które starając się stamtąd wydostać, uderzają w szyby ze wszystkich sił.

– Bo to jego zalecenie. – Kelnerzyna udaje, że przeciera ładę brudną szmatą. – Budowanie polskość przez muzykę, czy jakoś tak.

Imperializm z papieru, odchodzę, klnąc pod nosem. W sali do gry jest tylko Horyc i kierownik poczty. Mimiński, sługa boży ksiądz Konewka oraz

Zbyniu Pawłowicz jeszcze nie dotarli, więc czekając na nich, nie pozostaje nam nic innego, jak zająć czas rozmową i zarazem rozegrać niezobowiązującą partyjkę brydża.

– Widziałem, że próbował pan porozmawiać z wojewodą. – Horyc się uśmiecha.

– Mógł mnie pan uprzedzić, że będzie... – Nie kryję rozżalenia, patrząc na jego przyciemnione okulary.

– Nie mogłem, bo nie wiedziałem. O takich rzeczach nas się nie informuje, ale i tak by pan nie porozmawiał.

Kręcę głową zniechęcony.

– A jak się panu podobał nasz festyn patriotyczny? – rzuca, bawiąc się kieliszkiem koniaku. Bursztynowy płyn przelewa się z lewa na prawo.

– To w ogóle działa? Ta cała maskarada? – nie mogę powstrzymać się od złośliwości, przypominając sobie zawody w workach.

– I to jak... jak najbardziej. Nawet w większym stopniu niż mogłoby się wydawać. – Horyc nie kryje dumy ze swoich osiągnięć.

– Za pomocą wyścigów w workach? – Nie ukrywam sceptycyzmu, ale kapitan Horyc jest niewzruszony.

– Wyścigów w workach, futbolu, pogadanek i tak dalej. Wie pan, Polesie to nie tylko teren walki z komunizmem, o czym wspomniał nasz wojewoda, ale też cywilizacji z naturą, chrześcijaństwa z pogaństwem. Poza tym, widzi pan, miejscowi to połowa problemu, gdyby pan wiedział, jakich trepów nam przysyłają...

– Przecież mówi się wszędzie, że KOP to elita. – Zaczynam wyczuwać, że nie jest to pierwszy kieliszek koniaku, jaki kapitan Horyc raczył dziś spożyć, a co więcej, czuję, że alkohol wzmacnia jego frustrację na to, co robi.

– Na pewno w części. Od jednej krokiewki być może, chociaż raczej od dwóch. Gdyby pan wiedział, co ja z nimi muszę robić. Kursy podstawowe, alfabet, historia Polski na poziomie szkółki wiejskiej. Potem trzeba specjalnie pisać dla nich opowiadania, aby się nam dziatwa Korpusu nie zbiesiła – ton głosu lekko zamglony i rozmarzony wzrok wskazują, że Horyc właśnie widzi siebie jako Syzyfa wtaczającego kamień Korpusu na górę. – Chce pan poczytać te cuda? – Sięga do skórzanej torby przy nodze krzesła. – O proszę, najnowsze dzieła Biblioteki KOP-u: *Na ziemiach*

wschodniego pogranicza. – Rzuca na stół broszurowo wydaną książeczkę. – *Jak ułan Miętka został kapralem i Na zasadzce i w patrolu* – na blat padają kolejne tomy – i moje ulubione *Były w kopie dwa Michały, jeden wielki, drugi mały.* Matulu moja! – jęczy, wyjmując ostatnią książeczkę.

– Jerzy Nel? – czytam ze zdziwieniem nazwisko autora. – Czy to nie ten scenarzysta?

– Ten sam. – Horyc zapala papierosa. – Pisze też teksty piosenek i takich tam. Ministerstwo zamówiło u niego tekściki. – Wyczuwam w głosie rozżalenie, bo przecież to nie u niego zamówiono.

– Dlatego te tanga ciągle lecą?

– A wygadał się panu nasz gospodarz... Tak, za pomocą tang też polonizujemy te ziemie, a co mamy puszczać *Vinolubiv*? Jeszcze by tego brakowało. Trzeba puszczać polszczyznę, piękną, Mariana Hemara czy innego Juliana Tuwima.

Ubóstwiałem ją

Była, była boska

Miałem piekło z nią

Chwyta nóż do ryb

Mlaska pijąc flip

Druga Palawińska – ordynarny typ

Śpiewa nawet całkiem, całkiem.

– Faktycznie ma to może i jakiś sens. – Zapalam papierosa. – A proszę mi powiedzieć, jak to wszystko działa na brać żołnierską?

– Wydaje mi się, że mogę odtrąbić sukces. – Na jego twarzy po raz pierwszy pojawia się uśmiech.

Po tych słowach rozmowa jakby wytraca tempo. Horyc w milczeniu wpatruje się w kieliszek koniaku. Z głównej sali dobiega *Nikodem, Nikodem, ty masz filmową urodę.*

– A właśnie, kapitanie – postanawiam przerwać niezręczną ciszę i jednocześnie odwrócić uwagę od wcześniejszego tematu – miał mi pan

więcej powiedzieć o tutejszym wierzeniu w Czarnego Boga i w inne stwory prasłowiańskie. Chociażby pokrótce, tak abym mógł to szaleństwo zrozumieć. Pamiętam, że mówił pan na barce, ale jakby mógł pan szerzej opowiedzieć o Welesie.

– Hmm – mruży pod nosem, jakby jakąś kwestię przeżuwał w umyśle. Chyba podoba mu się to odciążenie od tematu nieprzyjemnego, bo żwawo zaczyna opowiadać: – To niezwykle skomplikowane kwestie. – Przerywa na łyk koniaczku. – Trochę światła rzucił nasz rodzimy badacz, Aleksander Brückner. Mamy kilka podań, choćby *Powieść lat minionych*, ale to chyba nie jest istotne, w każdym razie według niektórych podań świat został stworzony przez boga Świątowida, jego synami byli zaś Swaróg i Weles. Część z badaczy sądzi, że tak naprawdę to jest jeden bóg, inni, że trzech różnych. Ważny jest Weles, który walczy z Perunem, czyli bogiem piorunów. Jaka jest dokładna relacja Peruna do Świątowida, trudno pojąć, być może to jeden i ten sam pod wieloma postaciami. W każdym razie z moich doświadczeń wynika, że chyba tak go ludzie pojmują. Weles w niektórych interpretacjach symbolizuje zło albo po prostu Szatana, a Perun to Bóg.

– No tak, waż i święty Jerzy, prawda? – dopytuję nie bez autentycznej ciekawości.

– Przy czym to też nie jest oczywiste. Czasami słyszałem o Czarnym Bogu, który jest prawdziwym diabłem, a Żmij jest tak naprawdę opiekunem pól. A naprawdę zły jest Mrok i Mróz, ale rozmawialiśmy już o tym.

– Tak, tak, to wszystko bardzo niejasne. A miewa wyznawców, satanistów rodzimowierczych?

– Myśli pan o kimś takim jak ten satanista Czesław Czyński? Teoretycznie nie... ale wie pan, to trudne do stwierdzenia. Kiedyś słyszałem, że istniały jego świątynie i jakieś formy węzowego boga, ale bardziej na Rusi. Polesie to domena Peruna, Żywii i gdzieś Trigława, ale on to chyba jest wpływ doktryny chrześcijańskiej. Żmija ani Mroka nikt nie czci tutaj masowo. Tutaj się wierzy w całą rzeszę demonów: licho, wilkołaki, wampiry, dusznice, czarty – wymienia – są też i dobre: bobo, dola, kikumory.

– Kikumory? – Z zainteresowaniem podnoszę wzrok znad kieliszka.

– Tak, to bardzo ciekawe wierzenie. Zgodnie z nim każdego domu strzegą dwa pozytywne demony. Kikimora chroni dom przed złem. A dlaczego akurat o nią pan pyta?

– Może pan nie uwierzy, ale przyśniła mi się dzisiaj – sięgam pamięcią do dziwnego snu sprzed kilku godzin.

– Kikimora? – Unosi brwi w wyraźnym niedowierzaniu.

– Tak. – Patrzę na niego zaintrygowany. – Kikimora... pewnie gdzieś kiedyś w jakiejś książce o niej przeczytałem, a potem różne skojarzenia.

– Cóż, to możliwe – potakuje – o, przyszli i nasi towarzysze.

– Jeszcze jedno pytanie, czy słyszał pan, aby kiedykolwiek tutaj składano ofiary z ludzi?

Horyc wpatruje się we mnie spokojnym wzrokiem.

– Oczywiście, ale przed wiekami. Nawet tutaj w Dawidgródku to była norma. Rzecz jasna mówimy o bardzo odległej przeszłości.

Kiwam głową ze zrozumieniem i zasiadamy do gry.

– A właśnie, czy nie było na festynie Jana Dowgirda?

– Neeee... – Wszyscy zgodnie kręcą głową. – To swoją drogą ciekawe – dodaje dyrektor szkoły. Miał wrócić z Pińska przedwczoraj.

– Przedwczoraj? – Unoszę brwi zdziwiony. Nagła myśl przychodzi mi do głowy. – Przepraszam panów, jednak muszę lecieć. – Wybiegam z lokalu i kieruję kroki prosto na komisariat, gdzie jeszcze, mam nadzieję, urzęduje Adler.

* * *

Przekonanie Adlera zajęło mi krótką chwilę, przypomniałem mu, że sam mi to zaproponował. A powinno go chyba interesować, że na jego terenie znika kolejny człowiek. Narzekał, kręcił, wykręcał się, w końcu jednak się zgodził, wziął dwóch ludzi do pomocy i razem udajemy się bryczką policyjną pod dom nauczyciela.

Chałupa nie zdradza, aby ktokolwiek w niej był, kiedy wchodzimy za płotek, towarzyszy nam jedynie śpiew ptaków.

– Panie Dowgird – jeden z przodowników uderza pięścią w drzwi – Policja Państwowa. – Cisza.

Policjant szarpie za klamkę. Zamknięte. Szary domek znika pomału w wieczornej majowej szarówce. Przodownik odwraca się i wbija w nas pytający wzrok.

– Jest pan naprawdę pewien? – Adler bębni palcami po kaburze, wyczuwam bardzo wyraźnie jego niepewność.

– Mówię, że tak! – zaczyna mi się udzielać jego rozdrażnienie.

Wzdycha, sapie, ale w końcu podejmuje decyzję.

– Nowik, wyważaj. – Wzdycha ponownie, a do dzieła bierze się wysokie chłopisko o blond włosach.

Trzaskają drzwi do chatynki pod barkiem przodownika, kątem oka widzę, że sąsiadka Dowgirda kryje się w domu przerażona.

– Melduję wykonanie zadania – przodownik Nowik masuje ramię i szczerzy klawiaturę białych zębów. Ja zaś przekraczam próg domu nauczyciela dawidgródzkiego gimnazjum.

Domek, jak się okazuje, ma trzy izby. Pierwszą, którą poznałem podczas wizyty, drugą do niej przyległą i małą zagraconą sypialnię. Do tego kuchnia i ustęp w ogrodzie. Pierwszy pokój wygląda dokładnie tak, jak go zapamiętałem – nieco zagracony, ale raczej miejsce reprezentacyjne. Drugi to biblioteka, gdzie są sterty książek, papierów, egzaminów i prac domowych uczniów. Wertuję okładki *Kazań polskich*, *Bożycy* i *Heroicznej wspólnoty narodu*. Zaraz. Mam déjà vu, już raz widziałem taki wybór książek, i było to u Staffa. W oczy rzuca mi się jeszcze jedna książka. Duży album o wierzeniach Rosji, przeglądam zaciekawiony i w końcu natrafiam na przedziwną rzecz. Na jednej ze stron widnieje zdjęcie człowieka przebranego za niedźwiedzia, a raczej jakąś hybrydę niedźwiedzia, z rogami jelenia i czaszką wilka, zamiast dłoni dziwne szpony. Pod zdjęciem podpis, *Lesun Synok Kostieja*. Pokazuję Adlerowi, ten tylko kiwa w zamyśleniu głową, obaj patrzymy na stojący pod oknem sekretarzyk, a na nim sterta papierów. Obok nich zaś podarta kartka. Oglądam. Na skrawkach odczytać potrafię tylko trzy słowa: „wiem”, „zapłać” i „pon”. Są też mapy z zaznaczonymi w kółka czterema miejscami.

15 marca 1937

Adamie,

przeczytałem twój poprzedni list, to, co piszesz, jest niezwykle ciekawe. Tak, ja też uważam, że to jest jedyna droga, ale sądzę, że stosunki między nami...

– Proszę spojrzeć. – Pokazuję pożółkłą kartkę Adlerowi.

– Znał Staffa? – Komisarz unosi brwi.

– Na to wygląda. – Podkręcam wąsa. – Mówiłem, że warto tu wejść.

– Jeszcze nic nie mamy konkretnego... – Kręci głową, omiatając wzrokiem dom nauczyciela.

Rozglądam się więc dalej, zapalamy lampy, bo robi się coraz ciemniej. Nauczyciel kresowy nie doczekał się udogodnień w postaci elektryczności. Z zapaloną lampą wchodzę do ostatniego z pokoi, zostawiając bibliotekę Adlerowi. Na ścianach typowe obrazki dawidgródzkie, portret wojewody i jakiś erotyk. Zerkam na album ze zdjęciami. Zwyczajny, przeglądam kolejne strony, zdjęcia ruin i kurhanów, miejscowej ludności, widoczki Lwowa, w końcu na przedostatniej stronie jest! Na tle ruin jakiegoś zamku stoją Adam Staff i Jan Dowgird, podpis „Spotkanie demiurgistów 12.07.1936”.

– Chyba mamy dowód, że się znali.

– A kim są, u licha, demiurgiści? – Adler wpatruje się ze strapioną miną w zdjęcie.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszam ramionami i w tym momencie mój wzrok pada na przedmiot pod łóżkiem. Ma mniej więcej osiemdziesiąt na czterdzieści centymetrów i jest z zielonego płótna obszytego skórą. Drżącymi rękami wyciągam plecak spod łóżka, otwieram.

Po chwili mogę już z radością w głosie powiedzieć:

– Komisarzu Adler, chyba naprawdę było warto.

Tu jest Polesie, a Polesie rządzi się własnymi prawami. Adler do tych obskurantów prawa również się zaliczał – nie chciało mu się pisać żadnych raportów, nie kazał pierw zanosić na komisariat plecaka, tylko rozłożył jego zawartość na stole w pierwszym pokoju. Fanty dało się podzielić na trzy kategorie: ubrania, książki i inne. Wszystkie z nich dawały jasną

odpowiedź, do kogo należą. Ubrania miały wytłoczone inicjały A.S., książki wyraźny ex libris, jak ten, który znajduje się na wewnętrznej stronie *Ziemi przeklętej*, mapy z zaznaczonymi piramidami i adnotacjami Staffa (nawet pismo rozpoznałem), a do tego jeszcze legitymacja żoliborskiej kasy chorych.

– I co pan o tym myśli, kapitanie?

– Dodać dwa do dwóch wychodzi na to, że trzeba przesłuchać koniecznie wszystkich na okoliczność zaginięcia Jana Dowgirda.

– Wygląda na to, że mamy najbardziej prawdopodobnego sprawcę. – Kiedy to mówię, czuję ukłucie w sercu, mam wrażenie, że brzydko pomyliłem się co do tego człowieka.

– Tak. Na to wygląda. Nowik, jedziemy na komisariat, zaczynamy śledztwo, wydajemy też list gończy za Janem Dowgirdem.

– Rozkaz. – Nowik salutuje zamasyście.

– Ruszajmy, czeka nas długa noc – mówi Adler już tylko do mnie.

Noc z 8 na 9 maja 1937

Komisarz Adler zaskakuje mnie. Nie przekłada niczego, nie ociąga się, od razu rozkręca maszynę śledczą, znika typowo poleski marazm i „dojutrka”. Pomimo późnej pory rozpoczyna przesłuchiwanie wszystkich osób, które mogą mieć jakąkolwiek wiedzę o tym, gdzie Dowgird przebywa i co robi. Przez komisariat przewijają się co ważniejsze osoby Dawidgródka. Do niektórych jedziemy sami, do innych wysłani są policjanci. Ja cały czas towarzyszę komendantowi Perły Polesia w jego rozmowach z mieszkańcami. Powóz skierowano pod „Warszawiankę”, gdzie jak się spodziewaliśmy, można jeszcze było zastać i księdza, i dyrekcję szkoły, w której zaginiony nauczał.

– O, jednak pan wrócił na karty! – z uśmiechem wita mnie dyrektor, ale zaraz powstrzymuje się, kiedy napotyka wzrok komisarza.

– Musimy koniecznie porozmawiać – mówię.

– Proszę za mną. – Jeszcze bardziej zadziwia go Adler.

– Tak, tak, oczywiście – dyrektor zaczyna się wyraźnie denerwować, co mi się wydaje dość dziwne.

Przechodzimy w trójkę do głównej sali, w której w tej chwili nie ma nikogo oprócz kelnerzyny opierającego się o ladę. Gestem dłoni zostaje wysłany do kuchni.

– Czy wiadomo panu, u kogo leczy się pan Dowgird? – pyta Adler.

– Nie, chyba nie, u kogoś z Pińska, to wiem, ale nic ponadto. – Mimiński rozkłada ręce w geście bezradności.

– A czy ktoś może wiedzieć?

– Nie wiem, może pan Licynka, on mu chyba sam polecił kogoś.

– A dlaczego nie leczył się tutaj, w Dawidgródku? – drąży.

– Jankisz to nasz jedyny doktor...

– To dużo tłumaczy – kwituję. – Czy wiedział pan, kiedy Dowgird wyjeżdżał?

– Dokładnie nie. To znaczy mam rozpiskę dni, kiedy brał urlop, mam kopię zwolnień od jego lekarza. Właśnie – dyrektor klaszcze w dłonie – przecież tam jest nazwisko tego lekarza z Pińska. Czy mam przynieść?

– Tak, najlepiej zaraz. To bardzo ważne.

– Oczywiście, oczywiście, ale co się stało, niechże panowie powiedzą? Czy to ma coś wspólnego z tym topielcem? Chyba to...

– Wszystko wskazuje na to, że Jan Dowgird zaginął – mówię. – Musimy go znaleźć i każda pomoc się przyda.

– Oczywiście, oczywiście – potakuje dyrektor szkoły, po chwili wychodzi po konieczne dokumenty.

* * *

Jest późno w nocy, razem z Adlerem siedzimy na komisariacie i porządkujemy sprawy. Wspólny cel dał nam impet. Nabrałem przekonania, że kto jak kto, ale komisarz na pewno nie ma nic wspólnego z zaginięciem Staffa i Dowgirda. Odrywam oczy od czytanych namiętnie listów znalezionych w domu nauczyciela. Okazuje się, że znali się ze Staffem od lat. Poznali się na spotkaniu z Janem Stachniukiem

w Warszawie w 1934, połączyła ich idea nie tyle zadruganizmu, ile wspólne poszukiwania „skarbu Władimira” z legendy. Czyli prawdą jest to, co mówił mi hrabia, że Staff na serio szukał jakiejś tajemniczej skrytki. Wygląda na to, że Adler nie jest człowiekiem wojewody i można mu w ograniczonym zakresie zaufać. Rozważam więc w myślach, czy ujawnić Kontryma w odpowiednim momencie. Sprawa rozwiązuje się jednak sama tuż po tym, jak przyniesiono kawę.

– Panie komisarzu – do gabinetu wchodzi jeden z przodowników – gość do pana.

– Nie mam czasu. – Komisarz macha ręką.

– Powiedział, żeby pan spytał kapitana Jakubowskiego, bo on go zna.

Podnoszę brwi i dłonią pokazuję, by go wprowadzono. Do gabinetu wchodzi nie kto inny, tylko Bolesław Kontrym, ubrany tak jak zwykle, w cywilne ubranie – drelichowe spodnie i czarny golf.

– Kim pan jest? – Adler odrywa wzrok od zebranych dokumentów.

– Nadkomisarz Bolesław Kontrym.

– Nadkomisarz Kontrym... – Adler podrywa się z krzesła i salutuje nieco nerwowo. – Ale co pan tutaj robi? Czemu tak nieoficjalnie? – Pierwsze widzę, jak ten twardy Wielkopolanin traci rezon.

– Zaraz wyjaśnię, ale wpiersw kawy poproszę, cały dzień na nogach jestem. – Kontrym spokojnie podaje rękę. – Jak wyglądają tropy? – pyta.

– Mamy tutaj pełne zeznania z Dawidgródka. Musimy jedynie porozmawiać z lekarzem z Pińska. Dowgird leczył się od dawna u niejakiego Alkenbanta, mającego praktykę na Karolińskiej trzy. Ostatnia wizyta to początek kwietnia, a dokładnie trzeci kwietnia.

– Czyli wtedy, kiedy był tam Staff? – Szarpię brodę z zastanowieniem.

– Tak, a prawda jest taka, że pociąg z Pińska w Mokroci staje się pociągiem powrotnym do Pińska.

– Czyli musiał spotkać Staffa. Mnie zaś zarzekał się, że go nie widział.

– Kłamał też, mówiąc, że go nie znał. – Kontrym kiwa głową.

– Dokładnie tak, a przecież znaleźliśmy listy, które jasno pokazują, że byli w zażyłych stosunkach, i to od lat.

– Tak, i teraz wiem, czego szukał Staff. Nieszczęsnego skarbu Władimira, a nie wojewody i poleskich duchów. Widać jego długi były tak wielkie, że z desperacji postanowił znaleźć skarb.

– I szukał go Dowgird. – Kontrym podchodzi do okna i wpatruje się w pusty plac.

– Możliwym jest, że pokłócili się o ten skarb. Powiedzmy, że Staff coś znalazł i nie chciał podzielić się wiedzą z nauczycielem, a ten go zabił.

– No tak, ale Staff zginął tydzień temu, co się z nim działo przez poprzednie dwa tygodnie? – Adler stuka papierosem w biurko i rozrzucone na nim dokumenty.

– Może go przetrzymywał, liczył, że go złamie i że ten wyjawi mu miejsce ukrycia skarbu?

– No dobrze, ale gdzie mógł go wywieźć? – wtrącam się.

Mimiński ma szczerze zafrasowaną minę, jak ktoś, kto chce być pomocnym i nie może pomóc.

– Przecież on był entuzjastą regionalnej historii. Na pewno znał historię tutejszą. – Podnoszę się na krześle z ekscytacji. – Może jakieś ruiny albo stary chutor?

– Tak, tak – Mimiński potakuje – to bardzo możliwe.

– Mógłby nam pomóc kapitan Horyc – zwracam się do Adlera.

– Tak, chociaż wolałbym nie korzystać z jego pomocy. Nie wiadomo, na ile można mu ufać. – Adler gładzi brodę i wpatruje się w okno. – Jego uwikłania z wojewodą...

– Chwila. – Dociera do mnie nagła myśl. – Tylko musimy to sprawdzić. Czy zabrano rzeczy z domu Dowgirda?

Adler potwierdza i woła na komisarza.

– Była, była, na pewno była – mruczę pod nosem, przerzucając dostarczone przez przodownika materiały – na pewno była. Jest! – Triumfalnie podnoszę mapę. Żydowska jama, Jastrzębi, Stryniecki, uroczysko Zaprość.

– Co to? – Kontrym unosi brew.

– Nie wiem, ale jeżeli Dowgird miał mapę, gdzie były cztery oznaczenia, chyba warto się tam udać.

– Zawsze to jakiś punkt zaczepienia – Kontrym kiwa głową – ale trzeba zrobić to większą grupą. Szczególnie, jeżeli Dowgird faktycznie jest mordercą, a z tym się liczymy, a raczej jesteśmy tego pewni, prawda?

– Panowie – Adler podnosi ręce – wiedzą panowie, ilu ludzi mam tutaj pod swoją komendą? Piętnastu. Piętnastu na cały Dawidgródek i okolicę. Piętnastu funkcjonariuszy, i oni już teraz nie mogą poradzić sobie z nawałem pracy. To jest więcej niż śmieszne. Poza tym, jeżeli faktycznie ma to cokolwiek wspólnego z wojewodą, lepiej unikać administracyjnego rozgłosu. Lepiej to zrobić po cichu. Musimy działać ograniczonymi środkami. Mogę oddelegować maksymalnie czterech ludzi.

– Chyba wiem, jak mogę pomóc – wtrąca się Kontrym. – Jeżeli nie chcemy pomocy KOP-u, a prawda jest taka, że kapitan Pawłowicz nam nie pomoże, może weźmy miejscowych?

Zamieniam się w słuch.

– Pan wyśle do dwóch miejsc po dwóch ludzi, ja pojedę z jednym z Poleszuków do trzeciego, kapitan Jakubowski w takim samym składzie do czwartego miejsca.

– Jest to jakieś rozwiązanie. – Adler kiwa głową. – A teraz idźmy spać, jutro czeka nas wszystkich bardzo ciężki dzień.

– Jeszcze jedna sprawa. – Powstrzymuję go ruchem ręki.

– Słucham? – Dostrzegam zmęczenie w oczach Adlera, wyraźnie widać, że nie spał.

– Czy Licynka nie miał przynieść rzeczy, które były przy ciele Staffa?

– Faktycznie. – Adler uderza dłonią w biurko. – Gdzieś zniknął, ale jutro go wezwę. Ma pan zupełną rację, może rzuci jakieś światło na to, co się dzieje.

ROZDZIAŁ XII

Wśród poleskich bagien

9 maja 1937

Patrzę na cyferblat zegarka: piąta minut trzydzieści pięć. Spałem niecałe dwie godziny, bo do domu dotarłem niemalże nad ranem. Jestem przemęczony, zaspany i zły. Do tego cały czas boli mnie noga, o której wydarzenia wczorajszej nocy pomogły mi zapomnieć. Z Kontrymem jestem umówiony dopiero na siódmą trzydzieści. Ale nie mogę spać, więc decyduję się na krótki spacer. Chcę iść prężnym krokiem, lecz dokucza mi boląca noga, idę zatem tak, aby jej za bardzo nie forsować. Jest wczesna pora i miasto pomału się budzi. Tym bardziej wyrazisty jest krzyk, który naraz rozrywa ciszę. Dobiega z kościoła, tej dziwnej czerwonej budowli tak bardzo niepasującej do Dawidgródka. Kuśtykając i klnąc, zmierzam w tamtą stronę. Energicznym ruchem otwieram drzwi świątyni, uderza mnie zapach kadzidła i drewna. We wnętrzu panuje półmrok, do którego moje oczy muszą się dopiero przyzwyczaić. Widzę zarys wielkiego krzyża z wiszącym Chrystusem, jego ciało otula czerwone światło witraża. Rozglądam się, szukając źródła hałasu. Pod jednym z konfesjonałów stoi baba w kraciastej chuście na głowie, w czarnej sukni i drze się:

– O Jezus Maria! Zabili, zamordowali! Bandyci! O Boziu, o Boziuuuu – drze się tak, że aż bolą uszy.

– Co się stało? – staram się przekrzyczeć jej wrzaski.

– Tam, tam – jąka się, wskazując na konfesjonał, wielką ciemnobrązową konstrukcję z czerwoną zasłonką.

Podchodzę bliżej, w nikłym świetle nic nie widać. Baba drze się dalej, ja zaś po chwili dostrzegam wypływającą krew z części przeznaczanej dla penitenta. Klnę pod nosem, z kandelabru biorę jedną ze świec i nachyliam się do środka z bijącym sercem.

– Co tu się stało? – Do świątyni wpada ksiądz. – Co się tutaj wyprawia?

Światło świecy wydobywa zarysy ciała. Widzę znajomą białą koszulę i sterczący w niej bagnet. Ostrze musiało przejść przez kratkę konfesjonału i utkwic w ciele. Na twarzy ofiary cały czas maluje się przerażenie.

– Niech ksiądz wezwie komisarza Adlera, obawiam się też, że i biskup przyda się do ponownego konsekrowania świątyni. – Nie patrzę na księdza, ale na trupa Alojzego Licynki.

Ksiądz Konewka blednie, potem czerwienieje, a potem wybiega z kościoła. Odgłosy jego kroków mieszają się z kaszlem zapowiadającym niechybne wymioty.

* * *

– I co pan na to, komisarzu? – Stoję oparty o kolumnę kościoła.

Adler patrzy na mnie wzrokiem pełnym niezadowolenia, potem przenosi wzrok na ciało. W świetle latarki wygląda ono równie upiornie.

– No, nabożeństwo majowe raczej się nie odbędzie... – Krzywi się.

– Panie komisarzu – do świątyni wpada zdyszany przodownik – melduję, że mieszkanie Alojzego Licynki zostało przez kogoś przetrząśnięte.

– Jak to? – Adler odrywa wzrok od ciała.

– Ktoś się włamał i zabrał wiele rzeczy.

– A dowody, rzeczy, które Licynka dostał od nas do zbadania?

– Melduję, że nie znaleźliśmy.

Adler każe mu się odmeldować.

– Wszystko to jest przedziwne. I mam podejrzenie graniczące z pewnością, że jego śmierć może mieć związek z Adamem Staffem.

– Ja też tak sędzę. – Wpatruję się w ciało Licynki. Już pomału ogarnia je stężenie pośmiertne i niedługo zapijaczony Jankisz będzie miał nie lada problem.

– Czy słyszał pan o tym, co się działo w nocy?

– Nie.

– W Rubelu doszło do zbrojnego ataku. Korpus i policja są w stanie gotowości, oddelegowałem większość moich ludzi. De facto jestem tylko ja i dwóch policjantów na posterunku. Dobrze, że mi tego alkoholika Jankisza

nie zabrali. Psiakrew. – Spoglądamy raz jeszcze na ciało, dociera coś do mnie.

– Widział pan te skrawki papieru w domu nauczyciela, te strzępy?

– Faktycznie tam było coś napisane.

– Trzy słowa, „wiem”, „zapłać” i „pon”.

– Ale jaki to ma sens, przecież Dowgird musi wiedzieć, że jesteśmy na jego tropie.

– Może Licynka wiedział coś jeszcze?

– Może... – Adler gładzi twarz. – No nic, panowie dzisiaj jadą szukać Dowgirda, ja opanuję sytuację tutaj.

* * *

– No, no – Kontrym lustruje mnie spojrzeniem – nie wygląda pan źle. Może redaktorzy „Współczesnego Pana” nie byliby zadowoleni, ale to teraz nieistotne.

– Bardzo śmieszne. – Patrzę na niego, głowa mnie boli, noga mnie boli, spać mi się chce. Polesie, kurwa mać. Tyle dobrego, że strój wygodny, chociaż śmierdzi trochę czymś niezidentyfikowanym. Nie wyglądam może jak dziad wędrowny, ale też na okładkę periodyku się nie nadaję. – Nie wiem, dlaczego pan komisarz nie może się ze mną wybrać?

– Bo, po pierwsze, mnie już tutaj znają, kręciłem się i moja historia drugi raz nie będzie przekonująca. A poza tym to przecież pana śledztwo, a ja mam jeszcze kilka rzeczy do załatwienia. Pomoże panu mój przyjaciel Kostia.

– Dzień dobry *gaspadin* kapitanie, *pochwalon*. – Kłania mi się w pas.

– Dzień dobry, Kostia, i co dalej?

– Kostia Rozunow.

– Kostii ufam jak nikomu tutaj, kapitanie. Zna Polesie jak mało kto, przeprowadzi pana wszędzie, gdzie to będzie możliwe. Przeanalizowałem wczoraj mapę. Biorę pod uwagę dwie zmienne: miejsce pozostawienia ciała, które zostało wyrzucone na brzeg, oraz miejsca, gdzie można trzymać człowieka przez dłuższy czas bez wzbudzania podejrzeń. Na tyle blisko, żeby móc przenieść zwłoki niepostrzeżenie. Szczęśliwie nie ma ich

zbyt wiele, a mówiąc precyzyjnie, wytypowałem trzy: Ottonowski, Jastrzębiec i Maliniec. Chutory, dawna strażnica carska. Miejsca opuszczone i leżące na uboczu. Kostia też potwierdził, że to są jedyne miejsca, i dlatego do nich pójdziecie w pierwszej kolejności. Czy sprawa jest jasna?

– Tak. – Kiwam głową w zamyśleniu, pasuje mi nawet to przejęcie inicjatywy.

– No dobrze, panowie, nie ma co się rozwodzić, powinniście już iść.

Zakładam na plecy torbę, noga boli niemiłosiernie, głowa nieco mniej, ale ruszam, nie zważając na ból. Odwracam głowę, patrzę na oddalający się Dawidgródek i na palącego pod ścianą cerkwi Kontryma. Wiosna w pełni, eksploracja życia w najczystszej postaci. Gdzieś za ostatnim domem jest *limes interior*^[11] między cywilizacją, nawet w tak okrojonej formie jak ta prezentowana przez Dawidgródek, a Polesiem. Nad głową przeleciała jaskółka, potem kolejne. Pod lasem czmychnął na nasz widok zając. „Wsi spokojna”, rzec się chce. Mój przewodnik idzie niezmordowany. Widzę pod lnianą koszulą jego silne mięśnie, jak u rzymskiego legionisty z czasów podbojów Juliusza Cezara. Kostia jest jednym wielkim mięśniem.

Mijamy pobielany młyn, noga boli, ale nie jest źle. Wyciągam z kieszeni egipskiego, zapalam i poprzez dym patrzę na poleskie bagna, na których urzędują ptaki.

– A powiedz mi jeszcze, Kostia. Skąd ty, poleski chłop, znasz tak dobrze polski?

Przewodnik ponownie szarpie węża, wyciąga z zębów fajkę.

– A, to prosta historia, ale trochę długawa, proszę pana. – Wzrusza wielkimi ramionami.

– Na razie nigdzie nam się nie śpieszy, zresztą co lepszego mamy do roboty?

Na twarzy pojawia się zaduma, ponownie zaciąga się fajką i zaczyna mówić.

– To było tak – rozpoczyna swoją czystą polszczyznę. – Jakiś czas przed tą wojną, co Niemce z batuszką carem się potykali, błąkałem się po świecie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. I tak oto raz zaszedłem do Wołodzimierzec. Miasto jak miasto. Trochę luda, Polacy tam żyją i Rusiny,

i Ukraińcy, i Białorusini, no i Żydowie, a kto wie, czy i Tatarów tam nie było. – Zaciąga się fajką. – I tak się tam tułałem od chałupy do chałupy, czy nie potrzebują kogoś do najemnej pracy, cobym mógł nieco grosza zarobić. I nie uwierzy pan, ale nikt nie chciał chrześcijaninowi pomóc. Ani cerkiewni, ani łacinnik, ani mojżeszowi. Pierwszego dnia myślę sobie, normalnie, Bóg da coś. Drugiego, kiedy już w trzosie zaczęło brakować pieniędzy, zacząłem się martwić poważnie. Trzeciego to już mi było niewesoło. Tułałem się znowu od domu do domu i cały czas nic z tego nie wychodziło. Pod wieczór, kiedy już z głodu się ślaniałem, poszedłem na przedmieścia. A tam takie wydarzenie, panie Jakubowski – kolejny kłęb dymu zasłania jego sylwetkę – dwóch ludzi idzie za kobietą. Kobieta ładna, zgrabna, nadobna, mimo marnego księżycowego światła widziałem jej profil. I tych dwóch jej drogę zastępuje i pieniądze chcą, a i cnotę najchętniej by chcieli zabrać. No to ja nie mogłem obojętnie obok tego. Nóż miałem przy pasie, jak oni już zaczęli ściągać z niej płaszcz i suknię, bo to już jesień była, ja się zakradłem i nóż, o tu – pokazuje na karku – ostrzem wbilem. Drugi się poderwał, ale ja szybki jestem i do niego dopadłem, gardło mu poderżnąłem. Nie będzie sobaczy syn kobiet psuł. Kobieta wstrząśnięta, bo ja z ostrzem z juchą cieknącą. No to ja ją uspokajam, że nic jej zrobić nie chcę. Ona wstała, otrzepuje się i mówi, niech pan słucha uważnie: „Chodźże, człowieku, tutaj są krzaki, tam się je zostawi, bo zaraz ochronka się zainteresuje. No już”. Teraz ja stałem jak oniemiały, ale wziąłem posłusznie ciała i je rzuciłem w krzaki. Kobieta zaraz mnie wzięła za rękę i zaprowadziła do znajdującego się jakieś pół wiorsty dalej domu. Do takiej małej, schowanej w sadzie chatynki. Pytałem ją, o co chodzi i dlaczego, ale ona nic nie mówiła po drodze. Kiedy zaś weszliśmy, światło padło na jej twarz i ujrzałem ją w pełnej krasie. – Tu Kostia robi przerwę, zaciąga się fajką i chwilę milczy. – Piękna to była pani – odwraca się do mnie – naprawdę piękna... Pani Helena Michałowska z domu Bilewicz.

– Polka? – Wyrzucam niedopałek do rowu melioracyjnego, dumy administracji poleskiej i szczytowego osiągnięcia twardej ręki Kostka-Biernackiego.

– A jakże. – Kostia wydmuchuje dym z fajki. – Wielka pani, szlachcianka. To było po tym, jak się ludzie burzyli po krwawej niedzieli. Niebezpiecznie wtedy było na świecie, oj niebezpiecznie. Opowiedziała mi swoją historię,

o tym, że jej syn rewolucjonista walczył gdzieś z caratem, a ona biedna została w domu i narażona była na ataki, jak ten, który udaremniłem. Ofiarowałem się, że będę jej strzegł, musiałem brzmieć strasznie patetycznie, bo się pani Helena szczerze zaśmiała i powiedziała, że brzmię jak ze średniowiecznego romansu. A ja wtedy jeszcze człek nieuczony, nie wiedziałem, co to znaczy średniowiecze, i niezupełnie, co znaczy romans. Mówiliśmy zresztą po moskiewsku, bo ja po polsku to tylko tyle, co do mnie ktoś przypadkiem powiedział. Pani Helena – Kostia imię to wypowiada z niemalże cerkiewnym nabożeństwem – w zamian za to, że pomagałem jej w domu, dała mi wikt i opierunek, a i uczyć poczęła mnie polskiej mowy. Czytałem Sienkiewicza, Kochanowskiego, pana Żeromskiego o ludziach bezdomnych i ja biedny poleski chłop nagle poznałem wielki wspaniały świat. Żyliśmy tak sobie rok, kiedy to wrócił syn pani Heleny. Ja wtedy ruszyłem dalej, na drogę mi jeszcze podarowała tę oto książeczkę, co ją teraz zawsze na sercu noszę. – Wyjmuje z odmętów kapoty zawiniętą w szmatkę, niczym skarb, i podaje mi. – A z tym polskim to nie lada kłopotów miałem. Wiele lat później z tej mojej znajomości polskiego wiele nieprzyjemności miałem. Idę sobie spokojnie już tutaj niedaleko, nagle patrol do mnie „gdzie i skąd ja idę”. Na to ja grzecznie odpowiadam po polsku ładnie, „że stąd a stąd”. A pogranicznik do mnie: „a kto ty?”, to mówię, że „tutejszy”, bo taka prawda, proszę pana, ani ja Polak, ani Ruski, ani Żyd. Poleska ziemia mnie rodziła. Na to pogranicznik: „A skąd ty tak dobrze po polsku mówisz”, to zgodnie z prawdą odpowiadam, że się nauczyłem. Ten jednak nie słucha, mówi, że po polsku tak dobrze mówią jedynie bolszewicy szpiedzy i łap mnie za kark, i prowadzą do placówki. Tam przesłuchanie, oczywiście nie wierzą, ale nic nie mają, poza tym, że po polsku mówię. Trochę przetrzymali, ponarzekali, ale koniec końców puścili. Nawet żalu o to do nich nie mam. Ale tak to jest tutaj... – Przyklada dłoń do serca. Czekam na dalszy ciąg, ale Kostia nic już nie mówi, a ja jakoś nie mam ochoty drażnić tematu.

* * *

– Psiakrew, nie ujdę dalej... – syczę, opadając na zwalony pień drzewa. Wokół natura zieleni się beczelnie, w powietrzu pachnie wilgocią i mchem. Ale ja jestem nieczuły na to, bo boli mnie dosłownie wszystko:

noga, głowa i szyja, noga spuchła, głowa pęka. Siedzę i jęczę bezsilny. Kostia przypatruje mi się zdziwiony.

– A co się stało? – Jego czarne oczy wyrażają szczere zaniepokojenie.

Relacjonuję sprawę zwichniętej nogi. Mój przewodnik drapie się po brodzie, ciągnie za wąsa, sapie, w końcu odzywa się nieśpiesznie.

– Pan Bolesław mówił, że pan to niedowiarek jest, ale ja mam propozycję.

Szarpię wąsa, bo czuję, że zaraz mi noga wybuchnie. Patrzę ze złością na Kostię.

– Jaką propozycję?

– Ano, jest metoda. – Szcherzy zepsute zęby.

– Streszczaj się, człowieku – syczę na niego, czując coraz silniejsze pulsowanie w szyi.

– Ale jak pan nie wierzy, to może być problem, bo to poleska metoda.

– Streszczaj się! – mówię przez zaciśnięte zęby po raz kolejny.

– Minęliśmy drogę na Łapiczew, a zatem za prawie dwie wiorsty na północ będą Siemichościcze.

– To zaiste ważna wiadomość – klnę pod nosem.

Kostia nie zwraca na mnie uwagi, tylko ciągnie się za wąsa i coś pod nosem mamrocze.

– No, panie przewodnik – syczę.

– W Siemichościczach jest Zoja.

– To również nad wyraz ciekawe. – Nie wiem, czy mam masować nogę, czy szyję. – A jak owa Zoja pomoże mi na moje bóle? A czekaj – przypominam sobie pewną rozmowę – czy Zoja to nie zielarka?

– Pomoże panu, na pewno pomoże – zapewnia skwapliwie Kostia. – Szeptucha zawsze pomoże. Ona dobra, nie wiedźma. O ludzi dba.

– Niech będzie.

Mijamy wieś, tutejsi patrzą na nas bez zainteresowania, ot, dwóch wędrowców, tyle tylko, że jeden klnie jak szewc, a drugi to tutejszy. Może już naprawdę przywykli do tego, że Polesie to turystyczna mekka Polski centralnej, sam przed sobą szydzę pod nosem. Przed oczami latają mi mrocзки niczym małe samoloty, ledwie docieram do znajdującej się dobre

pół kilometra za wsią chaty. Ból staje się niesamowity, noga i z niewyjaśnionych przyczyn szyja pulsują już tak, że nie wytrzymuję. Kiedy widzę wreszcie starą, zapadającą się chatę, jest mi wszystko jedno. Nawet watykański biskup mógłby nade mną swe gusła odprawić, jeżeli miałoby to mnie uwolnić od bólu. Widok chałupiny staje się dla mnie pewnego rodzaju ukojeniem.

– Zoja! Zoja! My z prośbą.

Drzwi chatki otwierają się energicznie. W drzwiach staje kobieta raczej niezbyt stara. Jakoś inaczej sobie wyobrażałem szeptuchy – jako stare, grube wiedźmy, jak Horpynę albo inną postać literacką. A ta kobieta jest w moim wieku, rysy pociągłe, oczy zielone niczym poleska puszcza, czerwone usta i bujne piersi. Nie sposób nie zauważyć, że jest bardzo ładna. Lustruje nas wzrokiem twardym, ale raczej niegroźnym.

– *A eto ty Kostia, a towarzysz?* – pyta się szeptucha, patrząc na mnie. Patrzy nieufnie, marszczy czarne brwi.

– Druh w potrzebie.

– *Może pomogite, mozu niet.* – Zakłada ręce na bujnym biuście.

– Bez takich – syczę oparty o kostur, który wcześniej Kostia wystrugał dla mnie, bo już nie byłem w stanie samodzielnie iść.

– *Durak, oj durak.* – Kręci głową, ale pokazuje, aby wejść do środka.

Chata jak każda wiejska chata, może tylko więcej ziół, jakieś graty w kątach. Ikona na ścianie Iessusa Christa. I, a jakże, wycięty z gazety Biernacki, oprawiony w ramkę. Wszystko to nieco okopcone, ale traktowane z wyraźną czcią. Obok niego krucyfiks. Wszędzie unosi się zapach kadzidel i ziół, aż kręci w nosie.

– *Sidajte* – wskazuje mi zydel obok paleniska. Posłusznie siadam, na chwilę zatrzymuję się, kiedy prychna na mnie kot. Jak z ludowych podań, przechodzi mi przez głowę. Patrzą w ślipia żółte i w mordę syczącą. Kocisko nie jest czarne, a biało-rude, patrzy bezczelnie. Nie rusza się, dopóki Zoja nie prychnie na niego. Wtedy znudzony odchodzi, a ja siadam na jego miejscu. Wiedźma nachyla się nade mną, czuję ziołowy zapach wymieszany z dymem i lekką wonią śliwowicy.

– *O eto Perepluty rab.* – Zoja zanosi się śmiechem. Widzę, jak falują jej bujne piersi pod bluzką.

- Co ona mówi? – zwracam się do Kostii z prośbą o tłumaczenie.
- Że lubi pan wypić – dobiega głos Kostii gdzieś z daleka.
- Żadna to filozofia odkryć coś takiego. – Ziewam otumaniony feerią zapachów domostwa.

Szeptucha mruczy coś nade mną, długie kościste palce przykłada do głowy. Jakby badała moją czaszkę.

– *Perepluty rab, oj Perepluty rab i jeho padarok.*

– Mówi, że pan ściągnął na siebie karę – Kostia ofiarnie tłumaczy. – I że złe duchy krążą wokół pana. – Ton jego jednak coraz dalszy jest od lekkości, a przybiera na powadze.

– Tak, to bardzo istotne. – Krzywię się, zwłaszcza że noga cały czas boli.
– Lepiej niech mi wyjaśni, co z tym zrobić i skąd to się wzięło. Że lubię wypić i nie uciekam przed kobietami, wiem bez jej guseł. – Głowa, szyja i noga mnie bolą, jak bolały.

Kostia przekłada moje słowa. Zoja patrzy na mnie gniewnie, po czym wyrzuca z siebie potok słów, z których już zupełnie nic nie rozumiem.

– No więc – Kostia wyciąga przed siebie brudny palec – po kolei. Skłęła pana, a potem spytała, czy ostatnio miał pan problemy z kobietami.

– Niejeden – przypominam sobie awanturę między dwiema Zwisłockimi.

– *Mołoda była* – podpowiada szeptucha.

– No tak, była, była...

Zoja znowu wyrzuca z siebie potok słów, piersi podskakują rytmicznie, a nawet nie boję się tego powiedzieć, hipnotycznie.

– Mówi, że urok na pana rzuciła młoda dziewczyna. Bo odrzucił pan jej zaloty – Kostia tłumaczy jej słowa znużonym tonem, przerywając co jakiś czas, aby pyknąć trochę ze swojej fajki. – Naprawdę nie chciał pan młodej Zwisłockiej? – Tutaj Kostia nagle szczerzy się całkiem bezczelnie do mnie.

– A ty, Kostia, skąd wiesz o pannie Anieli?

– A bo to tylko jej ojciec nie wie, co to ma za ziółko w domu. Pewnie Leokadia też niczego sobie. – Kostia uśmiecha się, tak jakby coś sobie przypomniiał. – Pan Bolesław mówił, że pan u Zwisłockich mieszka. To nie było nazbyt trudne, aby się domyślić, co tam się dzieje. To jak dodać dwa

do dwóch. Ona by jeża... gdyby mogła... a kiedyś to były takie spokojne kobiety...

– Tak, to wydaje się prawdą – kwituję kwaśno, gdy szeptucha cały czas odprawia nade mną gusła.

– A noga?

– Noga to też jej sprawa – kiwa głową, tłumacząc dalszą wypowiedź szeptuchy.

– A jeszcze o jedno pyta, czy nie stało się nic dziwnego poza tym?

– Stało. Niedawno zaatakowała mnie żmija, która pojawiła się znikąd w moim pokoju i sen dziwaczny o żmii w moim ciele – przypominam sobie na swój sposób zabawne wydarzenie. – Co wam się nagle stało? – pytam skonfundowany, widząc ich odmienione twarze.

– Każe ściągnąć panu chustkę z szyi – skwapliwie tłumaczy Kostia kolejną kwestię szeptuchy. Kostia patrzy się na mnie, Zoja szuka czegoś w gałganach.

– Co do cholery?! – krzyczę. – Gadać mi, ale już. – Czuję, że na nowo zaczyna boleć mnie szyja i noga.

– Cernyj Boh – mówi w końcu bardzo cicho Kostia.

– Kurwa – wyciągam egipskiego.

Zoja podchodzi wreszcie do mnie. Czuję miękkość jej ciała na sobie, miękkość pachnącą ziołami, kadzidłem i piżmem. Jej oczy już nie są tak zaniepokojone jak przed chwilą, ale cały czas można w nich zobaczyć ogniki strachu. Każe mi wyciągnąć rękę, wciska w nią jakąś małą figurkę.

– *Bierit, od diabła bronij, no bierit.*

Na mojej dłoni leży kawałek korzenia w kształcie pioruna.

– *Eto Peruna znak.* Ty w dużym niebezpieczeństwie, złe duchy nad tobą, dusza twoja zatruta – wyrzuca z siebie.

– Co mówi?

– Że jest pan w złym stanie i trzeba oczyścić duszę. – Kostia jest cały czas bardzo poważny.

– A ile by to miało trwać? – Mimochodem patrzę na zegarek, który już i tak wskazuje późną godzinę, zmitrężyliśmy wiele czasu.

Kostia zwraca się do Zoi, ta gestykułuje, gestykułuje też Kostia.

- Mówi, że kilka godzin, i że powinien jeszcze przyjść starzec.
- Jaki starzec, u licha? – Nie chce mi się tutaj dłużej siedzieć, zaczynam mieć tego coraz bardziej dosyć, a Dowgird sam się nie złapie.
- Widzący – Kostia słowa te wypowiada wręcz z nabożnym westchnieniem.
- E, bzdury. – Macham ręką. – Idziemy, Kostia.
- To niech pan ściągnie chociaż chustkę, ona posmaruje.

* * *

Ku mojemu przeolbrzymieniu okazuje się, że nic nie boli. Idzie mi się rześko i żwawo, nawet poleski krajobraz zaczyna mi się podobać. W chacie szeptuchy straciliśmy trochę czasu, ale dzięki jej płynowi idzie mi się naprawdę bardzo szybko i dobrze, wręcz rewelacyjnie. Gwiżdżę pod nosem. Ponad nami błękitne niebo, po prawej ostępy leśne, a po lewej bagna.

- A coście się tak przestraszyli tej zmił? Zwierzę jak zwierzę.
 - Zwierzę Cernego Boha – poważnie odpowiada Kostia.
 - Tak, tak, i co z tego?
 - To, że Cernyj Boh patrzy na pana – mówi szeptem.
- Zapalam papierosa i wpatruję się w niebo, na którym swoje tańce odbywają jaskółki. Zaniepokojenie. Może tydzień temu bym to wyśmiał, ale dzisiaj, po tym wszystkim, co mnie spotkało i co zobaczyłem na własne oczy, już nie jestem taki rezolutny.
- To gdzie ten pierwszy przystanek? – staram się zmienić temat, wpatrując się w pojedyncze chmurki na niebie.
 - Chutor Ottonówka – rzuca Kostia zza pleców. – Już niedługo.
 - Jakaś z nim specjalna historia związana, tajemnica?
 - No nie jest to miejsce szczęśliwe, jakoś ludzie nie chcą w nim zamieszkać.
 - Ale co się stało? – Niedaleko nas kica zając, to znów wzbija się do lotu bażant.

– O, już jesteśmy. – Kostia wskazuje umorusanym palcem dwa podupadłe budynki. Jeden nieco większy, najwyraźniej kiedyś był stodołą, drugi mniejszy, pewnie dom mieszkalny. Obydwa z zapadłymi dachami, pokryte mchem i pnączami. Obrazu spustoszenia dopełnia przewrócony płot i studnia ze złamanym żurawiem. Przyglądam się, ale nie widzę żadnych śladów, aby ktokolwiek coś tutaj w ostatnim czasie robił, można rzec, jest to teraz teren niemalże dziewiczy. Ale upewniam się jeszcze, nawet nie ma jak wejść do domu, bo strop się zapadł. Ziemiańska zaś jest cała zalana cuchnącą wodą, w której pływa jakieś zdechłe zwierzę. Śmierzące truchło leży tutaj od dłuższego czasu. Wniosek? Niemożliwe, aby to miejsce miało cokolwiek wspólnego z Adamem.

– A zatem powiedz no, proszę, co to za historia. – Siadam oparty o starą studnię, której chłód pomaga odpocząć.

Kostia drapie się po szyi, wyskubuje z niej jakiegoś robaka i rozgniata w palcach, przygląda mu się z uwagą. Po czym siada na przewróconym kawałku drewna.

– Nuże, opowiadaj – popędzam go, coraz bardziej spragniony opowieści.

– Dobrze już, dobrze – zdejmuje buty – onuce tylko poprawię. To mówiąc, odwiązuje brudne szmaty i odkrywa stopy.

– Właściwie to historia, jakich wiele. Osiedlili się tutaj „amerykanie”, tuż po wojnie z bolszewikami.

– Amerykanie?

– Osadnicy weterani, co dostali ziemię w nagrodę. Jak im było?... – Kostia metodycznie oczyszcza swoje onuce. – A, już pamiętam, Rakowie. Tak, chyba z Wielkopolski, a zresztą to teraz mało ważne. – Nawet z pewnej odległości czuję zapach jego nóg. – Sprowadzili się dużą gromadą. Była i babka, był weteran wojny i jego żona, a do tego troje dzieci.

– I co? – Odwracam się od zawietrznej.

– Jak to co, żyliby sobie spokojnie, ale przyszła banda i ich pozabijała. – Kostia metodycznie poprawia onuce.

– Wszystkich? – Unoszę brwi.

– Wszystkich. Znalazł ich brat weterana, który miał ich odwiedzić, przyjechał, zobaczył ciała tylko. – Kostia już zajmuje się drugą nogą.

Milczę, patrząc na opuszczony chutor.

- No nic – Kostia zakłada buty – trzeba nam iść.
- Dobrze, to gdzie idziemy teraz?
- Rozmawiałem z panem Bolesławem i on kieruje. Ale obawiam się, że nie dojdziemy przed zachodem. Będzie trzeba znaleźć jakiś nocleg. Droga teraz trudna będzie.

* * *

Idziemy pośród tego dziwnego krajobrazu poleskiego, po ścieżkach, po których nie zawsze daje się iść szybko, bo trzeba uważać, aby nie wpaść w grzęzawisko. To przypomina mi trochę chodzenie po polu minowym, gdzie każdy krok może okazać się niebezpieczny. Czuć oszustwo. Oszukańcze było zatem słońce, lekki wietrzyk i nieliczne chmury sunące leniwie na niebie.

- *Pamiłujtsa*, pomiłujcież! – Ciszę przerywa rozpaczliwy krzyk.

Rozglądam się, w rowie przy drodze siedzi jakaś skulona postać. Po chwili orientuję się, że to stara kobieta w porwanej spódnicy, która wyciąga kościstą i pomarszczoną niezwykle wręcz rękę. Zamieram, cofam się ze wstrętem, kiedy mój wzrok napotyka puste oczodoły. Dwie czarne dziury.

- *Pamiłujtsa...* – jęczy piskliwym głosem.

Nie wiem, co mam zrobić, zastygam wpatrzony w szponiastą dłoń staruchy, na szczęście Kostia energicznie mnie odciąga.

- Proszę odejść, panie Jakubowski. – Ściska mnie za ramię.

- Ale o co chodzi? – Jestem zdezorientowany.

- Szybko! – krzyczy wręcz.

- *Pamiłujtsa!* – słyszę głos z rowu.

Oddaliśmy się śpiesznie. Idziemy w milczeniu, na tyle daleko, aby dziwaczna postać zniknęła w oddaleniu.

– Mamy dużo szczęścia – sapie w końcu Kostia, widzę na jego twarzy poważną trwogę.

- Co to było? – pytam, pogubiony w tym, co widziałem.

– Wiedźma – słowa te wypowiada z pełnym przestrawieniem – wiedźma... – powtarza.

– Ale jej oczy?

– Wyłupiono jej, aby była niegroźna – szepcze Kostia.

– Boże... – przypominam sobie pieśń chłopską, którą słyszałem: – *Kupalnioj noczy wypiekli wiedźmi oczy.*

– Rzuciała uroki, to jej oczy wyłupili – wyjaśnia usłużnie Kostia.

– Ale czemu teraz jest niebezpieczna? – nie daję za wygraną. Idziemy po zwirowanej drodze, słyszę chrzęst pod stopami, poza tym śpiewają ptaki, przygrzewa słońce, groza już gdzieś się ulotniła.

– Boby mogła zabrać nam oczy – Kostia mówi śmiertelnie poważnie. Jego dobrotliwa twarz nie zdradza ani na jotę, aby podawał w wątpliwość to, co usłyszał.

– Bzdury. – Kręcę głową z niedowierzaniem.

Bzdury – podkreślam w myśli, ale sam nie do końca jestem tego pewien.

Kostia patrzy na mnie badawczym wzrokiem, czarne oczy śledzą mnie z nieudawanym przestraczem.

– Niech pan nie będzie taki pewny. Chodźmy! Popędza mnie raz jeszcze.

Wzruszam ramionami, nie jestem skłonny do bagatelizowania rad Kostii, może jeszcze tydzień temu bym je wyśmiał, ale nie dziś, nie po tym, co widziałem na tych naszych koloniach na wschodzie, gdzie pogaństwo jest ciągle żywe. Wsuwam do ust cukierek (karmelki są naprawdę dobre) i idę za nim.

* * *

Słońce przez cały dzień pali niemożebnie, skwar skrapla się potem na szyi, głowie i rękach, mokra koszula przylega do ciała. Ale stan ten mija nagle. Złośliwi bogowie Polesia zmienili swoje zdanie. Burza przyszła nagle, za to z istnym impetem, który wręcz przetoczył się po kresach. Powiedzieć, że leje, to jak nic nie powiedzieć. Mam poczucie, że niebo wali się nam na głowy. Płynie ściana wody, jedna wielka potężna ściana deszczu. Ulewa tak straszna, że wręcz nie widać niczego na wyciągnięcie ręki, biegnę, nie słyszę Kostii, grzmi niemiłosiernie i wałą pioruny co chwilę, kładę się na ziemi i czołgam, licząc, że nie uderzy we mnie. Sekundy i minuty zlewają się w jedno. Robi się coraz ciemniej i kiedy nieco ucicha deszcz, odkrywam,

że jestem sam. W burzy, jaka się rozpętała, byłem samotny, niczym żeglarz na wzburzonym morzu. Pamiętam, że szedłem z Kostią, starałem się trzymać go jak najbliżej, ale nagle wręcz z sekundy na sekundę zniknął mi z pola widzenia. Przedzieram się teraz przez krzaki, krzyczę co jakiś czas „Kostiaa!”, „Kostiaaa!”, ale krzyk mój zagłuszają uderzenia piorunów. Jestem coraz bardziej zmęczony i coraz bardziej głodny. Nic nie ma tutaj większego sensu. Coraz silniej dławi myśl, że powinienem już dawno porzucić tę przeklętą misję.

Nagle na horyzoncie widzę światło. Błędne ogniki – przechodzi mi przez myśl, ale sam się karczę za idiotyczne koncepty, czyżbym już przesiąknął tymi poleskimi zabobonami? Nie, to niemożliwe, podobno te błędne ogniki mają niebieskie zimne światło, to natomiast jest zwykłe, ciepłe. Nie, to niemożliwe. A jednak to dom. Ludzie siedzą w zaciszu. Uderza gdzieś niedaleko piorun, jeden, a potem drugi. Patrząc na światła, są coraz bliżej, coraz bliżej. Widzę już zarysy domostwa, nie jest to żadna wiejska chałupa, ale dworek. Porządny wiejski dwór. Obraz zachodzi mgłą i ledwie widzę kontury dworu. Starego kresowego dworu. Polskiego dworu, moje serce zaczyna bić szybciej z ulgi i radości.

* * *

– Gość w dom, Bóg w dom – wita mnie w progu mężczyzna, przekrzykując deszcz. Woda ścieka mi z włosów, do tego ze zmęczenia latają mi przed oczami mroczki. Staram się go zlustrować, kresowy szlachcic pełną gębą. Kontusz, kto dziś nosi kontusz? Ładny, purpurowy, wyszyty czarnymi guzami. Długie sumiaste wąsy, brak jednego ucha, do tego obrzydliwa blizna, biegnąca po lewej stronie twarzy. Bystre jedno szare oko wygląda, jakby analizowało każdy kawałek mojej osoby. Drugie oko zakryte bielmem patrzy gdzieś w pustkę, ale też trochę jakby we mnie. Całość ukryta w chudej niczym u kostuchy postaci, tak jakby śmierć przywitała mnie w swych progach. Ale śmierć radosna, wręcz wesola, bo taki jest i mój gospodarz, a przynajmniej na tyle jestem w stanie go ocenić.

– Czy, czy można? – pytam, szcękając zębami.

– Ależ przecież o tym mówię, *hospes non parasita*^[12].

Pięknie, teraz jeszcze łacina w tym poleskim tyglu wieży Babel. Kiwam głową i wchodzę. Izba oświetlona świecami, tak jakby nikt nie znał tutaj elektryczności. Przeklęte kresowe piekło. Okopcone ściany, smród knotów. Ale zarazem jest ciepło, czuję, jak paruje na mnie przemoczone ubranie. Gospodarz staje w pełnej krasie, światło świec zniekształca jego twarz w upiorną maskę.

– Co pan robi w taką pogodę tutaj na bagnach? Przecież mógł się pan potopić – tubalny głos niesie się po sali.

– Z towarzyszem szedłem – odpowiadam po chwili, szczękając zębami. – Przy rozstaju dróg go zgubiłem.

Gospodarz ciągnie się za długie szare wąsy. Za oknem wyje coś, zupełnie jakby kogoś właśnie mordowano.

– Przy rozstaju, powiada pan? – дума, wpatrzony w ogień, nagle podrywa się i krzyczy: – Hanka, Maryś! Ubrania dla gościa, bo zapadnie na zdrowiu, nuże!

Do izby z dwóch przyległych pokoiów równocześnie wpadają dwie rumiane dziewczyny. Nieco pulchniutkie, roześmiane, na migi każą zdjąć ubrania, uwijają się niczym frygi. Przynoszą koszulę białą, lnianą, i szare spodnie, zabierają przemoczone rzeczy, tak że zostają w samej bieliźnie.

– No, ogrzej się i wysusz pan przy ogniu – zachęca gospodarz. – Izba u nas niemało, znajdzie się i dla pana jedna, odpocznie pan po trudach podróży.

– Dziękuję. – Jestem szczerze wdzięczny, siadam przy wielkim palenisku, w którym wesoło trzaskają drwa.

– Nie ma za co dziękować. – Gospodarz uśmiecha się, pokazując komplet przegniłych szerniałych zębów, i wyciąga ze stojącej w kącie szafy butelkę.

– Gorzałka przednia – zdmuchuje z niej kurz – rzadko tak zacnego przybysza mogę u siebie gościć. Święto to niezwykle.

Nim zdążę zaprotestować, nalewa mi do pełna.

– No to za naszą Rzeczpospolitą! – Podnosi w górę naczynie. – Aby nam wzrastała.

Wypijamy, płyn przyjemnie rozgrzewa ciało, chociaż muszę przyznać, do najsłabszych nie należy, trochę mnie przydusza. Osuwam się nieco na ławie przy palenisku. Czuję się coraz bardziej błogo.

– No a teraz za gościa! – Gospodarz nie zasypia gruszek w popiele i nalawszy kolejną szklanekę, wznosi toast. Pokornie wypijam następną porcję, chociaż już teraz czuję, jak mi się w głowie miesza. – No a teraz coś trzeba zjeść – gładzi się po swoim chudym brzuchu – bo pomrze mi pan, dobrodzieju. – Klaszcze w wielkie chude dłonie i znowu pojawiają się dziewczyny, tym razem z naczyniami pełnymi wiktuałów. Na stole stojącym w centralnym miejscu izby stawiają naczynia z parującymi potrawami. Żur, kielbasy, pasztety. Aż dziw bierze, że takie przysmaki pojawiły się tak nagle, jednak jestem bardzo głodny, a w takim stanie nie sposób analizować. Gospodarz zachęca mnie przymilnym pomrukiem, wskazując nożem na perliczkę. Pochłaniam ją szybko, gospodarz uśmiecha się radośnie, nalewając do srebrnego pucharu wino.

– Węgrzyn przedni, prawda? – cieszy się.

– Yhm – mówię z ustami pełnymi pasztetu. Jest mi błogo i teraz jestem gotowy rozejrzeć się po izbie. Jest zagracona wszelkiego rodzaju patriotycznym orężem, starą zbroją i hełmami. Nigdy nie interesowały mnie dawne dzieje oręża, to wiem jedynie, że nie jest to uzbrojenie husarskie. Wiem, że w Galicji pozostała masa tego złomu. Dalej kilim z szablami i muszkietami, jakimiś kindzałami, makatki, skóry zwierząt i ikony, krzyże, szkaplerze. Całe zatrzęsienie.

– To co, jeszcze jednego? – Nie czeka na odpowiedź, nalewa do pucharu.

– Wyborny – potwierdzam, najedzony, czuję, jak alkohol rozchodzi mi się po ciele.

– Cieszę się, że mogłem panu radość sprawić, gościu mój przemily. Gość w dom, Bóg w dom.

– Bardzo dziękuję, bardzo dziękuję. Przepraszam, ale przecież nie przedstawił mi się pan...

– O! Cóż za niedopatrzenie. Jan Samuel Łatyszonkowicz, pan na Hradcie. – Wstaje, zdejmując czapkę i kłania się w pas.

Coś mi mówi to nazwisko, ale nie jestem pewien, skąd je znam. Alkohol krąży w żyłach, głowa delikatnie ciąży ku dołowi, zataczam się już nieco.

– Maurycy Jakubowski. – Wstaję niepewnie i podaję rękę. Czuję, że już nieco niewyraźnie mówię.

– Bardzo mi miło. – Kłania mi się raz jeszcze w pas.

Rozglądam się po izbie, pokój już zaczyna powoli tańczyć. Jednak alkohol i gigantyczne zmęczenie dają się we znaki.

– To mnie bardzo miło, dawno tutaj gości nie miałem. Zresztą pan przecież chyba oficer.

– Tak, tak – kiwam się zmęczony – kontrwywiadu.

– Kontrwywiadu? – chudy szlachcic dziwi się, szarpie wąsa w niezrozumieniu. – A cóż to takiego, kochanieńki? Ja człek stary, nie znam się na takich rzeczach.

– Kontrwywiad – staram się skupić ze wszystkich sił – to taka służba do zwalczania obcych szpiegów.

– Szpiegów? – Jedno oko łypie na mnie, koniecznie chce pojąć, co mówię. Gdzie ten starzec się chował, że takich rzeczy nie wie?

– Agentów obcych, na przykład sowieckich.

– Sowieckich? – Patrzy wzrokiem nieco pogubionym. Biedny starzec, pewnie czas się dla niego zatrzymał.

– No, rosyjskich.

– A no tak, no tak. – Kiwa głową ze zrozumieniem. – Pan ze stolicy? Ruskich się znaczy, no dobrze, kochanieńki, bardzo dobrze.

– Tak, tak. – Kiwam głową, nie myśląc już w pełni.

– Takie to tam rzeczy wymyślują. Mędrce. Dobrze, dobrze. Niech tak robią. – Szczerzy w uśmiechu swoje przegniłe zęby.

– Ano właśnie, nie samotnie tutaj, na tym bezludziu?

– Samotnie, chociaż mam dwie krasawice. No, ale przodkowie zawsze tutaj, to i ja tutaj na zawsze osiadłem... – mówi z wyraźną nostalgią w głosie.

Myśl pewna rodzi mi się w głowie.

– A to mi pan opowie o swych przodkach – przyjemność mogę mu zrobić. Widać, że samotny tutaj jak palec.

Gospodarz wyraźnie cieszy się na tę prośbę, tak jakby tylko na to czekał. Polał znowu wina. Cieszy się wręcz niezwykle, igrają ogniki w oczach.

– No to zacznijmy od początku, jak to mówili nasi przodkowie. Jak wszyscy Polacy wywodzimy się od Adama, co w rajskim ogrodzie żył razem z Ewą. – Podnosi sękaty palec. – Następnie zaś razem z Sarmatami, kiedy

przybywali do ziemi tej upragnionej, a było to jeszcze za Bolesława Chrobrego, króla naszego wspaniałego...

Oczy mi się nieco przymykają, jednak za wszelką cenę staram się słuchać. Wyrywa mnie dopiero nagle podniesiony głos. Ale nie ze skargą na mnie, ale raczej w euforii opowieści.

– A potem pradziad mój walczył pod Cecorą, gdzie Turczyzna razem z hetmanem Żółkiewskim bigosował.

Budzę się zadziwiająco trzeźwy. Patrzę na gospodarza, który jakby nie zauważył mojej drzemki i kontynuuje:

– Tam właśnie mój przodek, Jan Samuel Łatyszonkowicz, chorąży pancernych, wslawił się, w pył rozbijając tatarski zagon. Ale i dzieci mojego antenata też były dzielne. Karol Władysław, syn Jana Samuela, walczył pod Warszawą w roku Pańskim tysiąc sześćset pięćdziesiątym szóstym. Wypijmy zatem za jego dzieło wojenne, gdyż się w tej wiktorii wslawił przednie. – Podsuwa mi pod nos kolejny napęczniony puchar. W międzyczasie dziewczęta uwijają się, przynosząc nowe dania.

Wypiliśmy kolejny puchar wina. Trunek miło zapieka w przełyku. Znowu przychodzi senność...

– Potem kolejny z moich przodków, o, ten to był wielki bohater, walczył pod królem Janem Sobieskim, świeć Panie nad jego duszą. Och, jak on się tam wslawił! Chorążym husarii był, rąbał Turczyzna. Potem pod Parkanami Kara Mehmed Pasza cierpiał i potem ostatecznie pod Budami skonał. Wypijmy za to.

– Za wiktorię wiedeńską – intonuję radosny. Ogarnia mnie bowiem atmosfera rozluźnienia.

– Za Wiedeń – cieszy się mój gospodarz. – Może teraz zaśpiewam nam coś?

– Rewelacyjna to myśl! – przytakuję i ręka sama sięga po pełny już puchar.

Gospodarz wyciąga lutnię i zaczyna ochrypłym głosem:

Ciemne dnie,

Wicher dmie,

*Z chmur wypada grom.
Zdrada chce
Nająć mnie
W służbę panom dwom!*

*Cóż mi więc zostaje?
Idę tam,
Kędy mam
Wiekuisty dom.*

*Mówią: „Stój!
Na nic bój
Przeciw hufcom stom!”.
Mówię sam:
„Jakże mam
Służyć panom dwom?”.*

*Cóż mi więc zostaje?
Idę tam,
Kędy mam
Wiekuisty dom.*

*Rad, nie rad,
Nie chcę zdrad,
Na pohybel łzom
Wolę krzyż
Przyjąć, niż
Służyć panom dwom!*

Cóż mi więc zostaje?

*Idę tam,
Kędy mam
Wiekuisty dom.*

*Bo tam blask
Bożych łask
Świeci wiecznym dniom.
W świetle cnót
Boży lud
Widzi chwałę swą!*

*Cóż mi więc zostaje?
Idę tam,
Kędy mam
Wiekuisty dom.*

*Gdzieżbym śmiał
Rajski dział
I do niebios prom
Stracić przez
Grzeszny kres:
Służbę panom dwom!*

*Cóż mi więc zostaje?
Idę tam,
Kędy mam
Wiekuisty dom.*

– Ach, młodości pieśń – kończy, gdy wybrzmiewa ostatni akord. Siedzę rozparty na ławie, przykryty futrem z niedźwiedzia, ogień w palenisku

miło dogasa. Jest mi błogo.

– W domu pana śpiewano? – już na wpół sennie pytam.

– A nie, nie. Sami śpiewaliśmy. Jak Moskale się na nas zganiali.

Patrzę zamglonym wzrokiem. Przecież to jakiś absurd, nie może być prawdą, że właśnie z nim rozmawiam.

– Jak to pieśń młodości? – informacja dociera do mojej głowy.

– No tak. – Patrzy na mnie wzrokiem badawczym.

– A który teraz mamy rok? – pytam niepewnie.

– Jak to który? Tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty czwarty rok Pański.

Otwieram oczy ze zdziwieniem, nie no, stary musi bredzić.

– To pan jest kon... kon... kon... – język nieprzychylny płącze się w ustach
– konfederatem? Żartuje pan... Przecież mamy tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy rok...

– A jakże, Moskwa nas ganiała. Razem z panem Radziejowskim i Michalczewskim mieliśmy taki oddziałik i żeśmy ich cięli. Och, jakże ich cięliśmy. I jaki tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy...

Zawieszam logikę na kołku, niczym kapelusz na wieszaku. Co mnie to wszystko obchodzi? Chce się bawić, to niech się bawi gospodarz mój. Patrzę raz jeszcze na moje suszące się ubranie, marynarka, bryczesy i koszula, wszystko uszyte mechanicznie, na przegubie macam zegarek – jest, co prawda nieco musi podeschnąć po tej ulewie, ale jest. Biedy starzec, pewnie mu się pomieszało. Nie ma co zabierać mu przyjemności życia. Bajdurzenia.

– I jak to się wszystko skończyło?

– Skruwiesyny, judasze doniosły. Chłopi przeklęci.

– Iiiii? – Czuję, jak robię się coraz bardziej senny.

– Przyszli carscy. O tam. – Ręką wskazuje na wejście. – Z samopału łeb wypaliłem jednym, drugi miałem pod ręką również, to i do drugiego. No ale i Herkules dupa, kiedy wrogów kupa. Dwóm łby przenicowałem, jednemu rękę. Potem mnie usiekali dopiero – mówi z rozrzewnieniem.

– Ahaa...

– Tak to jest, panie kochanieńki – wzdycha ciężko, melancholijnie.

Nawet mnie to bawi trochę, ta gra niemożliwa.

– To, to to, to... – dłoń podnoszę do czoła – ...to pan, pan tnie tych ludzi na gościńcu?

– Tylko potomków tych chamów, co mnie jak Judasz potraktowali.

– A Żydów?

– A co mi Jewreje zrobili? – Wzrusza ramionami. – Jewreje są dobrzy, poczciwi tacy.

– Aha – bełkoczę i czuję, jak ciemnieje mi przed oczyma. – Tak, chętnie pójdę spać.

Gospodarz klaszcze raz jeszcze na dziewczyny, te podskakują wesoło.

– Przygotować posłania, byle szybko! – Kiwa się na swoim zydlu. – Gość w dom, Bóg w dom. – Wstaje i bierze mnie pod rękę, prowadzi do izby. Czuję jego kościstą rękę skrytą pod kontuszem, tam już przygotowane pierzyny, duże łoże. Czuję, jak pomaga mi się położyć. Nachyla nade mną swe sumiaste wąsy. Koścista ręka spoczywa na moim czole.

– Śpij, kochaneczku, śpij, niech ci się coś miłego przyśni, kochaneczku.

Czuję, że zapadam w sen. Przez mgłę słyszę, że mój gospodarz szepcze jakieś słowa, ale już ich nie rozumiem.

ROZDZIAŁ XIII

Na rynku w Dawidgródku

10 maja 1937

– Co pan! W takim miejscu spać? – Ktoś mnie szarpie za ramię. Na twarzy czuję delikatne uderzenia i przez powieki przebija jasność. Otwieram oczy i widzę zafrapowanego Kostię. – *Pamiętaj Boh, Pamiętaj! Pamiętaj!*

– Co, u diabła? – wyrzucam z siebie.

– No, obudził się pan. – Kostia żegna się na mój widok. – I niech pan nie bluźni.

– Gdzie ja jestem? – Rozglądam się zagubiony.

– Spignowo uroczyńska... Ależ wybrał pan sobie miejsce.

– Co się stało? – Przecieram oczy.

– Rozdzieliliśmy się w burzy – referuje już spokojniejszy Kostia. – Nawalnicę pan tutaj przeczekał?!

– Chyba tak, ale co z tego?

– No ja bym się nie odważył.

Wstaję, otrzępuję się, ubranie mam suche. Stoimy w ruinach dworu. Zruiowane ściany, resztki kolumn z ganku.

– A to dlaczego?

– Bo to dom Jana Samuela Łatyszonkowicza, upiora z bagien...

Szukam w pamięci, faktycznie była taka historia, przeszywa mnie dreszcz. Wiedźmy, upiory, zabobony. Zaczynam mieć tego serdecznie dosyć. Co gorsza, zaczynam też wątpić w sens mojej misji.

– Chodźmy stąd. – Kostia szarpie mnie za ramię. – Miał pan dużo szczęścia, że znalazłem pana, boby pan przepadł na zawsze. Na zmarnowanie.

– Jak to? – Próbuję dojść do siebie. Dziwi mnie, że mam suche ubranie.

– Śniło się coś panu?

– Tak, tak. – Masuję skronie i opowiadam pokrótce.

– Mówił mi stary Nikołaj, że kto zaśnie we włościach Łatyszonkowicza, ten na zawsze będzie w jego oddziale. Ale Nestor zawsze mówił, że on więził Poleszuków.

– Co to znaczy?

– Że są różne głosy...

– Aha – krzywię się zdziwiony – chyba nie lubi Poleszuków. A ja Polak.

Kostia drapie się po brodzie, wygrzebuje z niej coś, strzela palcami.

– Tak, to możliwe. Możliwe. Niemniej miał pan dużo szczęścia. Chodźmy, jesteśmy już niedaleko.

Faktycznie od ruin dworu do celu nie było daleko, doszliśmy w końcu do małego rzeczno-portu, ja zaś cały czas ciężką mam głowę po wczorajszej nocy. Kostia dyskutuje chwilę z dwoma tubylcami siedzącymi przy łodzi, widzę jego oszczędne ruchy, nie słyszę dokładnie, co mówi, ale w końcu mruga do mnie.

– Załatwione, tam gdzie jest to kółko na pana mapie, jest stara strażnica, może coś tam znajdziemy.

– Czuję, że szczęście nam sprzyja.

Wchodzę do chybotliwej łódki z cienką warstewką zgnilej wody na dnie, Kostia zajmuje miejsce z tyłu i odpycha naszą łajbę długim kijem. Wypływamy z lasu na ocean traw i bagien. Płyniemy na północ, ku rzece Wołochowa, przez Prypeć.

Okazuje się, że Polesie Polesiu nierówne, a Prypeć to centrum życia. Jedno jest niczym pustkowie, drugie natomiast pełne ludzi. To drugie jest tam, gdzie jest zarobek, czyli woda. Rzeka żywi, są w niej ryby, są i raki, rzeką można towary sprowadzać, więc i dla przewoźników miejsce się znajdzie, wreszcie rzeką najłatwiej się podróżuje. Łodzi jest więc całe mnóstwo i tworzą niezwykłą mozaikę. Jedne to wielkie barki, na których stłoczeni są tubylcy, baby z koszami jajek, dziewczynki w kwiatowych chustach, chłopcy o smutnych twarzach. Inne zaś to małe łupinki, na których nawet usiąść się nie da, i na których stoi jedna, najwyżej dwie istoty.

Stosunkowo niedaleko Morkoci, w połowie rzeki Łań, znajduje się stara strażnica. Lustruję wszystko za pomocą lornetki. Jest upalnie, koszula klei mi się nieprzyjemnie do ciała, a wokół roje much, agresywnych i łakomych. Dopływamy wreszcie do jeziora Cerkiewne. Na brzegu kręci się żołnierz Korpusu, przekładając raz na jedno, raz na drugie ramię karabin. Samo jezioro to niemalże skrzyżowanie dróg. Przy jednym z brzegów, na kilku złączonych łódkach, miejscowi spożywają prosty posiłek. Wraz z zapachem ryb unoszą się pieśni.

– O, widzi pan tam, jak z carem na Prusaków szliśmy, jak uciekali, to po raz pierwszy ja widziałem to. Musi mieć i więcej niż sto latek, dziwne to miejsce, jakieś takie.

Zwracam lornetkę w tę stronę. Widzę jakieś ruiny, chociaż, po prawdzie, gdyby mi Kostia nie powiedział, że tam trzeba patrzeć i że tam coś jest, tobym w życiu nie odkrył.

– Na burzę się zanosi... – Kostia się krzywi.

Patrzę na niebo błękitne. Bzdury.

– Niemożliwe. Dopiero co jedna przeszła.

– Możliwe, możliwe, jeszcze pan zobaczy. Teraz zaczyna się sezon burz.

– Pyka spokojnie swoją fajeczką. – To będzie wielka burza. Kostia podkręca wąsa, ale wcale a wcale się nie śmieje.

* * *

Stopy dotykają mokrego brzegu. Trudno mi powiedzieć, co widzę przed sobą. Wygląda na to, że kiedyś, przed laty, najpewniej w wieku dziewiętnastym wybudowano tutaj strażnicę, może miała służyć do dawania sygnałów, kiedy ktoś się zbliżał z daleka. Strażnica jest miejscem nadgryzionym zębem czasu, dwupiętrowa, murowana, z czerwonej cegły, z wąskimi strzelniczymi otworami zamiast okien. Ale kogo, u licha, miano by się obawiać tutaj na Polesiu? W sercu imperium? Nie wiem, jak ta ziemia wyglądała w czasach Napoleona, ale na pewno była uboższa niż teraz w zasoby ludzkie. Jednym słowem, jedynym stałym dobrem były bagna, a tego nie dało się strzec. No ale strażnica jest. I to strażnica murowana, solidna. Faktycznie w stanie zupełnie opłakanym, dach

częściowo zwalony, drzwi wybite. Kiedyś musiała robić naprawdę dostojne wrażenie, teraz już tylko śmiesz swoją nieporadnością.

– No to co, wchodzimy? – pyta Kostia.

Nie ma co zwlekać. Gaszę papierosa, rozlewa się też słodycz, po którą sięgnąłem, i przechodzę przez zrujnowane wejście, uważając, aby nie uderzyć głową o niski strop. Moją uwagę przyciąga metalowy krzyż wmurowany w jedną ze ścian. Jest zniszczony, a na nim namalowano kolejny znak – trójkąt, całość, zgodnie z opisem, dawała symbol Boga Mroku. Zwracam na to uwagę Kostii, tężeje mu twarz.

– Cernyj Boh – szepcze i żegna się zamasyście.

W środku już na pierwszy rzut oka widać, że ktoś tutaj niedawno przebywał. Na deskach legowisko z siana, pod jedną ze ścian resztki jedzenia, izba zresztą została zamieciona, tak że doskonale widać klapę w podłodze. Serce kołacze z emocji. Sięgam po pistolet i pokazuję Kostii, aby otworzył klapę. Mój przewodnik szybko wykonuje polecenie i odskakuje od zięjącej ciemnością i wilgocią dziury.

– Jest tam kto?! – krzyczę.

Cisza.

Kiwam na Kostię, ten rozumie, zapala latarkę, ja zaś nachylam się ku dziurze. Nic się nie dzieje. Oddycham ciężko, patrząc na pomieszczenie, kolejny element układanki został rozwiązany. Wygląda na to, że już wiem, co się działo z Adamem Staffem od czasu, kiedy miał wyjechać z Polesia. Piwnica była kiedyś spiżarnią, ale ktoś przerobił ją na więzienie. Wąskie światło latarki omiata niewielką ciasną przestrzeń. Pod jedną ze ścian wiszą kajdany, stare i ciężkie, pamiętające chyba jeszcze czasy carskie, wokół nich dużo zaschniętej krwi. Przytykam mimochodem dłonie do ust, kiedy patrzę na ściany, które ktoś wymazał krwią, kreśląc trzy już dobrze mi znane symbole Welesa, Mroka i Moroza. Adasiu... to pewnie twoja krew? Światło latarki kieruję na drugą ścianę, pod którą stoi stół z mapami i jedną z książek, którą widziałem u Dowgirda podczas pierwszej wizyty. Biedaczek musiał zwariować, to pewne. Do tego zauważam coś, co przesądza sprawę. Dwie dziwaczne rękawice ze szponami, idealne kopie tych, które były na zdjęciach w albumie Dowgirda. Obydwie ze śladami krwi na pazurach.

– Czyli jednak Dowgird – mówię do siebie.

– Musiał go tutaj przetrzymywać i próbować wydobyć informację o skarbie. – Stukam palcem w brodę. – Kostia, musimy koniecznie dać znać komisarzowi Kontrymowi i Adlerowi.

– Najlepiej będzie przez Mokroć. Musimy tam pojechać i nadać telegraf.

Kalkuluję i uważam, że chyba jest to bezpieczne rozwiązanie. Kiwam głową, to chyba jedyna droga. Gdzieś u góry rozlega się jakiś rumor. Rzucam się na drabinkę i wyskakuję z piwniczki. Widzę uciekającą postać i jestem niemalże pewien, że to Dowgird. Przeskakuję przez zwalone pnie drzew i staram się ignorować dramatyczny głos Kostii, żebym uważał, bo to bagna i łatwo wpaść. Pędzę, ile sił w nogach, ból i ciemność. Słyszę tylko huk pioruna, który uderza gdzieś niedaleko, oraz krzyk Kostii. Zapadam się w ciemność.

* * *

Burza cały czas szaleje, kiedy wsiadam z Adlerem do samochodu w Mokroci, tuż po tym jak komisarz razem ze swoimi ludźmi obejrzał kryjówkę Dowgirda. Sytuacja wymknęła nam się spod kontroli, prawie mieliśmy Dowgirda, uciekł w ostatniej chwili. Ja zaś padłem po uderzeniu głową o belkę stropu. Gdyby nie przytomność Kostii, mogłoby być bardzo źle.

– Teraz trzeba go tylko znaleźć – przekrzykuję szum deszczu dochodzący zza okna samochodu. Na głowie mam bandaż nałożony dosyć sprawnie najpierw przez Kostię, a potem przez jednego z policjantów.

– Tak, ale to nie takie proste. Nie mamy pojęcia, gdzie mógł się schować i jesteśmy spóźnieni o dobre sześć godzin – mówi Adler beznamiętnym tonem.

Cztery godziny. Tak, aż tyle trwało, zanim pierwsza burza się uspokoiła. Zanim Kostia mnie opatrzył, zanim odzyskałem świadomość i wreszcie, zanim dotarliśmy do Morkoci, gdzie udało mi się przekonać policjanta, aby nadał telegraf. I na koniec, zanim Adler dotarł na miejsce. Tyle cennego czasu... w błoto. Do tego znowu rozpętała się cholerna burza.

Deszcz wali straszliwie. Ja rozmasowuję siniaka na czole. Tym razem to nie była żadna bagienna gorączka, klnę w duchu i zapalam papierosa, zaraz jeszcze rozmokną drogi i utkniemy w drodze do Dawidgródka.

– Jest zaszczuty, ale na bagnach raczej nie będzie się ukrywał. Choć on przecież zna te wszystkie miejsca – mówię.

– Tak, to prawda. Teraz, skoro mamy pewność, że to on, mogę zmobilizować posiłki. Niedługo powinny przybyć oddziały z Pińska. Ale nie mam pewności, że to wyjdzie. My zaś możemy wrócić do Dawidgródka, lepiej, żeby obejrzał pana lekarz – decyduje komisarz Adler.

* * *

Do Dawidgródka dojeżdżamy tuż przed dwudziestą w strugach deszczu. Samochód Adlera, nota bene jeden z dwóch w Dawidgródku, zatrzymuje się na rynku pod komisariatem i w pierwszej chwili nie dostrzegam, że w strugach deszczu stoi na placu samotna postać, wyglądająca trochę jak totem. Człowiek z rozpostartymi ramionami, moknący w ulewie. Przecieram oczy ze zdziwienia, jest to... nie kto inny, jak Dowgird!

– Komisarzu. – Szturcham Adlera.

– Co, do cholery?

Wychodzimy w deszcz. Po twarzy Dowgirda spływają strugi wody. Koszula bez kołnierzyka jest zupełnie przemoczona. Mamrocze coś pod nosem, po czym wyciąga z kieszeni pistolet i podtyka go sobie pod brodę. Oblęd w oczach, rysy twarzy nauczyciela się wykrzywiają.

– On idzie! – Dowgird łka, wargę drga mu przeraźliwie. – Strugi łez mieszają się na jego wykrzywionej z lęku twarzy ze strugami deszczu. Deszcz jednak nagle przestaje padać, zza niektórych chmur przebija nawet światło zmierzającego ku zachodowi słońca.

– Kto?! – krzyczę otumaniony.

– Cernyj Boh! – już właściwie nie woła, tylko jęczy.

– Czemu zabiłeś Staffa? – Łapie go za ramię Adler.

– On nie wierzył. – Oczy nauczyciela stają się trzeźwe. – Zdrajca. Zdradził sprawę!

– Dlaczego zabiłeś Staffa? – wtóruję Adlerowi.

– Ja! Ja! Ja! – krzyczy. – Dla Cernogo Boga, on mnie kocha! Pamiętajcie, On idzie! Demiurg jest blisko. On chciał go okraść. – I naciska spust.

Głowa odlatuje w tył, krew i mózg mieszają się z błotem dawidgródzkiego bruku.

Dopiero teraz zauważam ludzi, którzy przerażeni śledzą tę scenę z okien, widzę i karła, który zamasyście się zegna. Stary Żyd prowadzi piszczącego i wrzeszczącego tyczkowatego wariata Mośka. Wysoki Żyd kiwa się i mamrocze ciągnięty przez swojego ojca, nie chce iść. Starzec jest bezsilny wobec nadludzkiej siły dawidgródzkiego Samsona. Ja zaś podbiegam do ciała. Dowgird odstrzelił sobie połowę głowy i nie ma najmniejszej wątpliwości, że nie żyje.

Komendant Dawidgródka klnie pod nosem, po czym rozgląda się za swoimi podwładnymi, którzy właśnie dobiegają do nas. Deszcz cały czas pada, rozmywając krew. Czuję, że opadam zupełnie z sił. Osuwam się na rozmokłą ziemię.

* * *

– Chyba może pan ostatecznie zamknąć swoje śledztwo? – kwituje odkrycia Adler.

– Tak, też tak sędzę. Do tego ten pistolet Staffa, z którego zastrzelił się Dowgird... to przesądza sprawę.

Siedzę w jego gabinecie i czuję, że wreszcie mogę odetchnąć. Wszystkie elementy wskoczyły na swoje miejsce, a przynajmniej żywię taką nadzieję. Przywykłem do tego, że w każdym śledztwie jest jakaś pula rzeczy niewiadomych i nie mam zamiaru ich na siłę wyjaśniać. Ważnym jest, że wiem, kto zabił Adama, i wiem dlaczego.

Przy Dowgirdzie znaleźliśmy dwa bardzo ważne dokumenty, które rzuciły światło na sprawę. Pierwszym był list pożegnalny, składał się z dosyć chaotycznych wyjaśnień, tłumaczył, że musiał zabić Staffa, aby uniknąć jakiegoś nieszczęścia, ale zarazem złorzeczył, że chciał on zabrać skarb, który Dowgird wcześniej wytropił. Przekonywał, że Staff ukradł mu ten skarb i nie chciał oddać. Wszystko wskazuje więc na to, że biedny nauczyciel stracił zmysły i być może przetrzymywał Staffa tylko dlatego, że uroił sobie, że ten wie, gdzie jest skarb.

W podobnym tonie spisany był dziennik, w którym widać było degradację umysłu autora. Składał się z pojedynczych zazwyczaj zdań, często powyrywanych z kontekstu, czasem pozbawionych daty.

1936 sierpień

Natrafiłem na ciekawe wzmianki o skarbie. Będę szukał dalej.

Demiurgizm to najlepsze rozwiązanie. Trzeba tylko o tym uświadomić ludzi. Ludzie muszą zrozumieć, że w nim jest największa nadzieja.

Byłem u starca, błogosławił mnie, ale nie wie, z czym przyszedłem.

1936 wrzesień

Byłem w Warszawie. Poznałem tam bardzo ciekawego człowieka. A.S. jest młodym badaczem. Podobno pracuje na uniwersytecie poznańskim, a w Warszawie był tylko na sympozjum. Wiem, że sprawa leży mu na sercu.

Przegadaliśmy całą noc. Łączę z nim naprawdę wielkie nadzieje.

3 listopad 1936

Pisał S. Podobno ma coś ciekawego. Ma przyjechać. Pracuję cały czas nad tekstem, chyba już wiem, gdzie może być klucz do skarbu.

Grudzień

Straszliwie zimno, ale chyba coś znalazłem. Wiem, gdzie powinna być piąta pieczęć. Byłem we Lwowie. Spotkałem się z S. Był tam na dwa dni w ramach spotkania towarzyskiego. Znowu mówiliśmy całą noc. Podzieliłem się z nim odkryciem, rzucił wiele światła na moje badania.

Starzec mnie zrugął.

Styczeń 1937

Mam pewność, trzeba czekać do wiosny. S. przyjedzie. Śmiertelna niepewność.

20 stycznia 1937

Odczytałem ostatnie zapisy, już wiem, gdzie powinniśmy szukać.

12 luty 1937

Wyczekuję, wszystko idzie dobrą drogą.

27 luty 1937

S. jest bardzo mądry, połączył wszystko, co najważniejsze. Wyczekuję go. Niestety moje poszukiwania okazały się błędne. Skarb nie znajduje się tam, gdzie myślałem.

1 marca 1937

S. przesłał pewną hipotezę. Sprawdziłem ją, on może mieć rację. Ale nie chce podzielić się szczegółami, pisze, że powie o wszystkim, kiedy wróci.

3 marca 1937

Znowu mi się śniło, boję się.

Poprosiłem starca o modlitwę.

On idzie. Demiurg jest blisko.

5 marca 1937

Spaliłem wszystko wcześniejsze.

10 marca 1937

S. przyjedzie. S. pomoże.

15 marca 1937

A jeśli S. jest zdrajcą?

16 marca 1937

Nie chcę, aby przyjeżdżał. Demiurg powiedział mi, że nie może przyjechać. Może wszystko zniszczyć.

17 marca 1937

List od S. To zły człowiek, nieszczerzy, chce zburzyć nasz świat. S. to sługa Peruna, sługa łże-boha, trzeba go powstrzymać, zanim zniszczy wszystko. To jedyna droga. Po prostu trzeba, trzeba, trzeba.

30 marca 1937

S. to zdrajca, zdrazca sprawę. Należy go zabić.

Bez daty

Trzeba go zabić. Musi tylko powiedzieć, gdzie on jest.

Gdzie? Gdzie? Gdzie?

Zabić. ZABIĆ. ZABIĆ. ZABIĆ.

Bez daty

CZARNY BÓG IDZIE! DEMIURG.

– Faktycznie – odkładam dokumenty – wygląda na to, że moje śledztwo się zakończyło. – Trudno mi powiedzieć, co czuję: ulgę czy raczej pustkę. – Mogę skorzystać z telefonu? Chciałbym o tym zameldować.

– Oczywiście. – Adler wstaje i wychodzi z pokoju. – Chyba możemy ostatecznie zamknąć sprawę.

– Chyba faktycznie możemy – mówię obolały, teraz dopiero czuję, jak zmęczenie rozlewa się po moim ciele. Jednocześnie gdzieś na granicy świadomości coś łomocze mi niczym ptak w głowie.

– Ale... – Adler zatrzymuje mnie ruchem ręki – musimy opić nasz sukces. – Odwraca się ku szafce stojącej za biurkiem i wyciąga butelkę koniaku. Ja zaś patrzę jeszcze raz na zapiski.

– Nie wydaje się panu, że te zapiski są... nieco dziwne, jakby nienaturalne.

Adler lustruje mnie byстрыm spojrzeniem.

– Przecież to był wariat. Nie ma co wnikać, przecież nic się z tego nie urodzi.

– Może i ma pan rację. Napijmy się. – Upijam łyk koniaku z kieliszka, ale wątpliwości cały czas pozostają we mnie niczym zadra.

* * *

Wieczór upływa w mieszanej atmosferze. Z jednej strony świętujemy sukces, z drugiej jednak cały czas żal mi Staffa. Kontrym nie chce brać udziału w imprezie, poszedł na swoją kwaterę. Piję razem z Pawłowiczem i Adlerem w „Warszawiance”, pojawiają się coraz to nowe trunki. Rozmowa z Mayerem była nerwowa. Niby ucieszył się, że znaleźliśmy mordercę, ale zarazem zrugął mnie za niewykonanie rozkazu. Prosiłem o jeden, dwa dni urlopu. W końcu przystał. Muszę przyznać, że zupełnie nie rozumiem, co tu się dzieje. Furda, skoro mi Polesie dało tak w kość, coś mi się należy od życia, jutro chcę pojechać do Zwiaholskich i spotkać się z panną Urszulą, a co!

Wracam na kwaterę przez ciemny Dawidgródek. Nieco wręcz otępiały wydarzeniami dzisiejszego dnia, czuję, że potrzebuję się przejść, może też ma w tym udział alkohol. Alkoholu było dużo. A nawet dużo za dużo. Nogi mi się płaczą, ale chcę wytrzeźwieć, by złapać tę myśl, która mi ciąży cały czas z tyłu głowy. Bo między jedną anegdotą a drugą, między jednym kieliszkiem a drugim cały czas coś mnie gnębiło. Coś niejasnego, coś dziwnego, niepasującego. Nie wiem, jak długo tak chodzę w ciemności, nie widzę, która jest godzina. Przypominają mi się nocne rajdy po Warszawie ze Staffem. Gdzieś prawie wpadam w chaszcze, gdzie indziej, przypilony potrzebą, daję ulgę pęcherzowi. Docieram w końcu na cmentarz. Czarne kształty krzyży są wyraźnie zarysowane. Czuję, że cały czas jestem pijany, ale już coraz jaśniejszy mam umysł. Zamieram, bo widzę dobrze znaną mi postać... Już mam zawołać, kiedy coś mnie powstrzymuje. Wsłuchuję się w wydobywający się z ust żalobnika potok słów, starając się oddychać jak najciszej. Nie rozumiem, co mówi, brzmi

jak gardłowy pijacki bełkot. Wiem, że powinienem podejść, w końcu chrząkam ostrzegawczo. Pawłowicz odwraca się, nie wygląda na pijanego, raczej zdziwionego.

– A, to ty – mówi po chwili – zabiła się moja nimfa – zawodzi.

Nie widzę dobrze jego twarzy, ale jestem przekonany, że mógłbym zobaczyć na niej łzy. Gestem pokazuje piękny grób.

– Moja nimfa. Ją to zagłuszam każdego dnia. Ją...

Milczę.

– Siarkę z zapalek zażyła. Zmora moja. – Pociąga nosem.

Odwraca się, twarz skryta w mroku, głos się łamie. W ręce kapitana pojawia się butelka wódki Baczewskiego. Bierze łyk. Pada na kolana i przytula się do grobu.

– Maurycy, ona odeszła – szlocha.

Czuję się nieswojo, oglądanie przyjaciela w tak intymnej sytuacji jest wyjątkowo krępujące. Chyba jedyne, co można zrobić, to zaciągnąć go do domu.

– Chodź, Zbyniu – biorę go za ramię – chodź spać.

– Nie! – krzyczy głośno. – Nie chcę twojej łaski. Idź już, idź! – wbija we mnie przerażone oczy pełne dzikiej furii. Uderza dłonią w kurtkę, na twarz moją lecą kropelki śliny. Wycofuję się delikatnie i zostawiam go skulonego nad grobem.

ROZDZIAŁ XIV

Dwór na wesołych bagniskach

11 maja 1937

– Dzień dobry, panie kapitanie. – Pod dom Zwiśłockich podjeżdża motocykl razem z przyczepką. Na maszynie zaś wesoło uśmiechnięta Urszula Zwiąholska w goglach i kasku oraz w szarym kombinezonie. Bestyjka, nawet w takim stroju zwala z nóg! Serce bije mi znacznie szybciej, kiedy zdejmuję gogle i widzę jej oczy, a jeszcze szybciej, kiedy potrząsa długimi włosami.

– Piękna maszyna – odpowiadam z uśmiechem. – To Sokół, prawda?

– Tak, CWS M sto jedenaście, Sokół tysiąc dokładnie, moje cacuszko. Z motocyklem Sokół objedziesz cały świat. – Pieszczotliwie dotyka zielonego wózka. – Proszę wskakiwać, zabiorę pana do papy.

– Nie wiedziałem, że jeździ pani motocyklem. Nie wiedziałem też, że wybieram się do hrabiego.

– Wielu rzeczy pan o mnie nie wie – odpowiada z uśmiechem Urszula – bardzo wielu. Papa bardzo nalegał na spotkanie, a ja miałam ochotę wyrwać się z Olmanów.

Patrzemy przez chwilę na siebie w milczeniu.

– I chciało się pani jechać?

– Chyba możemy wreszcie przestać sobie „paniować”? – Zdejmuje rękawiczkę i podaje mi swoją dłoń. – Urszula.

– Maurycy. – Czuję mrowienie w brzuchu, kiedy dotykam jej delikatnej dłoni. – A zatem, jak to się stało, że przyjechałaś?

– Dzień ładny, papa prosił Witka, ale on coś zaniemógł – uśmiecha się promiennie, puszcza oko porozumiewawczo – ponadto niezwykle miło mi się z tobą gawędziło. Inteligentny oficer to tutaj rzadkość.

Czuję, jak działa na mnie ta informacja. Urszula taktownie nic więcej nie mówi.

– A zatem, czy jesteś gotowy na przejażdżkę?

– Z tobą choćby i do samych Sowietów. – Nie potrafię ukryć entuzjazmu. Jak uczeń karcę się w duchu.

– Och, jakże miło mi to słyszeć. Nareszcie mężczyzna z klasą, bo tutaj to wszyscy kręcą nosami, że „jak to, kobieta na motocyklu?”. To prawie tak straszne dla nich – gestem delikatnym poprawia włosy – jak, ja wiem, czarownica. No, ale ty jesteś z Warszawy, to wiele zmienia.

– Czarownica, ale nowoczesna. Idąca z duchem postępu, już nie miotła, tylko motocykl.

– I tego się będę trzymała – śmieje się perliście – no to jedziemy.

Łapię pełne zawiści spojrzenie Zwiśłockiego, nareszcie jakaś reakcja.

– Jedzie pan na przejażdżkę? – Nagle Aniela wypada z domu. Zamiera w pół słowa, widząc Urszulę.

– Dzień dobry. – Dyga na widok dziedziczki Olmanów.

Urszula obrzuca ją długim spojrzeniem, po czym uśmiecha się rozbawiona.

– Dzień dobry, czy mogę zabrać kapitana Jakubowskiego na przejażdżkę?

Widzę, jak krew odpływa z twarzy Anieli. Mała, gdyby tylko mogła, zapadłaby się pod ziemię.

– Oczywiście, proszę pani – burczy pod nosem.

– Tak myślałam, proszę wsiadać, kapitanie, dzisiaj jest pan mój – ostatnie słowa kieruje nie do mnie, ale do Anieli, która jest zdruzgotana.

Pędzimy więc przez wieś, nie zważając na ludzi i zwierzęta. Gdy się zbliżamy do jakiejś wsi, ustępują z okrzykiem, że „pani na Olmanach jedzie”. Dzieciarnia z fascynacją oblepia płoty, jak tylko słyszy motocykl. Nawet baby i starcy zatrzymują się, niektórzy się żegnają. Inni patrzą ponuro. Nagle ni z tego, ni z owego zatrzymujemy się przy jednym z drzew. Pod nim palą się świeczki i leżą resztki jedzenia w miskach.

– Widzisz, tyle lat tutaj jeżdżę, a oni ciągle patrzą na motocykl jak na ni to diabelski, ni to cudowny twór. A spróbuj im zdjęcie zrobić, zaraz histeria, że niby *kradzież duszy*. A teraz malutki postój. Wiesz, co to jest?

Wstaję z kosza i przyglądam się.

– Wygląda jak jakiś ołtarzyk. Dlaczego mnie tutaj zabrałaś?

– Bo wiąże się z tym miejscem bardzo ciekawa historia. – Urszula uśmiecha się promiennie. – Taka, hmm, tetmajerowsko-nietzscheańska, może też i kolbergowska.

– Zamieniam się w słuch – zachęcam ją z niewinnym przekąsem.

Urszula opiera się o motocykl i podnosi podbródek wysoko, a utkwivszy wzrok w jakimś punkcie w oddali, zaczyna snuć opowieść. Opowieść przerażającą w swoim ludycznym brutalizmie.

– Kilka lat temu ludzie mojego ojca odkryli opustoszałą wioskę smolarzy. Na polanie stado kruków. Pośrodku jakiś kształt. Podeszli bliżej, a tam: naga dziewczyna przybita do drzewa. Nad głową tabliczka z napisem INRI, twarz dziewczyny, prawie dziecka, pozbawiona oczu, wykrzywiona w upiornym grymasie.

– O, mój Boże – jęczę – co to było?

– Nie wiadomo, pop twierdził, że wierzyli, że opanowała ją zmora, a krzyż był jedynym lekarstwem.

– A smolarze się znaleźli?

– Nie – kręci głową z zadumą – i to było najciekawsze...

Idziemy jeszcze chwilę w milczeniu, patrząc na zielone bagna.

– Wybacz, że pytam. Ten zabity oficer...

– Adam Staff.

Odwracam się w stronę pokrytego rzęsą stawiku.

– Znałeś go?

Milczę. Słucham, jak ptaki śpiewają, i wyłapuję znowu całkiem wyraźnie znany dźwięk „trupek, trupek”.

– Był moim przyjacielem i... – czuję, jak słowa nie chcą mi przejść przez gardło – kiedyś uratował mi życie...

– Och. Naprawdę bardzo mi przykro. Chcesz o tym może powiedzieć?

– Nie, wolę nie. – Kręczę głową. – Czuję, że muszę wręcz odciągnąć od tego myśli. Nic już nie zmieni rzeczywistości.

– Słuszna i godna podziwu postawa. Nie ma co pozostawać w próżnym bólu.

Jeszcze chwilę spacerujemy w ciszy. Jest mi dobrze w jej towarzystwie, toteż z radością przyjmuję, kiedy Urszula przerywa milczenie dosyć zaskakującym pytaniem.

– Wchodziła ci do łóżka ta Anielka Zwiśłocka?

Opowiadam jej historię tamtej nocy. Reakcją jest perlisty śmiech, od którego aż mi się robi cieplej na duszy.

– Widzę, że znasz Anielkę – mówię z przekąsem.

– Na swój sposób tak. O ile z Sokratesem nie mam najlepszych relacji, o tyle z Witoldem jesteśmy blisko. Wiem o większości jego podbojów miłosnych, a pamiętaj, że Witold jest tutaj cały rok, i mu się nudzi.

– Rozumiem, że on nieszczęsną Anielę...

– Tak – uśmiecha się figlarnie – ale podobno nie był pierwszym, który ten kwiatek zerwał. Ani nawet kolejnym.

– Mała ładaczka z niej.

– Z tego, co słyszałam, owszem. Ale co mnie jakieś plotki o dziewczuszkach prostytutkach interesują.

– I myślisz, że mnie taka dziewczuszka mogłaby skusić?

– Ha, ha, ha, ha – znowuż ten perlisty śmiech – oczywiście że nie.

– Cieszę się, że masz o mnie tak dobre mniemanie.

– Lepsze, niż myślisz. Jak mówiłam, tutaj raczej mało osób interesujących.

– Więc na bezrybiu i rak ryba.

– Na bezrybiu ryba tym ciekawsza – uśmiecha się zalotnie, zbliża się do mnie na odległość pół kroku. Moje serce zaczyna bić coraz mocniej w oczekiwaniu na pocałunek. – No, pora jechać. – Uśmiecha się.

Dalsza podróż nie zajęła nam zbyt dużo czasu. Na pewno sporo było w tym zasługi diabelskiej maszyny, ale i fantastycznego stanu dróg jak na warunki poleskie. Urszula wytłumaczyła, że jest to zasługa papieża, który pilnuje, aby w jego włościach drogi były cywilizowane.

– Witam pana Maurycego – hrabia czeka na ganku – więc jednak zechciał pan się wybrać do nas?

– Oczywiście. To czysta przyjemność.

Czarna broda trzęsie się od śmiechu.

– Proszę przejść do biblioteki ze mną, a potem możemy wybrać się na małą wycieczkę krajoznawczą. A jutro – podnosi palec z sygnetem – a jutro zaprosiłbym pana na polowanie. Bo pan poluje, prawda? – Wyczekująco wbija we mnie wzrok.

Znowu wita mnie wspaniała przestrzeń wypełniona książkami. Przyjemny zapach kurzu i inkunabułów wymieszany z dymem cygar i ciężkimi męskimi perfumami. Hrabia swoim wielkim ciałem zajmuje fotel, w jednej ręce trzyma książkę, która wydaje się dziwnie mała. W lewej ręce fajka, w butonierce kwiat nieznanego mi gatunku. Znowu rozglądam się, licząc na to, że gdzieś przemknie Urszula.

– Tak więc, jak wygląda sprawa? Znalazł pan dowody?

Opowiadam o Dowgirdzie, o tym, co dokładnie znaleziono w jego dokumentach, i o tragicznych wydarzeniach na rynku.

– Coś podobnego. No dobrze. – Patrzy gdzieś w przestrzeń nade mną. Wyłamuje olbrzymie palce. – Ale uważam, że robi pan błąd. – W głosie hrabiego słychać wyczuwalny zawód.

– Dlaczego? – Wiem, do czego to zmierza, ale nie chcę mu odpuścić.

– Bo moim zdaniem to Biernacki za tym wszystkim stoi, a pan cały czas ma wątpliwości.

Wbijam wzrok w jedną z ksiąg leżących na stole.

– Tak, cały czas mi coś nie pasuje. Ja wiem, że liczy pan na powiązania sprawy z wojewodą, ale naprawdę nie mamy żadnych dowodów. A Dowgird przyznał się niejako i mamy dowody. Trochę mam wrażenie, że pan cierpi na monomanię.

– Ale przecież ktoś mógł mu podrzucić rzeczy Staffa. – Zviaholski nie poddaje się tak łatwo.

– To prawda. Ale co z korespondencją, ona nie była podrobiona, no i jest to zdjęcie. A poza wizytą na granicy nie ma żadnego związku między Staffem a ludźmi Biernackiego. Ba, w Mokroci nie kryli się z tym, że go widzieli.

– I on naprawdę wierzył, że tam jest ten skarb? – Ta myśl wyraźnie bawi hrabiego jak wyjątkowo dobry żart.

– Najwyraźniej tak, dlatego zabił. Staff prawdopodobnie też wierzył... – Rozkładał nieco bezradny ręce.

– Bzdura. Ja mówię, że tak jest i tak być powinno. – Tłustym palcem puka w stół. Oho, hrabia pokazuje swoje złowrogie oblicze. Mania Biernackiego się ujawnia, przedziwna to rzecz. – Nie zmuszę pana – dodaje w końcu. – Wie pan, proszę mi wybaczyć, leży mi na sercu dobro Polesia, a ten szkodnik Kostek wszystko niszczy. Ale proszę pamiętać, za Dowgirdem mógł ktoś stać i to mógł być wojewoda!

– Rozumiem. – Kiwam głową. Na pewno wchodzi w szkodę hrabiemu i katolickiemu klerowi. I jeżeli mam być szczery, nawet mi to za bardzo nie przeszkadza.

– Dobrze, zostawmy to może... – Znowu na czarnej szczęce gości uśmiech, oczy już nie pałają wściekłością.

– Jest jeszcze jedna sprawa, która nie daje mi spokoju... – teraz ja mu nie daruję.

– Zamieniam się w słuch...

– Skoro tutaj jestem... Wesoly dwór, znalazłem informacje o nim w zapiskach Dowgirda, chciałbym upewnić się, czy...

Hrabia patrzy na mnie przeciągle.

– Może to pana przekona, że mam rację. – Podnosi ręce. – Jedziemy zatem do wesołego dworu. – Uderza olbrzymimi dłońmi w uda, aż dudni. – Ale najpierw pokażę moje włości, moich pracowników, co zrobiłem. Chciałbym, aby pan opisał jak najdokładniej wszystko, co zobaczył.

– To mogę spokojnie obiecać.

Hrabia z zadowoleniem klaszcze w dłonie. W ciszy biblioteki brzmi to jak wystrzał, po czym pije mały łyk koniaku.

– No, nareszcie jakiś pozytyw. A wie pan co, mam tutaj taką dobrą nalewkę ziołową, przepis z dziada pradziada w mojej rodzinie, może pan zechce skosztować?

Przystaję, nie ma co ukrywać, wizyta u hrabiego coraz bardziej mi się podoba.

– Może będę miał dla pana coś ciekawego.

Hrabia ożywia się znowu, jest pogodnym starszym panem, bez śladu zacierzwienia na punkcie Biernackiego.

– Proszę pokazać.

Wyciągam z torby kawałki kory.

– Ciekawe, ciekawe, gdzie pan to znalazł? – Hrabia zakłada na nos binokle.

– Dowgird miał je u siebie w domu.

– Mhhym. – Kiwa się wielka głowa. – To jest to, o czym mówiłem, inkarnacja ku czci Żmija. Ktokolwiek zabił kapitana Staffa, chciał, aby była to ofiara dla Żmija, albo by tak to wyglądało. A czy mogę je zatrzymać?

– Niestety, kora będzie stanowiła dowód w sprawie.

– *Bien.* – Na twarzy hrabiego maluje się wyraźny zawód. – No cóż. Ruszajmy na wycieczkę, tylko przebiorę się w bardziej odpowiedni strój.

* * *

Siedzimy w wygodnej bryczce i cieszymy się dobrym cygarem. Hrabia opowiada wesoło o coraz nowszych inwestycjach, jakie chce poczynić. Z posiadłości jedziemy prostą drogą aż do pierwszej wsi. Wieś jest biedna, ale wyraźnie dołożono starań, aby była dobrze zarządzana. Chaty liche, ale podparte żerdziami tak, że się nie zapadają. Chłopi w ubraniach prostych, ale schludnych. Dziwi mnie tylko, że dzieci są ciche. Patrzą tylko, jak je mijamy, pustym wzrokiem, nucą dziwaczne swoje pieśni.

Wyletięła dusza z ciała

Na nowoj mohile sjęła

Wona sjęła i płakała

De ja budu noczuwała

Pryletaje anhel z neba

Czoho tobi dusza treba?

Pieśń o ulatującej z ciała zagubionej duszy znów wzbudza we mnie niepokój. Mężczyźni zdejmują na nasz widok czapki, kłaniają się w pas, pozdrawiają gestami. Jest w tym coś teatralnego, a nawet sztywnego, tak jakby nie mieli wyboru, jakby robili to mechanicznie. A może mi się tylko zdaje. Ja na tym Polesiu zaczynam być bardzo drażliwy.

– O, zaprowadzę pana do sołtysa, jest z niego dobry człowiek, na katolicyzm przeszedł. Wie pan *quius regio, eius religio*^[13].

– Wszyscy to rzymscy katolicy?

– Och nie, to zrodziłoby bunt. Wybrałem inną drogę: chcesz zrobić karierę u Zviaholskich, ochrzczij się i klęknij przed mocą Watykanu. Wtedy zyskasz profity.

– I działa?

– Proszę zobaczyć. – Hrabia wskazuje ręką na wieś. – Jest cerkiew, ale jest i kaplica katolicka. Ksiądz przyjeżdża w niedzielę i odprawia mszę. – Pokazuje wielką ręką mały budynek. – A cerkwi i tak Poleszucy za bardzo nie szanują.

– A jak się to ma do pana poglądów antyklerykalnych?

– Wojujący ateizm pana Boya jest dobry na Warszawę. Tutaj potrzeba strategii – uśmiecha się swoim uśmiechem skrytym za brodą – katolicyzm jest bliżej liberalizmu niż prawosławie. Co jeszcze nie znaczy, że wierzę, cenię sobie za to jezuitów i ich sposoby.

Trochę się na to krzywię w duchu, ale nie można odmówić hrabiemu skuteczności. Zaraz pojawia się sołtys, czyli Jan Jankowski, wcześniej Iwan Iwanowicz. Chłop siwobrody o twardym spojrzeniu, wyczekującym na kolejne polecenia niczym pies na komendę. Prawie mówi po polsku, wtrąca tylko jakieś słowa tutejsze. Kiedy hrabia każe mu się przeżegnać i zmówić modlitwę, trochę widać się wstydu, ale w końcu duka *Pater noster* dosyć wyraźnie, acz mechanicznie.

– No to widział pan mój lud dzielny, to była wieś drwali, dalej mam kilka wsi smolarzy. No i tartak, nie mogę nie pochwalić się moim tartakiem. Polesie to przecież drewno, samo drewno de facto. Co to bowiem za las bez tartaku? Stasiu – zwraca się do woźnicy – do Strugi rończo. Wie pan, czym różnią się moje metody od metod wojewody? Ja nie używam knuta, ja miłuję moich Poleszuków. A on ich straszy.

– Śpiewają o nim pieśni, wojewoda srogi, ale sprawiedliwy.

– Bujdy, kiedy pan to słyszał, na jarmarku? – hrabia nie kryje rozgoryczenia. – To pod kolbami karabinów mówili, to nie ma żadnego znaczenia. Żadnego.

– Ale po domach są jego portrety, temu pan nie zaprzeczy.

– Pfff – hrabia sapie zirytowany – nie słyszał pan, że jest taki prikaz? Naprawdę wojewoda to diabeł wcielony.

Milknę, świadomy, że tej batalii nie wygram. Tartak faktycznie jest czymś, co warto podziwiać. Olbrzymi kompleks składający się z kilku obiektów, w których praca wre. Na rzece barki z drzewem, tym obrobionym i tym do obróbki. Wielkie bale najpierw są zrzucane z barek do wody, aby potem trafić wprost na linię produkcyjną. Tam każdy pień zostaje obrobiony. Dziesiątki krzątających się ludzi, drwali, pracowników tartaku i flisaków, każdy z nich zatrzymuje się, jak tylko widzi hrabiego, zdejmuje czapkę i kłania się w pas. Wszystko przy wtórze ciętego i rąbanego drewna.

– Wszystko to bardzo ładne, nie powiem. Ale chyba nie tartak i nie las mieliśmy oglądać? – decyduję się wreszcie zadać pytanie, które krąży w mojej głowie od dawna.

Hrabia zapala cygaro, gładzi się po czernionej brodzie, nie do końca jest zadowolony, trochę wygląda na to, że nie pozwoliłem mu się w pełni pochwalić ulubioną zabawką.

– Stasiu, mapa, szybko. – Kiwa dłonią na stangreta. Rozkłada szeleszczącą płachtę, na której widzę znajome regiony. – Dobrze wiem, że pan wyjeżdża i może pan coś będzie w stanie wskórać. Raz jeszcze muszę o to prosić. To, co robi wojewoda, to jedno, naprawdę obawiam się, że zaprzedał duszę diabłu, ale są i inne sprawy. Widzi pan te linie? – Palec z sygnetem sunie po mapie. – To są moje lasy, a tutaj są planowane umocnienia, ta druga linia to linia umocnień. Jak pan widzi, w niektórych miejscach się przecinają.

– Widzę i pan tego nie chce?

– Ależ wręcz przeciwnie, ja przecież doskonale wiem, jak to jest ważne. I chciałbym, aby ten odcinek zyskał priorytet. Teoretycznie nie podlega to

pod wojewodę. Faktycznie nie mam pojęcia, ale gdyby pan i tę wiadomość zawarł w raporcie...

– No dobrze, ale co to ma wspólnego z tartakiem, z chłopami i tak dalej?

– To, że chciałbym, aby moi ludzie przy tym pracowali i abym dostał umowę na dostarczenie surowców. Oczywiście nie cementu czy innych rzeczy, ale drewna i tego, co ja mogę zapewnić, czyli jeszcze więcej drewna.

Rozważam w myślach, cała ta sprawa budowy kompleksu umocnień nijak się miała do mojej sprawy. Łapię się na tym, że jeszcze kilka dni temu odrzuciłem podobną propozycję Licynki... Ale gdzie się ma Licynka do hrabiego. Poza tym teraz już wiem, że wojewoda to człowiek niebezpieczny.

– Właściwie... – Nie wiem, jak się ustosunkować do tego dictum.

– No i rewelacyjnie. – Twarz hrabiego rozjaśnia uśmiech. – Napijmy się, proszę. Widzę, że moja naleweczka przypadła do gustu. Dobrze, teraz możemy zabrać się do Wesołego Dworu, proszę mi wierzyć, raczej nic tam nie zobaczymy.

Płyniemy teraz prostą łodzią, ma motor, ale ma też dwóch Poleszuków, którzy pomagają kijami w przypadkach, kiedy praca z nimi jest łatwiejsza. Bo i rzeka niełatwa w przeprawie. Suniemy zakryci przez rozłożyste gałęzie drzew, które niekiedy dotykają tafli brudnej wody, ja zaś już niemalże przywykłem do bagiennego zapachu tej części Rzeczypospolitej.

– Wie pan, jak się czuję, ilekroć mam płynąć do dworu? Jak ten bohater *Jądra ciemności*, czytał pan, prawda?

– Tak, oczywiście. Korzeniowski to wspaniały pisarz. – Uśmiecham się pod nosem.

– *Bien*. Wydaje mi się, że Biernacki jest jak ten Kurtz cały, no ale mniejsza z tym. Zbliżamy się już, widzi pan, czemu moja rodzina porzuciła przed laty tę siedzibę.

– Nie ma drogi normalnej?

– Jest, ale teraz jest zupełnie nieprzejezdna. Chyba że ma się jakąś hybrydę łodzi, sani i wozu. Dlatego wątpię, aby Dowgird tam dopłynął. Ale może nie doceniłem jego zaangażowania.

– No, ale mówił pan, że teraz to już jest lepiej. – Zabijam komara, który zasada się na moje ramię. Obrzydliwe poleskie bestie.

– Bo jest. Proszę mi wierzyć. Już niedaleko. – Mijamy dwa rozpadające się słupy z szarego kamienia, których podstawy wychodzą z wody. – Jak pan pewnie świetnie widzi, tutaj cały czas jest przede wszystkim podmokły teren. – W ogóle historia dworu jest prosta. Mój przodek, Konstanty Feliks, był zwolennikiem konstytucji. Chciał reform, no ale, rozumie pan, rozbiory mu przeszkodziły. Mieliśmy ziemie, hen, daleko, w dzisiejszych Sowietach. Musiał się przenieść, był reformatorem i masonem. Od różnych rzeczy zaczęło mu się mieszać w głowie. Wybudował ten dwór, ale tutaj żyć się nie dało. Zginął na wojnie o konstytucję.

– Zabity?

– A gdzieżby. Na tyfus. Wszystko odziedziczył Michał Stanisław, jego brat. On stwierdził, że po pierwsze konstytucja to może niekoniecznie... że minęła. Za to carat stoi dobrze i jego się warto trzymać. A car go polubił. Może nie powinienem tego mówić, ale z niego było niezłe ziółko. Brał udział nawet w powstaniu listopadowym.

– Przeciw carowi? – pytanie niby oczywiste, ale muszę je zadać.

– Nieee... – hrabia uśmiecha się złośliwie – przeciw powstańcom. Tylko ciii... – przykłada palec do ust – zaraz będzie, że Zviaholscy to przeciwnicy polskości i targowiczanie. Ale tak między Bogiem a prawdą to przodkowie się wyraźnie na Moskwę orientowali, dopiero mój dziad, syn Michała Stanisława, zmienił podejście. W każdym razie jego ojciec przeniósł się ostatecznie do Olmanów i po wsze czasy porzucił to Wesole Bagnisko.

– Właśnie, czemu Wesole Bagnisko? To jednak dosyć specyficzna nazwa...

– Nie czuje pan? – Hrabia pociąga nosem. – Tutaj siarką śmierdzi, straszliwie od bagnisk ciągnie. I to normalne tutaj, takie warunki. A mój przodek miał dziwne poczucie humoru, stwierdził, że to będzie zabawne nazwać te ziemie Zabawnymi. A oto nasz dwór rodzinny. Siolo wspaniałe. – Hrabia zatacza ręką po ruinie. Łódka dobija do brzegu, milczący pomocnicy zakładają liny.

Dwór ponury, rozpadający się, nie żaden pałac, a zwykły szlachecki dworek, co prawda murowany, ale jednak. Dach się załamał, kolumny przed wejściem trzymają się na słowo honoru.

– Tam był dwór – wskazuje na ruinę – a tam cmentarz rodzinny z kryptą, ale pusty, bo już mój ojciec kazał przenieść doczesne szczątki naszych antenatów. A dalej jedyna atrakcja, kolumna na cześć konstytucji. Jak pan widział, w Olmanach jest jej kopia. Zresztą jest więcej kopii, ale to już zupełnie inna sprawa.

Kręcę się po terenie. Faktycznie nic tu nie ma. Do dworu nawet nie ma co wchodzić. Boję się, że spadnie mi coś na głowę. Konstanty Zviaholski zapala fajkę. Poleszucy wzięci do obsługi łodzi ćmią machorkę, komary tną jak diabli. Pod nogami chlupocze woda, cały teren jest podmokły. Jednym słowem cała ta wyprawa to fiasko. Odbylem podróż po to tylko, aby zobaczyć kupę gruzów? Podchodzę do przechylonej kolumny trzeciomajowej. Stoi na kwadratowej podstawie, a zwieńczona jest rodzajem buławy. I już bym się odwrócił na pięcie, gdyby nie fakt, że coś mnie jednak zaintrygowało. Czarny ptak wątpliwości roztrzepotał się w mojej głowie i zaglądam do kolumny od drugiej strony.

– Panie hrabio! – krzyczę podekscytowany. – Chyba jednak ktoś tu był.

Wpatruję się w dwie zabite kury leżące pod postumentem. Ktoś podciął im gardło i splamił postument. Do tego obok nich ustawiono dwie miseczki z jakimś płynem. Krajobrazu dopełniają dwa wypalone ogarki oraz znak węża napisany krwią na postumencie. Ku czci Czarnego Boga, jak się domyślam.

– *Merde!*^[14] – kwituje sytuację hrabia. Gestem przywołuje jednego z Poleszuków.

– Piotrze, przyjrzyjcie się temu. – Poleszuk, rosły chłop o jasnych węsach i kocich ruchach kuca przy kolumnie. – On jest świetnym tropicielem, powie nam, kiedy ktoś tutaj był.

– *Adin muszczyzna, znaczy jeden.* – Piotr unosi wzrok, po chwili nieco zafrapowany swoim błędem. – Panie hrabio, *ja nie znaju* po polsku, jak to będzie.

– Trzy dni temu, w miastowych butach.

– Mógł to być Dowgird. – Kiwam głową w zamyśleniu.

– Mógł – zgadza się hrabia – biedny człowiek. Może faktycznie w tej konkretnej sprawie to nie Biernacki maczał palce. Wracajmy do Olmanów. Zaraz się ściemni. – Patrzy po zebranych coraz bardziej zaintrygowany.

– Przepraszam, czy tutaj zawsze tak cuchnie? Jakby coś gniło? – przerywam, kiedy dociera do mnie zapach.

– Faktycznie – hrabia pociąga nosem – nie, z zasady aż tak nie cuchnie. Może jakieś zwierzę padło...

– Możliwe, ale wolałbym sprawdzić.

Hrabia kiwa głową bez większego przekonania.

– Ma pan rację, lepiej sprawdzić. Szkoda, że nie wzięliśmy psów... Pieski byłyby teraz bardzo pomocne...

– Zapach potęguje się, jak jesteśmy bliżej domu – przerywam mu. – Pieski chyba nie są potrzebne.

Drzwi są jednak zamknięte, obchodzimy zatem ruinę ze wszystkich stron, od tyłu, gdzie kiedyś znajdował się park, teraz częściowo skryty pod wodą, widzimy otwarte drzwi. W milczeniu patrzymy na siebie, kiwamy głowami i idziemy, starając się uniknąć przemoczenia nóg. Podtrzymujemy się wzajemnie w tej nieprostej przeprawie.

– *Merde!* – wymyka się ponownie hrabiemu, kiedy zaglądamy do niegdyś jadalnego pokoju.

Zwierzęta już bowiem zrobiły sobie ucztę na ciele. Trudno rozpoznać, które z ran były zadane przez zabójcę, a które są wynikiem działań padlinożerców. Ciało przyobleczone w czarną sutannę, a raczej jej strzępy. Wiem jedno, na podłodze w starym dworze znajduje się ciało osoby duchownej, a trup oczywiście ma oderżnięte uszy. Podchodzę powoli, nachylam się i rozchylam sutannę. Na piersi, naruszonej przez dziką zwierzyńę, wyraźnie widzę jednak ślad Syna Bagien, złowieszczy trójkąt. Klnę tak dosadnie, jak to tylko możliwe. Rozglądam się po sali, zasłaniając nos dłonią, smród bijący od ciała jest niemożliwy. Wydaje mi się, że wiem, kto to może być, i ta wiedza wcale mi się nie podoba.

– Musimy poinformować władze.

– Biernacki, wszystko to Biernacki – syczy przez zęby hrabia.

– Obawiam się, że myli się pan, hrabio. – Wstaję z kolan.

– Niby na jakiej podstawie? – syczy hrabia.

– Bo to dzieło Dowgirda...

– Jest pan pewien? – Hrabia zaciska zęby.

– Nie wygląda to za dobrze. – Wstaję z kolan. – Niestety... Ba, wiem jeszcze jedno. Chyba wiem, kto to jest...

– Naprawdę? – Hrabia się krzywi.

– Pop Iwan z Ohomela. – Zaciskam dłoń na znalezisku, na małym guziku. – I Niestety raczej jutro nie będę mógł uczestniczyć w polowaniu. Czeka mnie przynajmniej jeszcze jedna rozmowa.

Zabranie zwłok popa Iwana przebiegło stosunkowo szybko. Hrabia posłał sług, aby zabezpieczyli miejsce, my zaś szybko popłynęliśmy do najbliższej jednostki administracyjnej. Komisarz Kozłowski ze Stolina, którego, jak się okazało, miałem okazję spotkać na raucie, niezwykle dyskretnie załatwił całą sprawę. Po skromnej kolacji, po której rozeszliśmy się do pokoi. Zrobiłem to nie bez zawodu, ale okazało się, że panna Urszula źle się czuła i nie mogła zaszczyścić nas swą obecnością.

Nazajutrz przed gankiem żegnam się z domownikami. Na ganku stoi Urszula, wyraźnie nadal nie jest w pełni sił. Czuję, jak serce mi bije szybciej, kiedy na nią zerkam ukradkiem.

– I co pan teraz planuje? – Hrabia patrzy na mnie wyczekująco.

– Wracam do Dawidgródka, a potem do Warszawy.

– A Biernacki pozostanie wolny? – próbuje jeszcze mnie przekonać. Jego oczy cały czas wbijają się we mnie.

– Panie hrabio, przecież nie ma dowodów... – Rozkładam bezradnie ręce.

– Wiem, wiem... – Kiwa głową. – Proszę tylko pamiętać o mojej prośbie. – Klepie mnie jowialnie po ramieniu.

– Oczywiście, oczywiście. A zatem w drogę. – Kłaniam się w pas gospodarzowi i jego rodzinie. Całuję dłonie dam i wymieniam uściski z mężczyznami.

– *Bien.* – Klaszcze w dłonie. – Stasiu, kosz.

Służba wnosi olbrzymi kosz z wiktuałami i nalewkami, który chcą mi koniecznie zapakować.

– Ależ ja się nie zabiorę – protestuję, jeszcze mi takiego tobołu brakowało.

– Obrażę się. – Hrabia uśmiecha się pod nosem.

– Może by tak wysłać na mój warszawski adres, będzie znacznie łatwiej.
Hrabia klaszcze swoimi olbrzymimi dłońmi.

– Bardzo dobrze. Bardzo dobrze. – Kiwam i ja z zadowoleniem głową i wsiadam do kosza motocykla. Tym razem bowiem Witold zaofiarował się mnie odwiedzić. Podchodzi też oczekiwana przeze mnie Urszula.

– I co? Już wiesz, jakie jest rozwiązanie mojej szarady?

– Witkacy. – Uśmiecham się szczerze i podkręcam wąs.

– Cudownie. – Klaszcze w dłonie. – Jak na to wpadłeś?

– Intuicja. – Nie daję po sobie nic poznać.

– Proszę nie żartować. – Uśmiecha się promiennie. – Witkacy jest właściwie nieznan. Moja szarada była za trudna.

Przykładam dłoń do serca.

– Masz zupełną rację. Podejrzałem, jaką książkę zostawiła pani na stoliczku, trafił chciał, że była otwarta na podanym przez panią cytacie.

– O, taka szczerłość godna jest nagrody. – Podaje mi jeden z kwiatów ze stojącego nieopodal wazonu. – To na pamiątkę. Pamiętaj o mnie, bo ja ciebie szybko z pamięci nie wyrzucę. A tutaj, proszę, jeszcze taka rzecz, podaje mi małą karteczkę wyperfumowaną. Otwieram ją zaraz, jak tylko siadam do motocykla.

Proszę mnie odwiedzić, ulica Kredytowa 5, numer 5. Czekam. U.

ROZDZIAŁ XV

Starzec

12 maja 1937

Kłamałem hrabiemu, kłamałem Urszuli i kłamałem sobie, nie było możliwości, aby już wracać do Warszawy, ale chyba wtedy jeszcze nie byłem tego świadomy. A do tego Agata, która wydaje mi się tak bardzo odległa i do której nie tęsknię. Teraz to wiem, bo trzymam w rękach list Urszuli.

W ciągu pół godziny załatwiłem najważniejsze sprawy związane ze śledztwem. Wizyta u Kuli, który bez problemu użyczył mi telefonu. Jeszcze jedna rozmowa z Mayerem, że znaleziono popa. Znowu dosyć oschła, za to przyznał mi aż tydzień urlopu. Coś dziwnego panuje na szczytach władzy, czuję to, nie wiem, na ile ma to coś wspólnego z Polesiem i Biernackim, a na ile są to zupełnie inne sprawy. Moja misja dobiegła końca i wkrótce wracam do Warszawy. Dowiedziałem się, że ciało Staffa zostało już odesłane do Brześcia, a stamtąd odesłają do stolicy. Co czeka Biernackiego, nie wiem i nie mogłem pytać, tego typu rzeczy są rozstrzygane poza mną. Teoretycznie mogłem sprawdzić jeszcze jedno, ale sam nie byłem pewien, czy dobrze myślę.

– Czyli opuszcza pan nasze województwo? – pułkownik Kula dopytuje ciekawskim tonem.

– Tak, tak... – odpowiadam nieco niedbale. – Najpewniej jutro.

– Rozumiem, rozumiem. Mam nadzieję, że mogłem pomóc. – Czyżby gdzieś w tym pytaniu kryła się nadzieja na odpowiednie opisanie jego roli w raporcie? – Proszę też pozdrowić ojca.

– Bardzo mi pan pomógł – odpowiadam, bo obietnica ta absolutnie nic mnie nie kosztuje. – Na razie wracam na kwaterę, jutro oficjalnie się pożegnám. – Salutuję i wychodzę.

Kieruję się prosto do Zwisłockich. Już na kilka metrów przed gankiem moje podejrzenia nabierają realnych wymiarów. Pod daszkiem siedzi

Aniela. Niebieska sukienka opina jej młode ciało. Na kolanach trzyma małą miseczkę pełną malin. Aniela bierze po jednej do ust i kładzie na delikatny języczek, różowy od owoców. Skąd to dziewczę się dowiedziało o moim powrocie, bo nie wierzę, że tak po prostu przesiaduje na ganku i objada się malinami.

– O, wrócił pan? – Czerwone od malin usta wydymają się.

Patrząc w niebieskie oczy, przypominam sobie, że to nieszczęsne dziewczę próbowało rzucić na mnie urok. Jaki urok, już mi się zupełnie na tym Polesiu w głowie pomieszało.

– Jak widać – kwituję szorstko.

– Podobało się panu nasze piękne województwo?

– Dużo komarów, dużo nierozważnych ludzi. Zresztą jutro wracam do Warszawy.

Ręka z maliną zatrzymuje się w pół drogi. W oczach Anieli rozpalają się ogniki. Mam cię, mały gagatku, ty chcesz mnie odhaczyć w kajeciku. Abyś mogła się pochwalić swoim koleżankom z dawidgródzkiej pensji dla córek urzędniczych, że gościa z Warszawy w sobie ugościłaś. Masz babo Polesie...

– Ojoj. A dlaczego...?

– Miłego dnia, panienko. – Uchylam czapkę, rozbawiony, ale i zarazem nieco podniecony.

W pokoju patrzę na ślad po żmii, raz jeszcze przypominam sobie całe zdarzenie i jakoś nieprzyjemnie mi się robi. Zbyt długie przebywanie w domu sam na sam z Anielą Zwisłocką to nie najlepszy pomysł. Wychodzę z pokoju i raz jeszcze uchylam czapki i łowię zirytowane spojrzenie poleskiej *femme fatale*. Czyżby w tej małej blond główce coś się roilo?

– Niech pan zaczeka! – rozlega się krzyk za mną. Słyszę tupot małych kroczków.

Udaję, że nie słyszę, ale ona nie daje za wygraną.

– No, niechże pan zaczeka... – podbiega do mnie zdyszana – mam coś dla pana.

– Co takiego?

– A będzie pan miły? – Wbijają we mnie wielkie oczy.

Wzdycham ciężko.

– Proszę nie próbować na mnie tych sztuczek... – Jestem bliski wyśmiania tej naiwnej i durnowatej dziewczoi.

– Dobrze już, dobrze. – Dąsa się, ale wyciąga zza dekoltu kopertę.

– Co to jest? – Wstrzymuję oddech pełen niejasnego przeczucia.

– Pan Dowgird zostawił kilka dni temu. – Zalotny i zarazem złośliwy uśmieszek przechodzi przez jej buziuchnę.

– Kilka dni temu?

– A tak. – Wydyma usteczka. – Ale pan był taki niemily, że zapomniałam... To coś ważnego?

Rozrywam kopertę zirytowany.

Panie Jakubowski Szanowny,

nie zastałem pana. Boję się o moje życie, proszę uważać. Nie wiem, co się ze mną stanie. Są okresy w moim życiu, których nie pamiętam, wiem jedno – nikogo bym nie zabił. Chyba wiem, co się tutaj dzieje, ale brak mi danych. Okłamałem pana, Staffa znałem od dawna, powinienem panu powiedzieć. On na coś trafił, zanim zniknął. Proszę koniecznie znaleźć starca. On wie wszystko!

Jan Dowgird

PS Mam podejrzenie, że ktoś mnie podtruwa, ale nie wiem, w jaki sposób. Proszę uważać na siebie. Chyba wiem kto, ale boję się nawet napisać. Zasyfrowałem to dla pana. Znajdzie pan wiadomość u starca. Proszę zapamiętać. U starca Nikołaja! Wiadomość poniżej.

Mieję przekleństwo w ustach. Ściskam dołączoną do listu kartkę z rzędem niezrozumiałych cyfr.

– Ważne było? – Patrzy na mnie wyczekująco, znów wydymając usteczka.

– Proszę mi zejść z oczu – mówię i słyszę, że mój głos przybiera lodowaty ton. Odwracam się ku Anieli, na jej twarz zaczyna wpełzać przestach. – Won!

Czuję, jak ręce zaczynają mi się trząść. Staram się uspokoić i ułożyć nowy plan. Już wiem, że na pewno tak szybko, jak chciałem, nie wrócę do Warszawy.

* * *

Moje mięśnie są napięte do granic. Brnę przez dawidgródzkie ulice, mijam słupy telegraficzne oblepione wróblim stadem. Znowu to samo: „Trupek, trupek”, nieprzyjemnie i złośliwie. Kręcę z dezaprobatą głową i sięgam po egipskiego. Kontempluję chwilę postać Egipcjanina zamierzającego się na pstrokatą gazelę czy też inne afrykańskie zwierzę. Pół godziny siedziałem nad kodem z szyfrem i nic nie odczytałem, dopiero potem mnie olśniło. Notatnik Dowgirda! Teraz do mnie dociera, co mi nie pasowało. Biorę ze sobą list i biegnę do Adlera. Nie ma go na komendzie, to nawet dobrze, rzucam tylko przodownikowi, że muszę coś zobaczyć. Ton głosu jest tak ostry, że przerażony człowiek nie oponuje. Biorę zeszyt i list i moje wątpliwości rosną. Nie znam się na grafologii, ale miałem z nią nieco do czynienia. A tutaj zaczynam mieć wrażenie, że napisały to dwie różne osoby. Zapalam kolejnego papierosa i już wiem, co muszę zrobić.

* * *

– Widział pan? – Kontrym wymachuje mi gazetą przed nosem. – „Bandyta ujęty! (Dziesiąty maja) Wczoraj w godzinach wieczornych został złapany bandyta komunistyczny Gregori Datimow, razem ze swoją bandą próbował dokonać dywersji”...

– Nie teraz! – przerywam mu obcesowo, bez zwracania uwagi na jego szarżę.

Kontrym patrzy na mnie zdziwiony, zastyga z gazetą w jednej ręce i z fajką w drugiej. Zastałem go na jego kwaterze, na samym końcu Dawidgródka. Pokazuję mu list Dowgirda.

– I co pan na to? – Podsuwam mu go pod nos.

Kontrym siada na zydlu. Gładzi dłonią brodę.

– Ja nie wiem, o kogo chodzi. Starzec?

– Ja wiem, a raczej wiem, kto wie... – wypalam.

– Kto?

– Pana przyjaciel, Kostia, mówił mi o nim. Musi pan go sprowadzić.

Kontrym na chwilę zamyka oczy, po czym wzdycha.

– Oczywiście, ale wie pan, ja nie mogę więcej nic pomóc, dostałem w nocy telegram, że mam wrócić do Białegostoku. Muszę zostawić pana samego z tym, co się tutaj dzieje.

– Oczywiście, oczywiście! Błagam, muszę dotrzeć do tego człowieka jak najszybciej.

– Dobrze. Ma pan szczęście. Kostia jest jeszcze w Dawidgródku.

* * *

Kostię zastaliśmy w północnej części targowiska, pił piwo z jednym z furmanów. Szybko streszczam, o co chodzi.

– Ja wiedziałem, że bez Nikołaja to się nie objedzie. – Uśmiecha się szczerbatym uśmiechem. – No, ale ja nic nie mówiłem, a trzeba było...

– Jak najszybciej mogę się tam dostać? – Nie chcę przeciągać sprawy.

– Musimy pomyśleć. – Kostia łapie się za ucho. – Anton, *jeditie k' Mokrać?*

– *Niet!* – odkrzykuje rosty chłop – Makary *jeduit*.

Wychyla się tyczkowaty blondyn o długiej brodzie i rybich oczach.

– Makary, my *budiem jedit z taboi*.

Ten obrzuca nas długim ciężkim spojrzeniem.

– *Dajte mielocz*^[15] – wypowiada się w końcu jakoś tak od niechcienia.

– Zapłaci mu pan coś, dobrze? – Kostia patrzy na mnie wyczekująco.

Wygrzebuję dwie pięćdziesięciogroszówki, Makary bierze je z nabożeństwem w chude dłonie. Żegna się i całuje monety.

– *Trogaj!* – krzyczy Makary na szkapę i ruszamy nieśpiesznie. Wpierw jedziemy przez dzielnicę żydowską, gdzie czerni się od chałatów i gdzie Makary wita się z każdym napotkanym Żydem i wymienia pozdrowienia. Wlecze się to niemiłosiernie, ale zaciskam zęby, bowiem na każdy z moich ruchów nazbyt gwałtownych Kostia kładzie mi rękę na ramieniu. Wóz toczy się powoli i wreszcie opuszczamy Dawidgródek, jego północną część, drogą na Sienkiewicze. Po prawej stronie za rzeką króluje wzgórze z masztem radiowym, ciągnie chłodem od rzeki. My zaś jedziemy powoli, na tyle, na ile pozwalają stare nogi szkapiny. Makary wyraźnie rozluźniony podśpiewuje pod nosem:

Zelenyj barwynoczku,
Stelysia nyzeńko
A ty, myłyj czornobrewyj,
Prysuńsia błyzeńko.

Kiwam głową w rytm jego chrapliwego śpiewu i zapalam papierosa. Kostia nakrywa głowę kapeluszem słomkowym i zasypia.

– *Zakurit dajte?* – Makary, który nas na swoim wozie gości, prosi o papierosa. Wóz jak wóz, drabiniasty, zniszczony, stary, szkapa jak szkapa, zabiedzona i brudna, chłop jak chłop, szczere spojrzenie.

W milczeniu podaję mu papierosa. Patrzą na steraną życiem twarz, pokrytą zmarszczkami niczym siatką pajęczyny, długą siwą brodę i zaciśnięte usta, zniszczone pracą ręce. Odrywam wzrok i zwracam się ku bagiennemu krajobrazowi, i prawdę powiedziawszy, nudzi mi się. Kostia pochrapuje, więc może przynajmniej porozmawiam z chłopem.

– Jak się nazywacie? – decyduję się w końcu spytać.

– Makary – burczy nasz chłop.

– Makary, ale jak nazwisko? – dopytuję.

– *Prasta*, Makary. – Wypuszcza dym. Bratku, tak nie będziemy się bawić, każdy ma jakieś rodowe nazwisko.

– *Kakaja familia* – nie poddaję się, nie ma mowy.

– Stiepanow.

Wóz jedzie powoli, do taktu uderzeń kół pochrapuje Kostia, na błękitnym niczym sukienka pensjonarki niebie przelatują ptaki.

– A wy kto? Polak, Rusek, Ukrainiec? – pytam dalej.

– Ja... – pytanie go wyraźnie dziwi – tutejszy. A jaki mam być? – odpowiada z typową chłopską zadumą.

Kiwam głową. Tego to się mogłem spodziewać.

– A jak wam się tutaj żyje? – ryzykuję, najwyżej się zirytuje. Jak się zirytuje, to może będzie draka, a jak będzie draka, to nie będzie nudy.

– *Charaszo* – mówi z entuzjazmem i zaciąga się papierosem.

– A wojewoda *charoszy*? – brnę dalej, odwracam się ku Kostii, ten chrapie jak chrapał. Koszula podnosi się w takt oddechów, wąsy drgają rytmicznie.

– Batuszka Biernacki sam *charoszyj*. *On kak car* – mówi z entuzjazmem. Żegna się zamaszycie. – *Kak caroj w nieboj. Boże, pamiętuj jemu.*

– Nie bije was?

– Batuszka Biernacki? – Twarz Makarego wyraża bezwzględne wręcz zdumienie. – Batuszka srogi, ale nas miłuje.

Ponownie kiwam głową i patrzę uważnie na mojego rozmówcę, nie wygląda na takiego, co by kłamać potrafił, jakby był organicznie do tego niezdolny. W głosie pobrzmiwa szczerłość.

– A kop?

– *Kopisty*? Oni *charoszy* jak sąsiedzi – tu w głosie Makarego słyhać pewną nieszczerłość.

– Na pewno? – Wbijam wzrok w Makarego.

– Możesz być szczerym – z siana dobiega głos Kostii – kapitan dobry człowiek.

Makary rusza wąsami, jakby o czymś myślał.

– Jak ty tak mówisz – zaczyna w końcu: – *Kopisty różne, raz biją, raz niet. Raz pomagaj, raz nie.* Tam gdzie piją, tam i biją. Chociaż naszej wiary prawosławnej *toże są*.

Cóż, przynajmniej jest szczerzy. Nie ma co się dziwić, jeszcze nie wymyślono takiego wojska, które nie popełniałoby błędów.

– Ludzie ich nie lubią? – drązę.

– Czasem tak, czasami nie. Jak to z żołdatami – mówi leniwie, cmokając na konia, który właśnie sobie ulżył i zapach moczu końskiego przyćmił wszystkie inne doznania.

Jedziemy dalej w ciszy, mijamy monotony krajobraz poleski, tam przebiegnie zając, tam znowu czapla do lotu się wzbije. Kostia mruczy coś w półśnie.

– A hrabiego znasz? – zmieniam temat, kiedy mijamy bale ściętego drewna i przypominam sobie naszą wizytę w tartaku.

Makary duma chwilę, popędza konia leniwie, raczej dla zasady, niż aby naprawdę przyśpieszył.

– Burżuj – cedzi w końcu gniewnie i spluwa żółtą od tytoniu plwociną.

Czego się mogłem spodziewać, przecież hrabia to potentat na tych ziemiach, wielki bogacz.

– Burżuj burżujowi nierówny. – Ciągnę go za język. Nie mogę odpuścić teraz. Wyciągam z torby butelkę z wódką wcześniej rozsądnie zakupioną, biorę duży łyk, podaję woźnicy, ten ostrożnie bierze. Podejrzewa, że będę go na spytki dalsze brał.

– On zły. Podlec – mówi w końcu. – Lachy są różne, jedne dobre, drugie złe. On zły. Bies. – Spluwa na bok ponownie. – Otobilem swoim się rozbija, straszy ludzi. Machiną czartowską. Niechryst.

– Dlaczego? – Tu mnie zafrasował. Tak uznać poczciwego hrabiego za kogoś złego? Przecież to taki dobry człowiek, wszyscy o nim dobrze mówią.

– On nie ma Boga w sercu. On ludzi *bijut*.

– A wojewoda nie? – Unoszę brwi zadziwiony.

– *Batiuszka niet, on dobryj, srogij, ale dobryj*. Na *katoliczestwo* nie przymusza.

– A ja widziałem ludzi, co to chwalili hrabiego. – Temat nie daje mi spokoju.

– Aj, panie Jakubowski – z siana dobiega głos Kostii. – Niech pan nie wierzy w takie rzeczy. Potiomkinowskie wioski.

Odwracam się zafrasowany i patrzę w roześmiane ogniki w oczach Kostii, nie przestaje mnie zadziwiać ten Poleszuk.

– Widziałem, jak go Poleszucy chwalą, jak śpiewają pieśni.

– I wiersze recytują, prawda?

– Tak, polskie wiersze.

– A widział pan, kapitanie, ich plecy? – Kostia przeciąga się na sianie.

Tracę na chwilę język w gębie.

– Ich plecy?

– Tak, plecy. Hrabia lubi używać knuta. To się nazywa polonizacja skór – wypłuwa jedną ze słomek. – Tyle batów, ile województw.

– Nie wierzę. – Kręcę głową.

– Nie musi pan – Kostia ziewa – ale gdyby pan odwiedził którąś z jego wsi, toby pan zobaczył. Nie te potiomkinowskie, ale prawdziwe.

– Potiomkinowskie?

– Pewno do tartaku pana wziął, to taki jego okaz, skansen, że tak to ujmę, w moim prostym słownictwie.

– A ty skąd to wszystko wiesz, Kostia? – teraz już nie na żarty zaintrygowany odwracam się do niego.

– Ja, ja po prostu słucham lud tutejszy.

– Ale ten jego ród, to przecież stąd?

Kostia żuje słomkę, wesoło się uśmiecha.

– Panie Jakubowski, takiś pan mądry, a tyle pan nie wiesz. A kto najkrwawiej w historii waszej tak pięknie swoją krew przelewał? Książ Jarema Wiśniowiecki. I co tym zyskał? Tron dla syna. Ale co ja wiem, prosty poleski chłop.

Czuję, że zabił mi ćwieka, wpatruję się w nudny krajobraz.

– Ale jego córka opiekuje się nimi?

Kostia wybucha śmiechem.

– Panna Urszula rzadko tutaj bywa i nic nie wie. Hrabia z Witoldem to biesy. Nie dalej jak kilka dni temu wypędził jakąś służkę z dworu, wcześniej ją zbiwszy okrutnie. Ładną taką krasawicę, chyba jej było Natalia. Ot co. Ale co tam mitrzyć się, dojechalim. Z wiedzą o tym zrobi pan kapitan, co zechce. *Poroszczaj!* Bywaj!

Makary zatrzymuje konia przy znanym mi już domu Zoi szeptuchy. Ponownie stajemy przed chatynką i Kostia energicznie puka. Przestaje jednak i nakazuje palcem, abyśmy byli cicho. Spomiędzy ćwierkotu ptaków przebija się cichy śpiew. Zaglądam razem z Kostią przez błony do chaty. W środku jest małe zgromadzenie, z pięć bab, wśród nich Zoja z witką tłących się gałązek, otaczają dziecko w kołysce. Nucają jakąś smętną pieśń, której słów nie mogę zrozumieć.

– Co one robią? – pytam Kostii, starając się jednocześnie dojrzeć.

– Zdejmują uroki. Ale kończą już pomału, jak mi się zdaje.

Faktycznie z izby wychodzą po kolei baby. Widać w ich oczach ulgę, widać gusła przyniosły zamierzony skutek. Ostatnia wychodzi Zoja z młodą matką z dzieckiem u piersi. Dziewczyna ma może czternaście lat,

sama jest jeszcze dzieckiem, z białej lnianej chusty wystaje różowiutka buzia dziecka, w spokoju ssącego gałganek nasycony cukrem.

– *A gaspadin Lach* – krzyżuje ręce na piersiach na mój widok – *priszedel* mądrości *paprubować*? – mówi mieszaniną polskiego i tutejszego.

– Do starca prowadź. – Zaciskam pięści oparte o framugę prostej chaty.

– Aaa, do Nikołaja. – Zoja kiwa głową. – Poczekacie tutaj, zaraz przyjdę po was.

– Czemu sami nie możemy iść? – zwracam się do mojego przewodnika, który ze znudzeniem skubie wąsa.

– Starzec to dziwny człowiek – mówi po chwili zastanowienia Kostia – niecodzienny, jakbyście to określili, i nieufny.

– Tobie nie ufa?

– Ano nie bardzo. Za bardzo się *złachilem*. – Wzrusza ramionami. Bardzo stara się udawać, że go to nie boli.

– Idą – krzyczy na nas Zoja z kijem u nogi – późna *hodina*.

* * *

Resztki uroku Polesia wyparowują niczym gaz z bagien. Idziemy kładką położoną między podmokłymi terenami, z których co chwila wylatują bańki cuchnących oparów. Komary tną, żaby rechoczą, powietrze śmierdzi niemożliwie. Zoja idzie szybko, nie zważając na nasze tempo.

– To już blisko – mówi Kostia. A mnie jest wszystko jedno, od trzech godzin idziemy tymi kładkami pośrodku niczego. Tajemniczy, owiany mistyczną aurą Nikołaj mieszka na trzeciej wyspie o wdzięcznej nazwie Święta Zofia. Swoją samotnię ulokował w głębi bagien poleskich. Na wyspach nie ma niczego sympatycznego, jedynie nieprzyjazna człowiekowi flora i fauna. Kostii nic nie odpowiadam, od godziny mówi, że jesteśmy już blisko, a potem okazuje się, że siedliska Nikołaja jak nie było, tak nie ma.

– Już naprawdę niedaleko – powtarza Zoja i już mam parsknąć, gdy rzeczywiście zarysowuje się jakiś kształt.

Na wyspie stoi chutor zabiedzony. Jakiś budynek, jakaś schylona ku ziemi stodoła i tyle. No i krzyże. Wszędzie stoją krzyże, liczę i wychodzi mi,

że musi być ich z pięćdziesiąt, drewnianych, metalowych, prawosławnych i katolickich.

– *Nikołaj! Nikołaj!* – krzyczy Zoja, stojąc na skraju wyspy.

– *Z Bohom ili bez?* – pada skądś z wyspy silny głos.

– *Z Bohom.*

– Kto? – po chwili kolejne pytanie.

– *Lach z Warszawu i Kostia.*

– *Wchadite, Kostia niet.*

Patrzę zdziwiony na mojego przewodnika, ten skurczył się w sobie nieco.

– Nie lubimy się. – Wzrusza ramionami.

– Aha – tyle jestem w stanie odpowiedzieć.

– Będę czekał na pana jutro z samego rana tutaj. Proszę się nie bać.

Zza drzewa wychodzi mężczyzna. Nie jestem pewien, jak wyobrażałem sobie pustelnika, ale Nikołaj nie spełnia do końca tych kryteriów. W głowie świtają jakieś wyobrażenia biblijnych pustelników półkościotrupów, rachitycznych starców. Tymczasem przede mną staje stosunkowo wysoki mężczyzna w sile wieku, który może mieć co najwyżej czterdzieści pięć lat, o ciele niemal wysportowanym. Na pewno nie nazwałbym go starcem. Muskularne ręce zdają się ciągle pamiętać ciężar kawaleryjskiej szabli. Nogi znają, co to siedzieć na koniu. Mężczyzna stoi zgarbiony. W lewej dłoni zaciskającej się na kosturze ma tylko dwa palce, wyglądają jak szpony, w prawej brakuje kciuka i serdecznego. W potwornie oszpeconej twarzy, okolonej rudymi włosami i długą rudą brodą, iskrzy się tylko jedno oko. Oko jest czarne i tkwi w nim wręcz dzika, żywa inteligencja. Starzec nie starzec. Hybryda dziwna.

– O, biały Polak – mówi po polsku z lekko rosyjskim akcentem. Uśmiecha się przedziwnie.

– Starzec Nikołaj? – pytam.

– No, dalej, Polak, proszę wchodzić. Nie interesuje ciebie, kim jestem? Przecież ludzi waszej profesji zawsze takie rzeczy interesują. – Mówi odwrócony przez lewe ramię.

– Jakiej profesji – udaję, że niby nie wiem, o co mu chodzi.

Nikołaj podchodzi do mnie. Łypie jednym okiem, oglądając moją twarz. Chucha zgniłym oddechem, przytyka pooraną kanałami blizn fizis. Na czole wycięta czerwona gwiazda.

– Na majora za młodyś, na porucznika za zdolny. Kapitan, prawda?

– Skąd?

– Wiedziałem, wiedziałem.

– Kim ty, u diabła, jesteś?

– Nie wzywaj jego imienia! – syczy wściekle, twarz jego wygina się w dziwnym grymasie. – Już wystarczająco się tobą zainteresował, głupcze!

– Kim jesteś? – powstrzymuję się na chwilę.

Nikołaj patrzy na mnie jednym ciemnym okiem.

– Teraz jestem sługą bożym – odpowiada ponuro.

– A kim byłeś?

Patrzę, szarpiąc wąsa. Co to za diabelstwo. Przecież to jakaś paranoja. Nikołaj skinieniem wskazuje drogę do chaty.

W środku kamienna podłoga, na niej siennik pod jedną ze ścian i kilka bloków kamienia. Nic więcej. Cuchnie wilgocią i zgnilizną.

– *Bonjour, monsieur Polonais!* – Nikołaj rozkłada ręce w powitalnym geście.

– A może powinienem powiedzieć: *Guten tag her Pole? Je m'appelle Nikołaj Pietrowicz Jatterson, capitaine Nikołaj Pietrowicz Jatterson.* – Skłania się w karykaturze pokłonu. – Wpierw, a potem *komisar specjalnowo odieła w Wielkiej Łukach* – dodaje już po rosyjsku. – *Szpijon, szpijon* – dodaje jeszcze po chwili, jakby czytał w głowach. – Wy, Lachy, zawsze takie same – powtarza. Odgarnia opadające na czoło włosy, pokazując wyciętą gwiazdę. – O, tak mnie twoi druhowie opravili. – Wyciąga pokaleczone dłonie. – Ja już nie komunista. Ja boży człowiek.

Patrzę na niego jeszcze bardziej zadziwiony.

– Niech pan, panie Polak, siada – mówi po francusku Nikołaj. – Pan chyba rozumie w tym jakże pięknym języku?

Siadam zmarnowany, przekonany, że nic mnie już nie zdziwi na tej przeklętej ziemi. Skoro jest wojewoda wariat, to może być i pustelnik poliglota. I tylko ja, nieszczęsny agent Oddziału Drugiego Sztabu

Generalnego muszę rozwiązać całą tę cholerną zagadkę. Ktoś zabił Adama Staffa, a wcześniej, co się wydarzyło? I co miał z tym wspólnego Jan Dowgird?

– Tak – odpowiadam w końcu.

– To bardzo dobrze. – Kiwa głową. – Bóg mi chyba wybaczy tę jedną przyjemność, jaką jest możliwość rozmowy po francusku. Kontynuując, szuka pan sprawców śmierci tego człowieka, którego wyłowiono z rzeki pod Dawidgródkiem. Chcesz wiedzieć, co się stało z Janem Dowgirdem, chcesz wiedzieć, kto zabił Adama Staffa.

– A pan wie, kto to był?

– Ja czytam tylko w człowieku, którego widzę. O tamtym nieszczęśniku wiem od ludzi.

– A skąd pan wiedział, że ja go szukam.

– Od Jana Dowgirda, mówił mi o panu, liczył na pańską pomoc. – Starzec wpatruje się we mnie swoim jednym okiem.

– Jan Dowgird nie żyje – ucinam spekulacje.

Przez twarz Nikołaja przechodzi bolesny skurcz.

– To bardzo smutna wiadomość. – Kiwa w zamyśleniu głową. – Jak zginął?

– Zastrzelił się.

Nikołaj żegna się zamaszyście.

– *Pomiluj jego harszonom duszoich gaspadin* – szepcze modlitwę za duszę samobójcy. – Jak to się stało? – pyta w końcu zduszonym, lekko łamiącym się głosem.

Referuję mu powoli wydarzenia. Słucha zamyślony, gładząc się po bokobrodach.

– Obawiałem się tego, obawiałem – mówi w końcu pod nosem. – Miej w opiece, Boże, jego duszę.

– Nie wiem, ale wydaje mi się, że on nie był w pełni sobą – staram się wyjaśnić na tyle, na ile umiem.

– Oczywiście, że nie był! Był truty jak ty, kapitanie!

– Jak ja?! – Jestem zupełnie zbity z tropu. – Nie czuję tego.

– Bo nic nie musisz czuć. Ale najpierw proszę wysłuchać mojej historii, to moja cena. Potem panu pomogę.

Wzdycham. Za ścianą szumią pierwsze krople deszczu.

– Oho, już idzie. – Nikołaj zapala ogień w palenisku. – Proszę słuchać.

– Jak już mówiłem, nazywam się Nikołaj Pietrowicz Jatterson, na świat przyszedłem w Sankt Petersburgu w rodzinie Andrieja Filipowicza Jattersona, mówiąc ściśle, generała Andrieja Filipowicza Jattersona, wiernego sługi Romanowów. W wieku lat dwunastu trafiłem do szkoły junkierskiej. A było to w roku tysiąc dziewięćset piątym. Okres rewolucji, niepokoju. I ja wtedy też byłem rewolucjonistą. Chociaż po cichu. Bo w szkole kadetów nie można było o tym myśleć. No ale ja myślałem, myślałem. Przez okna szkoły widziałem petersburską biedę, martwych ludzi o martwych duszach... Myślałem, że można nasz świat zmienić. Wyobrażasz sobie, panie Polak, jak oficer carski, sługa jego carewicza Mikołaja, miałem świat zmieniać za pomocą rewolucji? Ale rewolucja się skończyła, nim się zaczęła. A ja rozpocząłem służbę w wojsku. Pan, panie Polak, na pewno wie, jak wyglądała carska armia. Nieciągący się potok balów, szampana, kobiet. Niekończąca się rewia, potem wyścig, w którym każdy z nas był koniem wyścigowym, a jego nazwisko dżokejem. Protekcje, spiski, romanse. Podwieczorki w kręgach, rozmowy przy kartach, szepty na spacerach. Żyłem, a w moich żyłach płynął szampan wymieszany w jedną zgniłą masę z kawiozem. Świat obłudy, królestwo Antychrysta – podnosi głos, twarz pooraną wykrzywia wściekły grymas – cerkiew to tylko lokal, w którym oficer się pokazuje, aby wyprać sumienie po nocnej pijatyce, po burdelu, w którym gwałcił po pijanemu dziewczynkę, którą matka sprzedała, bo nie było jej stać na jej utrzymanie. I ten oficer to wie, kiedy ją bije nahajem. I czerpie z tego przyjemność. Albo jak najobelżywszymi słowami ruga chłopskich synów, bo mu się przypomniał jego własny los. Sumienie. Sumienie zamknięte w depozycie popa, tłustego lubieżnika, którego spotka się w szynku, gdzie szuka chłopców. Pijanice i zbrodnie. Świat ułudy, zgnilizny... – Przerywa na chwilę, aby odetchnąć. – A potem wojna. Wojna bezsensowna, idiotyczna. Armia bańka mydlana. Car matrioszka. Wszystko to ułuda, pierwsze sukcesy, ba, nawet udana ofensywa. Wszystko jak krew w piach. Nasza, ruskiego ludu krew. Ale to

się skończyło. Przyszedł dzień gniewu. Dzień buntu. Ja nie tłukłem po mordzie moich ludzi, to mnie nie oskórowali. – Kiwa głową zamyślony. – A wie pan, co zrobili mojemu koledze, Antonowi Sergiuszowi Martynowiczowi? Jego własnymi ostrogami rozpruli mu brzuch. Ale ja już wtedy nie byłem rewolucjonistą. Może i car był słaby, ale był carem. Naszym carem. Dlatego potem była ochotnicza armia. Śpiewali nam, śpiewali. Słyszycie głos zabitych, głos zabitych, głos rodziny. Bliskich i nam drogich. Szliśmy i różniliśmy. Antychrysta bolszewickiego, żydowskie sługi diabła, Lenina, Trockiego. – Podnosi do oczu rękę bez palców. – Tą dłonią mordowałem. Raz jak dorwałem komisarza, to go przywiązałem do swojego konia. Pięć wiorst biegł, a potem ciągnąłem go jeszcze ze trzy, zanim umarł. Zanim umarł – powtarza zamyślony. – Dużo złego wtedy robiłem w imię Boga i cara. Palilem wsie, wieszałem całe rodziny, żywcem ze skóry obdzierałem. – Podciąga rękaw na prawej ręce. Całe przedramię pokryte nacięciami. – Widzisz, panie Polak, osiemdziesiąt osiem dusz. Tyle zabiłem w imię Białego Antychrysta. – Zwija z powrotem rękaw. A potem przyszedł ten dzień. To była zwykła potyczka. Ale nas otoczyli, we wsi Brubownik. Trwało to kilka minut, ale wszystkich zabili. Zostałem tylko ja i Aleksander. – Nikołaj kiwa głową. Cisza się przedłuża. – Nie mówiłem ci o Aleksandrze. Ja go znałem od dziecka. Był to mój daleki krewny, młodszy o dwa lata. Przypadkiem spotkaliśmy się w ochotniczej. Obiecałem sobie kiedyś, że nie pozwolę, aby mu się stała krzywda. Ale ja wtedy miałem ręce związane, byłem obdarty z ubrań. A on, oprawca, mój komisarz Michał Pawłowicz, żywcem ściągnął skórę z jego dłoni. Mówił, że zawsze chciał mieć rękawiczki z białego oficera. Potem, ponieważ znalazł na jego piersi krzyż, kazał zrobić krzyż i go ukrzyżował. Zaciągnął mnie pod ten krzyż i zapytał, czy chcę iść z nimi, czy może wolę obok niego zawisnąć. – Znowu milknie.

Cisza trwa coraz dłużej. Patrzę w okna, za którymi siąpi deszcz. Myślę, że już na pewno nic nie powie. Ale ten w końcu przerywa milczenie:

– Miesiąc później śpiewano mi już inaczej. Dni nasze pogodne i bezchmurne. Nie pozwolimy ich zniszczyć wrogom. I jak nasi bystroocy czekałsi będącymi zawsze w gotowości. To my czekisty. Zamieniłem mundur Denikina na skórzaną kurtkę z amerykańskich darów. Wiesz, panie Polak, czemu była ona skórzana? Bo wszy nas nie gryzły w nich.

Szybko awansowałem, byłem komisarzem. Pracowałem w Saratowie, zabijałem takich jak ja. Szlachtę, intelektualistów, białych oficerów. – Podciąga rękaw na lewym ramieniu. – Sto dwadzieścia siedem nacięć. Tyłu zabiłem, służąc Czerwonemu Antychrystowi. Potem zaś biała Polska podniosła swoją głowę. I ja poszedłem na wojnę. Robiłem to samo, co wcześniej, tyle tylko że z białymi Polakami. Wsie w ogniu. Księża powieszani na sutannie. Oficerowie z nogami oskórowanymi na kształt lampasów.

Słucham i uwierzyć nie mogę. Przecież to właśnie z takimi jak oni, czerwoni enkawudziści mordowali. W głowie pojawiają się twarze zabitych kolegów, wspomnienia.

– Ja już wtedy – przerywa moje rozmyślenia głos Nikołaja – nie tylko wódkę, ale i morfinę. Dużo. Był tutaj taki dwór. Rodzinę oszczędziliśmy. Nie wiem nawet dlaczego. Może byłem już przesycony. Oni zdążyli pewnej nocy uciec. Kiedy weszli Polacy, to dorwali się do mnie. Do czerwoności obcęgami mi palce wyrwali, oko wylupali. Niech Bóg ma w swojej opiece. Zostawili, abym skonał. Znalazł mnie batuszka. Iwan mu było na imię...

– Iwan? – przerywam mu.

– Iwan mnie opatrzył, trzy miesiące bez życia leżałem. – Nikołaj nie zwraca na mnie uwagi. – A potem była ta noc. Ale, ale tego panu nie powiem. W każdym razie byłem potem już innym człowiekiem. Otworzyły się moje oczy, straciłem dawne przyzwyczajenia. Zrozumiałem, że służyłem diabłu i że moją jedyną nadzieją jest uciec i prowadzić pustelnicze życie. O tej wyspie powiedział mi batuszka Iwan. Był tutaj stary chutor. Bóg dał mi moc widzenia przyszłości. Staram się więc, jak tylko mogę, pomagać ludziom. Kazał mi też postawić krzyże, za każdego, którego zabiłem. Mój los skończy się, kiedy odpokutuję winy. Jak mogę tobie pomóc, panie Polak? – pyta, jakby w ogóle nie słyszał mojego wcześniejszego pytania.

– Czy batuszka Iwan to pop z Olhomela?

– Tak, poznał go pan może?

Przekazuję mu po chwili kolejną bolesną wieść. Widzę, jak światło znika z jego twarzy.

– Co tu się w ogóle dzieje? – pytam w końcu. – I kto mnie truje...

– Zło.

– Co zło?! – krzyczę zirytowany, za oknem deszcz wali coraz mocniej.

– Zło się odradza.

– To tylko pusty termin – zaczynam być coraz bardziej bezradny – a ta rozmowa przestaje mieć sens.

Nikołaj patrzy na mnie, kręci z niedowierzaniem głową.

– Kim jest Biernacki? – łapię się jeszcze jednej, ostatniej nadziei.

– Wojewodą? – Patrzy jednym okiem kpiąco.

– Proszę nie żartować. Jaką rolę odgrywa w tutejszym układzie sił?

– Przecież ja nic nie wiem, jestem prostym pustelnikiem.

– Gadanie.

Cała ta wyprawa na nic. Nikołaj okazał się zdziwaczalym szaleńcem, który nie może powiedzieć nic sensownego.

Za oknem jest już ciemno. Nagle Nikołaj wstaje i otwiera drzwi, gestem ręki nakazuje wyjść. Deszcz wciąż pada. Narzucam na plecy kurtkę i wychodzę. Pokazuje mi, abym szedł za nim. Kości przenika zimno, chłód wdziera się pod ubranie, kiedy pierwsze krople padają na moją głowę. Nikołaj staje na skraju wyspy, tam gdzie zaczynają się wielkie bagna.

– Widzi pan, nie chciał pan wierzyć.

W oddali błyszczy zorza, mdłe białe światło unosi się nad daleką ścianą lasu.

– To zmarli – mówi Nikołaj. – Oni chcą pana, bo pan już nie żyje.

– Każdy na swój sposób nie żyje. Taka dyrektywa organizmu biologicznego – żartem staram się przykryć nie najlepszy nastrój.

– Nie o to chodzi. Pana godzina śmierci już została wyznaczona, albo stanie się to niedługo. Ale jeszcze można panu pomóc, i to chcę zrobić. A pana gniew to bunt złego w panu.

– Taki z ciebie wizjoner, a tego nie widzisz – parskam gniewnie, nie odrywając wzroku od zorzy. Przekłęta chwila, gotów jestem przyznać, że faktycznie widzę pojedyncze istoty, jakby duchy.

– To, w co pan wierzy, to tylko pański problem. Mogę panu mówić, że tutaj panuje zło, ale pan i tak nie uwierzy.

– Masz rację, nie uwierzę – szepczę pod nosem. Ręka sama szuka papierosa.

– Siadaj, bo niczego się nie dowiesz i nie ozdrowiejesz. Chcesz ozdrowieć?!

– Ja?

– Czy chcesz ozdrowieć?! – krzyczy na mnie. – Czy chcesz wreszcie wiedzieć?!

– Chcę...

– To siadaj i pokornym bądź! Dowiesz się, kto cię truje, i o co w tym wszystkim chodzi. A przynajmniej tego ci życzę.

– Dobrze, już dobrze.

Nikołaj zakłada na szyję wielki krzyż i poplamioną czymś brunatnym stułę. Rozkrzyżowuje ręce, wpierw podając mi kielich z jakimś mętym płynem. Wzbraniam się, śmierdzi czymś dziwnym i nieznanym, niepokojącym.

– Pij!

– Co to?

– Lekarstwo.

Patrzę na mętłą ciecz pełen nieufności, pachnie nieprzyjemnie, jakby skwaśniałym winem z dodatkiem ziół. Nikołaj patrzy na mnie ponaglająco, czuję świdrujące spojrzenie, mieszaninę nagany i bólu. W końcu łamię się i sięgam po kielich. Napój jest zarazem gorzki i kwaśny, wzbudza we mnie odruch wymiotny, ale przełykam go. Nikołaj zaś już intonuje pieśń.

– *Płacze wesegda, dusze moja, Protekajet źdist Twoja, Boże mój, Boże mój, Boże mój, Sosdateleju mój.* Płacze ciągle dusza moja, przemija życie moje, Boże mój, Boże mój, Stworzycielu mój...

Pieśń jest zapętłona w nieskończoność, sam nie wiem, ile mija czasu, czy są to minuty, czy godziny, w końcu zapadam w dziwny niespokojny sen.

* * *

To stało się niespodziewanie, gdzieś poza nami, wymknęło się naszemu postrzeganiu. Nie wiem dlaczego, ale wiem, że jest nas dwóch. Ja i ktoś

jeszcze, i razem myślimy. Idziemy kanałem. Od razu nie byliśmy w stanie zauważyć tego, po prostu nagle kanał przerodził się w kamienny korytarz, jakąś zupełnie abstrakcyjną budowlę. Ucichły wszelkiego rodzaju nawoływania, zniknęła woda opływająca nasze nogi. Staliśmy w suchym korytarzu z szarej cegły. W końcu docieramy do końca korytarza, przed nami rozpościera się wielka sala, jakby wewnątrz katedry. U jej gotyckiego sklepienia pływają wielkie prehistoryczne ryby, znak tego, że czas opuścił swoje utarte koleiny i zaczął biec zupełnie inaczej niż powinien. Pływają teraz u szczytu tej wielkiej katedry stwory przedwieczne, szczerząc kły, którymi na strzępy rozrywają inne pływające stwory z okresu przed czasem, z wieków, gdy lody skuwały jeziora, na których śladach znajduje się teraz Polska. Na środku tej świątyni, katedry czy też może grobowca, wielki kamienny posąg czterogłowego boga. Nie wiem, skąd znamy jego imię. Polonus – pojawia się ono w naszych głowach, rozkwita jako myśl oczywista jasna i przejrzysta. Wielka rzeźba patrząca na cztery strony świata z ośmioma ramionami i z ośmioma nogami.

Pierwsza postać rumiana, z gęstym wąsem, z futrzaną czapką z piórkiem patrzy swoimi świńskimi oczami, nogi na platformie trzyma, pod nią zaś postać w szyszaku husarskim z połamanymi skrzydłami, w ordynku, klęcząc, trzyma swojego ciemniejszyca, syna i wnuka. Kolejna – upudrowana, w peruce i we fraku. W jednej dłoni dzierży hardo *Kandyda*. Nogi w miękkich butach opiera na starcu z siwą brodą, ubranym w skromny strój na zachodnią, może nieco włoską modłę. Trzecia postać o włosach zwichrzonych, obłędzie w oczach, palcem na czoło wskazująca, jak tur wielka i pyszna, gniecie małego człowieczka w podartych rękawiczkach, o wzroku zmęczonym. I wreszcie czwarta postać. Morda kaprawa, usta spięte, zasznurowane bolesnością. Kieliszek mu w dłoni rozkwita, pod nim zaś śmieszna człeczyna w podartym płaszczu, trzyma w dłoni garść ziemi.

Patrzemy osłupieni na to monstrum, boga Polonusa, szatana historii kraju tego. Z zakamarków komnaty wylaniają się postacie. Przegniłe ciała, trupy żywe w strzępach ubrań. Ten w podartym żupanie, z dziurą na piersi. Ten znowu bezgłowy napoleonides, głowę swoją pod pachą dzierżący. Żyd w podziurawionym szynelu, husarz w pogiętym napierśniku w pozbawionej mięsa dłoni wciąż dzierżący czekan. Inteligent

bezoki, lecz ciągle w okularach. Jest i jakiś carski żołdak i harcerz bez twarzy. Jest również ułan bez nogi, płaczący się po ziemi, uderzający żelastwem o kamienne podłoże. Mrowie tego ludu dziwaczego ze wszystkich kątów zbiera się przed kamiennym posągami. Niczym antyczny chór, czyhający nad Antygoną. Jednak ta zgraja milczy. Przemówił czterolicy demon.

– Jam jest krew tego kraju, mamie go od zawsze! Kłamca i megaloman. – Wolnymi dłońmi pędzi wrzeciono i syczy pod nosem: – Jam Chrystusem Narodów! Ciemnogród! Sursum corda! Zacořany kraj! Pomyłka historii! Przedmurze! Polak kosmopolita! Wybraniec! Głupiec! Vive la France! Finis Poloniae! Wolter! *Dziady*! Priwislinskij kraj! Lud wybrany! Bzdurka romantyczna! Boża sprawa!

Chór milczy potulnie.

– Za naszą namową wyście zginęli, za naszą namową w ogień nie poszliście. My was omamimy. Piórem i złudą. Wiedzą i niewiedzą. Słowem. Podziałem i wspólnotą. Szyderstwem z tradycji. Strachem przed novum. My Pasożyt. Bóg Polonus z mitów utkany, mit tkający. Tkamy wasze myśli. Wasze marsze i wasze gazety. Wasze wojny i wasze pakt...

* * *

Otwieram oczy, czuję się koszmarne. Czuję, jakbym został pochłonięty przez jakiegoś wielkiego potwora morskiego, niczym Jonasz, a potem wyrzucony razem z sokami trawiennymi, śliną i niestrawionymi resztkami. Czuję, że moja dusza została przenicowana, ale zarazem umysł mi się oczyścił, jakby chmury, które od tygodnia zakrywały niebo, przeszły, albo jakby usunięto pajęczyny, które zakrywały strych.

– Co to było? – czuję, jak wzbiera we mnie fala mdłości.

Twarz Nikołaja wyraża zaniepokojenie.

– Nic panu nie jest?

– Pytasz na serio? – Wbijam w niego wściekłe spojrzenie. Najpierw podał mi to świństwo, a teraz śmie pytać, czy jest dobrze?

– Co pan widział?

Opowiadam urwanymi zdaniem.

Nikołaj patrzy na mnie z zadumą.

– Miał pan otworzyć drzwi percepcji. Zło żywi się tym i przetwarza to, czym pan się żywi w największym stopniu, a tutaj widzę, jest to miłość do Polski.

– Nie wiem, co to było – wskazuję na czarękę – ale nigdy więcej. Długo nie miałem świadomości?

– Osiem godzin. – Nikołaj jest wyraźnie strapiony. – Taka rzecz jeszcze się nie zdarzyła. Byłeś pod wpływem silnych trucizn.

– A nie złych duchów? – parskam przepelniony sarkazmem.

Starzec-nie starzec wpatruje się we mnie z politowaniem.

– Czego niby? Nie wszystko tutaj ma swój mistyczny wymiar. Za to ja umiem rozpoznać trucizny.

– Czyli co?

– Ktoś cię regularnie truł. Zresztą jak świętej pamięci Dowgirda – ponuro mruczy starzec.

– Kto?

– A skąd mam wiedzieć, przecież to ty jesteś śledczym. – Wzdycha zmęczony. – No, ale teraz czas, abyś dostał to, co zostawił dla ciebie Dowgird. Liczę, że teraz odczytasz wszystko.

– Ideolo. – Krzywię się, bo czuję kolejną falę mdłości. Za to w głowie kielkuje pewna myśl. Zerkam na kartkę, która wcześniej była dla mnie niejasną płataniną znaków, teraz to nagle stało się jasne. Nie wiem, jaki to miało związek z obrzydliwym napojem, ale szyfr okazuje się czytelny. Chociaż na razie niezupełnie jasny.

Bo szaleję tylko przy wietrze północno-zachodnim... Ale kiedy wiatr powieje z południa, umiem odróżnić orła od jastrzębia^[16].

Logika moim wiatrem z południa.

Niech pan zatem pamięta,

Zakochany

jest niewolnikiem na wszystko gotowym.

J.D.

– Muszę zostać sam. – Podnoszę wzrok znad kartki.

Masz babo Polesie, zamykam zeszyt. Cyferblat informuje mnie o czasie, który minął mi na lekturze. Długim czasie. Kod był prostszy, niż mi się wydawało. To mnie jednak nie interesuje. Bowiem to, co wyczytałem w zeszycie, wystarczająco mnie zmroziło. Sam tylko list włożony w jego karty jest wstrząsający. Zginam kartkę z listem. Ręka rozmasowuje skroń i zapalam papierosa. Wszystko układa się w całość: cukierki, zeszyt, Dowgird, ciała i znaki. A przede wszystkim motyw. Muszę zweryfikować jeszcze tylko jedną rzecz, ale jestem na razie wstrząśnięty odkryciem. Wychodzę, mijając pochłoniętego modlitwą Nikołaja.

– Twój przyjaciel już czeka – mówi spokojnym tonem.

– Kostia?

– Tak. – Kiwa się powoli.

Ruszam więc po chybotliwej kładce, ale nagle się zatrzymuję – nurtuje mnie pewne pytanie.

– Czemu nie pozwalasz mu tu wejść?

– Ja? – Nikołaj jest prawdziwie zadziwiony. – To on nie chce wejść.

– Ale dlaczego? – Ta rzeczywistość nie przestanie mnie zadziwiać.

Nikołaj patrzy się na mnie długo jedynym okiem.

– Kapitanie... Ciszej jedziesz, dalej będziesz, dobrze? I tego niech się pan trzyma.

ROZDZIAŁ XVI

Dom Syna Bagien

13 maja 1937

Kolejny dzień na Polesiu. Wracam z duszą na ramieniu, wiem, że nie powinienem tego robić sam. Jeżeli moje przypuszczenia są prawdziwe, jest to idiotyczna brawura. Ale czuję, że nie powinienem nikogo informować, przecież mogę go tylko oczernić, może jest jakieś racjonalne wytłumaczenie?

– Chorąży – wchodzę do dowództwa Korpusu – pomożecie mi?

– Służę.

– Podajcie mi, proszę, księgę wyjazdów.

Młody chłopak patrzy na mnie.

– Ja nie wiem...

– Chorąży – słyszę głos pułkownika Kuli – oczywiście, że możecie. Proszę dać kapitanowi. Mogę zadać pytanie, do czego to panu potrzebne? – zwraca się do mnie dowódca jednostki.

– A tak – próbuję bagatelizować całą sprawę – chcę tylko jedną rzecz zobaczyć, nic specjalnego.

– Ale to nie ma – niepokoi się Kula – nic wspólnego ze śledztwem? Przecież już zostało zamknięte.

– Ach, nie, nie.

– To dobrze. Bo widzi pan, przypomina mi się taka sprawa z porucznikiem. – Kula wpada już w kolejną anegdotę, której nie słucham. Śledzę kolejne strony, porównuję je z listą znalezioną w rzeczach Staffa. Jestem głupcem. Straszliwym głupcem.

– Czy kapitan Staff może pytał o te wyjazdy? – pytam, kiedy wreszcie Kula kończy swoją historię.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo. – Kula znika za drzwiami.

Ja zaś odwracam się na pięcie. Może to wszystko bzdury, może mam majaki. Wychodzę z dowództwa i idę w stronę kolonii urzędniczej. Słyszę miarowy stukot butów, za mną biegnie chorąży.

– Panie kapitanie, panie kapitanie – sapie – ja nie chciałem przy pułkowniku, ale ja wiem, że to ważne.

– Słucham.

– Kapitan Staff prosił o nią i dałem mu, prosił, aby nie mówić, bo to sprawa wagi państwowej. Pomyślałem, że skoro pan pyta i jest śledczym, to panu mogę pomóc.

– Dziękuję, chorąży. Jak się nazywacie?

– Chorąży Marcin Bodnar.

– Dziękuję.

– Nie powiecie pułkownikowi? – Patrzy na mnie z niepokojem.

– Nie, oczywiście, że nie. Możecie odejść.

Idę więc na koniec Dawidgródka, do stojącego na samym końcu domu kolonii urzędniczej. Nigdy wcześniej tam nie wszedłem i nie zdawałem sobie sprawy, że jest on tak daleko, mijam kolejne wille. Większość domów jest jeszcze w budowie. Straszą puste szkielety konstrukcji. Inne, chociaż gotowe, czekają na urzędników. Od ostatniego zamieszkanego trzeba przejść prawie kilometr, do tego znajduje się za zakrętem, więc nikt nawet nie wie, co tam się dzieje.

Wychodzę na otwartą przestrzeń. Na drodze siedzi stado wron, patrzą na mnie swoimi czarnymi ślepiami i ani myślą odfrunąć. Budynek jest typową budowlą w stylu polsko-kresowo-urzędniczym. Tyle tylko, że inaczej niż dom Zwiśłockich, ten jest w formie bliźniaka. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że to dosyć dziwne, że Pawłowicz ani razu nie zaprosił mnie do siebie. Raz jeszcze rozglądam się po okolicy, wszystkie pozostałe domy są niezamieszkałe. Wchodzę rażnym krokiem na ganek i pukam. Cisza. Przecież musi być, w dowództwie powiedzieli mi, że jest. Ściskam w rękę kartkę podaną przez chorążego.

– Jest tu kto? – wołam, ale nikt nie odpowiada. Niepewnie wchodzę po schodkach, ostrożnie pcham drzwi.

Mieszkanie jest ładnie urządzone, schludnie, prosto. Meble znacznie przewyższające to, na co może pozwolić sobie przeciętny żołnierz. Dobre nowoczesne wzornictwo, do tego obrazy na ścianach może nie najdroższe, ale nawet i Fałata widzę nad kominkiem.

– Zbyniu! – krzyczę, przemierzając pokoje. Nikogo. W końcu docieram do drzwi prowadzących do sąsiedniego mieszkania, które zgodnie z moją wiedzą pozostaje puste.

– Zbyniu? – raz jeszcze wołam, ale bez przekonania. Zaglądam przez drzwi, nic tam nie ma, jedynie puste ściany. Ale coś mnie ciągnie i idę dalej. Jeden z pokoi ma uchylone drzwi. Widzę, że pali się tam jakieś nikłe światełko. Pcham je delikatnie i staję jak zamurowany. Widzę ołtarz, czy też coś w rodzaju ołtarza. Wielki portret kobiety, jak domniemywam Dorothei, palące się świece. Po obu jego stronach zdjęcia w różnych ujęciach. Chcę podejść bliżej, przez panujący tu półmrok nie widzę, co leży przed obrazem w metalowej misie.

– Nie powinno cię tutaj być – zatrzymuje mnie metaliczny głos.

Odwracam się gwałtownie, Pawłowicz patrzy na mnie, w jego twarzy nie ma dawnej dobrotliwości. Jego oczy palają złym spojrzeniem. Bokobrody ma nastroszone.

– Pukałem i wołałem, ale nie odpowiadałeś, próbuję cię znaleźć.

– Nie powinno cię tutaj być! – podnosi głos, łapie mnie za ramię.

– Przepraszam.

– Wybacz, wybacz – opanowuje się nagle – na pewno z czymś przyszedłeś, prawda? Przejdźmy do salonu. Wybacz mój strój, nie najlepiej dziś się czuję. – Widzę, że walczy ze sobą. Przyglądam mu się bacznie, ma na sobie szlafrok, rzecz mocno nieregulaminową. – Byłem w łazibnym, nie słyszałem cię. – Czy mogę w czymś pomóc? Chodźmy, proszę, do salonu.

– Tak, mam sprawę. – Taktownie nie komentuję tego, co widziałem.

– A zatem słucham – mówi, kiedy siadamy w fotelach. Zdaje się rozluźniony.

Wyciągam kartkę, którą znalazłem u Staffa. Czuję spięcie mięśni.

– Posłuchaj, na samym początku, jak tylko tutaj przybyłem, znalazłem taką oto kartkę.

– Co to? – Pawłowicz nalewa sobie koniaku. – Może się napijesz? Jest wyborczy.

– Nie, dziękuję. To jest lista miejscowości z datami. – Wyciągam z kieszeni kartkę.

– Tak? Jakimiż to?... – zawiesza głos.

– No właśnie. Na początku nie wiedziałem, na pewno część z nich pokrywała się z zaginięciami ludzi.

– Ooo.

– Tak, ale ta lista pokrywa się jeszcze z czymś...

– Tak?...

– Z twoimi wyjazdami...

Patrzy na mnie uważnie, podnosi szklankę. Twarz mu nieznacznie tężeje.

– A to, bzdury – śmieje się – skąd wiesz, kiedy mogłem jeździć?

– Z dowództwa KOP-u.

Cisza. Za oknem grają koniki polne, szumi wiatr. Pojedyncze ćwierkania ptaków. Pawłowicz wbija we mnie wzrok.

– Ach. To bzdury, te dane są nieaktualne – zniża głos, uśmiecha się promiennie – trochę je fałszuję. Wiesz, dzień tu, dzień tam, czasami można odpocząć. – Mruga okiem. – Nie przejmuj się. – Macha energicznie ręką i gest ten powoduje, że szlafrok odsłania jego klatkę piersiową. Zamieram ze wzrokiem wbitym w nią. On jeszcze nie rozumie, ale po chwili jego twarz robi się biała jak kartka papieru. Na pokrytej drobnymi blond włoskami skórze wyraźnie widać wycięty świeżo znak. Symbol... Czarnego Boga! Gwałtownie się cofam i staram się wyciągnąć pistolet, ale ręce drżą.

– To... – szepczę ze wzrokiem wbitym w jego pierś.

Nawet nie wiem, kiedy to się dzieje, Pawłowicz chlusta mi w twarz alkoholem. Zamykam oczy, potem czuję ukłucie i przeszywający ból w piersi. Leżę na podłodze, na mnie okrakiem siedzi Pawłowicz. Teraz widzę całą jego klatkę piersiową, w bliznach i śladach od nacięć, świeżych i już zagojonych. Patrzę w przekrwione wściekle oczy.

– Miałeś sobie pojechać, miałbyś spokój. – Trzyma mnie za szyję.

– Dlaczego? – Wbijam w niego wzrok.

– Ja nie chciałem, nie chciałem.

– Czego nie chciałeś?

– Zabij go – odzywa się zmienionym głosem. Patrzą oniemiały, wydaje się, jakby były w nim dwie osoby. Nawet rysy twarzy mu się zmieniają.

– Nie! nie! nie! – krzyczy Pawłowicz i wstaje. Kręci się po pokoju, gestykulując. – Jego nie, tylko nie jego. Przecież mówiłem.

– Tak, tak – odpowiada sam sobie i wbija we mnie wzrok.

– Nie i nie!

– Czemu zabiłeś Staffa? – wtrącam się zszokowany tą sceną. Czuję dojmujący ucisk w klatce piersiowej.

Pawłowicz zatrzymuje się, przez jego twarz przebiega grymas.

– No powiedz mu, powiedz – syczy zmienionym głosem.

– Dorothea. – Ucieka wzrokiem poza mnie. – Dorothea – raz jeszcze przeciągle woła.

Więc jednak. Teraz już mam zupełną pewność. *Zakochany jest niewolnikiem na wszystko gotowym.*

– Uwierzyłeś w legendę? Potraktowałeś na serio historię o Synu Bagien? Że on ją ożywi?

– To nie legenda! Syn Bagien pomoże, Syn Bagien ją uratuje. Trzeba tylko, trzeba go nakarmić, a wtedy on wskrzesi moją Dorotheę. A ja, a ja nigdy już jej nie zawiodę.

– Jesteś chory...

– Nie! Chory jest ten świat, chory jest Bóg, który mi ją zabrał, chory jest ten kraj! Ale Syn Bagien pomoże, Syn Bagien tylko potrzebuje się nasycić...

– Zabij go i tyle – przynagła demoniczne alter ego.

– Przecież zaraz ktoś tutaj przyjdzie, zaraz cię zdemaskują! – staram się blefować.

– Nie! Nie dam się. Poza tym ten dom jest na uboczu, nikt nie usłyszy. A ty przecież dziś wyjechałeś. Powiem, że cię odwiozłem na stację. Wybacz. Bardzo cię przepraszam. – Idzie ku mnie z nożem. Na twarzy wściekłość miesza się ze smutkiem.

Patrzę na niego otumaniony. Nastrój Pawłowicza zmienia się z chwili na chwilę. Sięgam po jedyną szansę.

– *Hobjurnec.*

Zatrzymuje się w pół ruchu. Twarz mu łagodnieje, cofa się i siada na stoliku kawowym.

– No, myślałem, że nigdy pan się nie zorientuje, byłoby głupio, gdyby Zbyniu pana pochłastał.

Otwieram i zamykam oczy zdziwiony.

– Co pan taki zmieszany? – Pawłowicz, nie-Pawłowicz śmieje się.

– Kim jesteś?

– No nie. – Zapala papierosa, bierze do ręki pistolet, który mi wypadł, ze znużeniem go ogląda. – Proszę pomyśleć. Ładne cacuszko, to wasza polska produkcja, prawda?

– Jesteś Synem Bagien?

Podnosi się ze stoliczka, klaszcze, poły rozwiązanego szlafroka się kołyszą.

– Brawo, brawo! – Podchodzi do mnie tanecznym krokiem.

– A Pawłowicz?

– Bywa ze mną w tym ciele. Ale już niedługo. Biedny człowieczek. Biedna owieczka, kochał tę swoją dziewczynę i aż z tej miłości zwariował, a ja tylko zamieszkałem. To znaczy, przepraszam, wprosiłem się, bo on już się podzielił, jedna połowa jego duszy umarła razem z tą dziwką, druga została. Ale w tej pierwszej doszło do przenicowania, powstał drugi Pawłowicz. A potem ja się doprosiłem. Ot co. Na trzeciego, bo gdzie dwóch się bije, tam – podnosi palec i szyderczo się uśmiecha – no?

Milczę wpatrzony w niego.

– Tam...?

Cały czas się w niego wpatruję.

– ...tam trzeci korzysta. – Rusza niezadowolony głową. – Ależ pan sztywny.

– Co teraz się stanie? – Przełykam ślinę.

– No niestety będę musiał pana zabić, panie Jakubowski. Proszę nie brać tego do siebie. – Ale, ale – podnosi palec – niech pan coś ma z tego, proszę

pytać. Niechaj ma pan nagrodę, ostatnią w swoim życiu.

– Staff? – pytam.

– Przykra sprawa, ale tak, wierz mi, nie chciałem... znaczy wiesz, on nie chciał – poprawia się po chwili zamyślenia – wzbraniał się. Staff przyszedł, dopytywał się, zbyt szybko połączył fakty. Trzeba go było ciach! – Dłonią wali w dłoń. – Obronię Zbynia, bardzo nie chciał. Ciebie też chciał oszczędzić, prawie mu wyszło, ha, ha! Liczył, że cię odciągnie, nawet tę swoją kurewkę Anielkę podsyłał.

– Cukierki – dociera wreszcie do mnie. – Trułeś mnie cukierkami?

Patrzę na człowieka, którego nie poznaję.

– Taaak... – Syn Bagien ziewa. – Czułem, że bardziej powinienem pilnować Dowgirda.

– Wymknął ci się. *Bo szaleję tylko przy wietrze północno-zachodnim. Ale kiedy wiatr powieje z południa, umiem odróżnić orła od jastrzębia* – przypominam sobie zdanie z listu.

– Co tam pan mamrocze, kapitanie?

– Nie panowałeś nad nim w pełni.

Przykłada palec do ust, jakby się zastanawiał.

– No nie, głupia sprawa. On był, jak to się mówi, *mente captus*^[17], więc łatwiej było do niego dotrzeć. Ale też jednak dosyć silni są ci cholerni jarosze, cały czas go leczyli. Ale udało mi się go w końcu złamać. Zresztą, skoro on odkopał mój grób, no niech pan sam powie. Chociaż nie bez pomocy...

– Trułeś go, tak jak mnie?

– No brawo, ale się panu naprawdę umysł wyostrzył. Cukierki z trawą bagienną, stara receptura. Prawie wyszło Zbyniowi. Miał naprawdę dużo inicjatywy, dobry plan, poświęcić Dowgirda, cała heca z Licynką, z tym jak podrabiał notatnik, i ten aptekarz, co był u niego w kieszeni, prima sort. Głupiec! Nie mogę tego zmarnować, razem ze Zbyniem mamy wielkie plany. Znaczą, ze Zbyniami. – Syn Bagien niedbale nalewa sobie kolejny kieliszek koniaku. – Niestety, tamten to był chciwy kretyn. Dodam jednak, że fakt zabicia go u klechów był przedni. Hahaha!

– Jak to było z Dowgirdem?

– Ach, ten uczelnik. Biedna istota, nie miałem do niego pełnego dostępu, ale mogłem na niego wpływać. Biedaczysko, był chory. No, ale piękną miał narzeczoną, Mariannę, piękną, paluszki lizać. Sprawdź sobie kiedyś, na co... – uśmiecha się, pokazując wszystkie zęby – ja głupi, nic nie sprawdzisz. No to nieważne.

– Licynka odkrył, że...

– Nieszczęsny szkodnik, ale to wy go zabiliście, było nie dawać mu rzeczy do czytania, prrrrrawda? Zabiliście go?

– Zabiłeś go – mówię oniemiały.

– Zabiliście go moimi dłońmi.

– A pop Iwan? Dobrze myślę, że wiedział, gdzie jest dom Syna Bagien? Prawda?

– Bredził, że jest jego strażnikiem i nie może otworzyć bramy. A był mi potrzebny, każdy chce wrócić do domu.

– Nie wiesz, gdzie jest twój dom? Nie wiesz, jak się do niego dostać? – Mrugam oczami zadziwiony.

– Milcz! – Pawłowicz-nie Pawłowicz zaczyna być nerwowy. – To nie twoje sprawy, a co do popa, może i coś wiedział, ale trzeba było go zabić. Był niebezpieczny... mógł wszystko zepsuć. Ale skąd o nim wiesz? Skąd?

– Guzik...

– Jaki guzik?

– Od munduru, miał go w ręce.

Twarz Zbynia tężeje.

– Coś podobnego. – Puka się palcem w brodę. – Co za szczeniacki błąd. No ale teraz to bez znaczenia.

– Powiedz mi, ofiary typowałeś podczas podróży służbowych?

Energicznie kiwa głową.

– Ależ ma pan pomysłu, brawo. Mądrała z ciebie. To prawda, mój domek – klepie się po nagim ciele – jest bardzo wygodny. Ale zawsze można go zmienić na inny, prawda? A najlepiej wrócić do prawdziwego.

– To by się zgadzało, miałeś dużo czasu, mogłeś szukać odpowiednich. – Patrzę mu w oczy. – Nie rozumiem tylko, czemuż zabiłeś tych żołnierzy KOP-u?

Pawłowicz milczy.

– Widzieli, jak zabijam tę samicę ludzką – odzywa się po chwili.

– Ilu w końcu zabiłeś? – dukam.

– Ilu? Ilu? Co za banalne pytanie... Tylu – kieliszek z koniakiem delikatnie się rusza w jego dłoniach – ilu trzeba. Jestem bardzo głodny. Bardzo. Nie liczyłem, ale trochę ich było. Powiedz mi, jak powiązałeś ostatecznie tę listę ze Zbyniem? To mnie bardzo ciekawi.

– *Etiam in morte superest amor*. Miłość trwa nawet po śmierci.

– Aaa. Czułem, aby idiocie nie pozwalać chodzić na grób tej suki. – Odwraca się nerwowo. – No trudno. No nic, czy coś jeszcze chcesz wiedzieć?

– Ksiądz Marwicki?

– Ach, ten. No, Pawłowicz miał skrupuły, nie powiem. I tu mu przyznaję rację, zarznięcie klechy przyciągnęłoby ludzi, lepiej było go wypalić.

– Wypalić?

– Aaaa – macha mi palcem przed nosem – nie wszystko mogę powiedzieć, mój drogi. No, ale masz jeszcze dwa, nie, nie, nie. Trzy pytania.

– Wojewoda?

– Wo-je-wo-da. WOJEWODA? Nie żartuj. Ten stary głupiec nie miał z tym nic wspólnego. Stary pierdziel. Pfff.

– Hrabia? – staram się podtrzymać rozmowę.

Patrzy na mnie zaintrygowany.

– A tobie to skąd przyszło do głowy? Oj, ciekawski jesteś, ciekawski, nawet bym powiedział. Ale takich rzeczy to ja ci nie będę mówił. O nie. Zgłodniałem od tych pogaduszek. Ale może zresztą jeszcze jedną rzecz zobaczymy. Co dwóch oficerów, to nie jeden. – Wpatruje się we mnie dzikim spojrzeniem. Czuję straszliwy ból głowy.

– Oż ty – wbija we mnie wzrok – oż ty. Nieładnie. Nieładnie. Ale kto ci to zrobił?

– Co zrobił?

– Nieważne, nieważne – łapie się za brodę – więc stary lis jeszcze kąsa.

– O co chodzi?

Patrzy na mnie bystro.

– Powiedz mi, czy spotkałeś może starego szlachcica?

– Nie wiem, znaczy, chyba tak, tak. Miałem taki sen. Jana Samuela, konfederata.

– Fatalnie, fatalnie. Nie ma co zwlekać.

Gestem wskazuje mi, abym szedł. Boję się ruszyć, ale zarazem mam szansę.

Wchodzimy do sąsiedniego domu i do pokoju z ołtarzem. Teraz widzę dokładnie to, co tylko podejrzewałem – przed portretem leżą odcięte uszy. Tracę nadzieję, na pewno już po mnie.

Brzdęk, do pokoju tuż pod nogi Pawłowicza wpada granat wz.24, widzę jego charakterystyczną zieloną kulę. Syk i śwąd siarki. Unosi się dym. Odwracam się gwałtownie i patrzę w nic nierozumiejące oczy Pawłowicza. Czuję się słabo, bardzo słabo.

– Granat? Co... co to... – Osuwa się na kolana, wypada mu pistolet.

Osuwam się i ja. Do pokoju wbiegają jacyś ludzie.

– Ciii, *sołdat*^[18] – syk do ucha. Poznają skądś ten głos, już raz go słyszałem. Na twarzach chusty jak u bandytów. – Ciii – syczy raz jeszcze. Zapadam w ciemność.

* * *

Wyłania się coraz więcej postaci. Pięciu, sześciu. Przed oczami pojawiają się mroczki. Czuję, jak upadam w mokrą trawę. Ale na plecy, tak że widzę postać schyloną nad sobą. Postać, która ściągnęła już maskę z twarzy. I poznaję go. Wierny sługa wojewody, Roman, którego swego czasu wyrzuciłem z pociągu.

Patrzę na krajobraz za jego plecami. W pierwszej chwili niczego nie rozumiem. Chortuń płonie. Jest ranek, dopiero co wstał świt. Nad wszystkim unosi się mgła, przez którą przebija się ogień.

Młyn i stodoła. Ten młyn i ta stodoła, który odwiedziłem z Pawłowiczem. Wokół dziesięciu, może piętnastu ludzi. Mundury KOP-u bez dystynkcji, na twarzach chusty jak u bandytów pokazywanych w „Tajnym Detektywie”. Co tu się dzieje w ogóle? Co to za paranoja? Przez umysł biegną kolejne

dziwaczne myśli. Zamaskowani krzyczą coś w stronę chałupy, coś, czego nie potrafię zrozumieć. Roman ponownie pochyła się nade mną. Na jego nieogolonej twarzy błąka się szyderczy uśmieszek.

– A teraz proszę o szczególną uwagę – mówi głosem zawodowego konferansjera. – Zaraz będzie punkt kulminacyjny naszego programu – uśmiecha się szyderczo – od tej pory wszystko będzie inne. Czarne stanie się białe, a białe czarne. Zaczynać – ostatnie słowa skierował do zamaskowanych postaci.

Jedna z nich wyciąga zapalniczkę i podpala szmatę wetkniętą w butelkę. Rzuca. Ogień momentalnie rozprzestrzenia się na cały budynek. Płonie młyn i stodoła.

– Przygotować się! – krzyczy Roman.

Atakujący podnoszą do oczu karabiny. Ze środka wypadają cztery postacie zataczające się od dymu. Patrzą i chętnie bym przetaił oczy, gdyby nie skrępowane dłonie. Zbyniu. Zbyniu Pawłowicz. Ale jakiś inny, odmieniony. Coś dziwnego ma na głowie. Jakby rogi jelenia? Ale jak to? Tak, spomiędzy blond włosów Pawłowicza wyrasta okazałych rozmiarów poroże. Pokrzywione rogi wystają na dobre trzydzieści, czterdzieści centymetrów ponad jego głowę. Czuję, że wpatruję się w ten diabelski obrazek z rozdziawionymi ustami.

– Ognia! – syczy Roman.

Wystrzelono pierwszą salwę. Stiepan pada na ziemię. Cóż to znowu? Dwie dziewczyny odskakują z nienaturalną zwinnością. Ale zaraz potem się osuwają. Pierwsza z nich łapie się za serce. Na białej sukni wykwita czerwona plama, drugiej kula rozpruwa czaszkę. Został Pawłowicz. Teraz widzę wyraźnie jego jasną głowę i poroże. Oczy rozpalone nienawiścią. Klęczy, trzyma się za brzuch, z którego bucha czarna krew. Czarna? Czemu czarna?

– Pawłowicz?! – krzyczę zachrypniętym głosem, gdy wyłaniają się za nim dwie postacie. Mężczyzna w meloniku, taki drobny, opiera się o laskę. Wojewoda? Biernacki kiwa głową drugiemu. Skupiam wzrok ponownie, nie wierząc w to, co widzę. Z wyciągniętym gotowym do strzału visem stoi komisarz Adler. Pawłowicz coś harczy, ale Adler go nie słucha. Pada strzał.

Głowa z wianuszkiem rogów pada w trawę. Zamaskowani strzelają dla pewności jeszcze do ciał.

– A oto i nasza rewia. – Roman kłania się, parodiując fordansera, po czym bierze mnie za koszulę na karku i jednym ruchem stawia do pionu. Pistolet przytknięty na wysokości nerek wskazuje, że trzeba iść tam, gdzie Biernacki i zdrajca w granatowym mundurze.

Podchodzimy do nich. Wyraźnie widzę zimne oczy tego psa Adlera. Lustrują nas w jakiś dziwny sposób. Obok niego demon Polesia, Biernacki. Mały zasuszony człowieczek w meloniku i czarnym garniturze. Przychodzi mi do głowy myśl idiotyczna, że jest tak dokładnie ogolony. A potem druga, że zaraz umrę. Że zaraz Maurycy Jakubowski przestanie istnieć.

* * *

– Obudził się? – słyszę głos nad sobą. I czuję delikatne uderzenia po twarzy.

– Tak...

Głowa mnie straszliwie boli, ktoś podtyka mi coś pod nos. Otwieram oczy. Leżę pod drzewem nieopodal domu Pawłowicza. Nade mną pochyla się ów tajemniczy Roman. Cały śmierdzący dziwacznym, duszącym zapachem siarki, zmieszanej z jakimiś ziołami.

– Gdzie ja jestem?

– W sumie mogłem mu obić mordę za to, co mi w pociągu zrobił. – Krzywi się. – Jak się nazywacie?

Rozglądam się niemrawo. Mam opatrzoną rękę. Widzę trzy zaparkowane motocykle, konie przywiązane do drzew i samochód, czarnego chevroleta, z którego wychodzi pułkownik Kula i Adler. W środku zaś siedzi znana mi postać wojewody Biernackiego, tylko patrzy z za okna.

– Maurycy Jakubowski.

– Stopnień?

– Kapitan. – Mrużę oczy, mam przed sobą wykrzywioną twarz Romana.

– Dobrze. Jaki dziś dzień?

– Czternasty maja, mam nadzieję. Co się stało...? – pytam.

– Niech pan podziękuję pułkownikowi Kuli. Kiedy dowiedział się, co pan sprawdza, nabrał pewnych podejrzeń i zaraz zadzwonił.

– Gdzie zadzwonił?

– Jak to gdzie? – Adler się uśmiecha. – Do najwyższej instancji.

– A co z Pawłowiczem?

– Kapitan Pawłowicz – odzywa się Kula, przeciąga powoli słowa, tak jak to miał w zwyczaju, opowiadając anegdoty z czasów służby w armii węgierskiej – kapitan Pawłowicz zaginął podczas pełnienia służby aprowizacyjnej. Znalaziono jego konia i pustą butelkę wódki. Ludzie w Dawidgródku, a także i w Korpusie podejrzewają, że smutek po śmierci żony, nieleczona zapaść psychiczna, smutnodur wzięły górę nad tym młodym człowiekiem i ostatecznie targnął się na swoje życie.

– A co naprawdę mu było?

– Trudno powiedzieć...

Teraz widzę, że pod jednym z drzew leży przykryty kocem podłużny kształt.

– Zabiliście go?

– Sam się zabił, my tylko wykonaliśmy jego prośbę. Nie ma miejsca na Polesiu dla jeszcze jednego szaleńca, który gotów jest je podpalić. Chyba nie ma pan żadnych wątpliwości.

– To jest morderstwo popełnione na funkcjonariuszu Wojska Polskiego. Przecież, przecież... – patrzę wściekły – a wy wiedzieliście o tym wszystkim?

– On oszalał. – Kula przymyka oczy. – Był niebezpieczny.

– Ale...

– Wolałby pan, aby podpalił całe Polesie, czy aby zabijał dalej?

– Oszalał. Przecież...

– To prawda, gonił za miazmatem, legendą. Długo nie mogliśmy go nakryć na gorącym uczynku. Ma pan niewątpliwe zasługi w jego zlikwidowaniu...

– Powinien stanąć przed sądem.

– W żadnym wypadku. I doskonale rozumie pan dlaczego. A teraz, czy może pan już wstać?

Podnoszę się z ziemi, czuję się jeszcze słaby.

– Co to było, to co...

– Och, to nasz poleski skarb. Kapitan Roman Kwaśnicki chętnie wyjaśni.

Zza pleców pułkownika wyłania się pijak z pociągu. Przyglądam mu się raz jeszcze, teraz niepodobny do człowieka, którego widziałem w wagonie, patrzy bystro, jest gładko ogolony.

– *Aruncussylvestris* i *Pedicularispalustris*, czyli po tutejszemu *balotnyj dymoi*, a dla nas C-17 W.36/37. Mieszanka roślin tutejszych o narkotycznym działaniu, paraliżuje układ nerwowy.

Patrzę otępiały.

– Gaz bojowy – mówię w końcu.

– Nie musi pan być dosadny. – Roman wzrusza ramionami.

– Więc jaka jest oficjalna wersja wydarzeń? – pytam po chwili.

– Kapitan Pawłowicz zginął przypadkową śmiercią. A prawda jest taka, że oszalał, ale zarazem, kiedy popełnił błąd i zabił Staffa, wymyślił, jak zamaskować zabójstwo. O tym, że Dowgird jest niestabilny psychicznie, wiedzieli wszyscy, a Pawłowicz wiedział, jak to wykorzystać. Może szalony, ale trzeźwo myślący.

– A pan? – Patrzę na dobrotliwego pułkownika Kulę.

– Ja pozostawałem w cieniu i w bezpośredniej łączności z naszym wojewodą. – Patrzy w stronę chevroleta. Poza tym chorąży Bodnar jest jeszcze bardzo młody i nie potrafi ukryć nerwów. Po pewnym czasie już sam nie był w stanie wytrzymać i powiedział mi to, co i panu.

– Rozumiem. Czy wojewoda nie zaszczyca nas rozmową?

– Za dużo pan wymaga – Kula się uśmiecha – znacznie za dużo.

Oddycham ciężko, patrzę na rękę i zaciśniętą na niej opaskę tamującą krwawienie.

– Powinien pan zostać opatrzony.

– Tak, tak – kiwam głową – ale proszę mi powiedzieć, jak się wam udało...

– Tak jak mówił kapitan, gdy pan wziął raporty, zacząłem zadawać sobie pytania. Nie powiem, już wcześniej podejrzewałem kapitana Pawłowicza,

ale nie miałem dowodów. Przyznam szczerze, że nie sprawdziłem tych raportów.

– Prowadził pan własne śledztwo?

– Analizowałem, myślałem i kalkulowałem. I na koniec wyciągałem wnioski. Powiem panu, że nie odrobił pan pracy domowej.

– Jakiej?

– Nie spytał pan, co dokładnie robiłem w austro-węgierskiej armii.

– To znaczy? – mówię nieco znużonym głosem, bo to mnie akurat mało interesuje.

– Służyłem w Bundesgendarmerie^[19].

Mruczę coś w odpowiedzi, nawet nie wiem za bardzo, jak tę rewelację skomentować. – Ale co teraz? Przecież ludzie zaraz tutaj się zlecą.

– Nie – Adler kręci głową – ten dom jest daleko, nic nie było słychać, przecież nawet nie padł strzał. Jedynie przyjechały trzy motocykle, a potem jeden samochód z wojewodą, to się zdarza.

– Tak, zdarza się.

– Chyba szczęśliwie sprawa została zakończona.

– Mam cholerną nadzieję, że tak.

– Przepuście mnie, przepuście – słyszę wściekły głos Jankisza – przecież lekarzem jestem!

Przez żołnierzy przepycha się lekarz. Wygląda fatalnie, rozczochrany i zarośnięty.

– Proszę powiedzieć, o czym rozmawialiście. – Podchodzi do mnie. Nawet przez smród oparów gazu czuję, jak zionie od niego alkoholem. Łapie mnie za kłapy marynarki. – To ważne!

– Mówił, że jest Synem Bagien – tłumaczę po kolei wszystko, co usłyszałem.

– Wiedziałem, wiedziałem. Rozszczepienie umysłu – klaszcze w dłonie i sięga po piersiówkę, nie przejmując się zebranymi – tak jak mówiłem. A wy... – Podnosi dłoń.

Adler piorunuje go wzrokiem, ale z twarzy Jankisza nie znika uśmiech.

– Jak to mówił pan?

Jankisz wykrzywia usta w jeszcze większym grymasie.

– Wy wszyscy myślicie, że jak chlam i po pijanemu pociąłem nie to, co trzeba, to że nic nie widzę? A ja widziałem! Pawłowicz miał wahania humorów, typowa niestabilna konstrukcja psychiczna – uderza palcem z brudnym paznokciem w klatkę piersiową Adlera – i poszedłem do pana policjanta, i powiedziałem. Poszedłem i do Korpusu. – Palcem wskazał na Kulę. – Tak samo jak mówiłem, że Dowgird ma kruchą duszę, że ktoś nim manipuluje. I że trzeba mu pomóc. Że nie wolno się odwracać.

– Wiedział pan o tym? – Patrzę na Adlera.

Milczy.

– Wiedział pan – stwierdzam.

– Nie chciałem uwierzyć – szepcze ledwie słyszalnie.

– Wiedziałem i oni wiedzieli, wiedzieli... – sapie Jankisz i pociąga z piersiówki. – Ale nic nie robili. Zignorowali mnie jak Kasandrę. Mówił Jankisz, ten Pawłowicz szaleje, ten Pawłowicz mamrocze coś o Synu Bagien, kiedy myśli, że go nikt nie widzi. A teraz mówię wam, *auf wiedersehen meine liebe Kollegen*^[20]. – Spluwa.

– Doktorze Jankisz! – krzyczy Adler. – Proszę się zatrzymać!

– Bo co, zastrzelicie mnie? Potraktujecie gazem bojowym? Jak tego nieszczęśnika. – Wzrusza ramionami, odwrócony do nas tyłem. – Spokojnie, komisarzu, idę się tylko upić. Wasze podłe sekrety są bezpieczne! To wszystko wasza wina! Przeklęte Polesie!

EPILOG

Poleskie drogi

14 maja 1937

Patrzę w okno, jest ciemno jeszcze, świt zbliża się nieśmiało. Ręka boli mnie od rany zadanej przez Pawłowicza. Zdążyłem jeszcze wieczorem zadzwonić do Agaty, ale nie odebrała, ponoć poszła gdzieś z przyjaciółką – tak przynajmniej twierdził ojciec. Dowiedziałem się, że jeżeli chcę, mogę odpocząć kilka dni, i że powinienem tylko wcześniej przesłać raport. Mayer śmiał się nawet, że mogę zostać na Polesiu i zażyć urlopu. Nie skomentowałem tego pomysłu. Chcę stąd wyjechać jak najszybciej i jak najdalej. Natychmiast! Sprawa z Pawłowiczem mnie przygniata, rola Adlera również. Jego rola była podwójnie tragiczna. Oddycham z radością, kiedy do drzwi mojego pokoju puka Nastka.

– Samochód już czeka.

– Już idę – odpowiadam zadowolony.

Żadna z kobiet mnie nie żegna. Na ganku stoi tylko Zwiślócki, aby uścisnąć mi dłoń, ale ja na temblaku, powstrzymuję się.

– Co się panu stało?

– Nic takiego.

Patrzy na mnie przeciągłym wzrokiem. Wzrusza ramionami i się uśmiecha.

– To był zaszczyt. Liczę na to, że goszcząc pana, przysłużyłem się sprawie. – Klepie mnie po lewej ręce i jednocześnie ściska prawą, pucułowata twarz się uśmiecha.

Jasne, grubasie, przysłużyłeś się... – myślę. Ten jednak nie puszcza ręki. Przyciąga mnie do siebie.

– Zdobyły pana? Jak tak, niech pan koniecznie idzie do lekarza – w tonie pocziwego grubaska pojawia się nowa nuta – te kurwy na pewno coś

mają. Ja bym ich w życiu nie wziął. – Uśmiecha się pocziwie. Witamy na Polesiu. Takie buty. Biorę walizkę w lewą rękę i idę do samochodu.

Wsiadam i zamykam oczy, co prawda cały czas krążą mi po głowie pytania, ale nic z tym już chyba nie zrobię. Jedyne, co mogę, to zapaść w błogie odrętwienie.

– O, cholera – wyrywa mnie z niego nie na żarty przestraszony głos Stefanka. Otwieram oczy i podnoszę się, aby lepiej widzieć. Jesteśmy tuż przy drzewie na rozstaju dróg, ale tym razem nie ma tutaj potwora jak w moich omamach. Jest za to chevrolet czarny, a obok niego typek wysoki i wysportowany o kwadratowej szczęce. Przypominam sobie, że gdzieś go widziałem, na jarmarku wśród ludzi wojewody, to jeden z ochroniarzy. – Czy... czy mam się zatrzymać? – Stefanek odwraca ku mnie swoją pyzată głębę. Problem rozwiązuje się sam, bowiem człowiek wojewody wychodzi na środek drogi.

– Proszę wysiąść – mówi, kiedy gaśnie motor naszego auta – wojewoda pragnie porozmawiać.

Wysiadam niepewnie, zwlekam, bardzo wolno otwieram drzwi i idę bez przekonania. Czuję, jak narasta we mnie obawa, w miarę jak zbliżam się do skrytej za szybami postaci.

– Proszę nie zwlekać – odzywa się szofer – pociąg do Warszawy może panu uciec. A to byłoby niewska-za-ne – akcentuje bardzo wyraźnie ostatnie sylaby.

Otwiera drzwiczki chevroleta i widzę postać w lnianym białym garniturze.

– Proszę, proszę – popędza wojewoda.

– Dziękuję. – Siadam na fotelu, ale tak jakbym siedział na rozgrzanych węglach.

– Wreszcie mam sposobność porozmawiać z panem – wita mnie pan i władca ziemi poleskiej. Z bliska nie wygląda ani trochę mniej strasznie. Widać w nim skupienie, oczy śledzą każdy mój ruch, taksują. Wzrok lisa, starego wrednego lisa.

– To zaszczyt dla mnie. – Przełykam ślinę. To irracjonalne, ale przypominam sobie historię o znikających ludziach wywożonych

w samochodach Biernackiego i jakoś zaczynam się coraz bardziej lękać o własną skórę.

– Prawie pan namieszał na ziemi poleskiej – starcze dłonie zaciskają się na głowie laski w kształcie psa – prawie mi pan popsuł szyki. Całe szczęście tylko prawie... – Uśmiecha się kpiąco.

– Czy wytłumaczy mi pan, co się tutaj dzieje?

Biernacki unosi brew. Palcami bębni po głowie laski.

– Powiem – wzdycha w końcu – ale tylko dlatego, że liczę na to, że dzięki temu zda pan raport i do kogoś coś dotrze.

Wieje wiatr. Człowiek wojewody podchodzi do Stefanka, rozmawiają chwilę. Mój anioł stróż gestykuje gwałtownie, coś może nawet i krzyczy, ale ja tego nie słyszę, w końcu siada za kierownicą i odjeżdża. Biernacki śledzi to chwilę wzrokiem, nic nie mówi.

– Siedzimy na beczce prochu – podejmuje temat, kiedy jego człowiek wraca do samochodu i odpala silnik. – Jak by to panu najbardziej obrazowo... – zastanawia się, gdy auto sunie już drogami. – Polesie to jeden wielki Kamieniec Podolski, twierdza wypakowana prochem, gdzie wystarczy iskra. I są tutaj tacy, którzy dążą do tego, aby podpalić ten nasz ład.

– Kto taki? – Wpatruję się w zmieniający się dynamicznie krajobraz za oknem.

– Lista jest długa, na czele z sobiepańską głupotą, a na komunistach kończąc – Biernacki mówi nieśpiesznie, cedzi słowa, jakby je smakował.

– Chyba nie do końca rozumiem, proszę mi powiedzieć o wszystkim, o czym pan wie. Rzuca pan hasłami, a ja nie wiem, jak ma się jedno do drugiego – stawiam wszystko na jedną kartę.

Biernacki milczy, jego palce stukają o laseczkę.

– Bezczelny pan jest – mruczy pod wąsem. – Podoba mi się to. Dobrze, właściwie to się panu należy. Zresztą, jak mówiłem, ktoś musi tę wiedzę zanieść, niestety ta opowieść prosta nie jest i ma kilka poziomów.

– Zamieniam się w słuch. – Czuję, że teraz jest czas zagrać va banque. – Dlaczego tak naprawdę zginął Staff?

– Źle pan zadał pytanie, kapitanie. – Po starczej twarzy Biernackiego błąka się uśmieszek. – Trzeba zapytać, dlaczego tak naprawdę pojechał na Polesie i o czym panu nie powiedziano... Zapomniał pan, jak ważni ludzie wysłali pana tutaj... kapitan Staff dał się wciągnąć w bardzo niebezpieczną grę.

– A zatem dlaczego pojechał na Polesie?

– Bo wysłał go tutaj podpułkownik Tadeusz Kobylański.

– Nie rozumiem, co to ma do rzeczy...

– Ma wiele, ja nie mam dowodów, to znaczy nie mam pewnych dowodów, ale jestem przekonany, że jego relacje z ZSRR nie są czyste. Eufemistycznie rzecz ujmując.

Mrozi mnie ta informacja, ale staram się zachować zimną krew. Wiem, że nawet nie ma sensu pytać, skąd ma takie rewelacje i czy ma coś na ich potwierdzenie.

– A Adam Staff... – zasycha mi w ustach – był, był agentem?

Biernacki uśmiecha się smutno.

– Adam Staff miał długi i panicznie szukał źródła zarobku, natknął się na te bujdy i zaczął szukać, traf chciał, że przy okazji zaangażował się w działalność demiurgistów, czy jak tam się ich zwie, i pozwolił sobie na to, by stać się pionkiem. Dał się wciągnąć w te szpiegowskie hece, które uprawiał taki na przykład Antoni Niekiel, którego dzisiaj rano aresztowaliśmy i u którego odkryliśmy takie oto skarby. – Rzuca mi na kolana broszurę *Jeden wróg, jeden front*.

– W jaki sposób? – Czuję dreszcze przechodzące po całym ciele.

– Wydaje mi się, że chciano nim rozegrać, miał być czynnikiem zapalającym, nie wiem, w jaki sposób, może mimowolnym kontaktem. Ktoś jednak nie wkalkulował, że jego przyjaciel Dowgird jest człowiekiem niestabilnym i łatwo daje się sterować i że na scenie jest jeszcze jeden gracz.

– Pawłowicz...

Biernacki milczy chwilę.

– Pawłowicz... Musi pan zrozumieć – znowu milknie. – Pan, kapitanie Jakubowski, chyba nie do końca rozumie, o co się toczy ta gra. I to pana

uratowało. Milczy pan? – Wpatruje się we mnie czarnymi oczami. – Dobrze to o panu świadczy. O pana umyśle i umiłowaniu życia. Wie pan, ja jestem jak Światowid, widzę na cztery strony świata i słyszę wszystko na cztery strony świata. W każdym razie poleskiego świata.

– Wiedział pan o Pawłowiczu? – Dociera do mnie przerażająca myśl. – Pan wiedział?

– Czy to ważne?

– Tak. – Zgrzytam zębami, jak mam umrzeć, to chociaż chcę mieć tę wiedzę.

– Nie mieliśmy pewności co do wszystkich szczegółów – mówi po chwili. – Chcieliśmy, aby się ujawnił i zarazem rozwiązał nasz problem.

– Z czym?

– Z komunistami, z ludźmi, którzy ich mimochodem podjudzają. Zanim Staff zdołał namieszać, problem rozwiązał się sam.

– Pawłowicz zabił Staffa i pan na to pozwolił?

– Nie interweniowałem, kiedy to się działo. Chciałem zobaczyć, co się stanie, i okazało się, że się udało. Zginął Dowgird i zginął Licynka.

– Licynka był...

– Teraz już wiem, że był ważnym elementem układanki, jednym z ważniejszych kontaktów KPZB, tak jak Antoni Niekiel. Wiedziałem, że prędzej czy później Pawłowicz będzie musiał go zabić. Tak wynikało z rachunku prawdopodobieństwa, matematyka, matematyka to bezwzględna nauka.

– Ale przecież ginęli ludzie, pańscy ludzie! – Czuję, jak ponoszą mnie nerwy.

– Świat jest szachownicą. Moi i nie tylko moi.

Nie odrywam wzroku od szaleńca. Milczę, przerażony klarownością i bezwzględnością odpowiedzi.

– Naprawdę tak pan na to patrzy?

– Naprawdę to patrzę na to, co jest najlepsze dla Rzeczypospolitej. Tylko to się liczy.

– A hrabia? On jest przekonany, że to pan zabił Staffa, on ma rację...

– W pewnym sensie ma rację, przyznaję. Ale proszę nie ufać hrabiemu, on ma i swoje interesy, i swoje straty.

– Nie rozumiem.

– To bardzo proste, on bardzo by chciał być monopolistą drzewnym na południe od Dawidgródka. A ja nie mogę na to pozwolić, Zviaholski nienawidzi mnie z najbardziej prozaicznego powodu. Ja zaś nie mogę go tolerować i muszę ograniczać jego wpływy, przez takich jak on powtórzy się tutaj rzeź galicyjska. Będą nas na sztachety nabijać.

Oddycham ciężko.

– Zabije mnie pan? – stawiam wszystko na jedną kartę.

Biernacki najpierw chichocze cicho, aby potem parsknąć śmiechem.

– Zabić pana? Jednak przeceniłem pańską inteligencję. – Kręci z niedowierzaniem głową. – Powiem, że zawiodłem się jednak na panu...

Oddycham z ulgą, ale jednocześnie czuję się nieco urażony.

– Nie boi się pan, że powiem o wszystkim w Warszawie?

– Chyba nie można mieć gorszej prasy niż ta, którą ja mam. Zabić pana! Dobrze sobie. Kto by pomyślał, że biedny Florian ma tak strachliwego syna.

Czuję, jak zasycha mi w gardle.

– Pan zna mojego ojca?

Biernacki wpatruje się we mnie swoimi czarnymi oczami.

– Znam – mówi w końcu – z odległych czasów.

– Skąd?

Biernacki uśmiecha się złowieszczo.

– Z pewnego parszywego miejsca na tym świecie o nazwie Sidi Bu-l-Abbas, pana ojciec jest przecież legendą...

I tutaj dopada mnie cień Floriana Jakubowskiego. Oficera armii austro-węgierskiej awanturnika i żołnierza Legii Cudzoziemskiej.

– Czemu pan nie utrzymuje kontaktu z Warszawą, oni są przekonani, że pan zwariował. – Patrzą mu głęboko w oczy.

Wzrok Biernackiego nic nie zdradza, w końcu po chwili powoli cedzi słowa.

– Kiedy żył towarzysz Wiktor, Ziuk, Piłsudski, to wszystko wyglądało inaczej. A teraz co? Najpierw wykorzystali mnie, moimi rękami karczują z chwastów Rzeczpospolitą, ale już się do mnie przyznać nie chcą... Gardzili mną, obrazili moją żonę i mnie – w jego głosie wyraźnie słychać ból. – Niech pan przekaże wprost, albo będziemy trzymać wszystko twardo, nie ustąpimy na pół stopy z naszych pozycji, zarazem uszanujemy tych, z którymi żyjemy, albo czeka nas horror i krwią spłyną drogi od Kowna do Wołynia.

Samochód jest już na stacji w Łunińcu, szofer wyciąga z samochodu moje bagaże. Wojewoda cały czas milczy. W końcu otwiera usta. Ja już sięgam do klamki, powstrzymuje mnie swoją laską.

– Udało mi się teraz to szaleństwo powstrzymać, ale nie na długo. Niech pan to powie w Warszawie, kapitanie Jakubowski. Rozumie pan? Inaczej czeka nas wszystkich horror.

ŚWIAT SYNA BAGIEN

Szczęśliwie fikcja literacka rządzi się swoimi prawami, te zaś pozwalają autorowi na pewne uproszczenia, zmyślenia czy zupełnie swobodne podchodzenie do faktów. Nie znaczy to jednak, że świat wykreowany przez autora może być zupełnie od nich odcięty, zwłaszcza kiedy powieść jest powieścią historyczną. Postacie żyjące na kartach książki są osadzone w swojej epoce i charakterystycznych dla niej kategoriach myślenia. To, co było naturalne dla ludzi dwudziestolecia międzywojennego, może być dziś nie tyle niezrozumiałe, ile wręcz kontrowersyjne. Myślano i pojmowano świat inaczej, a sądy były znacznie bardziej kategoryczne. W dobrej powieści historycznej niemożliwe jest pozbawianie postaci tych cech, co oczywiście nie oznacza aprobaty dla nich. Nie inaczej jest w przypadku *Syna Bagien*. Pisząc tę powieść, czerpałem garściami z historii Polski i z historii polskich kresów, niekiedy sięgając po dosyć hermetyczne zagadnienia, które czytelnikowi nieobeznanemu z historią Polski późnych lat trzydziestych XX wieku mogą sprawić nie lada problem.

Między fikcją a realiami

Rok 1937 był czasem przed burzą. Jeszcze mogło się wtedy wydawać, że Polska będzie imperium, a w Europie nie dojdzie do kolejnego konfliktu. W takiej atmosferze względnego spokoju na Polesie przybywa fikcyjny bohater, Maurycy Jakubowski, reprezentujący bynajmniej nie fikcyjną służbę, jaką jest Oddział Drugi Sztabu Generalnego Wojska Polskiego – czyli służbę kontrwywiadowczą, zwaną potocznie Defą. Na Polesie sprowadza go zaginięcie wymyślnego kapitana Adama Staffa oraz sprawa kontrowersyjnych rządów jak najbardziej realnego wojewody, Wacława Kostka-Biernackiego. Realnych postaci na kartach powieści jest więcej, jak Jerzy Albin de Tramecourt – zastępca wojewody Biernackiego, Tadeusz Puszczyński vel „Konrad Wawedberg” – dowódca KOP-u Sarny i znany konspirator z czasów powstań śląskich. Inspirowany prawdziwą postacią,

choć w innej niż w rzeczywistości funkcji, jest dowódca Jakubowski, Stefan Mayer – w rzeczywistości był on bowiem szefem wywiadu i kontrwywiadu. Podobnie prawdziwą postacią jest doktor Jan Mazurkiewicz, lekarz psychiatra szpitala w Tworkach, oraz Tadeusz Kobylański, naczelnik Wydziału Wschodniego.

Polesie było najbiedniejszym i najbardziej zacofanym regionem Polski, w którym zgodnie z badaniami urzędu statystycznego Polacy stanowili nikły odsetek mieszkańców, gdzie analfabetyzm sięgał 70 procent ludności, która była niedożywiona i dziesiątkowana przez liczne choroby.

Jak to tylko możliwe, wiernie próbowałem odmalować „polskie Twin Peaks”, czyli Dawidgródek. Pomocne mi w tym były liczne publikacje: *Przewodnik po Polesiu* Michała Marczaka, *Baśni z Polesia* Oskara Kolberga oraz anonimowo wydane *Polesie i jego bogactwa*, ale i zachowane dokumenty, mapy oraz fotografie. W zasadzie wszystkie punkty geograficzne (z wyjątkiem dworu hrabiego oraz „letniej” siedziby wojewody) są przeniesione realistycznie. Z podobną pieczołowitością przytaczam pieśni, jakie mógł usłyszeć Jakubowski, pomocny był tutaj Oskar Kolberg i 52 tom jego opus magnum – *Białoruś – Polesie*. Sięgałem również do ustaleń niezmiernie pracowitego badacza muzyki ludowej, do Archiwum Muzyki Wiejskiej, po płytę *Muzyka odnaleziona – Pieśni Polesia*, a także do repertuaru zespołu Laboratorium Pieśni – *Rosna, Rasti* oraz *Puste noce*.

W końcu lat trzydziestych sytuację na Kresach Wschodnich można nazwać stabilną, chociaż niespokojną. Było jednak znacznie lepiej niż w pierwszych latach po wojnie, po roku 1920, kiedy granica polsko-bolszewicka i ziemie do niej przyległe regularnie stawały się areną działań grup wywrotowych oraz niezliczonego wręcz mrowia przemytników. Losy ich opisał na kartach swoich powieści awanturnik i zarazem agent Dwójki Sergiusz Piasecki (*Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy, Piąty etap*). I tak powieściowa postać Romana jest moim ukłonem w stronę tego niezwyklego pisarza i awanturnika.

Najtragiczniejszym w historii Polesia był rok 1924, kiedy to doszło łącznie do 80 akcji zbrojnych na polskie dwory, polskich osadników – „amerykanów” oraz na plebanie, o czym wspomnienie znajdzie czytelnik

podczas odwiedzin Jakubowskiego i Kostii w chutorze Ottonówka. Choć sam dwór i jego historia są zmyślane, inspirację stanowiły prawdziwe wydarzenia, jakimi były liczne i niezwykle brutalne ataki bolszewickich dywersantów.

Najbardziej zuchwałymi akcjami przeprowadzonymi przez dywersantów był atak na posterunek w Stołpcach, a następnie na pociąg pod Łunińcem i na wojewodę Downarowicza. Władze polskie podejrzewały, nie bezzasadnie, że na terenie Polesia może dojść do powstania komunistycznego. Aby temu przeciwdziałać i aby uszczelnić granicę, powołano nową formację – Korpus Ochrony Pogranicza (KOP). Korpus był formacją przedziwną. Z jednej strony traktowano go jako elitarną służbę, miał przecież chronić wschodnie rubieże Rzeczypospolitej przed komunistami – jako przedmurze cywilizowanego świata. Z drugiej strony był służbą niebezpieczną. KOP ochraniał granicę od Grodna po Podole. Składał się z sześciu brygad i pięciu pułków, w jego szeregach służyło prawie dwadzieścia siedem tysięcy żołnierzy, z czego blisko tysiąc stanowili oficerowie. W skład każdej brygady wchodziły bataliony, których zadaniem była ochrona konkretnego odcinka granicy. Z myślą o wsparciu dla sił taktycznych działających na Polesiu stworzono sieć fortyfikacji, również na wysokości Dawidgródka, przy czym najsilniejsze i najmocniejsze bunkry znajdowały się w regionie miasta Sarny.

W *Synu Bagien* pojawia się Batalion Dawidgródek, w skład którego wchodziły trzy kompanie: obwodowa, pluton łączności i kompania karabinów maszynowych. Wszystkie postacie z KOP dawidgródzkiego są wymyślane. W 1937 roku dowódcą batalionu w rzeczywistości był Józef Trzęsiński.

Warto też powiedzieć kilka słów o roli, jaką odgrywał Korpus na Kresach Wschodnich, bo poza ochroną granic miał pełnić też funkcję kulturotwórczą. Mówiąc wprost, Korpus był forpoczta polskiej kolonizacji Kresów Wschodnich i zadanie to realizował na wielu poziomach i za pomocą wielu środków. Począwszy od architektury budynków Korpusu, która nawiązywała do stylu dworskiego (podobnie jak kolonie urzędnicze), poprzez prowadzenie licznych zajęć promujących polską tradycję, po edukowanie ludności w sprawach higieny. Opisane przeze mnie obchody Konstytucji 3 maja były oparte na wytycznych dla żołnierzy

tej formacji. Poleszuków miano uczyć higieny, dbania o zabytki, rolnictwa. W placówkach batalionu istniały biblioteki, rozgłośnie radiowe, wystawiano sztuki teatralne. Korpus miał przemienić nie tylko militarnie, ale również kulturalnie granice Rzeczypospolitej, niosąc kulturę Polską na kresy. Nie można nie docenić, że tworząc Korpus, myślano o polskiej racji stanu znacznie szerzej niż tylko na poziomie bezpieczeństwa.

Pytanie o rolę Korpusu na Kresach Wschodnich prowadzi do pytania o polskość. W *Synu Bagien* przywołuję kilka wątków, jakimi żyła w tym okresie polska inteligencja. Najciekawszą była koncepcja powrotu do słowiańszczyzny. Kulturalizm i wspakultura są pojęciami stworzonymi przez Jana Stachniuka – radykalnego narodowca, odrzucającego katolicyzm i nawołującego do powrotu do prawdziwej słowiańszczyzny, chociażby na kartach książki *Mit słowiański*. Koncepcje Stachniuka, chociaż nacjonalistyczne, przybliżyły go, paradoksalnie, do komunizmu, co nie pozostawało bez znaczenia dla rozwoju jego myśli. Radykalniejszy od zadrugizmu był demiurgizm – pogląd filozoficzny głoszący, że faszyzm jest jedynie jednym z etapów do budowania nowego ustroju polityczno-społecznego zwanego przez nich demiurgizmem. W podobnym tonie projektował polskość awangardowy rzeźbiarz „Stach z Warty” – Stanisław Szukalski, który łączył modernistyczną formę z neopogańską i mistyczną treścią.

Stachniuk nie był pierwszym, który pisał o konieczności odrzucenia chrześcijaństwa na rzecz prawdziwej słowiańskości. Na przełomie wieków XIX i XX tworzył antysemita i zarazem zwolennik odrzucenia chrześcijaństwa (które uważał za twór żydowskich demonów) Jan Hempel. Postrzegał prawdziwą Polskę jako wroga Chrystusa i na łamach swoich *Kazań polskich* utrzymywał, że jedyną drogą, jaką powinna podążać Polska, jest powrót do własnej prawdziwej tożsamości (przedchrześcijańskiej). Hempel jest o tyle ciekawą postacią, że najpierw przeszedł na komunizm, aby następnie uciec w 1932 roku do ZSRR, gdzie rozstrzelano go pięć lat później w ramach wielkiej czystki. Poprzednikiem Hempla był Zorian Dołęga-Chodakowski, dwunastowieczny filozof, zwolennik odrzucenia chrześcijaństwa i powrotu do prawdziwej formy kulturowej, w jego rozumieniu słowiańskiej. Jest to o tyle ważne, że Dołęga-Chodakowski był jedynym uczestnikiem debaty o kształt polskości

toczonej w dobie romantyzmu. Zainteresowanych dziesiętnastowiecznymi sporami odsyłam do fenomenalnej książki Marii Janion *Niesamowita Słowiańszczyzna*.

Podobnie, chociaż w żadnym wypadku nie jednym głosem na temat polskości wypowiadali się członkowie Obozu Narodowo-Radykalnego oraz Ruchu Narodowo-Radykalnego, dwóch organizacji o skrajnie antysemickim charakterze, głoszących nacjonalizm. Przy czym każdy z autorów odpowiedzi na pytanie, jak rozumie nacjonalizm, udzielał w różny sposób. Środowisko narodowców, literacko skupione wokół „Prosto z Mostu” (do którego pisali bynajmniej nie tylko nacjonaści, bo przecież i Witold Gombrowicz, i Konstanty Ildefons Gałczyński), było szczególnie płodne w koncepcje.

Zupełnie innych odpowiedzi na to, co to znaczy Polska, udzielali Bolesław Piasecki, Wojciech Wasiutyński czy Jan Mosdorf. Ich idea, chociaż w PRL-u zepchnięta na margines, w przedwojennej Polsce miała licznych zwolenników, zwłaszcza wśród młodszego pokolenia, stąd też fascynacja Witolda Zwiąholskiego. Obóz Narodowo-Radykalny (ONR) był skrajnie prawicową organizacją, niekryjącą się ze swoją inspiracją faszyzmem i nazizmem. Przewodniczył mu filozof Jan Mosdorf, którego dzieło cytuje członek korporacji, młody Zwiąholski. Obóz ten został przez sanację dość szybko zdelegalizowany. W 1935 roku ruch rozpadł się na dwie frakcje ONR-ABC oraz Ruch Narodowo-Radykalny. Na czele tego pierwszego stanął adwokat Henryk Rossman, na czele drugiego, również prawnik, Bolesław Piasecki. Subtelna i mocno niejednoznaczna grę prowadziło z nimi prawe skrzydło sanacji – w tym między innymi wspomniany na kartach książki Adam Koc, stąd też pojawiający się w powieści sąd: „Ale nawet sanacja lubi faszyzm”.

Jak już wspomniałem, w 1937 roku Polska znajdowała się w bardzo specyficznej sytuacji. Obóz osierocony przez Piłsudskiego zaczął dryfować w innych kierunkach niż zmierzał przed majem 1935 roku. Odpowiedzią na kryzys braku lidera ze strony obozu rządzącego było szukanie nowej tożsamości politycznej – w obozie sanacyjnym coraz wyraźniej zaczęły pojawiać się głosy o konieczności przesunięcia się na prawo, w stronę stanowiska konserwatywnego, albo wręcz nacjonalistycznego, odejścia zaś od idei socjalistycznych, a w konsekwencji również od idei prometeizmu,

i bardziej konkretnego określenia tego, kto jest Polakiem. Część z tego sporu przeniosła się na Kresy Wschodnie. Póki żył Piłsudski, królował prometeizm i koncepcja federalistyczna albo jej pochodne, czyli koncepcje, zgodnie z którymi Polska powinna wspierać mniejsze narody, przede wszystkim po to, aby potem czynnie walczyły one z Rosją Sowiecką. Zwolennikiem i realizatorem tej idei był wojewoda wołyński Henryk Józewski, człowiek pragnący rozwinąć jak najbardziej owocną współpracę z Ukraińcami i pomóc im w rozwoju samodzielności narodowej przy jednoczesnym pozostaniu w granicach Rzeczypospolitej.

Wojewoda Biernacki jest postacią historyczną i chyba jedną z najciekawszych osobowości na scenie polityczno-wojskowej dwudziestolecia międzywojennego, której powieściowa sylwetka nie różni się od prawdziwego życiorysu. Od 1904 roku współpracownik Piłsudskiego, żołnierz Legii Cudzoziemskiej, dowódca żandarmerii w Legionach, znany ze swojego okrucieństwa i rygoru, dosyć powszechnie nienawidzony przez legionistów i współpracowników. Przed zamachem majowym odsunięty na boczny tor, po powrocie Piłsudskiego do władzy – wojewoda poleski, słynny z rządów twardej ręki. Wacław Kostek-Biernacki nadzorował twierdzę Brześć, gdzie Piłsudski zesłał swoich przeciwników w roku 1930, oraz obóz odosobnienia w Berezie Kartuskiej, którym formalnie dowodził podinspektor policji Józef Kamala-Kurhański. Obóz w Berezie należał do miejsc, w których warunki były wyjątkowo trudne, a strażnicy nie kryli się ze swoim zamiłowaniem do sadystycznych metod. Zarazem w czasach rządów Biernackiego na Polesiu w sposób bezprecedensowy zwalczano korupcję, niesprawiedliwości oraz wszelkie formy komunizmu. O samym Biernackim chodziły plotki, że osobiście nadzoruje sprawy „znikania” w okolicznych bagnach agentów Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi. Traf chciał, że właśnie w 1937 roku w Berezie Kartuskiej wyroki odbywali tylko komuniści. Co było pewnym novum, bo wcześniej Berezę Kartuską „odwiedzali” również wspomniany Bolesław Piasecki czy Henryk Rossman.

Biernacki był autorem piosenek, na przykład *Jedzie, jedzie na kasztance*, oraz dwóch zbiorów opowiadań: *Straszny gość* i *Djabł zwycięzca*, w których opisywał zwyczaje i folklor Polesia, a także znane w tym regionie formy kultu. Te bowiem były dosyć specyficzne, aby nie powiedzieć pogańskie,

złośliwi mówili nawet, że jest czcicielem Szatana. Sam określał się mianem gnostyka. Zainteresowanych losami Wacława Kostka-Biernackiego odsyłam do fenomenalnej monografii Piotra Cichorackiego *Droga ku anatemie*.

Czytelnikowi należy się wyjaśnienie, która z postaci w powieści ma swój odpowiednik w rzeczywistości, a która została przeze mnie wymyślona. Antagonistą Kostka-Biernackiego w mojej powieści jest hrabia Konstanty Zwiaholski, postać wymyślona, chociaż inspirowana osobą Karola Mikołaja Radziwiłła, właściciela między innymi Dawidgródka. Tak samo fikcyjny jest jego dwór, zarówno w Olmanach, jak i na Wesołych Bagniskach. Fikcyjni są również oficerowie Korpusu pojawiający się w powieści. Historyczną postacią jest natomiast Bolesław Kontrym, człowiek przedziwny – los sprawił, że w latach 1918–1921 był oficerem Armii Czerwonej, któremu udało się zbiec do Polski w roku 1922, aby następnie wstąpić w szeregi policji państwowej i dosłużyć się stopnia naczelnika policji w Białymstoku. W czasie drugiej wojny znalazł się najpierw na Zachodzie, a następnie przedarł się do Polski, aby tu walczyć w szeregach Armii Krajowej i w powstaniu warszawskim. Po powstaniu ponownie trafił na Zachód, a po wojnie wrócił do Polski, gdzie przez krótki czas brał udział w formowaniu milicji (podobnie jak wielu policjantów przedwojennych). Władza ludowa jednak nie wybaczyła weteranowi Armii Czerwonej zdrady komunizmu. Kontryma po długotrwałym śledztwie i torturach stracono w 1953 roku na ulicy Rakowieckiej w Warszawie.

Specyficzny status ma towarzysz Kontryma – Kostia. Jest o tyle prawdziwy, że zaistniał w opowiadaniach Biernackiego, skąd zaczerpnąłem tę postać i jej charakterystykę.

Na zakończenie chciałbym podziękować wszystkim, dzięki którym ta książka powstała i dzięki którym mogła być wydana. W pierwszej kolejności mojej żonie Kindze, pierwszej czytelniczce i zarazem najsrońszemu recenzentowi. Bez niej, jej rad i jej uwag, powieść by nie powstała. Dziękuję też Przemkowi Mrówce, który nie tylko był jednym z bardziej szczegółarskich (szczegółarz!) czytelników, ale również konsultantem. Na różnych etapach pisania książki pomagali mi w różny sposób prof. Tadeusz Cegielski, Adam Podlewski i Mariusz Cieślik, a także redaktorzy z Wydawnictwa Literackiego, za co im wszystkim dziękuję.

PRZYPISY

- [1] (łac.) Święty Michale Archaniele, wspomagaj nas w walce...
- [2] (łac.) które na zgubę dusz ludzkich po tym świecie krążą.
- [3] (łac.) naszym winowajcom i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego.
- [4] (rus.) godzina dwunasta.
- [5] (łac.) na większą chwałę Bożą.
- [6] KPZB – Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi.
- [7] (z białorus.) lody.
- [8] Komunistyczna Partia Polski.
- [9] (łac.) Miłość trwa nawet po śmierci.
- [10] (łac.) Nawracajcie się, albowiem bliskie jest królestwo niebieskie, Mt 4,17.
- [11] (łac.) dolna granica.
- [12] (łac.) Gość nie obcy.
- [13] (łac.) czyja władza, tego religia.
- [14] (franc.) Cholera!
- [15] (białorus.) Daj grosz.
- [16] W. Szekspir, *Hamlet*. Przekład J. Paszkowski.
- [17] (łac.) szaleniec.

[18] (ros.) żołnierz.

[19] (niem.) żandarmeria.

[20] (niem.) Do widzenia szanownym kolegom.